



Labirynt śmierci

ARIANA FRANKLIN

Przekład MARIA i CEZARY FRĄC

Tytuł oryginału The Death Maze

Dla doktor Mary Lynch, z moimi najszczerzszymi podziękowaniami

RS

Prolog

Głosy dwóch mężczyzn budziły w tunelu echa, które zniekształcały słowa. Można się jednak było domyślić, że spotkali się w interesach.

Zabójca przyjmował zlecenie od człowieka, który niepotrzebnie komplikował sprawę, jak wszyscy jemu podobni.

Zawsze było tak samo. Chcieli ukryć swoją tożsamość i przychodzili zamaskowani, tak tłumili głos, że ledwo było go słyszeć. Nie chcieli, by ktoś ich zobaczył, wyznaczając spotkania na wietrznych wrzosowiskach albo w miejscach takich, jak ta cuchnąca piwnica. Bali się płacić z góry, żeby zabójca nie zadźgał ich i nie uciekł z pieniędzmi.

Nie zdawali sobie sprawy z tego, że szanujący się zabójca, taki jak on, po prostu musi być godny zaufania, bo od tego zależy jego przyszłość. Wyrobienie reputacji wymagało czasu, ale Sicarius* - tak brzmiał wybrany przez niego łaciński pseudonim - stał się znany z perfekcji. Gwarantował u sunięcie przeciwnika politycznego, żony, wierzyciela, bez ściągania podejrzeń na tego, kto opłacił mord.

Zadowoleni klienci polecali go innym. „Mógłbyś skorzystać z usług człowieka, którego zwą Sicarius - mawiali. - Z pewnością uwolni cię od kłopotów”.

Proszeni o dokładniejsze informacje, odpowiadali: „Krażą plotki, że można się z nim skontaktować Pod Niedźwiedziem w Southwark”. Albo U Filla w Rzymie. Albo w La Boule w Paryżu. Albo w jakiejkolwiek gospodzie w okolicy, gdzie akurat świadczył swoje usługi.

W tym miesiącu w Oksfordzie. W podziemiu połączonym długim tunelem z piwniczką pewnej gospody. Przyproceedził go zamaskowany, zakapturzony sługa - doprawdy, szkoda fatygi - i wskazał rozwieszoną w kącie ciężką zasłonę z czerwonego aksamitu, skrywającą tego, który

* *sicarius* (łac.) - skrytobójczy morderca, rozbójnik.

miał mu zlecić zadanie, żywo kontrastującą z pleśnią na ścianach i szlamem pod nogami. Niech to lichy, buty się zniszczą.

- Zadanie nie będzie dla was zbyt trudne? - zapytał człowiek za zasłoną po podaniu bardzo dokładnych instrukcji.

- Okoliczności są niezwykle, panie - odparł zabójca. Zawsze mówił do nich „panie”. - Zwykle nie lubię zostawiać dowodów, lecz jeśli tego wymagasz...

- Tak, ale chodzi mi o co innego. Czy nie masz wyrzutów sumienia? Nie lękasz się potępienia duszy?

A więc znów dotarli do tego punktu, w którym ci ludzie oddzielają swoją moralność od jego moralności. To on, brudny łajdak z gminu, dzierżył nóż. Oni, bogaci łajdacy, tylko wydawali rozkazy.

Mógłby powiedzieć: „Zajęcie jak każde inne, lepsze niż zdychanie z głodu”. Mógłby powiedzieć: „Nie mam sumienia, mam zasady, których się trzymam”. Mógłby nawet zapytać: „A co z potępieniem twojej duszy?”

Ale płacili mu za swoją manię wielkości, dlatego oparł się pokusie i rzekł wesoło:

- Papież, wieśniacy, królowie, pachołki, damy, dzieci: pozbywam się wszystkich i to za tę samą cenę, siedemdziesiąt pięć marek z góry i sto po wykonaniu roboty.

- Utrzymywanie tej samej opłaty stanowiło klucz do jego sukcesu.

- Dzieci? - zapytał wstrząśnięty mężczyzna.

O Boże! Oczywiście, że dzieci. Dziedziczące dzieci. Przeszkadzające ojczymom, ciotkom, braciom, kuzynom, którzy mogli zagarnąć majątek dopiero wtedy, gdy zniknęła z drogi ta drobna przeszkoda. Dzieci stanowiły jego najpewniejsze źródło dochodów. I trudniej było się ich pozbyć, niż można przypuszczać...

- Może chciałbyś powtórzyć wskazówki, panie? - podsunął.

Niech gada. Może on dzięki temu dowie się, kim tamten jest, na

wypadek, gdyby chciał go oszukać i nie zapłacił reszty należności. Aby wymierzyć karę osobie, która nie dotrzymała umowy, oczywiście musiał ją najpierw wytropić. A potem zadać śmierć wyjątkowo bolesną, żeby stanowiła ostrzeżenie dla przyszłych klientów.

Głos za zasłoną powtórzył to, co już słyszał. Należy zrobić to tego a tego dnia, w takim a takim miejscu, takimi środkami, żeby śmierć nastąpiła w taki a taki sposób, te rzeczy mają zostać na miejscu, a tamte powinny być zabrane.

Im zawsze zależy na szczegółach, pomyślał znużony zabójca. To zrób tak, tamto siak. Jakby zabijanie było nauką ścisłą, a nie sztuką.

Ale w tym przypadku zleczone morderstwo zaplanowano nadzwyczaj drobiazgowo, doskonale znając zwyczaje ofiary. Nie zawadzi z tego skorzystać...

Sicarius słuchał uważnie nie wskazówek, które zapamiętał za pierwszym razem, ale brzmienia głosu tego człowieka, notując w pamięci charakterystyczne zwroty, czekając na kasznięcie czy zająknięcie, które mógłby później rozpoznać w tłumie.

Słuchając, rozglądał się. Nic mu nie powiedział wygląd sługi, który stał w cieńcu, starannie otulony zwyczajną peleryną, trzymając drżącą dłoń - niech go licho! - na rękojeści miecza, jakby nie wiedział, że zginąłby po dziesięćkroć, zanim zdążyłby go dobrać. Żaloszny strażnik, pewnie jedyna istota, jakiej ufał jego pan.

Położenie piwnicy też coś mówiło zabójcy. Tamten wykazał się przebiegłością, wybierając to miejsce. Miało trzy wyjścia. Jednym był długi tunel, którym przypro-
wadzono go z gospody. Pozostałe dwa mogły prowadzić wszędzie, może do zamku albo - wciągnął powietrze nosem - do rzeki. Jedyną pewną rzeczą było to, że znajdowali się w podziemiach Oksfordu. A podziemia, o czym zabójca już wiedział, nie bez powodu zasięgnąłszy języka, były rozległe i kręte.

Podziemia pochodziły oczywiście z czasów wojny Stefana i Matyldy. W czasie trzynastu lat tej godnej pożałowania, krwawej awantury, cała Anglia została zryta tunelami. Oksford, strategiczny punkt, strzegący głównych traktów kraju z północy na południe i ze wschodu na zachód w miejscu, gdzie przecinały Tamizę, srodze ucierpiał. Oblegani wielokroć mieszkańcy miasta jak krety kopali tunele, prowadzące we wszystkie strony. Kiedyś - oby nie dzisiaj - przeklęte miasto zapadnie się w dziury wydrążone pod fundamentami.

Miasto popierało króla Stefana, a więc stało po stronie niewłaściwej. Minęło dwadzieścia lat, a przegrani wciąż ziali nienawiścią do syna Matyldy, Henryka Plantageneta, obecnego króla.

Zabójca zdobył sporo informacji, przebywając na tym terenie, bo zawsze opłacało się wiedzieć, kto kogo popiera i dlaczego. Pomyślał, że być może ten człowiek jest jedną z osób wciąż rozgoryczonych wynikiem wojny i że tym samym zlecenie ma charakter polityczny.

W takim wypadku zadanie mogło okazać się niebezpieczne. Ci, którzy zlecali taką robotę, zwykle wysoko postawieni, nieraz wynajmowali drugiego mordercę do zlikwidowania pierwszego. Zawsze przysparzało to kłopotów i nieuchronnie wiodło do kolejnego rozlewu krwi, choć nigdy nie była to jego krew.

Aha. Niewidoczny mężczyzna poruszył się i na sekundę pod rąbkiem zasłony ukazał się nosek buta. Buta z pięknego zamszu, jak jego własne, i nowego, zapewne niedawno uszytego w Oksfordzie - też jak jego.

Czekał go obchód po miejscowych warsztatach szewskich.

- Umowa stoi? - zapytał mężczyzna.

- Stoi, panie.

- Siedemdziesiąt pięć marek, powiadasz?

- W złocie, jeśli można, panie - odparł zabójca wciąż radosnym tonem. - I tak samo z setką po wykonaniu roboty.

- Zgoda - powiedział człowiek za zasłoną i kazał słudze przynieść sakiewkę.

W tym momencie popełnił błąd, z którego zabójca wysnuł ważne wnioski.

- Daj mistrzowi Sicariusowi sakiewkę, synu - polecił.

Brzęk złota w sakiewce, przekazywanej z ręki do ręki, był mniej satysfakcjonujący niż fakt, że zabójca odgadł profesję tego człowieka. I był zaskoczony.

Rozdział 1

Kobieta leżąca na łóżku już nie mogła krzyżeć. Bębniła piętami i tukała pięściami w prześcieradła, jak gdyby odgrywając pantomimę udręki.

Trzy zakonnice, które klęczały po obu stronach łóżka, modliły się o wstawienictwo Boga. Ich usta poruszały się bezdźwięcznie, gdyż jakikolwiek hałas, nawet szept modlitwy, przyprawiał chorą o konwulsje. Zamknęły oczy, żeby nie widzieć jej cierpienia. Tylko kobieta stojąca w nogach łóżka patrzyła, nie okazując żadnych uczuć.

Na zdobiałym ścianę gobelinie swawolili niewinnie Adam i Ewa wśród roślin i zwierząt rajskiego ogrodu, podczas gdy wąż z drzewa i Bóg na obłoku patrzyli na nich życzliwie. Piękna komnata zdawała się ignorować tragiczny stan mieszkanki: jasne włosy chorej ściemniały od potu, grube żyły wystąpiły na niegdyś białej szyi, usta rozciągały się w straszliwym grymasie.

Zrobiono wszystko, co było możliwe. W komnacie ustawiono świece i stojaki z kadzidłami, okiennice zamknęto, by nie trzaskały na wietrze.

Matka Edyve przysłała z Godstow, swojego klasztoru, relikwiarz, żeby wybłagać pomoc świętych dla tej cierpiącej niewiasty. Zbyt sędziwa, by przybyć osobiście, powiedziała siostrze Havis, przeoryszy, co należy zrobić. Tak więc siostry przywiązały piszczel świętej Scholastyki do miotającej się ręki, krople z fiołki zawierającej mleko Świętej Marii wylały na głowę chorej, a drzazgę z Prawdziwego Krzyża złożyły w jej ręce, choć zaraz z niej wypadła w czasie kolejnego spazmu.

Ostrożnie, nie chcąc narobić hałasu, przeorysza Havis podniosła się i wyszła z komnaty. Kobieta, która stała przy łóżku, podążyła za nią.

- Dokąd idziesz?
- Po ojca Pola. Posłałam po niego, czeka w kuchni.
- Nie.

Jako dobra chrześcijanka, siostra Havis zwykle okazywała serce cierpiącym ludziom, ale ta szczególna sytuacja przyprawiała ją o ciarki.

- Już czas, Dakers - powiedziała. - Musi otrzymać wiatyk.
- Zabiję cię. Ona nie umrze. Zabiję księdza, jeśli wejdzie na górę. Słowa te zostały powiedziane bez żadnych emocji, ale przeorysza uwierzyła kobiecie. Wszyscy słudzy już pierzchli stąd ze strachu, co może zrobić gospodyni, jeśli ich pani skona.

- Dakers, Dakers... Czy możemy odmówić pociechy świętego na maszczenia duszy, która rozpoczyna podróż do innego świata? Patrz...
- Siostra Havis chwyciła gospodynię za ramię i ustawiła jąw taki sposób, że obie patrzyły w głąb komnaty. Ich ściszone głosy sprawiły, że ciało na łóżku znowu wygięło się w łuk. Wsparte tylko na piętach i na czubku głowy, tworzyło most udreki. - Ludzka powłoka nie zniesie takich męczarni. Twoja pani kona. - To rzekłszy, zaczęła schodzić po schodach.

Słyszała kroki tuż za plecami, co sprawiało, że przytrzymała się poręczy na wypadek, gdyby gospodyni postanowiła ją zepchnąć. Z ulgą stanęła na dole i wyszła na zimne powietrze. Skierowała się do kuchni z licznymi kominami, wzorowanej na tej w Fontevrault, stojącej jak ogromna pieprzniczka niedaleko wieży.

Jedynym źródłem światła były płomienie w kominku. Czerwony blask pełgał po prześcieradłach schnących na sznurach i hakach, które zwykle służyły do wieszania ziół i połci wędzonego boczku.

Ojciec Pol, mały i cichy jak mysz, tej nocy jeszcze mniejszy i cichszy, siedział na brzeżku stołka, trzymając na kolanach tłustego czarnego kota.

Popatrzył na mniszkę, po czym zwrócił pytające spojrzenie na gospodynię.

- Jesteśmy gotowe, ojcze - powiadomiła przeorysza.

Ksiądz z ulgą skinął głową. Wstał, ostrożnie posadził kota na stołku, pogłaskał go po raz ostatni, podniósł z podłogi skrzynkę ze świętymi olejami i wyszedł szybkim krokiem. Siostra Havis zaczęła chwilę, żeby się przekonać, czy gospodyni też pójdzie, a następnie pospieszyła za nim.

Dakers, zostawszy sama, wbiła oczy w ogień.

Błogosławieństwo biskupa, który dwa dni temu został wezwany do pani, nic nie pomogło, podobnie jak te wszystkie klasztorne głupoty. Chrześcijański Bóg zawiódł.

I dobrze.

Jęła krzątać się szybko. Wyjęła potrzebne przybory z kredensu w maleńkiej izdebce przy kuchni, która była jej królestwem. Na kłocu do rąbania mięsa położyła spiętą zamkiem, oprawną w skórę księgę. Na księdze umieściła kryształ, którego fasetki odbijały światło ognia, rozsiewając po kuchni zielone, chybotliwe błyski.

Zapaliła siedem świec i z każdej nakapała trochę łoju na kloc, wytuczając krąg wokół księgi i kryształu. Świece płonęły równo, jak tamte na górze, choć wydzielały zapach mniej przyjemny niż ten, jaki daje pszczeli wosk.

Na haku nad ogniem wisiał kociołek do gotowania wody, bezustannie potrzebnej do prania prześcieradeł z komnaty chorej.

Przechyliła kociołek, żeby sprawdzić, czy woda wrze. Rozejrzała się za pokrywą, dużym, starannie wyciętym krążkiem z żelazną rączką pośrodku, znalazła ją i położyła obok paleniska. Spośród stojących przy kominku szufelek, szczypiec, szpikulców wybrała długi pogrzebacz i położyła go na podłodze przy pokrywie.

- Igzy-bidzy - mrucała - sisznu-szisznu, adony-mannuej, elam-pilam...

- Ignorant mógłby uznać, że to dziecięca rymowanka-wyliczanka; wtajemniczeni rozpoznaliby umyślnie przekręcone święte imiona Boga z różnych wyznań.

Przemykając pod rozwieszonymi prześcieradłami, Dakers podeszła do stolka, na którym niedawno siedział ojciec Pol, i podniosła kota. Wzięła go na ręce, głaskając jak ksiądz. Był to dobry kocur, doskonały łowca, jedyny, jakiego tolerowała w tym miejscu.

Zaniosła go do kominka, pogładziła ostatni raz po grzbiecie i sięgnęła po pokrywę.

Wciąż mamrocząc, wrzuciła kota do wrzątku, szybko nałożyła pokrywę i przytrzymała mocno. Przesunęła pogrzebacz przez uszy kociołka.

Przez chwilę pokrywa grzechotała o pogrzebacz, a przez wywiercone w niej otwory wydobywał się przedśmiertny wrzask. Dakers uklękła na skraju paleniska, polecając ofiarę swojemu Panu.

Skoro Bóg zawiódł, pora zwrócić się do Diabła.

Osiemdziesiąt parę mil na wschód, Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar po raz pierwszy w życiu odbierała poród - a raczej próbowała to uczynić.

- Przyj, mamó - poradziła stojąca z boku najstarsza siostra nienarodzonego jeszcze dziecka.

- Nie każ jej przeć - powiedziała Adelia we wschodnim dialekcie staroangielskim. - Nie wolno, póki nie nadejdzie pora. - Na tym etapie biedna położnica ma niewielką kontrolę nad sytuacją.

Podobnie jak ja, pomyślała z rozpaczą. Nie wiem, co robić. Szło źle, poród się przeciągał i w końcu rodząca, twarda kobieta z mokradeł, zaczęła tracić siły.

Na trawie przed domem Mansur, obserwowany przez psa Adelii, śpiewał rymowanki ze swoich stron ojczystych, żeby rozbawić dzieci

- wszystkie urodzone bez żadnych komplikacji z pomocą sąsiadki i noża do krajania chleba. O desperacji Adelii świadczył fakt, że w tej chwili nie słuchała jak zwykle z lubością głosu kastrata, nie zastanawiała się, jakie to dziwne, iż anielski sopran w arabskiej tonacji molowej płynie nad angielskimi mokradłami. Mogła się tylko zdumiewać wytrzymałością rodzącej, która zdołała wysapać:

- Ładne.

Jej mąż pozostał nieczuły na śpiew Mansura. Skrył się, wraz ze swoim strachem o żonę, w obórce, przy krowie. Na górze, gdzie mieszkała rodzina, gdzie przechowywano siano i gdzie walczyła kobieta, usłyszano jego głos:

- Nigdy tak nie było, jak odbierała Goody Baines.

Adelia pomyślała, że tamte dzieci same wyskakiwały z łona, lecz było ich zbyt wiele. Później będzie musiała przypomnieć pani Reed, że rodziła dziewięć razy w ciągu dwunastu lat i że następne dziecko z pewnością ją zabije - o ile nie stanie się to teraz.

W tej chwili Adelia musiała zachować pewność siebie, a nade wszystko podnieść na duchu rodzącą, dlatego zawołała pogodnie:

- Jeszcze będziesz wdzięczna, że ja jestem tutaj, kumo, tylko nie pozwól, by zgasł ogień w starym piecu!

Jestem anatomem i na dodatek cudzoziemką. Moją specjalnością są trupy. Masz prawo się bać. Gdybyś wiedziała, jak niewielkie mam doświadczenie z porodami, oszalałabyś ze strachu, pomyślała.

Goody Baines pewnie wiedziałyby, co zrobić, podobnie jak Gyltha, towarzyszka Adelii i piastunka jej dziecka, ale obie kobiety wybrały się na targ do Cambridge i miały wrócić nie wcześniej niż za parę dni. Ich nieobecność zbiegła się z początkiem porodu pani Reed. W tej odległej części mokradeł tylko Adelia знаła się na medycynie i dlatego wezwano ją do nagłego przypadku.

Gdyby leżąca na łóżku kobieta połamała kości albo zaraziła się jakąś chorobą, Adelia rzeczywiście mogłaby jej pomóc, bo była medykiem

- nie znachorką z wiedzą przekazywaną z pokolenia na pokolenie, nie szarlatanem naciągającym chorych na kupowanie drogich, obrzydliwych i nieskutecznych mikstur. Nie, Adelia ukończyła wielką, postępową, po dziwianą na całym świecie Szkołę Medycyny w Salerno, która przeciwstawiała się Kościołowi, przyjmując w swoje podwoje białogłowy, jeśli tylko były dość bystre.

Stwierdziwszy, że Adelia lotnością umysłu dorównuje najbystrzejszym studentom, a nawet ich przewyższa, profesorowie zapewnili jej wykształcenie należne mężczyznom, które później uzupełniła pod kierunkiem przybranego ojca na wydziale patologii.

Obecnie jednak nie miała żadnego pożytku ze swojej edukacji, gdyż Szkoła Medycyny w Salerno uznała, że położnictwo lepiej zostawić akuszerkom. Adelia mogłaby wyleczyć dziecko pani Reed, a gdyby zmarło, stwierdzić przyczynę śmierci - lecz nie umiała go odebrać.

Podawała miszkę z wodą i ręcznik córce położnicy, przeszła przez izbę i wyjęła z wiklinowego koszyka własne dziecko. Usiadła na beli siana, rozwiązała sznurówki stanika i zaczęła je karmić.

Miała własną teorię na temat karmienia piersią, jak zresztą na każdy inny. Karmieniu powinno towarzyszyć spokojne, pogodne rozmyślanie. Zwykle siadała na przyzbie swojego krytego trzciną domu w Waterbeach, pozwalając oczom i myślom błądzić po mokradłach Cambridgeshire. Z początku te płaskie, zielone tereny źle wypadały w porównaniu ze śródziemnomorską panoramą stron ojczystych, z urwistymi szczytami na tle turkusowego nieba. Ale równiny też miały swój urok i stopniowo zaczęła doceniać głębię przepastnego nieba nad niezliczonymi wierzbami i olchami, a także bogactwo ryb w rzekach i zwierząt łownych w skrywających je zaroślach.

- Góry? - powiedziała kiedyś Gyltha. - Nie lubię gór. Zagradzają drogę.

Poza tym kraj ten był ojczyzną dziecka, które trzymała w ramionach, i dlatego stał się nieskończenie piękny.

Ale dzisiaj Adelia nie śmiała o tym rozmyślać. Musiała uratować to dziecko. Będzie przeklęta, jeśli wskutek jej niewiedzy umrze ono albo matka, albo oboje.

Adelia zaczęła przypominać sobie sekcję zwłok matek, które zmarły w trakcie porodu.

Zwłoki zwykle budziły w niej litość, ale gdy zostały złożone na marmurowym stole wielkiej sali autopsji w Salerno, powstrzymywała emocje. Nauczyła się to robić w przypadku wszystkich zmarłych, żeby lepiej wykonywać swoją pracę. Liczyło się tylko dociekliwe rozumowanie.

Teraz, w krytej strzechą chatce na skraju cywilizowanego świata, zrobiła to znowu, odcinając się od cierpienia kobiety na łóżku, zastępując współczucie mapą narządów wewnętrznych, pozycji, nacisków, przemieszczeń.

- Hm.

Adelia odsunęła córeczkę od pustej lewej piersi i przysunęła ją do drugiej, wciąż oceniając nacisk na mózg i pępowinę, dlaczego i kiedy dochodzi do uduszenia, utraty krwi, obumarcia płodu...

- Tutaj, pani! Jakby idzie! - zawołała córka rodzącej kobiety.

Adelia położyła dziecko do koszyka, zaciągnęła sznurówki stanika i podeszła do łóżka.

A niech to! Poród pośladowy. Podejrzewała to, ale było już za późno, żeby zanurzyć rękę w łonie i obrócić dziecko, nawet gdyby miała ku temu wystarczającą wiedzę i odwagę.

- Nie wyciągniesz go? - zapytała córka.

- Jeszcze nie. - Widziała nieodwracalne szkody spowodowane wyciąganiem dziecka na tym etapie porodu. Zwróciła się do rodzącej: - Te raz przyj. Czy chcesz, czy nie, musisz to robić.

Pani Reed skinęła głową, wzięła uzdę w usta, zacisnęła zęby i zaczęła przec. Adelia dała znak dziewczynce, żeby pomogła jej ściągnąć matkę w dół łóżka, by pośladki zwisły nad jego brzegiem i siła ciężenia mogła zrobić swoje.

- Trzymaj nogi prosto. Za kostki, tak, dobrze. Przyj! - Adelia uklękała.

Była to dobra pozycja do odbierania porodu... i do odmawiania modlitwy.

Pomóż nam, Panie.

Czekała, dopóki nie pojawił się pępek z pępowiną. Dotknęła ją delikatnie i poczuła silny puls. Dobrze, dobrze.

Teraz.

Szybko, ale ostrożnie wsunęła rękę i wyciągnęła jedną nóżkę, potem drugą, wyginając maleńkie kolana.

- Przyj! Przyj!

Pięknie, rączki i tors wysunęły się same, aż po szyję. Podtrzymując tułów jedną ręką, Adelia położyła dłoń na drobnych plecach i poczuła drzenie pracujących płuc. Dziecko oddychało.

Decydujący moment. Za chwilę niemowlę się udusi. Boże, nie opuszczaj nas.

Pani Reed traciła siły, a główka dziecka wciąż była w środku. Podaj tamten pakunek, prędko. - Adelia błyskawicznie wyjęła nóż do sekcji, zawsze wysterylizowany. - Teraz. - Położyła rękę dziewczynki na łonie pani Reed. - Naciskaj. - Wciąż podtrzymując dziecko, nacięła krocze. Gówka się wysliznęła. Ponieważ Adelia nadal miała nóż w dłoni, mogła przyjąć dziecko przedramieniem.

Wyszło, tatku! zawołała córka pani Reed.

Jej ojciec pojawił się na schodach; śmierdział krowim łajnem.

- Boże drogi, co?

Adelia odparła z ulgą:

- Dziecko. - Było brzydkie, zakrwawione, oślizłe, podobne do żaby, ze zgięty-
mi nóżkami, ale zdrowe i oddychające. Poklepane po plecach, zaprotestowało prze-
ciwko wyjściu z łona matki i rozpoczęcia samodzielnego życia. Dla Adelii nie było
teraz na świecie piękniejszego widoku.

- To się rozumie, ale co?

Adelia odłożyła nóż i odwróciła ten żywy cud natury. Chłopiec, zdecydowanie
chłopiec.

- Ma obrzmienie moszny, spowodowane zbyt dużym uciskiem, ale to
minie.

Przecięto pępowinę, pani Reed została zszyta i doprowadzona do porządku, bo
niebawem mieli się zjawić goście. Dziecko owinięte w baranią skórę włożono mat-
ce w ramiona.

- Pani, jakie masz imię, żebyśmy mogli go tak wołać? - zapytał Reed.

- Wezwij Adelia Rachelę Ortese Aguilar - odparła Adelia niepewnym tonem.

Zapadła cisza.

- A on? - Reed wskazał wysokiego Mansura, który przyszedł zoba-
czyć noworodka.

- Mansur bin Fayii Nasab Al-Masaari Khayoun z Al Amarah.

Znowu cisza.

Mansur, który rozumiał angielską mowę, choć miał niewiele okazji, żeby się nią
posługiwać, powiedział po arabsku:

- Płynię przeor, widziałem jego łódź. Niech nazwą chłopca Gotfryd.

- Przeor Gotfryd jest tutaj? - Adelia prędko zeszła po drabinie i po-
biegła do małej drewnianej platformy, która służyła za pomost - każdy
dom na mokradłach stał tu nad którąś z rzek, a dzieci uczyły się pływać
łódkami z wikliny i skóry, kiedy tylko zaczynały chodzić.

Wysiadł z barki z pomocą wiosłarza w liberii.

- Skąd się tu wziąłeś? - zapytała, obejmując go. - Jak się miewa Ulf?

- To urwis, ale bystry chłopak. Ma się świetnie. - Wnuk Gylthy i, jak powiadano,
również przeora, został wysłany na studia do szkoły klasztornej, którą miał opuścić
dopiero na wiosenne siewy.

- Tak się cieszę, że cię widzę.

- Ja też się cieszę. Powiedziano mi w Waterbeach, dokąd się udałeś. Wygląda na
to, że góra musiała przyiść do Mahometa.

- Ale ta góra wciąż jest zbyt wielka - powiedziała Adelia i odsunęła się, żeby na niego popatrzeć. Przeor wielkiej kanonii Świętego Augustyna w Cambridge był jej pierwszym pacjentem i jej pierwszym przyjacielem w Anglii. Martwiła się o niego. - Nie przestrzegasz zalecanej diety.

- *Dum vivimus, vivamus** - odparł. - Zgadza się z epikurejczykami.

- Wiesz, jak wcześnie umierają?

Rozmawiali w łacinie klasycznej, i nie było w tym nic dziwnego. Jednak ludzie w barce zastanawiali się, dlaczego ich pan ukrywa przed nimi treść rozmowy. A w ogóle zastanawiające, jak kobieta może go rozumieć.

- Dobrze, że przybyłeś - rzekła Adelia. - W samą porę, żeby ochrzcić pierwsze odebrane przeze mnie dziecko. Chrzest sprawi rodzicom ulgę, choć chłopiec jest silny i zdrowy.

Adelia nie uznawała chrześcijańskiego chrztu niemowląt, podobnie jak tego wszystkiego, co uważała za barbarzyńskie tradycje odziedziczone przez trzy główne religie świata. Nie uznawała Boga, który nie pozwalał dziecku wstąpić do królestwa niebieskiego, jeśli zmarło przed pokropieniem wodą i wygłoszeniem odpowiednich słów.

Ale rodzice uważali ten obrzęd za niezbędny, choćby tylko dlatego, żeby zapewnić dziecku chrześcijański pochówek, gdyby zdarzyło się najgorsze. Pan Reed już miał posłać po obdartego wędrownego księdza, który miał pieczę nad tą okolicą.

Rodzina Reedów patrzyła w milczeniu, jak upierścienione palce przeora zwilżają czoło noworodka, a głos, aksamitny niczym szaty właściciela, wita je w wierze, obiecując mu życie wieczne i nazywając go „Gotfrydem w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen”.

- Ludzie z mokradeł nigdy ci za to nie podziękują - powiedziała Adelia, gdy ze swoim dzieckiem w ramionach wsiadła z przeorem na barkę. Pies Strażnik wskoczył za nią, a Mansur miał popłynąć za nimi łodzią. - Ale też nigdy tego nie zapomnę. Zdębieli na twój widok, jakby sam archanioł Gabriel zstąpił w snopie złotego światła.

- *Non angeli, sed angli*** - odparł przeor Gotfryd. Tak bardzo lubił Adelię, że nie stracił dobrego humoru, gdy zaznajomiła go z tutejszymi zwyczajami, choć on mieszkał w Cambridgeshire od trzydziestu lat, a ona całkiem niedawno przybyła z południowej Italii.

* *Dum vivimus, vivamus* (łac.) - Dopóki żyjemy, używajmy życia.

** *Non angeli, sed angli* (łac.) - Nie aniołowie, lecz Anglicy.

Patrzył na nią, ubraną jak strach na wróble, w towarzystwie psa, po którym trzeba będzie odkazić ławkę; oto największy umysł tych czasów, a tuli tak swojego bękartą i nie posiada się z radości, że odebrała poród w nędznej chacie.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad jej pochodzeniem, o którym wiedziała tyle samo, co on. Wychowana przez małżeństwo z Salerao, Żyda i jego chrześcijańską żonę, którzy znaleźli ją wśród skał Wezuwiusza, miała ciemnoblond włosy, jak u Greków czy Florentyńczyków, ukryte teraz pod nadzwyczaj brzydką czapką.

Wciąż jest ekscentryczką, pomyślał przeor Gotfryd, taką samą jak wtedy, gdy spotkaliśmy się na drodze do Cambridge. Wracalem z pielgrzymki do Canterbury, a ona jechała na wozie w towarzystwie Araba i Żyda. Uznałem ją za ladacnicę, nie rozpoznałem w niej uczonej. A jednak, gdy zacząłem wyć z bólu, tylko ona okazała się Samarytanką, choć otaczali mnie sami chrześcijanie. Tamtego dnia, ratując mi życie, przemieniła mnie na powrót w jękającego się młokosa, gdy obracała moje najbardziej intymne narządy jak flaki przed ugotowaniem. I wciąż uważam, że jest piękna.

Oderwała się wtedy od pracy ze zmarłymi w Salerno, żeby w przebraniu dołączyć do grupy śledczej pod kierunkiem Żyda, Szymona z Neapolu. Mieli odkryć, kto morduje dzieci w Cambridge. Sprawa ta poważnie trapiła króla Anglii, ponieważ prowadziła do zamieszek i tym samym uszczuplenia wpływów z podatków.

Salerno opuścił również Mansur, sługa Adelii, który na angielskiej ziemi uchodził za medyka, ona zaś w czasie dochodzenia udawała jego asystentkę. Biedny, dobry Szymon - choć był Żydem, przeor wspominał go w modlitwach - zginął w trakcie tropienia zabójcy, sama Adelia też omal nie straciła życia, ale w końcu sprawa została rozwiązana, sprawiedliwości stało się zadość i królewskie podatki trafiły do skarbcza.

Talent śledczy Adelii okazał się taki wielki, że król Henryk nie pozwolił jej wrócić do Italii, licząc się z tym, że znów może być potrzebna. Czarna niewdzięczność królów. Przeor Gotfryd był jednak z tego rad, bo dzięki decyzji Henryka Adelia została jego sąsiadką.

Czy mocno jej doskwierało życie w tej niewoli? Nie dość, że nie została nagrodzona, to jeszcze król nie kiwnął palcem - wprawdzie przebywał za granicą - gdy medycy z Cambridge, zazdrośni o powodzenie przybłedy, wypędzili ją i Mansura z miasta i zmusili do zamieszkania na dzikich mokradłach.

Chorzy pociągęli za nimi i wciąż napływali, bo liczyła się dla nich ulga w cierpieniu, a nie to, czy leczą ich niewierzący cudzoziemcy.

Boże, boję się o nią. Jej wrogowie przeklną ją za to. Użyją nieślubnego dziecka jako dowodu jej niemoralności, postawią ją przed sądem archidiecezjalnym i skazą jako jawnogrzesznicę. A co ja mogę zrobić?

Przeor Gotfryd jęknął przytłoczony wyrzutami sumienia. Czy jest dla niej prawdziwym przyjacielem?

Dopóki sam nie stanął nad grobem, dopóty oburącz podpisywał się pod naukami Kościoła mówiącymi, że liczy się tylko dusza, nie ciało. Ból fizyczny? To kara boska, przyjmij ją w pokorze. Śledztwo? Sekcja? Eksperymenty? *Sic vos ardebitis in Gehenna**. Będzie płonąć w piekle.

Jednak dla Adelii wzorem było Salerno, gdzie Arabowie, Żydzi, nawet chrześcijanie nie stawiali barier poszukiwaczom wiedzy. Pouczyła go: „Jak Bóg może pa-trzeć obojętnie na tonącego, kiedy może go ocalić wyciągnięta ręka? Ty tonąłeś we własnym moczu. Miałam siedzieć z założonymi rękami, zamiast ulżyć twojemu pęcherzowi? Nie, wiedziałam, co zrobić i zrobiłam. A wiedziałam, bo badałam chore gruczoły u mężczyzn, którzy przez nie zmarli”.

Była wówczas nieokrzesanym stworzeniem, podobnym do zakonnicy, gdyby nie ta bezgraniczna uczciwość, inteligencja i nienawiść do przesądów. Dzięki pobytowi w Anglii stała się bardziej kobieca, delikatna i zyskała dziecko - wynik romansu namiętnego i grzesznego, jak ten Heloizy i Abelarda.

Przeor Gotfryd westchnął i czekał, żeby zapytała, dlaczego przypląnął, by się z nią zobaczyć, choć był zajęтым człowiekiem na stanowisku.

Nadejście zimy odarło mokradła z liści, pozwalając słońcu na dostęp do rzeki. Nagie wierzby i olchy przeglądały się w wodzie. Adelia, całkowicie już odprężona, obserwowała ptaki zrywające się przed dziobem barki. Podawała sennemu dziecku ich angielskie, francuskie i łacińskie nazwy i wołała do Mansura, gdy zapomniała arabskich.

Ile miesięcy ma moja chrześniaczka? - zastanawiał się przeor z rozbawieniem. Osiem? Dziewięć?

- Trochę za wcześnie na obce języki - zauważył.
- Nigdy nie jest za wcześnie. Wreszcie spojrziała na niego.

- Dokąd zmierzamy? Przypuszczam, że nie przebyłeś takiej długiej drogi tylko po to, by ochrzcić jakieś dziecko.

- To był dla mnie zaszczyt, *Medica* - odparł przeor Gotfryd. - Wróciłem do błogosławionej stajenki w Betlejem. Ale nie, nie po to przyby-

* *Sic vos ardebitis in Gehenna* (łac.) - Tak spłoniecie w piekle.

łem. Ten posłaniec... - wskazał mężczyznę, który stał na dziobie barki, nieruchomy, otulony peleryną - przybył do klasztoru z wezwaniem. Ponieważ miał kłopot ze znalezieniem cię na tych wodach, postanowiłem służyć mu za przewodnika.

Poza tym wiedział, że musi być w pobliżu, gdy Adelia otrzyma wezwanie: inaczej nie będzie chciała go posłuchać.

Adelia zaklęła w staroangielskim języku. Podobnie jak Mansur, Gyl-tha poszerzała zasób jej angielskiego słownictwa.

- O co chodzi?

Posłaniec, chudy i młody człowiek, aż się zachwiał pod siłą jej spojrzenia. Wlepił w przeora szeroko otwarte oczy.

- To jest pani Adelia, panie? - Imię sugerowało szlachectwo, spodziewał się dostojności, piękna, trenu sukni na marmurze, na pewno nie tej zaniedbanej istoty z psem i bękartem.

Przeor Gotfryd się uśmiechnął.

- W rzeczy samej, pani Adelia.

Młodzieniec uklonił się, odrzucając w tył pelerynę, żeby pokazać herb wyhaftowany na kaftanie, dwa stojące jelenie i złoty krzyż świętego Andrzeja.

- Od mojego czcigodnego pana, księdza biskupa St. Albans.

Wyjął zwój.

Adelia stała bez ruchu. Opuściło ją wcześniejsze ożywienie,

- Czego on chce? - zapytała chłodnym głosem.

Posłaniec popatrzył bezradnie na przeora.

Przeor Gotfryd, który otrzymał podobny zwój, powiedział po łacinie:

- Wygląda na to, że nasz ksiądz biskup potrzebuje twojego doświadczenia, Adelio. Wzywa cię do Cambridge. Sprawa ma związek z próbą morderstwa w Oxfordshire. Sądzę, że ma poważne implikacje polityczne.

Posłaniec wciąż usiłował podać jej zwój, lecz ona nie chciała go wziąć. Zwróciła się do przyjaciela:

- Nie pojedę, Gotfrydzie. Nie chcę jechać.

- Wiem, moja droga, dlatego przyoylem. Obawiam się, że musisz.

- Nie chcę go widzieć. Jestem szczęśliwa tutaj, z Gylthą, Mansurem, Ulfem i nią... - Podniosła dziecko. - Lubię mokradła, lubię tych ludzi. Nie zmuszaj mnie.

Ścisnęło mu się serce, ale się nie ugiął.

- Moja droga, nie mam wyboru. Ksiądz biskup jasno mówi, że to sprawa dotycząca króla. Dlatego nie masz wyboru. Jesteś jego narzędziem.

Rozdział 2

Cambridge nie spodziewało się tak wcześnie zobaczyć swojego biskupa Półtora roku temu, gdy objął biskupstwo St. Albans, miasto powitało go z ceremoniałem należnym człowiekowi, którego słowo plasuje się zaraz za słowem Boga, papieża i arcybiskupa Canterbury.

Pożegnano go równie uroczyście, gdy ruszał na inauguracyjny objazd diecezji, który - ponieważ była ogromna, jak wszystkie biskupstwa Anglii - miał trwać ponad dwa lata.

Zjawił się przed czasem, bez kawalkady powolnych wozów z bagażami które towarzyszyły mu w czasie wyjazdu, w parę godzin po jeździe, którzy uprzedzili o jego powrocie.

A jednak Cambridge tłumnie wyległo na ulice. Niektórzy padali na kolana albo podnosili dzieci po błogosławieństwo dostojnego biskupa,

inni biegli u jego strzemięcia, wylewając żale i błagając o naprawienie krzywd. Większość gawiedzi po prostu radowała się widowiskiem

Biskup Rowley Picot cieszył się dużą popularnością. Był synem Cambridge. Uczestniczył w wyprawie krzyżowej. Na tronie biskupim osadził go król, nie papież. A władza Henryka II była bliższa i rychejsza niż watykańska.

Nie był też jednym z tych chudych jak kije biskupów. Słynał z upodobania do łowów, jadła i trunków a także niewiast jak powiadano, ale wyrzekł się tego wszystkiego, gdy Bóg go skarcił. I czyż nie wymierzył sprawiedliwości mordercom dzieci, którzy jakiś czas temu siali postrach w mieście.

Mansur i Adelia, którym towarzyszył niepoczyszony wysłannik biskupa, uparli się obejść targ w Cambridge w poszukiwaniu Gylthy. Znalezli ją i teraz, uniesiona przez Mansura, ponad głowami tłumu oglądała przejazd biskupa.

- Przystojny jak pieczeń wołowa na Boże Narodzenie - zameldowała Adeli. - Nie podniesiesz małej, żeby popatrzyła?

- Nie - odparła Adelia, mocniej przytulając dziecko.

- Ma pastorał i inne cacka - kusila Gyltha. - Ale nie jestem pewna czy ta czapka mu pasuje.

Adelia wyobraziła sobie tęgiego, nadętego mężczyznę w mitrze ucieleśniającego, jak większość biskupów, hipokryzję i zacofanie Kościoła który był wrogiem nie tylko jej, ale także wszelkiego postępu w dziedzinie psychicznego i fizycznego zdrowia ludzkości.

Poczuła rękę na ramieniu.

- Jeśli pójdziesz ze mną, pani, ksiądz biskup udzieli ci audiencji w swoim domu, ale najpierw musi przyjąć szeryfa i odprawić mszę.

- Udzieli nam audiencji - powtórzyła Gyltha drwiąco, gdy Mansur postawił ją na ziemi. - Co za łaskawość, no no.

- Hm. - Posłaniec, Jacques, jak się okazało, wciąż był wytrącony z równowagi, bo z Saracenami i przekupkami nie miał dotąd do czynienia w czasie swojej służby. Po chwili zastanowienia dodał: - Sądzę, że mój pan zamierza rozmawiać tylko z tobą, pani.

- Pójdziemy wszyscy razem - oświadczyła Adelia. - W przeciwnym razie nie skorzystam z zaproszenia.

Przygłębił ją powrót do Cambridge. Przeżyła tutaj najgorsze i najlepsze chwile w życiu. Miasto nawiedzały duchy, których kości spoczywały w spokoju, podczas gdy inne wciąż daremnie apelowały do głuchego Boga.

- Pies też - dodała i zobaczyła, że zaskoczony posłaniec wytrzeszcza oczy. Nie dbała o to, sam przyjazd tutaj był ustępstwem z jej strony. Gdy wstąpili do domu, żeby spakować zimowe ubrania, umyła włosy i przebrała się w najlepszą, choć nieco wyświechtaną suknię, ale na tym koniec.

W rezydencji biskupiej - biskup miał siedzibę w każdym większym mieście diecezji - w parafii pod wezwaniem Świętej Marii, wrzały przygotowania do przyjęcia niespodziewanie powracającego gospodarza.

Adelia, Mansur i Gyltha, a wraz z nimi pies Strażnik, zostali wprowadzeni do wielkiej komnaty na górze, gdzie z ciężkich, zdobionych mebli spiesznie ściągnięto płachty chroniące przed kurzem. Przez otwarte drzwi widać było złocenia i sztukaterie sypialni, w której słudzy wieszali brokatowe draperie na baldachimie wspianiałego łoża.

Jeden z nich zobaczył, że Mansur się przygląda, i zamknął mu drzwi przed nosem. A wtedy Strażnik podniósł łapę i obsikał rzeźbioną futrynę.

- Dobry pies - powiedziała Gyltha.

Adelia postawiła koszyk ze śpiącym dzieckiem na okutej mosiądzem skrzyni, przyniosła stół, rozwiązała sznurówkę stanika i przystawiła dziecko do piersi. Patrząc na córkę, pomyślała, że to niezwykle dziecię. Przywykło do ciszy moczarów, a jednak nie okazywało strachu wśród zgiełku, jaki dziś panował w Cambridge.

- Czego chce od ciebie ksiądz biskup? - zapytała Gyltha.

Adelia wzruszyła ramionami.

- Mam się przyjrzeć próbie morderstwa w Oxfordshire, jak powiedział przeor Gotfryd.

- Nie myślałam, że przybędziesz z takiego powodu.

- Nie chciałam, ale to podobno rozkaz króla.

- A niech to.

- Otóż to. - Rozkazy Henryka Plantageneta nie podlegały dyskusji. Człowiek mógł się na nie krzywić, lecz jeśli nie posłuchał, wystawiał się na wielkie ryzyko.

Adelia żywiła urazę do Henryka II, który po odkryciu jej talentu do zgłębiania tajemnic umarłych zatrzymał ją w Anglii, żeby w razie potrzeby móc znów skorzystać z jej usług.

Listy wysłane przez króla Anglii do jego królewskiego krewniaka, Williama z Sycylii, zawierały prośbę o pomoc w rozwiązaniu problemu, który narastał w Cambridge i z którym mogło się uporać tylko Salerno ze swoją tradycją śledczą. Wszyscy byli zszokowani, gdy Salerno przysłało nie mistrza, lecz mistrzynię sztuki śmierci, ale wszystko dobrze się skończyło, przynajmniej dla Henryka II. Zadowolony z rozwiązania sprawy, podjął korespondencję, prosząc króla Williama o przedłużenie pobytu Adelii na wyspie.

Król nie zapytał jej, czy się zgadza, co było jawnym aktem przemocy, typowym dla tego człowieka.

- Nie jestem przedmiotem! - zawołała. - Nie możesz mnie wypożyczyć, jestem istotą ludzką.

- Jestem królem - odparł Henryk. - Gdy mówię, że masz zostać, zostajesz.

Niech go diabli, nawet jej nie zapłacił za to, co zrobiła, za narażanie życia, za utratę ukochanych przyjaciół - do końca swoich dni miała opłakiwać Szymona z Neapolu, mądrego, łagodnego człowieka, który był dla niej drugim ojcem. I psa - strata znacznie mniejsza, ale żal pozostał.

Z drugiej strony, dla równowagi, miała przy sobie drogiego Mansura, polubiła Anglię i jej mieszkańców, zyskała nagrodę w postaci przyjaźni przeora Gotfryda, Gylthy i jej wnuka i, co najważniejsze, miała dziecko.

Poza tym, choć Plantagenet był przebiegłym, impulsywnym, skąpym wieprzem, mimo wszystko był wielkim królem, bardzo wielkim królem, nie tylko dlatego, że władał imperium rozciągającym się od granic Szkocji po Pireneje. Zakończony morderstwem spór pomiędzy nim a arcybiskupem Canterbury, Tomaszem Becketem, miał obciążyć go na zawsze, ale zdaniem Adelii Henryk miał rację. Becket, nienawidzący Żydów, żyjący przeszłością, sprzeciwiający się jakimkolwiek reformom w równie konserwatywnym Kościele angielskim, doprowadził króla do tego, że za-

wołał: „Kto uwolni mnie od tego buntowniczego klechy?” Natychmiast podchwyciło to kilku rycerzy, którzy z osobistych powodów pragnęli śmierci arcybiskupa. Udali się do Canterbury i popełnili czyn, wskutek którego Becket, ciemny, zaślepiiony człowiek, został świętym męczennikiem. Jednocześnie Kościół zyskał pretekst do gnębienia króla, który chciał ograniczyć jego władzę poprzez wprowadzenie praw bardziej sprawiedliwych, bardziej ludzkich niż wszystkie inne na świecie.

Zwali Henryka Plantageneta diabłem wcielonym i niekiedy Adelia myślała, że pewnie mają rację, ale wiedziała też, że jego dzikie niebieskie oczy sięgają dalej w przyszłość niż oczy jakiegokolwiek innego człowieka. Gdy obejmował tron, Anglia była wyniszczona i zubożona przez wojnę domową, a on zapewnił jej bezpieczeństwo i dobrobyt, którego zazdrościły inne kraje.

Podobno żona i synowie mieli go w pogardzie i spiskowali przeciwko niemu. Adelia potrafiła zrozumieć dlaczego - pędził naprzód tak szybko, że nikt nie mógł za nim nadążyć; ich związki z nim sprowadzały się, mówiąc metaforycznie, do czepiania się jego strzemienia.

A jednak, gdy Kościół chciał postawić Adelę przed sądem w czasie tropienia mordercy dzieci w Cambridge, król znalazł czas, żeby oczyścić ją z zarzutów.

Cóż, powinien był to uczynić, pomyślała. Czy nie zaoszczędziłam mu kłopotów i pieniędzy? Nie jestem jego poddaną, jestem Sycylijką, Henryk nie ma prawa zmuszać mnie do służby.

Jednakże Adelia niekiedy dochodziła do wniosku, że służenie Henrykowi II jest zaszczytem.

Mimo wszystko, ze względu na karmione dziecko, starała się nie myśleć teraz o królu. Kłopot w tym, że wielka sala wokół niej odzwierciedlała Kościół, który złościł ją znacznie bardziej niż Henryk. Wszystko tutaj miało sztywny, ostentacyjnie religijny charakter - masywne krzesło biskupie, wyściełany, inkrustowany złotem klęcznik, gdzie ksiądz biskup mógł klęczeć wygodnie przed Chrystusem, który zmarł w ubóstwie, powietrze duszne od kadzidła. Starając się wzbudzić w sobie pogardę, Adelia porównała wystawną komnatę z klasztorną celą przeora Gotfryda, tym bardziej świętą, że nie brakowało w niej świeckich akcentów - wędka w kącie, aromat dobrego jedzenia, piękna Afrodyta z brązu przywieziona z Rzymu, oprawiony list od ucznia, z którego był dumny.

Skończyła karmienie. Gyltha przytrzymała dziecko, żeby mu się odbiło. Obie uważały, że nie ma odgłosu bardziej przyjemnego niż beknienie takiego maleństwa. Ponieważ niedawno rozpalony ogień jeszcze nie

zaczął ogrzewać komnaty, Gyltha przykryła koszyk dodatkowym kocem i postawiła w cieniu, żeby dziecko mogło spokojnie spać. Potem stanęła przy koszu z węglami i rozejrzała się z zadowoleniem.

- Morderstwo, co? Znowu jesteście razem, wróciły dawne czasy.

- Próba morderstwa - przypomniała jej Adelia. - Nie, nic nie wróciło.

- Lepsze to niż zimowanie na skutych lodem mokradłach.

- Uwielbiasz zimę na mokradłach. Ja też. -Adelia nauczyła się jeździć na łyżwach.

- Co nie znaczy, że nie lubię być gdzieś indziej. - Gylcie, choć miała swoje lata, nie brakowało energii. Podrapała się po zadzie i skinęła głową w stronę koszyka. - Co ksiądz biskup powie o naszym małym skarbie?

- Mam nadzieję, że nie spyta, czyje to.

Gyltha zamrugła oczyma.

- To byłoby paskudne z jego strony. Nie, nie zrobi czegoś takiego. Co cię gryzie?

- Nie chcę tu być, Gyltho. Biskupi i królowie nie mają prawa o nic mnie prosić. Nie zrobię tego.

- Masz wybór?

Rozległy się kroki na podeście. Adelia zgrzytnęła zębami, ale do komnaty wszedł nie biskup, lecz niski ksiądz. W jednej ręce niósł lichtarz z zapaloną świecą, w drugiej tabliczki do pisania. Podnosząc wysoko świecę i powoli zataczając nią łuk, przyglądał się twarzom obecnych krótkowzrocznymi oczami.

- Jestem ojciec Paton, sekretarz księdza biskupa. A wy... tak, tak.

- Położył tabliczki na stole i przysunął świecę. - Arab i dwie kobiety.

- Podniósł głowę. - Dostaniecie pojazd, służbę i żywność na drogę do Oksfordu i z powrotem, zimowe peleryny, opał i po szylingu na dzień. Dopóki ksiądz biskup nie uzna, że jest zadowolony z wykonanej pracy, nie liczcie na więcej.

Ponownie zerknął na tabliczkę.

- Aha, ksiądz biskup został powiadomiony o dziecku i wyraził chęć udzielenia mu błogosławieństwa. - Czekał na słowa wdzięczności. Gdy nie padły, dodał: - Mogę je do niego zanieść. Jest tutaj?

Gyltha stanęła pomiędzy nim a koszykiem.

Ksiądz nie dostrzegł w tym ruchu nic niepokojącego. Spojrzał jeszcze raz na tabliczkę i, nieprzywykły do kontaktów z kobietami, zwrócił się do Mansura:

- Mam tu napisane, że jesteś kimś w rodzaju medyka?

Znów nie doczekał się odpowiedzi.

- Oto wasze instrukcje. Odkryć winowajcę, który trzy dni temu...

- sprawdził datę - tak, w dniu świętej Leokadii... trzy dni temu podjął próbę zamachu na życie niejakiej Rozamundy Clifford z wieży Wormhold pod Oksfordem. Będziecie potrzebować pomocy sióstr z Godstow.

- Kościstym palcem postukał w tabliczkę. - Wypada zaznaczyć, że jeśli wspomniane wyżej zakonnice zapewnią wam darmowe kwatery w konwencie, wasza zapłata zostanie odpowiednio zmniejszona.

Powiódł po nich wzrokiem, potem wrócił do głównego wątku.

- Wszelkie informacje należy przekazywać księdzu biskupowi na tychmiast po ich zdobyciu, zajmie się tym przydzielony posłaniec, i nie wolno nikomu innemu mówić o odkryciach, wszystko musi być otoczone dyskrecją.

Spojrzał, szukając dalszych szczegółów, a gdy nie znalazł, zamknął z trzaskiem tabliczki.

- Konie i pojazd zostaną podstawione w ciągu godziny, a przez ten czas przygotowujemy żywność. Za darmo. - Zmarszczył nos, jakby zdumiony własną hojnością.

Czy to wszystko? Nie, jeszcze jedno.

- Domyślam się, że dziecko będzie przeszkadzać w dochodzeniu, dlatego nająłem piastunkę, która zajmie się nim pod waszą nieobecność.

- Wydawał się dumny z siebie, że o tym pomyślał. - Dzienna stawka wynosi jednego pensa, co zostanie potrącone... Au, au, postaw mnie.

Przypominał zaskoczone kocię, gdy Mansur chwycił go z tyłu za komżę i pode-rwał z podłogi.

Jest bardzo młody, pomyślała Adelia, ale w wieku czterdziestu lat będzie wyglądał tak samo. Zapewne współczuwałabym mu, gdyby nie zamierzał zabrać mi dziecka.

- Czyżbyś nie wiedział, chłopcze - powiedziała Gyltha, pochylając się, by spojrzeć mu w oczy - że przyszliśmy zobaczyć się z biskupem Rowleyem?

- Nie, to niemożliwe. Ksiądz biskup jutro wyrusza do Normandii i ma wiele zajęć przed wyjazdem. - Mały ksiądz zdołał zachować godność nawet w pozycji horyzontalnej. - Zajmuję się jego sprawami...

Drzwi się otworzyły i w blasku świec do komnaty weszła procesja. Pośrodku kroczyła postać żywcem wyjęta z iluminowanego manuskryptu, majestatyczna w purpurze i złocie.

Gyltha ma rację, pomyślała Adelia, mitra mu nie pasuje. Potem zwróciła uwagę na zaciśnięte szczęki i pochmurne oczy, jakże różne od tych, które pamiętała. Może jednak nie miałyśmy racji...

Ksiądz biskup ocenił sytuację.

- Postaw go, Mansurze - ozwał się po arabsku.

Mansur otworzył dłoń.

Obaj paziowie, niosący tren księdza biskupa, wychylili się zza jego pleców, patrząc na hałastrę, która poturbowała ojca Patona. Białowłosy dworzanin zaczął stukać w płytki podłogi laską świadczącą o jego urzędzie.

Tylko biskup wydawał się nieporuszony.

- Dobry wieczór, pani Adelio. Dobry wieczór, Gyltho, dobrze wyglądasz.

- Ty też, kumie.

- Jak tam Ulf?

- W szkole. Przeor powiedział, że sprawuje się doskonale.

Zarządca zamrugał oczyma na taką obrazę majestatu. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy biskup przeszedł na arabski:

- Doktorze Mansur, *as-salaam alaykum*.

- *Wa alaykum as-salaam*.

- Panie...

- Kolacja ma zostać podana jak najszybciej, mamy mało czasu. My, pomyślała Adelia. Episkopalna liczba mnoga.

- Twoje szaty, panie... Czy mam przynieść kufer?

- Paton mnie przebierze. - Biskup pociągnął nosem, szukając źródła dziwnego zapachu. Znalazł je i dodał: -1 przynieś gnata dla psa.

- Tak, panie. - Przybity zarządca przepędził sługi z pokoju.

Biskup przeszedł do sypialni. Sekretarz pospieszył za nim, wyjaśniając, co zaszło.

- Nie pojmuję ich wrogości, panie. Ja tylko poczyniłem przygotowania według instrukcji z Oksfordu.

- Które, jak się zdaje, po drodze zostały trochę przekręcone - zauważył biskup Rowley.

- Jednak wypełniłem je jak najlepiej, panie, co do joty... Nie pojmuję... - Przez otwarte drzwi wylewał się potok skarg ojca Patona, gdy rozbierał swojego pana z ornatu, dalmatyki, komży, paliusza, rękawiczek i mitry, gdy zdejmował kolejne warstwy haftowanych strojów, którym wiele szwaczek poświęciło całe lata pracy, gdy składał je z nadzwyczajną pieczołowitością. Długo to trwało.

- Co to za Rozamunda Clifford? - zapytał Mansur Gylthę.

- Znasz ją, poganinie. Piękna Rozamunda, tak o niej śpiewają, faworyta króla. Jest mnóstwo piosenek o Pięknej Rozamundzie.

Ta Rozamunda! Adelia przypomniła sobie śpiewki jarmarcznych minstrelów - niektóre romantyczne, w większości sprośne.

Jeśli ściągnął mnie tutaj, żeby wmieszać mnie w sprawy tej rozwiązłej kobiety... Nagle uświadomiła sobie, że ona teraz też musi być zaliczana do rozwiązłych kobiet.

- O mały włos jej nie ukatrupili - powiedziała Gyltha radośnie. - To pewnie sprawka królowej Eleonory. Próbowwała usunąć ją z drogi. Ziele nieje z zazdrości o Rozamundę.

- O tym też mówią piosenki? - zapytała Adelia. Gyltha się zastanowiła.

- Nie, królowa nie mogła tego zrobić. Ostatnio, jak słyszałam, król zamknął ją w więzieniu.

Możni i ich poczynania to inny świat. Zanim wieści o tym, co się tam dzieje, dotarły na mokradła, stawały się romantyczne, oderwane od rzeczywistości jak mity, niemające nic wspólnego z prawdziwymi ludźmi, pozbawione znaczenia w porównaniu z powodzią, krowami padającymi na zarazę czy, w przypadku Adelii, narodzinami dziecka.

Kiedyś było inaczej. W czasie wojny Stefana i Matyldy przekazywanie wieści o posunięciach wielmożów miało decydujące znaczenie, żeby człowiek w porę mógł uciec, zanim wojsko króla, królowej czy któregoś barona strati mu uprawy. Ponieważ wojska stale przemieszczały się po mokradłach, Gyltha znała się na polityce jak każdy inny.

Ale po tych strasznych czasach nastał władca z rodu Plantagenetów, niczym baśniowy król przynosząc Anglii pokój, prawo i dobrobyt. Jeśli toczyły się wojny, to za granicą, dzięki ci, Matko Boża.

Żona Henryka, która wstąpiła z nim na tron, również pochodziła z baśni - niezwykle barwnej. Nie była wstydliwą księżniczką-dziewicą Eleonora, największa dziedziczka w Europie, miała nieprzeciętną osobowość i samodzielnie władała księstwem Akwitanii, zanim wyszła za potulnego, pobożnego Ludwika, króla Francji - człowieka, który znudził ją do tego stopnia, że małżeństwo zakończyło się rozwodem. W tym momencie dziewiętnastoletni Henryk Plantagenet zaczął zabiegać o względy pięknej trzydziestoletniej Eleonory i poślubił ją, biorąc w posagu jej ziemie i stając się władcą większej części Francji niż ta, która należała do urażonego króla Ludwika.

O Eleonorze krążyły niezliczone, skandaliczne opowieści: towarzyszyła Ludwikowi w wyprawie krzyżowej z kompanią Amazonek o obnażonych piersiach, sypiała ze swoim wujem Rajmundem, księciem Antiochii, robiła to, robiła tamto...

Ale jeśli jej nowi angielscy poddani spodziewali się, że rozbawi ich kolejnymi nieobyczajnymi ekscesami, to srodze się zawiedli. Przez następnych dziesięć lat Eleonora przykładowo spełniała obowiązki królowej i żony, dając Henrykowi pięciu synów i trzy córki.

Jak się spodziewano po zdrowym królu, Henryk miał potomstwo również z innymi kobietami - który władca nie miał? - ale Eleonora jakby się tym nie przejmowała, a nawet pozwoliła, żeby Gotfryd, bastard spłodzony z prostytutką, wychowywał się na dworze z dziećmi z prawego łoża.

Szczęśliwe małżeństwo, w porównaniu z innymi.

Dopóki...

Co spowodowało zmianę? Pojawienie się Rozamundy, młodej, pięknej, najwyżej urodzonej z kobiet Henryka? Ich romans stał się legendą i tematem pieśni. Król ją wielbił, zwał *Rosa Mundi*, Różą Świata, ukrył w wieży niedaleko swojego pawilonu myśliwskiego w Woodstock i otoczył labiryntem, żeby nikt inny nie znalazł do niej drogi...

Biedna Eleonora była po pięćdziesiątce, nie mogła już rodzić dzieci. Czyżby klimakteryczna zazdrość leżała u podstaw jej wściekłości? Bo musiała być wściekła, skoro podjudziła najstarszego syna, Henryka, do buntu przeciwko ojcu. Królowe rozstawały się z życiem za mniejsze przewiny. W istocie to cud, że mąż nie kazał jej stracić, zamiast skazywać na niezbyt uciążliwe więzienie.

Wszystkie te rzeczy działy się w innym świecie. Jakikolwiek grzechy doprowadziły do uwięzienia królowej Eleonory, zostały popełnione w Akwitanii, w Anjou albo w Vexin, w jednym z tych cudzoziemskich miejsc, którymi władała rodzina królewska Plantagenetów. Większość mieszkańców Anglii nie miała pojęcia, co złego zrobiła królowa. Gylthę niewiele to obchodziło. Podobnie jak Adelię.

Z sypialni usłyszały krzyk:

- Tutaj?! Przywiozła je tutaj?! - W drzwiach stanął rozebrany do koszuli mężczyzna. Biskup Rowley... Wydawał się młodszy i chudszy niż kiedyś. Rozejrzał się i przyskoczył do koszyka na stole. - Boże! Mój Boże.

Spróbuj, pomyślała Adelia, tylko spróbuj zapytać, czyje ono jest. Ale biskup miał w oczach zachwyty i zdumienie jak córka faraona, która znalazła w trzcinach małego Mojżesza.

- To on? Boże, wygląda dokładnie jak ja.

- Ona - poprawiła Gyltha. - Ona wygląda dokładnie jak ty.

Znamienne dla kościelnych plotek, pomyślała Adelia z przekąsem.

Szybko mu donieśli, że ma dziecko, ale nie wspomnieli o płci.

- Córka. - Rowley wziął ją na ręce i podniósł wysoko. Dziecko za mrugało, budząc się ze snu, a potem zaczęło gaworzyć. - Byle głupiec może mieć syna - rzekł. - Trzeba prawdziwego mężczyzny, żeby spłodzić córkę.

Adelia właśnie za to go kochała.

- Kto jest słodką kruszynką tatusia? - mówił. - Kto ma oczka jak bławatki, ona, tak, ona, tatusine oczka. Tyci, tyci paluszki. Lubi to? Tak, lubi.

Adelia wiedziała, że ojciec Platon przypatruje się tej scenie. Chciała powiedzieć Rowleyowi, że się zdradza, taka radość nie przystoi biskupowi. Ale przypuszczalnie sekretarz był wtajemniczony we wszystkie sekrety swojego pana - poza tym i tak było za późno.

Biskup podniósł głowę.

- Będzie łyśa? Czy ten puszek na jej główce urośnie? Jak ma na imię?

- Allie - odparła Gyltha.

- Ali?

- Almeisan. - Adelia odezwała się po raz pierwszy, z niechęcią. - Mansur nadał jej imię. Almeisan to gwiazda.

- Arabskie imię.

- Czemu nie? - Była gotowa do ataku. - Arabowie nauczyli świat astronomii. To piękne imię.

- Nie mówię, że nie jest piękne. Po prostu nazwałbym ją Ariadną.

- Nie było cię tam - docięła mu zjadliwie.

Tak ją wówczas nazywał. Poznała go na tej samej drodze i w tym samym czasie, co przeora Gotfryda. Chociaż wtedy tego nie wiedzieli, działali we wspólnej sprawie. Rowley Picot podawał się za poborcę podatkowego króla Henryka, ale w rzeczywistości miał na jego rozkaz wytropić bestię, która mordowała dzieci w Cambridge i w ten sposób uszczuplała królewskie dochody. Chcąc nie chcąc, razem podążali tropem zabójcy. Adelia, niczym Ariadna, zaprowadziła go do legowiska potwora. A on, jak Tezeusz, ocalił ją przed nim.

A potem, jak Tezeusz, porzucił.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Rowley prosił, błagał, żeby go poślubiła, ale w tym czasie został przez króla powołany na urząd wymagający oddanej żony - tradycyjnej angielskiej gospodyni, nie kobiety, która ani nie chciała, ani nie mogła zrezygnować ze służenia żywym i zmarłym.

Nie mogła wybaczyć mu tego, że zrobił, co kazała: zostawił ją, odszedł, zapomniał, przyjął królewską propozycję i objął bogatą diecezję. Bodaj go Bóg pokarał. Mógł choćby napisać jej o tym.

- Zobaczyłaś ją - powiedziała. - A teraz wychodzimy.

- Wychodzimy? - zapytała Gyltha. - Nie zostaniemy na kolacji?

- Nie. - Od początku szukała obraźliwych słów i wreszcie je znalazła. - Jeśli ktoś próbował skrzywdzić tę Rozamundę Clifford, nic mi do tego.

Przeszła przez pokój i wzięła od niego dziecko. Przez chwilę stali tak blisko, że czuła zapach kadzidła z mszy, którą celebrował przed przyjściem, zapach drażniący dziecko. Jego oczy już nie były oczami Rowleya, były oczami biskupa, bardzo zmęczonymi - miał za sobą forsowną podróż z Oksfordu - i bardzo poważnymi.

- Nawet gdyby oznaczało to wojnę domową? - zapytał.

Wieprz został odesłany, żeby zapach nie uraził powonienia i uczuć religijnych mistrza Mansura, ale były inne potrawy, minogi i szczupak w auszpiku, kaczkę czterech gatunków, cielecina w galaretkę migdałowej, do tego chrupki złocisty chleb, wszystko to w ilości wystarczającej dla dwudziestu ludzi, a także - czy sprawiało to przykrość powonieniu mahometanina, czy nie - wino w pięknych szklanych czar-kach. Kiedy słudzy podali do stołu, zostali odprawieni. Ojcu Patonowi pozwolono zostać. Ze słomy pod stołem dobiegał zgrzyt psich zębów o kości.

- Kazał ją uwięzić - powiedział Rowley o swoim królu i królowej Eleonorze. - Zachęcała Młodego Króla do buntu przeciwko ojcu.

- Nigdy tego nie rozumiałam - stwierdziła Gyltha, obgryzając kacze udko. - Dlaczego Henryk kazał koronować chłopaka razem ze sobą? Stary król i młody król rządzą jednocześnie. Było do przewidzenia, że będą z tego kłopoty.

- Henryk ciężko chorował - wyjaśnił Rowley. - Chciał zapewnić pokojową sukcesję na wypadek śmierci, żeby nie powtórzyła się wojna Stefana z Matyldą.

Gyltha wzruszyła ramionami.

- My też woleliśmy tego uniknąć.

Była to dziwna kolacja. Biskup Rowley musiał wyluszczać swoją sprawę wieśniaczkę z Cambridgeshire i Arabowi, ponieważ kobieta, której potrzebował, nie chciała na niego spojrzeć. Adelia siedziała w milczeniu, nie okazując emocji, jedząc bardzo mało.

Jest inny, nic nie zostało z człowieka, którego znała. Niech go licho, jak mógł tak łatwo przestać ją kochać?

Sekretarz, lekceważony przez wszystkich, jadł z wielkim apetytem, choć ani na chwilę nie spuszczał oczu z biskupa, jakby oczekując kolejnych oznak nieprzystojnego zachowania.

Biskup wyjaśnił, jakie okoliczności sprowadziły go z Oksfordu, który należał do jego diecezji. Jutro wybiera się do Normandii. Chciał odszukać króla, żeby mu powiedzieć, zanim zrobi to ktoś inny, że Rozamunda Clifford, najukochańsza ze wszystkich nałożnic, została nakarmiona trującymi grzybami.

- Grzybami? - zapytała Gyltha. - W takim razie to mógł być wypadek. Grzyby są niebezpieczne, trzeba zachowywać ostrożność.

- To było umyślne działanie - powiedział biskup. - Wierz mi, Gyl-tho, to nie był wypadek. Poważnie się rozchorowała. Dlatego wezwali mnie do Wormhold, do łoża boleści. Nie sądzili, że wydobrzeje. Dzięki łasce Chrystusa ozdrowiała, ale król będzie chciał znać tożsamość truciciela, a ja muszę go zapewnić, że sprawą zajmuje się jego ulubiony śledczy... - pamiętał, żeby ukłonić się Mansurowi, który odwzajemnił ukłon - wraz ze swoją pomocnicą. - Skinął głową Adelii.

Była rada, że Rowley udaje przed ojcem Patonem, iż to Mansur posiada niezbędne umiejętności do przeprowadzenia dochodzenia, nie ona. Naraził się na oskarżenie o niemoralność, przyznając, że Allie jest jego córką, ale obawiał się znacznie poważniejszego oskarżenia o czary. Gyltha, bawiąc się rolą przesłuchującego, zapytała:

- Czy królowa nie mogła posłać jej grzybów? Jest skuta łańcuchami?

- Chciałbym, żeby była w tych przeklętych łańcuchach. - Przez chwilę Rowley znów był taki jak dawniej. Sekretarz otworzył szeroko oczy, widząc wściekłego, nieprzebierającego w słowach pana. - Ta diab-lica uciekła. Dwa tygodnie temu.

- Wielkie nieba!

- Otóż to. Widziano ją po raz ostatni, gdy kierowała się do Anglii. Zdaniem wszystkich, prócz mnie, miała czas na otrucie wielu kochanie Henryka.

Pochylił się nad stołem ku Adelii, machając rękami, rozlewając wino.

-Znasz go, wiesz, jaki ma temperament, widziałas go, gdy stracił panowanie nad sobą. Kocha Rozamundę, naprawdę ją kocha. Przypuśćmy, że powie, iż życzy śmierci Eleonorze, tak jak życzył śmierci Becketowi?

Nie będzie tego mówił poważnie, ale zawsze znajdzie się jakiś sukinsyn, który ją zamorduje, a potem powie, że wykonywał rozkazy króla, jak

w przypadku Becketa. Jeśli matka zostanie stracona, wszyscy synowie wystąpią przeciw ojcu. Zatarg Stefana i Matyldy będzie niczym w porównaniu z tym nowym konfliktem.

Mansur opiekuńczo położył rękę na ramieniu Gylthy. Zapadła grobowa cisza, jak gdyby słyszano już zgiełk bitwy i jęki konających.

Ojciec Paton przenosił wzrok z twarzy na twarz zaskoczony, że biskup zwraca się do asystentki, a nie do lekarza, i to z taką gwałtownością.

- Zrobiła to? - zapytała w końcu Adelia.
- Nie. - Rowley wytarł serwetką tłuszcz z rękawa i ponownie napełnił miskę.
- Jesteś pewien?
- Znam Eleonorę.

Doprawdy? Niewątpliwie królowa i biskup darzyli się pełnym czułości szacunkiem. Po śmierci pierworodnego syna, który zmarł w wieku trzech lat, Eleonora chciała, by zawieziono mieczyk synka do Jerozolimy, żeby mały William mógł zostać uznany za świętego krzyżowca. To Rowley odbył niebezpieczną podróż i złożył miecz na ołtarzu, zasłużony na wdzięczność Eleonory.

Ale, jak wszystkie inne sprawy w królestwie, tę też zaaranżował król Henryk. To Henryk wydał rozkazy Rowleyowi, to Henryk otrzymywał od niego informacje na temat sytuacji w Ziemi Świętej. Tak, Rowley Picot był bardziej agentem króla niż powiernikiem królowej.

Biskup dodał:

- Wydrapałaby jej oczy... ale nie użyłaby trucizny. To nie w jej stylu.

Adelia pokiwała głową. Powiedziała po arabsku:

- Wciąż nie rozumiem, czego chcesz ode mnie, jestem medykiem umarłych...
- Masz logiczny umysł - odparł biskup w tym samym języku. -Widzisz rzeczy, jakich nie widzą inni. Kto zeszłego roku ocalił Żydów przed oskarżeniem o mordowanie dzieci? Kto znalazł prawdziwego zabójcę?
- Miałam pomoc. - Zaczego Szymona z Neapolu, prawdziwego śledczego, który w tym celu przybył z nią z Salerno i z tego powodu zginął.

Mansur, co było dla niego niezwykle, wskazał Adelię i wtrącił:

- Nie wolno ponownie narażać jej na niebezpieczeństwo. Tylko wola Allacha ją ocaliła, gdy zeszłym razem wpadła w pułapkę.

Adelia uśmiechnęła się do niego czule. Niech przypisuje ocalenie Allahowi, jeśli chce. W rzeczywistości przeżyła w kryjówce zabójcy dzieci tylko dlatego, że pies w porę sprowadził Rowleya. Ani on, ani Bóg, ani

Allach nie mógł ochronić ją przed wspomnieniami koszmaru, który widziała tak wyraźnie, jakby wszystko działo się teraz - często z udziałem małej Allie.

- Nie grozi jej niebezpieczeństwo - zapewnił biskup żywo. – Ta sprawa jest zupełnie inna. Nie doszło do morderstwa, skończyło się na nieudanej próbie. Ktokolwiek dopuścił się zamachu, już dawno uciekł. Ale czy nie rozumiesz... - Kolejna czarka się przewróciła, gdy trzasnęła pięścią w stół. - Nie rozumiecie, że wszyscy uwierzą, iż to Eleonora jest trucicielką, bo nienawidzi Rozamundy? Czy nie taki był wniosek Gylthy? Czy nie tak pomyśli świat? - Oderwał oczy od Mansura i zwrócił je na siedzącą naprzeciwko Adelię. - Na Boga, pomóż mi.

Gyltha ruchem brody wskazała drzwi i łokciem trąciła Mansura, który skinął głową, wstał i wyprowadził opierającego się ojca Patona.

Rowley i Adelia nawet tego nie spostrzegli. Biskup wpatrywał się w Adelię, a ona wbijała wzrok w splecione dłonie.

Nie porzucił mnie, myślał, że to ja odrzuciłam propozycję małżeństwa. Nie spokaliśmy się tylko przez mój upór. Obwinianie go za to, że dotrzymał umowy, jest nielogiczne.

Ale, bodaj go szlag, powinien coś zrobić przez te wszystkie miesiące, przynajmniej uznać dziecko.

- Jak dogadujesz się z Bogiem? - zapytała.
- Służę Mu, jak mogę najlepiej. - Usłyszała rozbawienie w jego głosie.
- Dobre uczynki?
- Czasami.

Pomyślała: Oboje wiemy, że poświęciłbyś Boga i Jego dzieła, mnie i swoją córkę, nas wszystkich, gdybyś w ten sposób mógł przysłużyć się Henrykowi Plantagenetowi.

- Przepraszam, Adelio - rzekł cicho. - Nie złamałbym umowy, żeby spotkać się z tobą z błahego powodu.

- Jeśli Eleonora okaże się winna, nie skłamię. Powiem prawdę.
- Hura! - Teraz był dawnym Rowleyem, pełnym energii, z donośnym głosem, od którego drżało wino w dzbanie. Przez chwilę znów był jej zazdrosnym kochankiem.
- Nie mogłabyś się oprzeć, prawda? Zabierzesz z sobą dziecko? Tak, oczywiście, nadal karmisz piersią, dziwnie jest myśleć o tobie w tej roli.

Wstał i otworzył drzwi, żeby zawołać Patona.

- Mam w torbie koszyk grzybów, znajdź go i przynieś. - Z szerokim uśmiechem zwrócił się do Adelii: - Pomyślałem, że chciałabyś zobaczyć dowody.

- Ty szatanie - mruknęła.
- Ten szatan ocali króla i kraj albo zginie marnie.
- I przy okazji zabije mnie. Wzruszył ramionami.

- Będiesz w miarę bezpieczna, ciebie nikt nie otruje. Będiesz miała Gylthę i Mansura... Boże, zlituj się nad tym, kto cię tknie, gdy będą w pobliżu... a nadto posyłam sługi. Zakładam, że ta psia szkarada też z tobajedzie?

- Tak. Jego imię to Strażnik.

- Przeor ci go dał, żeby troszczył się o twoje bezpieczeństwo? Pamiętam Stróża.

Psa, który zginął, ratując jej życie. Pojawiły się bolesne wspomnienia i niebezpieczne poczucie wspólnoty.

- Moim psem jest Paton - podjął lekkim tonem. - Strzeże mojej czystości niczym pas cnoty. A propos, zobaczysz labirynt Pięknej Rozamun-dy, największy w świecie chrześcijańskim. I uprzedzam, Piękna Roza-munda nie jest taka, jak się spodziewasz. W rzeczywistości...

- Jest zagrożona? - przerwała mu.

- Rozamunda?

- Twoja cnota.

- Dziwne, ale nie. Myślałem, kiedy mnie odprawiłaś... Ale Bóg łaskawie odwrócił wiatr od ostrzyżonego jagnięcia.

- Henryk potrzebował uległego biskupa.

- A świat lekarza, nie kolejnej żony - powiedział. - Modliłem się, żeby to zrozumieć. Małżeństwo by cię zniszczyło.

Tak, tak. Gdyby zgodziła się na małżeństwo, nie przyjąłby biskupstwa, które król dawał mu ze względów politycznych, ale w jej przypadku w grę wchodziło coś ważniejszego - powołanie. Musiałyby się go wyrzec, bo Rowley chciał mieć żonę, nie medyka, zwłaszcza nie medyka umarłych. Żadne z nich nie chciało poświęcić się dla drugiej osoby.

Biskup wstał i podszedł do dziecka, kciukiem nakreślił znak krzyża na jego czo-
le.

- Błogosławię cię, moja córko. - Odwrócił się. - Ciebie też błogo
sławię, pani. Niech Bóg strzeże was obie i oby pokój Jezusa Chrystusa
przeważył nad chaosem Jeźdźców Apokalipsy. - Westchnął. - Słyszę bo
wiem tętent ich kopyt.

Ojciec Paton wszedł z koszem i podał go księdzu biskupowi, który gestem kazał
mu wyjść.

Adelia wciąż wpatrywała się w Rowleya. Wśród przepychu tego pokoju, do-
świadczając zamętu, gdy napływały i odpływały cienie prze-

szłości, wyczuła atmosferę świętości. Czegoś takiego nigdy by się nie spodziewała. Jej kochanek stał się sługą bożym.

Przesiadł się na krzesło obok, żeby podać jej szczegóły zamachu na życie Rozamundy, i postawił przed nią koszyk, aby mogła obejrzeć jego zawartość. W dawnych czasach nie mógłby usiedzieć przy niej bez dotykania jej, teraz miała wrażenie, że siedzi obok pustelnika.

Rozamunda uwielbiała duszone grzyby, co było powszechnie wiadome. Leniwa sługa, zbierając grzyby dla pani, dostała ich trochę od nieznanym kobiecie, staruchy, i zaniósła je do wieży.

- Rozamunda nie zjadła wszystkich grzybów, część została na później, i gdy u niej byłem, zabrałem je ze sobą. Pomyślałem, że może zdołasz określić, skąd pochodzą. Znasz się na grzybach, prawda?

Tak, znała się na grzybach. Teraz kolejno odwracała je nożem.

Były to piękne okazy, choć przywidłe: borowiki, koźlarze, maślaki. Jedne rosły wyłącznie na podłożu kredowym, drugie pod sosnami, niektóre na polu, inne w liściastym lesie.

Osoba, która je zebrała, szeroko zarzuciła sieć, uniemożliwiając określenie miejsca ich pochodzenia.

- Jak powiedziałem, to była rozmyślna próba otrucia - rzekł biskup. - Wiedźma dołożyła wszelkich starań. Od tamtej pory nikt jej nie widział. Rozpłynęła się w powietrzu. Widzisz, pomiędzy grzyby jadalne włożyła parę trujących, licząc, że uśmiercą biedną niewiastę, i tylko za sprawą łaski boskiej...

- Ona nie żyje, Rowley - przerwała mu Adelia.

- Co?

- Jeśli Rozamunda skosztowała takich grzybów, to już nie żyje.

- Nie, mówiłem ci, ozdrowiała. Miała się znacznie lepiej, gdy od niej odchodziłem.

- Wiem. - Adelię nagle ogarnęło współczucie dla niego. - Ale obawiam się, że już nie żyje. - Nadziała trujący grzyb na nóż i wyjęła z kosza. - Ten, kto go zje, na chwilę czuje się lepiej, a potem umiera.

Na pozór niewinny, z białymi blaszkami i zbrązowiałym kapeluszem, wciąż miał całkiem przyjemny zapach.

- Zwany jest sromotnikiem, rośnie wszędzie, widywałam go w Italii, na Sycylii, we Francji, tutaj w Anglii. Widziałam jego ofiary, a było ich bardzo dużo. Zabija, zawsze zabija.

- Nie. To niemożliwe.

- Niestety, jeśli Rozamunda zjadła jeden z nich, choćby kawałeczek... Z początku mdłości i biegunka, ból brzucha, potem dzień, może

dwa dni poprawy. Ale trucizna przez cały czas atakuje wątrobę i nerki. Nie ma żadnego lekarstwa, Rowley. Obawiam się, że już po niej.

Rozdział 3

W zaistniałej sytuacji biskup nie popłynął z Anglii do Normandii, żeby uspokoić króla. Ukochana Henryka zmarła i on sam pędził teraz do Anglii na skrzydłach wiatru, jak demon, żeby palić i mścić - może w gniewie zabić własną żonę, jeśli zdoła ją znaleźć. Dlatego biskup też wyruszył w drogę, o świcie, niczym drugi demon spuszczonej z uwięzi, żeby wyprzedzić króla, odnaleźć królową i skłonić ją do ucieczki, wskazać prawdziwego winowajcę i móc powiedzieć: panie, wstrzymaj dłoń, kto inny jest zabójcą Rozamundy.

Aby uniknąć Armagedonu.

Biskupowi towarzyszyli tylko ci, których potrzebował, żałosna garstka w porównaniu ze zwyczajną świtą: dwóch zbrojnych, masztalerz, sekretarz i posłaniec, do tego powóz, wierzchowce i luzaki. Również arabski medyk, pies, dwie kobiety i dziecko - do diabła z nimi, jeśli nie nadążą.

Nadażali. Ledwo ledwo. Ich powóz był wspaniale rzeźbiony, chroniony przed niepogodą fioletową woskowaną tkaniną, wymoszczony sianem, zarzuconym fioletowymi poduszkami, ale niezbyt szybki. Po trzech godzinach jazdy Gyltha powiedziała, że jeśli posiedzi w tym pudle jeszcze dłużej, straci zęby od wstrząsów, a biedne dziecię utraci zmysły.

Przesiadły się więc na konie. Mała Allie skuliła się w wyściełanym koszu jak w kokonie, pies Strażnik został zapakowany do drugiego kosza, mniej wygodnego. Zmiany dokonano szybko, żeby dotrzymać kroku biskupowi, który nie chciał czekać.

Posłaniec Jacques pojechał przodem, żeby przygotować na nocleg pałac biskupi w St. Albans, a nazajutrz popędził do Barleycorn. W miarę jazdy na zachód robiło się coraz zimniej, jak gdyby nadciągający Henryk Plantagenet mroził im karki lodowatym oddechem.

Zanim dotarli do Barleycorn, zaczął padać śnieg. Skręcili na Trakt Icknield, gdzie szpalery drzew i kredowe podłoże ułatwiały jazdę. W górach nie było gospód, a biskup nie chciał tracić czasu na poszukiwanie ich w dole.

- Rozbijemy obóz - oznajmił.

Wreszcie się zatrzymali. Gdy Adelia chciała zsiąść z konia, ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Popatrzyła niespokojnie na Gylthę, która też miała problemy.

- Żyjesz? - Choć kobieta z mokradeł była twarda jak niewygarbowana skóra, miała już wnuki i zasługiwała na lepsze traktowanie.

- Mam otarcia w miejscu, o którym nie godzi się mówić.

- Ja także.

W znacznie gorszym stanie był ojciec Paton, który jęcząc, przez większą część drogi wyrzucał z siebie całe śniadanie, jakie spożył w St. Albans.

- Nie powinieneś się tak obżerać - napomniała go Gyltha.

Natomiast mała Allie zniosła podróż bez szwanku. Opatulona w kośzu zdawała się wręcz zadowolona z tego, co się działo.

Kobiety zabrały ją z sobą, gdy przesiadły się na wóz, żeby opatrzyć rany balsamami z apteczki Adelii.

- Nie dam ich ojcu Szczurkowi - powiedziała Gyltha mściwie, mając na myśli Patona. Nie cierpiała go.

- A Mansur? Też nie przywykł do takiej jazdy.

- Niezdara... - Gyltha podziwiała Araba, że nie wydał z siebie ani słowa skargi.

Mansur był prawdziwym stoikiem. Sprzedany w dzieciństwie bizantyńskim mnichom, którzy dzięki kastracji utrwalili piękno jego głosu, nauczył się, że wszelkie skargi są daremne.

Przez te lata, odkąd znalazł schronienie u przybranych rodziców Adelii, stając się jej strażnikiem i przyjacielem, nigdy nie słyszała od niego żadnych utyskiwań. Tutaj, wśród obcych, w ogóle niewiele mówił. Anglicy uważali sam jego arabski strój za wystarczająco dziwaczny i wolał nie podkreślać tego piskliwym głosem, płynącym z gardła wielkiego, groźnego mężczyzny.

Oswald i Aelwyn - zbrojni i Walt - masztalerz, czuli się nieswojo w jego towarzystwie, najwyraźniej przypisując mu tajemne moce. Adelię całkowicie lekceważyli, gdy Rowley tego nie widział. Z czasem ich grubiaństwa stały się zbyt oczywiste, żeby je bagatelizować. Gdy w pobliżu nie było biskupa ani Mansura, nikt nie pomógł jej dosiąść konia, a gdy musiała pójść między drzewa za potrzebą, towarzyszyły jej obraźliwe gwizdy. Parę razy usłyszała skomlenie, jakby ktoś kopnął Strażnika.

Ani ona, ani Gyltha nie dostały damskich siodeł, choć Rowley je zamówił. W pośpiechu jakoś o nich zapomniano, musiały więc jechać okrakiem, co było niestosowne dla damy, choć Adelia była zadowolona, bo uważała jazdę bokiem za szkodliwą dla kręgosłupa.

Mimo wszystko było to najwyraźniej zamierzone zaniedbanie.

Ci kościelni słudzy mieli ją za ladacnicę, dziewczkę biskupa albo Sa-racena, a może obu. Dla nich forsowna jazda podczas paskudnej pogody na pogrzeb kochanicy króla była aż nadto irytująca bez wleczenia z sobą tej kobiety.

- Po co nam ona?
- Bóg jeden wie. Powiadają, że to mądra głowa.
- Prędzej chętna pipka. Czy to bękart księdza biskupa?
- Może być każdego.

Dookoła słyszała podobne rozmowy.

Nie wyjdzie to na dobre Rowleyowi. Został mianowany przez Henryka II wbrew woli Kościoła, który chciał mieć w St. Albans swojego człowieka i wciąż szukał powodu, żeby zdjąć z urzędu kandydata króla. Informacja, że jest ojcem tego dziecka, dałaby wrogom oręż do ręki.

Niech diabli wezmą Kościół. Niech go diabli za narzucenie celibatu swoim ludziom. Niech go diabli za hipokryzję - świat chrześcijański był pełen księży nurzających się w różnorodnych grzechach. Ilu zostało potępionych?

I niech go diabli go za nienawiść do kobiet - terroryzowanie połowy mieszkańców świata i piętnowanie jako ladacnic, heretyczek i czarownic tych, które nie dały się zamknąć w owczarni.

Pomyślała o ludziach biskupa. Jesteście tacy niewinni? Czy wszyscy pochodzicie ze związku małżeńskiego? Który z was zabawiał się z niewiastą, zamiast ją poślubić?

I niech diabli wezmą biskupa Rowleya za to, że postawił ją w tej sytuacji.

Ojciec Paton unikał jej przekleństw. Choć odstręczający, przynajmniej traktował ją jak każdego innego, kto naraża biskupa na niepotrzebne wydatki.

Posłaniec Jacques, nieokrzesany, nieco nadgorliwy młody człowiek, wydawał się bardziej życzliwy niż pozostali, ale biskup co rusz wyprawiał go z kolejnymi wiadomościami, więc nieczęsto go widywała.

Niezauważalnie Trakt Ickniel przeszedł w Ridgeway. Tęgi mróz wysysał siły z ludzi i koni, ale na szczęście zbliżali się do Tamizy i opactwa Godstow na jednej z wysp.

Jacques dołączył do kompanii, wyłaniając się z lasu jak biały niedźwiedź. Otrząsnął się ze śniegu, skłonił się przed Rowleyem.

-Przeorysza matka Edyve śle księdzu biskupowi pozdrowienia i wyraża radość z możliwości udzielenia gościny jemu i towarzyszącym

mu ludziom. Mam także przekazać, że się spodziewa, iż ciało Rozamundy trafi dziś drogą wodną do konwentu.

- A więc nie żyje — rzekł Rowley z westchnieniem.

- Tak mniemam, panie, bo mniszki chcą ją pogrzebać. Biskup spiorunował go wzrokiem.

- Wracaj. Powiedz, że przybędziemy wieczorem i że wiodę saraceńskiego medyka, który zbada zwłoki pani Rozamundy i osądzi, jak zmarła. - Od wrócił się w stronę Adelii i zapytał po łacinie: - Obejrzysz ciało, prawda?

- Tak. - Nie była jednak pewna, czy zdoła się czegoś dowiedzieć.

Posłaniec wziął chleb, ser i flaszkę piwa do sakwy. I już wybierał się w dalszą drogę.

- Nie powinieneś odpocząć? - zapytała Adelia.

- Nie martw się o mnie, pani. Śpię w siodle.

Żałowała, że tego nie potrafi. Jazda wyzuwała ją z sił. Ojciec Paton dał im peleryny z pośledniego gatunku wełny i wszyscy troje zamarzliby w siodłach, gdyby nie grube bobrowe futra, które z sobą zabrali. Na mokradłach nie brakowało bobrów i futra były darem od wdzięcznego wnykarza, którego Adelia pielęgnowała w czasie zapalenia płuc.

Tego popołudnia zjechali z wyżyn do wioski Thame, na trakt wiodący do Oksfordu. Ściemniało się, wciąż padał śnieg, ale biskup powiedział:

- Już niedaleko. Pojedziemy z latarniami.

To była straszna jazda, konie ledwo powłóczyły nogami. Musieli założyć im opaski z frędzlami, zwykle chroniące oczy przed muchami, żeby nie oślepiły ich wirujące płatki, które oblepiały rzęsy.

Sięgali wzrokiem nie dalej niż na jard. Gdyby droga nie biegła pomiędzy żywopłotami, zgubiliby ją i zginęli w szczerym polu lub w rzece. Kiedy żywopłoty urwały się na rozstajach, Rowley musiał zarządzić postój na poszukiwanie właściwej drogi. Rozesłał ludzi, którzy nawoływali się przez cały czas. Poblądzenie na mrozie kosztowałoby ich życie.

Adelia i Gyltha musiały przesiąść się na wóz, gdzie już się schronił ojciec Paton, tłumacząc, że gdyby został na zimnie, straciłby władzę w ręce i nie mógłby pisać.

Kobiety zawiesiły latarnię na kabłąku wozu i spiętrzyły siano, szykując posłanie. Położyły Allie pomiędzy sobą, żeby ogrzać ją własnym ciałem. Igły zimna wciśkały się przez dziurki w miejscach, gdzie baldachim przywiązany był do kabłąków. Siarczysty mróz tłumiał zapach siana, a nawet zapach psa skulonego u ich stóp.

Jechali w spacerowym tempie - Mansur prowadził konie - ale niewidoczne pod śniegiem głębokie wyboje sprawiały, że wóz podskakiwał,

uniemożliwiając wypoczynek. Poza tym strach o tych, którzy przebywali na zewnątrz, nie pozwalał im zasnąć.

- Nie zatrzyma się, prawda? - powiedziała Gyltha z podziwem, myśląc o Rowleyu.

- Nie. - Ten człowiek ścigał mordercę przez zamorskie pustynie, angielska śnieżycy go nie pokona. Ale wtedy był młodszy. - Nie martw się o niego. On nie okazuje troski... - Wóz podskoczył i Adelia musiała prawą ręką chwycić się rozporcki, a lewą przytrzymać dziecko. Latarnia zatoczyła szeroki łuk i Gyltha wstała szybko, żeby zdmuchnąć świecę, od której mógł zapalić się baldachim. - Troski o nas.

Słyszały, jak w ciemności ojciec Paton się modli, podczas gdy na zewnątrz piśkliwe arabskie przekleństwa spadały jak grad na konie, które nie chciały ciągnąć. Modlitwy albo klątwy wreszcie poskutkowały, bo po kilku szarpnięciach wóz ruszył dalej.

- Widzisz - ozwała się Gyltha, jakby podejmując przerwana rozmowę - Rowley pamięta wojnę pomiędzy Matyldą i Stefanem. Jest młodszy ode mnie, ale urodził się podczas wojny. Król Stefan zmarł naturalną śmiercią w swoim łóżku. A królowa Matylda wciąż rośnie w siłę. Ich wojna dla nas, ludzi z gminu, była straszna. Przestały obowiązywać prawa, wszystko przepadło. Mój ojciec pewnego dnia został zabrany z pola do budowy zamku dla Hugh Bigoda. Nie wrócił. Minęły trzy lata, zanim usłyszeliśmy, że zmiażdżył go kamień. Bez niego omal nie pomarliśmy z głodu.

Adelia usłyszała ciężkie westchnienie.

- Straciliśmy naszą Em - podjęła Gyltha. - Była starsza ode mnie, miała jedenaście lat. Przyszło kilku najemników. Mama ze mną i z moimi braćmi zdażyła ukryć się na mokradłach, ale złapali Em. Krzyczała, jak ją zabierali, do dziś słyszę jej krzyk. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co zaszło, ale była kolejną osobą, która nie wróciła.

Adelia słyszała wcześniej opowieści Gylthy o wojnie trzynastoletniej, ale nigdy nie były to takie osobiste wynurzenia. Starsza kobieta wywoływała widma, które wciąż zadawały jej ból. Ustrój feudalny mógł być ciężki dla chłopów, ale przynajmniej zapewniał im ochronę. Adelia, która miała w dzieciństwie zapewnione bezpieczeństwo i przywileje, dowiadywała się teraz, co się działo, gdy runął dawny porządek.

- Modlenie się do Boga nic nie pomagało. Nie słuchał.

Mężczyźni dawali upust najdzikszym rządcom. Wioskowi młokosi,

dość przywoici, gdy mieli nad sobą silną rękę, przemienili się w złodziei i gwałcicieli, korzystając z ogólnego zamieszania.

- Wiele złego można powiedzieć o Henryku Plantagenecie, ale gdy został królem, wszystko to się skończyło. Wrócił spokój, odzyskaliśmy grunt pod nogami. Pola zieleńły się jak dawniej, słońce wchodziło rano i zachodziło wieczorem, jak być powinno.

- Rozumiem - powiedziała Adelia.

- Nie, nie możesz tego rozumieć. Ale Rowley rozumie. Jego matka i ojciec pochodzili z gminu i przeżyli to samo, co ja. Przeniesie góry, żeby nie dopuścić do wojny. Postara się, żeby mój Ulf, niech go Bóg błogosławi, mógł chodzić do szkoły z pełnym brzuchem, którego nikt nie rozetnie. Przejazdźka na mrozie? Parę płatków śniegu? Czy to ma jakieś znaczenie?

- Myślałam tylko o sobie, prawda? - zapytała Adelia.

- I o dziecku - dodała Gyltha, klepiąc ją po ramieniu. - Ale także o księdzu biskupie, jak sądzę. Ja pójdę za nim choćby w ogień i pomogę mu z przyjemnością.

Ukazała ich przedsięwzięcie w takim świetle, że Adelia się zawstydziała. Jeśli biskup miał rację i mogli zapobiec wojnie domowej, także ona musi dać z siebie wszystko.

I jestem z tego powodu szczęśliwa, pomyślała z grymasem. Ulf jest bezpieczny w szkole, mam przy sobie Gylthę, Mansura i moje dziecko. Jestem szczęśliwa, że biskup Rowley pojednał się z Bogiem, który pozbawił go chuci. Czego więcej mam pragnąć?

Zamknęła oczy i postanowiła zachować cierpliwość.

Zbudził ją kolejny podskok wozu. Zatrzymali się. Ktoś podniósł płótno, wpuszczając do wozu podmuch straszliwego zimna. Adelia zobaczyła zsiniałą, oszronioną twarz. Rozpoznała posłańca. Dopędzili go.

- Jesteśmy na miejscu?

- Prawie, pani. - Głos Jacques'a zdradzał podniecenie. - Ksiądz biskup pyta, czy przyjdiesz popatrzeć.

Śnieg przestał padać. Księżyc świecił na niebie usianym gwiazdami, posrebrzając pięknie krajobraz. Biskup i jego świta stali z Mansurem u wejścia na wąski, garbaty most z kamienia, całkowicie pokryty śniegiem. Szum wody spadającej z wysoka po lewej stronie świadczył o tym, że znajduje się tam grobla albo młyn; po prawej lśniła gładka rzeka. Drzewa stały jak biali strażnicy.

Gdy Adelia podeszła, Rowley wskazał za nią. Obejrzała się i zobaczyła kilka przygarbionych chałup.

- Wioska Wolvercote - powiedział. Obrócił ją, żeby spojrziała za most. A to opactwo Godstow. - Pomiędzy budynkami widać było światło, choć wszystkie okna po tej stronie były ciemne.

Na środku mostu zobaczyła osiodłanego konia, który stał ze zwieszoną głową, zginając jedną nogę. Masztalerz Walt klepał go po karku i wołał przenikliwym, płaczącym głosem:

- Kto to zrobił? To dobry koń, kto mu to zrobił? - Był bardziej przejęty koniem niż martwym człowiekiem, który leżał twarzą w dół na śniegu.

- Rozbój i morderstwo na królewskim trakcie - rzekł Rowley cicho, a para jego oddechu wiła się jak dym. - Zapewne zdarzenie niemające niczego wspólnego z naszą misją, ale przyjrzyj się, trupy to twoja specjalność.

Zatrzymał wszystkich innych, jak go nauczyła. Tylko ślady stóp masztalerza i jego własne prowadziły na zasypany śniegiem most i tylko jego własne wracały.

- Musiałem sprawdzić, czy żyje - wyjaśnił. - Weź z sobą Mansura na oględziny. - Podniósł głos. - Pan Mansur umie czytać ślady zostawione na ziemi. Słabo mówi po angielsku, więc pani Adelia będzie tłumaczyć.

Adelia przez chwilę stała z Mansurem u boku.

- Wiesz, która godzina? - zapytała po arabsku.

- Słuchaj.

Rozwinęła ciepły szal, którym okrywała głowę. Z drugiej strony mostu poprzez szum pędzącej wody dolatywał daleki, samotny kobiecy głos. Gdy umilkł, odpowiedział mu chór innych głosów.

Usłyszała dźwięk dzwonu. Mniszki w Godstow wstały z łóżek i śpiewały jutrznię. Czwarta nad ranem.

- Czy posłaniec nie był tu wcześniej? Może coś widział? - zapytał Mansur.

- Kiedy tędy przejeżdżałeś, Jacques? Medyk chce wiedzieć.

- Za dnia, pani. Tego biedaka tu nie było. - Młody człowiek nie krył bólu i zdenerwowania. - Przekazałem świętym siostrą wiadomość od księdza biskupa i wróciłem przez most, żeby do was dołączyć. Byłem z wami, zanim wzeszedł księżyc, prawda, panie?

Rowley skinął głową.

- Kiedy przestał padać śnieg? - Ze swojego miejsca Adelia widziała, że na zwłokach leży ledwie parę płatków.

- Trzy godziny temu.

- Zostańcie tutaj.

Mansur zabrał latarnię, oboje podeszli do ciała i uklękli.

- Oby Allach był dla niego miłosierny - rzekł Mansur.

Jak nauczył ją przybrany ojciec, Adelia modliła się przez chwilę do ducha zmarłego, który był teraz jej pacjentem. - Pozwól, aby twoje ciało i kości powiedziały mi to, czego twój głos nie może wyjawić.

Leżał twarzą w dół, zbyt porządnie jak na kogoś, kto spadł z konia. Nogi miał wyprostowane, ręce wyciągnięte nad głowę, pośladki okryte peleryną i kaftanem. Jego czapka, podobnie jak ubranie, uszyta z porządnego, choć trochę podniszczonego wełnianego materiału, leżała dalej, ze złamanym zawadiackim bażancim piórem.

Adelia skinęła na Mansura. Ostrożnie odsunął faliste brązowe włosy z karku, żeby dotknąć skóry. Pokręcił głową. Oglądał z Adelia tyłu nieboszczyków, że wiedział, iż nie można określić czasu zgonu. Ciało było zamarznęte - zaczęło zamarzać w chwili, gdy życie je opuściło, co opóźniło naturalne procesy.

- Hm.

Umiejętnie wspólnymi siłami odwrócili trupa. Na wpół przymknięte oczy patrzyły obojętnie w niebo. Mansur opuścił zamarznęte powieki.

Był to młody człowiek; dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Masywna strzała tkwiąca w piersi została wystrzelona z kuszy, a podczas upadku ułamały się jej lotki. Mansur przysunął latarnię, żeby Adelia mogła obejrzeć ranę. Wokół niej widniała krew, ale na śniegu zobaczyli tylko parę ciemnych plam.

Adelia przesunęła rękę Mansura, żeby światło padło na szyję trupa.

- Hm.

Pochwa z mieczem wciąż wisiała u pasa na zmatowiałej klamrze z herbem. Ten sam herb był wyhaftowany na rozsznurowanej, pustej sakiewce.

- Chodź, medyku. Zabierzemy go do klasztoru, tam będziesz mógł się nim zająć - usłyszeli głos Rowleya.

- Bądź cicho - powiedziała Adelia po arabsku. Poganiał ją przez całą drogę z Cambridge, teraz mógł chwilę poczekać. Coś tutaj było nie w porządku, może dlatego Rowley ją zawołał, podświadomie dostrzegając jakąś nieprawidłowość, podczas gdy jego myśli skupiały się na zupełnie innym morderstwie.

Walt poprosił z bólem w głosie:

- Ta biedna szkapa cierpi, panie. Trzeba ją dobić. Adelia wstała i podeszła do masztalerza.

- O co chodzi?

- Jakaś bezbożna świnią podcięła mu ścięgno w pęcinie. - Walt wskazał ranę na końskiej nodze. - Widzisz? Rozmyślne okaleczenie.

Tutaj śnieg mocno przyczeraiła krew i było widać, że zwierzę się rzuciło, zanim zdołało stanąć na trzech zdrowych nogach.

- Można go uleczyć? - O koniach wiedziała tylko tyle, gdzie mają głowę, a gdzie ogon.

- Ma podciętą pęcinę. - Głupie pytania tej kobiety podsyciły złość Waltera.

Adelia wróciła do Mansura.

- Trzeba dobić konia.

- Nie tutaj - odparł. - Jego trup zatarasuje most. - A mosty były ważne. Gdy ludzie odpowiedzialni za ich utrzymanie nie wywiązywali się z obowiązku i zaniedbywali je, co odbijało się niekorzystnie na miejscowej gospodarce, spotykała ich surowa kara.

- Do diabła, co zamierzacie? - Rowley podszedł do nich.

- Coś jest tutaj nie w porządku - orzekła Adelia.

- Tak, ktoś obrabował i zabił tego biedaka. Widzę. Załadujmy go na wóz i w drogę.

- Nie, chodzi o coś więcej.

- Co?

- Daj mi trochę czasu! - krzyknęła do niego, a potem, uświadamiając sobie swój błąd, dodała: - Medyk potrzebuje czasu.

Biskup wydał policzki.

- Boże, po co cię tu sprowadziłem? Dobrze, zajmijmy się przynajmniej koniem.

Adelia ominęła Walta i okulawione zwierzę, przechodząc przez most. Mansur szedł obok niej, oświetlając drogę.

Na śniegu widać było ślady butów i odciski kopyt, zbyt splątane, żeby je odróżnić. W miejscu, gdzie most łączył się z drogą, niedaleko wielkiej bramy klasztoru, panował duży ruch.

Mansur wyciągnął rękę, coś wskazując.

- Dobra robota, mój drogi - pochwaliła. W cieniu konarów dębu, które zwieszały się nad murem konwentu, wyraźne ślady prowadziły do innych, pisząc historię dla tych, którzy umieli ją odczytać. - Hm. Interesujące.

Za jej plecami biskup i masztalerz uspokajali kuśtykającego konia, zastanawiając się, gdzie go dobić. Czy zakonnice będą chciały mięso? Konina jest smaczna, ale oprawianie to uciążliwa sprawa przy takiej pogodzie. Lepiej poderżnąć mu gardło w lesie, przy załomie klasztornej muru.

- Mogą zabrać go później, jeśli będą chciały.

- Wątpię, czy wiele z niego zostanie, panie. - Nie tylko ludzie cenią sobie koninę.

Walt zdjął uzdę i siodło, do którego przytroczony był rulon owinięty w nasączone olejem płótno.

- Dobry konik, dobry... - przemawiając łagodnie, poprowadził konia w stronę drzew.

- Czy możemy ukryć tam również ciało? - zapytała Adelia.

- Jeśli to zrobimy, niewiele z niego zostanie - odparł Mansur. Rowley dołączył do nich.

- Pospieszcie się. Za chwilę zamienimy się w sople.

Adelia, która drżała z zimna przez całą drogę z Cambridge, teraz już nie czuła chłodu.

- Nie chcę, żeby je znaleziono. Biskup tracił cierpliwość.

- Już zostało znalezione. Myje znaleźliśmy.

- Zabójca nie powinien się o tym dowiedzieć. Rowley odchrząknął.

- Przecież on wie, Adelio. Strzelił chłopakowi prosto w pierś. Nie wróci, żeby się upewnić.

- Owszem, wróci. Sam byś to zobaczył, gdyby ci się tak nie śpieszyło. - Trąciła łokciem Mansura. - Mów tak, jakbyś dawał instrukcje.

Mansur po arabsku zaczął mówić o ich odkryciach, a Adelia udawała, że tłumaczy. W ten sposób opowiedzieli historię zabójstwa wyczytaną ze śladów na śniegu.

- Nie jesteśmy pewni, kiedy to się stało. Wiemy tylko, że po tym, jak przestał padać śnieg. Na tyle późno w nocy, że nikogo nie było w pobliżu. Czekali na niego tutaj, niedaleko bramy.

- Oni?

- Dwaj mężczyźni. - Zaprowadzili Rowleya w okolice dębu. Ślady były ledwo widoczne na śniegu. - Widzisz? Jeden nosił buty nabijane ćwiekami, a poprzeczne pręgi na podeszwach drugiego wskazują być może na chodaki przywiązane paskami. Przybyli tutaj wierzchem i zostawili konie w lesie, gdzie poszedł Walt. Wrócili pieszo i stanęli tutaj. Jedli, gdy na niego czekali. - Adelia podniosła okruszek z ziemi, potem drugi. - Ser. - Podsunęła je pod nos biskupa.

Wzdrygnął się.

- Skoro tak mówisz, pani.

Po zakończeniu jutrzni w konwencie zapadła cisza. Z lasu dobiegła modlitwa Walta:

- I niech Bóg się zmiłuje nad twoją biedną duszą, jeśli ją masz.
Usłyszeli przeraźliwy kwik koński, łoskot upadającego ciała. Zapadła cisza.

Przyszedł Walt, jedną ręką wycierając sztylet w pelerynę, a grzbietem drugiej oczy.

- Po kroć set, nie cierpię tego robić.

Biskup poklepał go po ramieniu i odesłał do pozostałych na drugą stronę mostu. Powiedział do Adelii i Mansura:

- Zatem wiedzieli, że nadjedzie?

- Tak. Czekali na niego. - Nawet najbardziej zdesperowany rabuś nie włóczy się w taką lodowatą noc, licząc na złupienie przypadkowego podróżnego.

Mordercy musieli być zadowoleni, że śnieżycy ustała, nie wiedzieli, że Wezuwiusza Adelia Rachelia Ortese Aguilar, *Medica* ze słynnej Szkoły Medycyny w Salerno, ekspert w sprawach śmierci i jej przyczyn, przypadkiem znajdzie się tutaj i odczyta dowody winy zostawione przez nich na śniegu.

Marzli, czekając, i dla rozgrzewki tupali nogami. Adelia w wyobraźni czekała wraz z nimi, skubiąc wymaginowany ser. Może słuchali dźwięków komplety, którą mniszki odśpiewały przed położeniem się do łóżek na trzy godziny snu przed jutrznią? Może ciszę mąciło pohukiwanie sowy albo skrzeczenie lisicy?

Jest jeździec. Na drodze do klasztoru od strony rzeki. Tętent kopyt stłumiony przez świeży śnieg, ale słyszalny w ciszy.

Zbliża się do bramy, zwalnia - czy zamierzał wjechać? Ale pierwszy opryszek zastępuje mu drogę z naciągniętą, gotową do strzału kuszą. Czy jeździec go widzi? Czy krzyczy? Rozpoznaje człowieka? Prawdopodobnie nie, cienie są tu gęste. Świst strzały, która grzęźnie w jego piersi.

Koń staje dęba, jeździec odchyła się w siodle i spada na ziemię, łamiąc lotki strzały. Drugi opryszek chwyta wodze, prowadzi spłoszonego wierzchowca między drzewa i tam go przywiązuje.

- Postrzelony człowiek kona, taka rana prawie zawsze jest śmiertelna - wyjaśniła Adelia - ale musieli mieć pewność. Jeden z nich, miał wielkie dłonie, udusił leżącego.

- Boże, zmiłuj się - mruknął biskup.

- Tak, ale najbardziej interesujące jest coś innego - powiedziała Adelia, jak gdyby tamto wszystko było czymś zwyczajnym. - Teraz włoką go na środek mostu. Widzisz? Noski butów wyorały bruzdy w śniegu.

Obok niego rzucają czapkę. Co za głupcy! Czyżby myśleli, że człowiek, który spadł z wierzchowca, wygląda tak porządnie? Złączone nogi, ciało otulone peleryną... Widziałeś to, prawda? A potem prowadzą konia na most i podcinają mu pięć.

- Nie zabrali jeźdźca do lasu - podkreślił Mansur. - Ani konia. Gdyby to zrobili, znaleziono by ich szczątki na wiosnę, a wtedy nikt nie mógłby powiedzieć, co się stało. Zamiast tego zaciągnęli go tam, gdzie pierwsza osoba, która zjawi się rankiem, zobaczy trupa i podniesie wrzawę.

- Nie dając zabójcom czasu na ucieczkę, którą oni z łatwością mogli sobie zapewnić - powiedział zamyślony biskup. - Rozumiem. To... dziwne.

- Właśnie - orzekła Adelia. Znów podeszli do ciała. Po drugiej stronie mostu rozpalono ogień w koszu. Twarze czekających ludzi, upiorne w świetle płomieni, z nadzieją zwróciły się w ich kierunku.

- Długo jeszcze?! - krzyknęła Gyltha. - Trzeba nakarmić małą! Odmrozimy tu sobie zadki!

Adelia w ogóle na to nie zareagowała. Nadal nie czuła zimna.

- Dwaj mężczyźni. Niezbyt bogaci, sądząc po tym, jak byli obuci. Zabijają jeźdźca. Zabierają pieniądze z sakiewki, ale zostawiają sakiewkę, porządną, z rodzinnym herbem. Zostawiają buty, pelerynę, srebrną sprzączkę, pięknego konia. Jaki złodziej tak robi?

- Może im przeszkadzono - podsunął Rowley.

- Kto mógł przeszkodzić? Nie my. Odeszli na długo przed naszym przybyciem. Mieli czas, żeby obdrzeć nieszczęśnika ze wszystkiego, co miał... Nie zrobili tego. Dlaczego?

- Chcieli, żeby go znaleziono - stwierdził biskup. Adelia pokiwała głową.

- To było dla nich najważniejsze.

- Chcieli, żeby został zidentyfikowany.

- Otóż to. Chcieli, żeby było wiadomo, iż nie żyje.

- Rozumiem. - Rowley się zastanowił. - Stąd pomysł, żeby zaciągnąć tu zwłoki. Nie, to mi się nie podoba.

- Zadali sobie wiele trudu, żeby świat usłyszał o śmierci tego młodego człowieka. Wrócą, gdy stwierdzą, że tak się nie stało. Możemy na nich zaczekać.

Mansur pokiwał głową.

- Jakiś szatan zamierza zyskać na tym zabójstwie, bodaj Allach go pokarał.

Adelia szarpnęła biskupa za rękaw.

- Niczego nie zyska, jeśli chłopak zniknie, jakby zwyczajnie pojechał dalej.

Rowley nie krył wątpliwości.

- Rodzina będzie się o niego martwić.
- Tym bardziej zechcą, żeby znaleziono morderców.
- Powinien zostać należycie pochowany.
- Jeszcze nie teraz.

Adelia patrzyła, jak biskup podchodzi do balustrady mostu i przechyliła się, patrząc na ryczącą wodę, która bieląła w księżycowej poświacie.

Nie cierpi, kiedy to robię, pomyślała. Był gotów kochać kobietę, nie medyka. A jednak zaprosił mnie i musi ponosić konsekwencje. Mam obowiązek względem tego martwego chłopca.

Nagle poczuła zimno.

- Dobrze. - Odwrócił się. - Na szczęście w Godstow mają lodownię.

Słynną w okolicy.

Gdy owijano ciało w pelerynę i zbierano dobytek zamordowanego, Adelia podeszła do ognia, żeby nakarmić dziecko.

Biskup St. Albans zebrał swoich ludzi, żeby powiedzieć, co medyk Mansur odkrył na podstawie śladów na śniegu.

- Z bożą łaską możemy złapać zabójców. Na razie nikt, powtarzam, nikt nie ma prawa wspomnieć słowem o tym, co widzieliśmy tej nocy. Zmarłego będziemy traktować z szacunkiem, ale ukryjemy go, żeby się dowiedzieć, kto wróci na miejsce zbrodni... A wtedy będziemy dla morderców bezlitości.

Rowley walczył w zamorskich krajach w czasie wyprawy krzyżowej i przekonał się, że ludzie reagują lepiej, gdy znają zamierzenia dowódcy, niż wtedy, gdy słyszą suche rozkazy.

W odpowiedzi rozległ się pomruk aprobaty. Zwłaszcza posłaniec spragniony był zemsty. Wszyscy oni znaczną część życia spędzali na drogach, widzieli więc w jeźdźcu na moście jednego spośród siebie, ofiarę zbójców grasujących na gościńcach. Przybyli wprawdzie za późno, żeby ocalić życie podróżnemu, lecz mogli przynajmniej oddać łotrów w ręce sprawiedliwości.

Tylko mars na czole ojca Patona świadczył o tym, że sekretarz ocenia, ile trup będzie kosztował biskupią kiesę.

Z odkrytymi głowami, mężczyźni podnieśli zwłoki i położyli je na wozie. Prowadząc konie, przeszli mostem do klasztoru Godstow.

Rozdział 4

Opactwo Godstow wraz z otaczającymi je polami znajdowało się na wielkiej wyspie, utworzonej przez zakola Tamizy i jej dopływów. Jeśli nie liczyć odźwiernego, który odryglował bramę dla podróżnych, masztalerza i stajennego, którzy zajęli się ich końmi, na wyspie rządziły kobiety.

Dwadzieścia cztery siostry zakonne i nowicjuszki z pewnością twierdziłyby, że to Pan Bóg powołał je do porzucenia świata, ale panująca w klasztorze atmosfera zadowolenia sugerowała, że życzenie Boga zbiegło się z ich własnym. Jedne były zamężnymi wdowami, usłyszały wezwanie Boga nad grobem męża i pospieszyły do Godstow, zanim zdołały ponownie wyjść za mąż. Inne były pannami, które ujrawszy wybranego dla nich małżonka, uległy nagłemu powołaniu do życia w czystości, zabierając z sobą posag do konwentu. Tutaj mogły zarządzać okazałym, rosnącym majątkiem klasztornym bez udziału mężczyzn.

Jedynymi mężczyznami mającymi nad nimi władzę, byli: nieżyjący od sześciuset pięćdziesięciu lat święty Benedykt, którego regule podlegały, papież, który przebywał daleko, arcybiskup Canterbury, rzadko tu obecny, i archidiakon śledczy, który, ponieważ ich księgi i zachowanie nie budziły zastrzeżeń, nie mógł się na nie skarżyć.

No i jeszcze biskup St. Albans.

Godstow było takie bogate, że były tu dwa kościoły. Jeden mały, przytulony do zachodniego muru opactwa, pełnił funkcję prywatnej kaplicy zakonnicy. Drugi, znacznie większy, stał na wschodzie, w pobliżu traktu, i służył ludowi z okolicznych wiosek.

Opactwo faktycznie było wioską, w której święte siostry miały własną enklawę, i to tam odźwierny prowadził podróżnych. Dziewka z koro-mysłem pisnęła na ich widok, a potem dygnęła, wylewając nieco mleka z cebrzyków. Latarnia odźwiernego oświetlała sklepienie przejścia, wirydarze, rzeźbione kolumny krużganka, gdzie otworzyły się okiennice dormitorium i w oknach ukazały głowy w białych kornetach, przekazujące z ust do ust wiadomość: „Biskup, biskup”.

Rowley Pilot, dobrze zbudowany, tryskający energią, ostentacyjnie męski, był jak kogut, który wtargnął do spokojnego kurnika.

Powitała ich przeorysza. Poprawiając welon, poprosiła, żeby zaczekali w kapitulacji, gdzie przyjmie ich matka przełożona. Tymczasem niech skorzystają z poczęstunku. Czy damy mają jakieś życzenia? A dziecko, jaki ładny chłopaczek, co można dla niego zrobić?

Blask świec padał na podłogę zasłaną świeżym sitowiem, odbijał się od lśniącego długiego stołu i krzesel. Poza wonią płonących w koszu szczap jabłoniowych, w powietrzu unosił się zapach wosku pszczelego - i woń wyjątkowo cuchnącego Strażnika.

Rowley miotał się po sali, zirytowany czekaniem, Adelia zaś pierwszy raz od ruszenia w drogę karmiła dziecko w spokoju. Zważywszy na związki opactwa z Rozmundą Clifford, żywiła obawę, że zobaczy nieporządek i niechlujne zakonnice. Wciąż miała w pamięci Zgromadzenie Świętej Radegundy w Cambridge, jedyny angielski klasztor żeński, jaki dotąd widziała - straszne miejsce, gdzie w końcu została zdemaskowana mniszka, która pomagała zabijać dzieci.

W Godstow panowała atmosfera porządku i dyscypliny, tak jak być powinno.

Adelia zaczęła drzemać, ukołysana mruczeniem ojca Patona, który rachował, pisząc kredą po tabliczce z łupka.

- Na ser i piwo na podróż... na paszę dla koni...

Kuksaniec Gylthy poderwał ją na nogi. Weszła drobna, sędziwa zakonnica, wsparta na lasce z rączką z kości słoniowej. Pochyliła się z trudem, żeby ucałować pierścień biskupi. Wszyscy się uklonili.

Opatka usadowiła się u szczytu stołu, oparła laskę o krzesło i zaczęła słuchać tego, co mieli do powiedzenia.

W ciągu paru minut Adelia zrozumiała, że Godstow zawdzięcza swoją pomyślność tej kobiecie. Matkę Edyve cechował spokój starszych ludzi, którzy widzieli już wszystko i teraz mogli się przekonać, że historia się powtarza. Ten młody biskup - młokos w porównaniu z nią - nie mógł wprawić jej w zakłopotanie, choć przybył z Saracenem, dwiema kobietami, dzieckiem i paskudnym psem, mówiąc, że znalazł zamordowanego człowieka przed furta klasztoru.

Przyjęła ze spokojem nawet to, że biskup życzył sobie ukryć trupa w jej lodowni.

- W ten sposób liczysz na znalezienie zabójcy? - zapytała.

- Zabójców - odparł biskup niecierpliwie. Jeszcze raz opisał dowody znalezione przez medyka Mansura i jego asystentkę.

Adelia pomyślała, że matka Edyve zapewne zrozumiała wszystko za pierwszym razem, tylko chciała mieć czas do namysłu. Słuchała, nakrywszy przywiedłymi powiekami oczy w twarzy pomarszczonej jak skórka zesłorocznego jabłka. Jej żyłaste ręce odbijały się w wypolerowanej powierzchni stołu.

Rowley zakończył, mówiąc:

- Jesteśmy pewni, że sprawcom zależało na rozgłoszeniu faktu śmierci i nazwiska młodzieńca. Być może powrócą, żeby sprawdzić, dlaczego wieść się nie rozeszła.

- Pułapka - oświadczyła bez emocji.

- Pułapka jest konieczna, aby sprawiedliwości stało się zadość

- rzekł Rowley stanowczo. - I tylko ty będziesz o niej wiedziała, matko.

Adelia pomyślała, że prosi o zbyt wiele. Zmarły powinien zostać opłakany i pogrzebany. Ukrywanie zwłok jest z pewnością sprzeczne z prawem i zdecydowanie niechrześcijańskie.

Z drugiej strony, ze słów Rowleya wynikało, że dzięki tej staruszce klasztor z mniszkami bez szwanku przetrwał trzynaście lat wojny domowej, która toczyła się na tym terenie, co sugerowało, iż prawa ludzkie, a nawet boskie musiały tu być nieraz naganane.

Matka Edyve otworzyła oczy.

- Oto, co ci powiem, panie. Most należy do nas. Klasztor ma obowiązek dbać o jego konstrukcję i pilnować spokoju, a zatem również chwytac tych, którzy dopuścili się na nim morderstwa.

- Zgadzasz się? - Rowley nie krył zaskoczenia, spodziewał się bowiem oporu.

- Jednakże - mówiła matka przełożona takim tonem, jakby nie słyszała jego słów - będziesz potrzebował pomocy mojej córki, przeoryszy.

- Sięgnęła do pasa z kluczami. Wśród nich znajdował się mały dzwonek.

Potrząsnęła nim.

Weszła przeorysza, która powitała ich w klasztorze.

- Tak, matko?

Adelia zobaczyła, że siostra Havis jest bardzo podobna do matki przełożonej, tylko ma nieco raniej pomarszczoną twarz. Określenie „córka przeoryszy” nie było metaforą; Edyve zabrała swoje dziecko do Godstow, gdy przywdziała welon.

- Nasz ksiądz biskup ma coś, co należy umieścić w lodowni, siostrze Havis. Trzeba to zrobić dyskretnie w czasie modlitwy. - Odpięła klucz z wielkiego żelaznego kółka. - Nie wolno nikomu o tym mówić.

- Tak, matko. - Siostra Havis wzięła klucz, ukłoniła się biskupowi, potem matce i wyszła. Nie okazała zdziwienia. Nie zadawała pytań. Lodownia Godstow musiała swego czasu skrywać coś więcej niż wołowe półtusze. Skarby? Uciekinierów? Opactwo, położone pomiędzy miastem Wallingford, wiernym królowej Matyldzie, a zamkiem Oksford, gdzie powiewała flaga króla Stefana, mogło służyć obu stronom.

Allie zaczęła się wiercić i Gyltha, która ją trzymała, spojrzała pytająco na Adelię, a potem na podłogę.

Adelia pokiwała głową; było tu dość czysto. Gyltha posadziła małą na podłodze. Allie ją raczkować, czego zwykle nie robiła, wołąc jeździć na pupie. Pies Strażnik przezornie usunął się jej z drogi, żeby nie targała go za uszy.

Rowley nawet nie podziękował za pomoc. Przeszedł do sprawy ważniejszej.

- A teraz, pani, co z Rozamundą Clifford?

- Lady Rozamundą... - Dłonie matki Edyve zacisnęły się lekko. - Powiadają, że królowa ją otruła.

- Tego się obawiałem.

- A ja się obawiam, że to może wywołać wojnę.

Zapadła cisza, jakby matka przełożona i biskup znali jakąś straszną tajemnicę. Znów odżyły wspomnienia okropności wojny domowej. Adelia miała ochotę podnieść córeczkę i ją przytulić. Nie zrobiła tego, tylko patrzyła czujnie, nie spuszczając jej z oka na wypadek, gdyby ruszyła w stronę kosza z węglami.

- Przywieziono ciało? - zapytał Rowley.

- Nie.

- Myślałem, że to zostało załatwione, przecież właśnie tutaj miał się odbyć pogrzeb - powiedział oskarżycielsko, jakby obwinił opatkę. Adelia pomyślała, że każdy inny biskup pochwaliłby klasztor, który odmówił pochówku źle prowadzącej się kobiety.

Matka Edyve popatrzyła na podłogę. Allie próbowała stanąć, trzymając się jednej z nóg krzesła. Adelia podniosła się, żeby jązabrać, ale matka przełożona, nie zmieniając wyrazu twarzy, zdjęła dzwoneczek z pasa i podała małej.

Znasz się na dzieciach, pomyślała uspokojona Adelia.

- Nasz konwent jest dłużnikiem lady Rozamundy za wiele dobrodziejstw wyświadczonych w przeszłości. - Głos matki Edyve brzmiał jak kwilenie dalekiego ptaka. - Winnyśmy ją pogrzebać i odprawić mszę za jej duszę. Tak zostało uzgodnione. Ale jej gospodyni, Dakers, odmówiła wydania ciała.

- Dlaczego?

- Nie wiem, lecz bez jej zgody trudno cokolwiek zrobić.

- Na Boga, dlaczego?

Coś ożywiło nieruchome oblicze opatki, może błysk rozbawienia. Z podłogi przy jej krześle dochodził dźwięk dzwonka, gdy Allie oglądała nową zabawkę.

- Przypuszczam, panie, że odwiedziłeś wieżę Wormhold w czasie choroby pani?
- Wiesz, że tak. Twoja przeorysza... Siostra Havis sprowadziła mnie po to z Oksfordu.

- I oboje zostaliście przeprowadzeni przez labirynt otaczający wieżę?

- Jakaś chora na umyśle niewiasta czekała na nas przy wejściu. -Rowley stukał palcami po stole. Nie usiadł od chwili wejścia do pokoju.

- Pani Dakers. - Twarz mniszki lekko drgnęła, jak tafla wody na stawie. - Nie wpuści nikogo po śmierci swojej pani. Uwielbiała ją. Panie, obawiam się, że bez jej pomocy nie można przejść przez labirynt do wieży.

- Ja przejdę. Na Boga, zrobię to. Póki tu jestem biskupem, zmarli będą grzebani... -urwał i się uśmiechnął. Sam przewiózł trupa, by złożyć go w lodowni.

Adelia po chwili też się uśmiechnęła, rozumiejąc niedorzeczność sytuacji. Patrzyła, jak Rowley przeprosza matkę Edyve za swoje zachowanie i dziękuje jej za życzliwość - dopóki nie zobaczyła, że blade, stare oczy zakonniczy zwracają się w jej kierunku.

Matka przełożona wróciła do tematu.

- Przywiązanie Dakers do lady Rozamundy było... przeogromne. - Z rozwagą dobrała słowo. - Nieszczęsna sługa, która przyniosła trujące grzyby, uciekła z wieży ze strachu o życie i schroniła się u nas.

- Jest tutaj? To dobrze. Chcę ją przepytąć. - Poprawił się. - Za twoim pozwoleniem, pani, chciałbym zadać jej parę pytań.

Matka przełożona skłoniła głowę.

- I jeśli mogę nadużyć twojej dobroci - ciągnął - chciałbym zostać więc tu częścią swoich ludzi, podczas gdy medyk Mansur i jego asystentka udadzą się ze mną do wieży Wormhold, by zobaczyć, co da się zrobić.

Obecny tutaj medyk ma zdolności śledcze, które pomogą nam...

Jeszcze nie. Nie dziś. Na miłość boską, Rowley, jesteśmy zmęczeni podróżą.

Adelia kaszlnęła i podchwyciła spojrzenie Gylthy. Gyltha trąciła Mansura, który popatrzył na nie, a potem odezwał się po raz pierwszy po angielsku:

- Medyk radzi najpierw odpocząć, panie.

- Pal diabli odpoczynek - burknął Rowley, ale spojrzał na Adelię, która musiała z nim jechać, bo po to ją tu sprowadził.

Pokręciła głową. Muszą odpocząć.

Matka przełożona śledziła wzrokiem tę rozmowę bez słów i dowiedziała się dość, by rozstrzygnąć sprawę.

- Gdy umieścicie w lodowni ciało nieszczęsnego zmarłego, siostra Havis wskaże wam kwatery - powiedziała.

Wciąż było bardzo ciemno i bardzo zimno. Zakonnice śpiewały chwalby, a wszyscy inni, których wezwwały obowiązki, pracowali z dala od głównej bramy, przed którą stał kryty wóz z ciałem.

Walt i zbrojni strzegli go. Tupali nogami i zabijali ręce, żeby się rozgrzać, ignorując pytania odźwiernego, który wychylał się z okna stróżówki. Siostra Havis ostrym tonem kazała mu schować głowę, zamknąć okiennice i zająć się własnymi sprawami.

- Milcz, Fitchet.

- A nie milczę? - Fitchet był rozżalony. - Czy zawsze tego nie robię? - Trzasnęły okiennice.

- Milczy - przyznała siostra Havis. - Przeważnie. - Wysoko trzymając latarnię, szła przed nimi przez śnieg.

Walt prowadził konie, biskup, Oswald i Aelwyn kroczyli obok niego, a Adelia i Mansur siedzieli na koźle.

Rowley, wiedząc, że Adelia jest zmęczona, chciał zostawić ją w pokoju przygotowanym dla niej, Gylthy i dziecka w domu gościnnym, ale się nie zgodził. Musiała spełnić obowiązek wobec martwego młodzieńca. Na jej życzenie, choć w słusznej sprawie, haniebnie traktowano jego ciało.

Szli wzdłuż muru, który okalał wielkie budowle i ogrody zakonu, wrzynając się w las, gdzie po drugiej stronie leżał martwy koń zamordowanego.

Szum wody, jaki słyszeli na moście, przybierał na sile. Zbliżali się do rzeki - albo samej Tamizy, albo do wpadającego do niej rwącego strumienia. Powietrze było tu jeszcze zimniejsze, a hałas stał się ogłuszający.

Mansur wyciągnął rękę. On i Adelia siedzieli dość wysoko, żeby nad murem, gdy drzewa pozwalały, spoglądać na wodę. Widzieli most, a za nim młyn wodny.

Arab coś mówił - nie słyszała go - może to, że przedtem w ciemnościach nie zauważyli młyna. Teraz światła płonęły w jego okienkach, a wielkie koło obracało się szybko.

Zatrzymali się. Siostra Havis podeszła do kamiennego domku przytulonego do muru i otworzyła drzwi.

Latarnia oświetliła wnętrze, w którym znajdowała się drabina i nieco narzędzi. Podłoga wyłożona była kamieniami, ale większą jej część zajmował duży żelazny krąg z uchwyty, jak pokrywa ogromnego garnka.

Siostra Havis się cofnęła.

- Trzeba dwóch osób, żeby to podnieść. - Miała taki sam pozbawiony emocji głos jak matka.

Aelwyn i Oswald wyteżyli siły, żeby dźwignąć wieko. Z czarnego dołu buchnął chłód, wyraźnie wyczuwalny, choć w domku było zimno, niosący zapach słomy i zamrożonego mięsa.

Biskup wziął latarnię od przeoryszy i ukląkł na skraju otworu.

- Kto zbudował lodownię?

- Nie wiemy, panie. Odkryliśmy ją i utrzymujemy w dobrym stanie. Matka przełożona sądzi, że istniała na długo przed założeniem naszego klasztoru.

- Rzymianie? - Rowley był zaintrygowany. Przyniesiono i spuszczone drabinę, po której zszedł na dół. Jego głos dudnił echem, gdy wciąż zadawał pytania, na które siostra Havis odpowiadała obojętnie.

Tak jej umiejscowienie z dala od klasztornej rzeźni jest niedogodne, ale przypuszczalnie budowniczowie ułokowali lodownię tutaj, blisko obwałowanej rzeki, żeby chłodziła ją płynąca po sąsiedzku woda.

Tak, jej konwent nadal pekluje i soli mięso po wielkim uboju w dniu Świętego Michała, gdyż nawet Godstow nie jest w stanie wykarmić wszystkich zwierząt w czasie zimy, a dzięki zamrażaniu ludzie mogą od czasu do czasu jeść świeże mięso na wiosnę albo na początku lata.

Tak, oczywiście, staw młyński zamarza tylko w bardzo srogie zimy, ale ostatnio wszystkie zimy były mroźne i wycięto dość bloków lodu, żeby starczyło do lata. Tak, ksiądz biskup widzi kanał odprowadzający wytopioną wodę.

- Cudowne.

Adelia kaszlnęła znacząco. Głowa Rowleya wychynęła z otworu.

- Co?

- Egzekwie, panie.

- Ach, oczywiście.

Ciało zostało złożone na kamiennych płytach.

Adelia stwierdziła, że stężenie pośmiertne ustąpiło we względnym cieple wysłanego słomą, osłoniętego wnętrza wozu, ale miało powrócić na dole w lodowni.

W domku zabrzmiał pewny, silny głos biskupa St. Albans:

- *Domine, Iesu Chris te, Rex gloriae...** - Uchroni dusze wszystkich wiernych zmarłych przed karą w piekielnej otchłani... Nie pozwól im

* *Domine, Iesu Christe, Rex gloriae...* (łac.) - Panie Jezu Chryste, królu chwaly...

pograćzyć się w ciemnościach, niechaj święty Michał poprowadzi ich ku jasności, którąś obiecał...

Adelia w milczeniu dodała własną modlitwę: i niechaj ci, którzy cię kochają, wybaczą mi to, co czynimy.

Zeszła do dołu, dołączając do Oswalda i biskupa. Straszne miejsce, jak wnętrze wielkiego ceglanego jaja obstawionego blokami lodu w słomianych plecionkach. Na hakach wisiały półtusze wołowe, jagnięce, sarnie i wieprzowe, pobielale od szronu, tak stłoczone, że nie mogła przejść bez muskania ich ramionami.

Znalazła wolne miejsce i wyprostowała się, a wówczas w jej czapkę wczepiły się pazury złowionych ptaków, wiszących jak na szubienicach.

Szczękając zębami - nie tylko z zimna - chwycili nogi martwego człowieka, gdy Aelwyn i Walt go opuścili.

Razem ułożyli go pod ptakami w taki sposób, że gdyby coś z nich ściekało, nie kapaloby na twarz zmarłego.

- Wybacz, że to robimy. - Kiedy inni wyszli z dołu, Adelia została na chwilę przy martwym, żeby złożyć obietnicę. - Niezależnie od tego, czy złapiemy zabójców, czy nie, nie zostawię cię tutaj na długo.

Tak zmarzła, że nie mogła wejść po drabinie i Mansur musiał ją wyciągnąć.

Matka przełożona oddała swój dom Rowleyowi, mówiąc, że czyni to z ulgą, bo wchodzenie po stromych schodach stało się dla niej za trudne. Był jej zwierchnikiem, więc musiała to zrobić, chociaż w ten sposób zyskiwał dostęp do wewnętrznego wirydarza z krużgankiem, kaplicą, refektarzem i dormitorium sióstr, w nocy zakazanego dla mężczyzn. Po zlustrowaniu wzrokiem ojca Patona zdecydowała, że on też nie stanowi zagrożenia dla niewiast, i ulokowała go razem z biskupem.

Jacques, Walt, Oswald i Aelwyn zostali skierowani do kwater męskiej służby.

Mansurowi przydzielono wygodną izbę w domu gościnnym dla mężczyzn. Gyltha, Adelia, dziecko i pies dostali równie dobrą kwaterę w żeńskim skrzydle przy kościele. Strome zewnętrzne schody prowadziły do poszczególnych pokoi, z których, ponieważ znajdowały się na najwyższym piętrze, roztaczał się widok na zachód, na trakt do Oksfordu i pola opectwa schodzące ku Tamizie.

- Kaczy puch - orzekła Gyltha, sprawdzając wielkie łóżko. - Nie ma pcheł. - Przeprowadziła dokładniejszą inspekcję. - I jakiś święty włożył gorące cegły, żeby ogrzać pościel.

Adelia nie marzyła o niczym więcej, jak o położeniu się spać. Gyltha i Allie też szybko zasnęły.

Zbudziły je dzwony. Jeden huczał tak, że aż wprawiał w drżenie wodę w misce na stole.

Adelia chwyciła Allie, która spała pomiędzy nią a Gylthą.

- Pożar?

Gyltha nadstawiła ucha. Potężne bicie płynęło z kościelnej wieży, a wtórowało mu podzwanianie innych dzwonów, cichszych, znacznie dalszych.

- Jest niedziela - powiedziała.

- Och, do diabła!

Jednakże grzeszność i świadomość zaciągniętego wobec opatki długu wymagały, żeby uczestniczyły w porannej mszy, na którą Godstow wzywało wiernych.

Kościół na zewnętrznym dziedzińcu był otwarty dla każdego człowieka - choć oczywiście nie dla niewiernych i śmierdzących psów, dlatego Mansur i Strażnik zostali w łóżkach - i dziś wszyscy okoliczni mieszkańcy brnęli przez śniegi na mszę. Wiśniacy z Wolvercote stawili się tłumnie, ponieważ ich własny kościół popadł w ruinę, zaniedbany przez dziedzica.

Oczywiście atrakcją był biskup, cudowny jak anioł, który zstąpił z nieba. Sam widok jego ornatu i mitry wart był dziesięciny, którą każdy musiał płacić. Poza tym biskup mógł wyleczyć dziecko z kaszlu, mógł pobłogosławić ozime zasiewy. Przy korycie pod kościołem już stały dwie zabiedzone krowy mleczne i jeden kulawy osioł, czekając, by zwrócił na nie uwagę.

Osoby duchowne weszły osobnymi drzwiami, żeby zająć miejsca we wspaniałych stallach chóru pod równie wspaniałym sklepieniem wachlarzowym.

Ojciec Paton siedział przy zakonnym kapelanie, małym i szarym jak mysz, naprzeciwko rzędów mniszek. W czarnych szeregach wyróżniały się dwie młode kobiety w białych welonach, z trudem powstrzymujące się od chichotania. Uznały, że ojciec Paton wygląda zabawnie ze swoją tonsurą.

Większość biskupów wykorzystywała homilię, żeby wytknąć ludziom grzechy, często w normandzkiej francuszczyźnie, swoim języku ojczystym, albo po łacinie w myśl zasady, że im mniej wierni rozumieją, tym bardziej będą się bali.

Kazanie Rowleya było inne, wygłoszone po angielsku, zrozumiałe dla każdej owieczki.

- Niektórzy nicponie mówią, że lady Rozamunda zginęła z ręki królowej Eleonory, co jest podłym kłamstwem. Przysłużycie się naszemu Panu, nie dając mu wiary.

Zszedł z kazalnicy i kroczył nawa, władczym tonem głosząc kazanie. Oznajmił, że przybył tutaj, żeby odkryć, kto spowodował śmierć Roza-mundy.

- Albowiem jest mi wiadomo, że miłowano ją w tych stronach. Jeśli nie jest to zwykły wypadek, król i królowa dopilnują, żeby złoczyńca został ukarany zgodnie z prawem. Tymczasem obowiązkiem was wszystkich jest podtrzymywanie bezcennego pokoju, jaki dał nam nasz Pan, Jezus Chrystus.

Potem ukląkł na kamieniach i słomie, żeby się pomodlić, a wszyscy w kościele zrobili to samo.

Kochają go, pomyślała Adelia. Czy udaje, zabiegając o uznanie gawiedzi? Nie, nie, jest teraz ponad to. Nawet mnie nie dostrzega.

Kiedy wstali, jeden człowiek - młynarz z za mostu, sądząc po bieli mąki wżartej w skórę - zapytał:

- Panie, powiadają, że królowa wadzi się z królem. Nie będzie z tego kłopotów?

Poparł go pomruk zaniepokojenia. Wojna domowa, w której król walczył z królową, toczyła się za poprzedniego pokolenia i nikt nie chciał być świadkiem następnej.

Rowley zwrócił się do niego:

- Która jest twoją połowicą?

- Ona. - Mężczyzna wskazał kciukiem stojącą obok tęgą niewiastę.

- Dobrze wybrałeś, panie młynarzu. Ale powiedz mi, czy czasami nie wadziłaś się z nią? Na pewno tak, lecz nie wszcząłeś wojny z tego powodu. Możesz być pewien, że ich królewskie moście niewiele się od was różnią.

Wśród śmiechu wrócił biskup na tron.

Jedna z dziewcząt w białym welonie zaintonowała responsorium na cześć biskupa i śpiewała tak pięknie, że Adelia, zwykle głucha na muzykę, z niecierpliwością czekała na jej śpiew, kiedy przerywały go odpowiedzi wiernych.

Miło było spotkać ją po mszy w wirydarzu.

- Mogę zobaczyć dziecko? Uwielbiam dzieci.

- Oczywiście. Masz piękny głos, słuchanie go sprawia wielką przyjemność.

- Dziękuję. Jestem Emma Bloat.

- Adelia Aguilar.

Szły obok siebie, a Emma ciągle podskakiwała. Miała ledwie czternaście lat i z jakiegoś powodu rozpierała ją radość. Chyba to nie biskup wprowadził ją w uniesienie?

- Jesteś oblatką?
- Nie. To Priscilla założy welon, ja wyjdę za mąż.
- Dobrze.

- Prawda? Ziemska miłość. - Emma zawirowała radośnie. - Bóg musi cenić ją równie wysoko jak niebieską, wbrew temu, co mówi siostra Mold, w przeciwnym wypadku czemu mielibyśmy ją odczuwać? - Uderzyła piąstką w pierś nad sercem.

- Tak samo uważał święty Paweł.
- Ciekawe, skąd to wiedział?

Była uroczym dzieckiem i chętnie bawiła się z Allie.

Zdawało się, że dziewczyna cieszy się tu pewnymi przywilejami, bo nie została wezwana do popołudniowych zajęć w konwencie. Bogactwo czy pozycja społeczna? A może jedno i drugie?

Napływowi obcych do klasztoru poświęciła niewiele uwagi, ale domagała się zainteresowania własną osobą.

- Zapytaj mnie o przyszłego męża, zapytaj, zapytaj.

Ten jej luby był taki piękny, szalał z miłości do niej i pisał romantyczne wiersze, dorównujące tym, które Parys mógł ślać Helenie.

Gyltha uniosła brwi, patrząc na Adelię. W istocie ta dziewczyna miała szczęście, niezwykle w małżeństwie skojarzonym przez rodziców. Bo ten związek został skojarzony. Emma powiedziała, że przez jej ojca, który był kupcem winnym w Oksfordzie i zaopatrywał klasztor w najlepsze reńskie wina, płacąc za kształcenie godne żony wielmożnego pana.

W tym momencie Emma wybuchła takim śmiechem, że aż musiała przytrzymać się słupka okiennego.

- Więc twój przyszły mąż naprawdę jest wielmożnym panem? - za pytała Gyltha z szerokim uśmiechem.

Śmiech ucichł i dziewczyna odwróciła się, żeby spojrzeć przez okno.

- Jest panem mojego serca - odparła Emma.

Trudno było podróżnym zebrać się w celu omówienia planów. God-stow, choć pobłażliwe, nie mogło tolerować obecności Saracena na wewnętrznym wirydarzu. Równie niestosowne było odwiedzanie kwater kobiecych przez biskupa. Pozostawał tylko kościół, ale nawet tam przy głównym ołtarzu zawsze czuwała zakonnica, wstawiając się do Boga za dusze zmarłych, którzy za życia zapłacili za ten przywilej. Jednak była tam boczna kaplica poświęcona Marii Pannie, w nocy pusta, ale oświetlona przez świece - kolejny dar zmarłych, żeby Matka Boska o nich

pamiętała - i matka przełożona pozwoliła odbywać w niej spotkania, pod warunkiem że nikt nie zakłóci ciszy.

Ciepło i światło świec na ołtarzu sięgało tylko na parę stóp, zostawiając pozostałą przestrzeń w lodowatym cieniu. Adelia weszła bocznymi drzwiami i zobaczyła zwałistą postać klęczącą przed ołtarzem z pochyloną zakapturzoną głową i palcami splecionymi tak mocno, że przypominały nagie kości.

Rowley wstał, gdy zjawily się kobiety. Wyglądał na zmęczonego.

- Spóźniłaś się.

- Musiałam nakarmić dziecko - odparła Adelia.

Z kościoła płynęło monotonne mruczenie mniszki, czytającej wypominki z rejestru konwentu:

- Panie, pobłogosław i przyjmij w swym miłosierdziu duszę Tomasza z Sandfordu, który założył sad u świętego Egidiusza w Oksfordzie dla tego klasztoru i rozstał się z życiem dzień po Świętym Marcinie roku pańskiego tysiąc sto czterdziestego trzeciego. Słodki Jezu, w swoim miłosierdziu spójrz życzliwie na duszę Maud Halegod, która dała trzy srebrne marki...

- Czy sługa Rozamundy coś ci powiedziała? - odezwała się Adelia szeptem.

- Ona? - Biskup nawet nie próbował ściszyć głosu. - Ma pomieszanę w głowie, więcej dowiedziałbym się od przeklętych osłów, które błogosławiłem przez całe popołudnie. Beczała jak owca.

- Pewnie ją przestraszyłeś. - W pełnym stroju biskupim mógł budzić onieśmienie.

- Skądże. Byłem przyjazny i łagodny. Sama zobaczysz, nie sposób się z nią dogadać.

- Zobaczę.

Gyltha znalazła w szafce parę poduszek i ułożyła je w kręgu, gdzie padało światło świec. Na każdej widniała tarcza herbowa rodziny, która nie chciała brudzić sobie kolan w czasie pobytu w kościele.

- Takie poduszki to dobry pomysł - stwierdziła Adelia, podkładając jedną pod koszyk śpiącej Allie, żeby chłód nie ciągnął od posadzki. Strażnik usadowił się na drugiej. - Czemu bogaci nie obdarzą nimi biednych?

- Bogacze uważają - odparła Gyltha - że od wygody przewróciłoby się nam w głowach. Chcielibyśmy więcej, niż mamy. Gdzie się podziewa ten stary Arab?

- Posłaniec go sprowadzi.

Mansur wszedł, zgarbiwszy się w drzwiach, otulony peleryną, z Jacques'em za plecami.

- Dobrze - powiedział Rowley. - Możesz odejść, Jacques.

Chłopak, nierad z takiego obrotu sprawy, stał w miejscu, przestępując z nogi na nogę.

Adelia szczerze mu współczuła. Posłańcy mieli robotę nie do pozazdroszczenia, spędzając czas najeźdzeniu po kraju z koniem jako jedynym towarzyszem. Ich panowie byli dla nich bezwzględni, listy musiały być dostarczone szybko, a odpowiedzi jeszcze szybciej. Tłumaczenie się złą pogodą, upadkiem, trudnym terenem czy zgubieniem drogi rodziło podejrzenia, że sługa tracił czas i pieniądze chlebobdawcy w karczmie.

Pomyślała, że Rowley źle traktuje Jacques'a. Pewnie dlatego, że dodawał sobie wzrostu butami na wysokich obcasach i sterczącym pióropuszem na kapeluszu, co rodziło podejrzenia, że hołduje modzie wprowadzonej przez królową Eleonorę i jej dwór - styl z entuzjazmem przyjmowany przez młode pokolenie, ale potępiany jako wyraz zniewieściałości przez mężczyzn takich jak Rowley, Walt i Oswald, którzy woleli skóry i kolczugi.

Walt opisał posłańca, wcale celnie, jako „łodygę selera z doczepionymi korzonkami”, a Rowley burknął do Adellii, że obawia się, iż posłaniec jest „galantem tchórzem podszytym”, „obcym starym angielskim Normanom”. „Będę musiał go odprawić, ten chłopak używa pachnideł. Zniewieściały młodzieniec nie może dostarczać moich wiadomości”.

I to mówi człowiek, pomyślała Adelia, którego ceremonialne szaty oślepiają swoim bogactwem, a ich włożenie zajmuje pół godziny.

Postanowiła wstawić się za posłańcem.

- Czy pan Jacques pojedzie z nami jutro do wieży Rozamundy?
- Oczywiście. Może będę musiał wysłać wiadomość.
- W takim razie niech wie tyle, ile my, panie. Co pięć głów, to niejedna.
- No dobrze, niech zostanie.

Z nawy płynął bezustanny szmer modlitwy za zmarłych, gdyż zakonnice zmieniały się przy wypominkach:

- ...twojemu miłosierdziu duszę Tomasza Hokedaya, który strzegł siana w tej parafii, za sześciopensówkę darowaną...

Rowley wyjął rulon, który był przytroczony do siodła zamordowanego młodzieńca.

- Nie mieliśmy czasu się przyjrzeć. - Rozpiął paski i rozwinął płótno na podłodze. Z Jacques'em stojącym z tyłu, usiedli we czwórkę dokoła, żeby obejrzeć zawartość.

Była skromna. Bukłak z piwem. Pół gomółki sera i bochenek schludnie owinięty w płótno. Róg myśliwski - dziwna rzecz u człowieka podróżującego bez kompanów i psów. Zapasowa peleryna podbita filtrem, zaskakująco mała jak na tak wysokiego

mężczyznę i też starannie złożona. Niezależnie

RS

od tego, dokąd zmierzał młodzieniec, liczył na znalezienie jedzenia i noclegu w opactwie; chleb i ser nie wystarczyłyby mu na długo.

I list. Wepchnięty pod klapkę pomiędzy sprzączkami skórzanych pasków do spianania rulonu.

Rowley podniósł go i wygładził.

- „Do Talbota z Kidlington - przeczytał. - Oby Bóg i Jego aniołowie błogosławili Cię tego dnia, w którym wchodzisz w wiek męski, i trzymali Cię z dala od ścieżki grzechu i wszelkich nieprawości, co jest najszerszą nadzieją miłującego Cię kuzyna, pana Warina, mistrza prawa, który niniejszym śle dwie srebrne marki jako zadatek Twojego dziedzictwa, zaś reszta zostanie przekazana, kiedy się spotkamy. Napisane dnia Pańskiego szesnastego przed kalendami stycznia, w moim kantorze obok Świętego Michała przy Północnej Bramie Oksfordu”.

Podniósł oczy znad listu.

- Proszę, proszę. Teraz znamy nazwisko naszego nieboszczyka. Adelia powoli pokiwała głową.

- Hm.

- Co ci jeszcze potrzeba? Chłopak miał nazwisko, dwadzieścia jeden lat i kochającego kuzyna z adresem. Masz nad czym pracować. Brakuje dwóch srebrnych marek. Domyślam się, że zabrali je rabusie.

- Nie sądzisz, że to dziwne? - zapytała. - Gdybyśmy nie odgadli jego nazwiska po herbie na sakiewce, poznalibyśmy je z listu, który zawiera aż zbyt wiele informacji. Kto nazywa umiłowanego kuzyna „Talbotem z Kidlington”, zamiast po prostu „Talbotem”?

Rowley wzruszył ramionami.

- Całkiem zwyczajny nagłówek.

Adelia zabrała mu pismo.

- Welin. Spory wydatek jak na taki osobisty liścik. Dlaczego pan Warin nie użył papieru ze szmat?

- Wszyscy prawnicy używają welinu albo pergaminu, bo uważają, że papier jest *infra dignitatem**.

Adelia mówiła dalej:

- I jest pomięty, został byle jak wsunięty pod sprzączki. Patrz, jedna z nich go rozdarła. Nikt w ten sposób nie traktuje welinu, bo zawsze można zdrapać inkaust i wykorzystać ponownie.

- Może chłopak się spieszył, kiedy go otrzymał? A może był zły, bo spodziewał się dostać więcej niż dwie marki? A może gwizdał na welin,

* *infra dignitatem* (łac) - poniżej godności.

RS

jak ja w tej chwili? - Biskup tracił cierpliwość. - Do czego zmierzasz, pani?

Adelia zastanawiała się przez chwilę.

Czy nieboszczyk w lodowni był Talbotem z Kidlington, czy nie, za życia cechowała go schludność. Świadczyły o tym jego ubranie i starannie zapakowany rulon. Ludzie dbający o ład i porządek - a Adelia się do nich zaliczała - nie wciskają napisanego na welinie dokumentu niedbale pod sprzączki.

- Nie sądzę, by w ogóle widział to pismo - powiedziała. - Myślę, że podrzucili je ludzie, którzy go zabili.

- Na miłość boską - syknął Rowley - przesadzasz, Adelio. Zbójcy na trakcie nie wyposażają swoich ofiar w korespondencję. O czym ty mówisz? To fałszerstwo, żeby zwieść nas z tropu? Talbot z Kidlington nie jest Talbotem z Kidlington? Pas i sakiewka należą do kogoś innego?

- Nie wiem. - Ale coś z listem było nie w porządku.

Poczęli omawiać jutrzejszą wyprawę. Adelia miała pojechać z biskupem, posłańcem, masztalerzem i zbrojnym w górę rzeki po ścieżce flisackiej do wieży Rozamundy, podczas gdy Mansur z drugim zbrojnym mieli poprowadzić barkę do przewiezienia zwłok.

W czasie dyskusji Adelia skorzystała z okazji, żeby obejrzeć herby na poduszkach. Żaden nie pasował do tego na sakiewce i pasie zmarłego.

Rowley powiedział do Gylthy:

- Musisz tu zostać z dzieckiem. Adelia podniosła głowę.

- Nie zostawię Allie.

- Musisz, to nie będzie rodzinna wycieczka - oświadczył. Chwycił Mansura za ramię. - Chodź, przyjacielu, obejrzyjmy klasztorne łodzie.

- Wyszli razem z posłańcem.

- Nie zostawię jej! - krzyknęła za nim Adelia, powodując chwilową przerwę w wyliczaniu dusz przed ołtarzem. Zwróciła się do Gylthy: - Jak on śmie. Nie zostawię jej.

Gyltha złapała ją za ramiona i siłą posadziła na poduszce, potem przycupnęła obok.

- On ma rację.

- A jeśli zostaniemy odcięci przez śniegi albo coś innego? Allie musi jeść.

- Ja się tym zajmę. - Gyltha delikatnie poklepała Adelię po ręce.

- Czas odstawić ją od piersi. Sama wiesz, że brakuje ci pokarmu.

To prawda. W istocie proces odstawiania trwał już od paru tygodni. Obie z Gylthą żuły jedzenie na papkę, uzupełniały je krowim mlekiem i podawały Allie łyżką do ust.

Karmienie piersią, czynność jeszcze niedawno uznawana przez Adelię za nadzwyczaj żenująca, okazało się jedną z naturalnych przyjemności życia, a nadto stanowiło pretekst do unikania choćby na krótko rozłąki z córką. Bo macierzyństwo, choć przyniosło jej radość, napełniało też dojmującym, niespodziewanym lękiem o dziecko.

Allie była silnym, zdrowym dzieckiem i Adelia stopniowo zdała sobie sprawę z tego, że te lęki dotyczącej samej, dwudniowego noworodka, które blisko trzydzieści lat temu nieznaną rodzic porzucił na skalistym zboczu we włoskiej Kampanii. W okresie dorastania historia ta nie miała żadnego znaczenia. Wydawała się nawet zabawna, bo para, która ją znalazła, upamiętniła owo szczęśliwe zdarzenie, nadając jej imię Wezuwii. Bezdzielni, czuli, mądrzy, ekscentryczni signor i signora Aguilar, doktorzy słynnej, liberalnej Szkoły Medycyny w Salerno, on żyd, ona katoliczka, znaleźli w Adelii nie tylko ukochaną córkę, ale także umysł przewyższający ich intelekty i zapewnili jej odpowiednią edukację. Porzucenie nie miało znaczenia. W rzeczywistości okazało się największym darem, jaki nieznaną prawdziwą matką mogła dać swojemu dziecku.

Dopóki to dziecko nie urodziło własnego dziecka.

Wtedy nadszedł strach, silny jak tajfun, który nie chce ucichnąć, strach o Allie, ale także o siebie, lęk, że umrze i zostawi dziecko na łasce losu, nie mogąc zapewnić mu dobrodziejstw, jakie ją spotkały. Lepiej, żeby umarły razem.

Boże, jeśli truciciel nie zadowolony się śmiercią Rozamundy... Albo zabójcy z mostu zasada się na drodze... Albo w Godstow nagle wybuchnie pożar...

To była obsesja. Adelia zachowała dość rozsądku, by wiedzieć, że jeśli jej nie zwalczy, zniszczy siebie i Allie.

- Czas - powtórzyła Gyltha. Skoro powiedziała to Gyltha, najbardziej wiarygodna z kobiet, tak musiało być.

Ale Adelia miała za złe Rowleyowi beztroskę, z jaką zażądał rozłąki, która miała sprawić jej ból, a także nasilić lęki, choćby nawet bezpodstawne.

- Nie będzie mi mówił, że mam ją zostawić. Nie cierpię samej myśli o rozstaniu, nienawidzę.

Gyltha wzruszyła ramionami.

- To także jego dziecko.

- Trudno w to uwierzyć.

Od drzwi dobiegł głos posłańca:

- Wybacz, pani, ksiądz biskup pyta, czy przesłuchasz Bertę.

- Bertę?

- Sługę pani Rozamundy. Tę od grzybów.

- Aha, tak.

Pomijając nieustanne modły za zmarłych w kościele i godziny kanoniczne, konwent spał, pogrążony w kompletnej, bezksiężycowej ciemności. Światło z latarni Jacques'a oświetlało tylko dół murów i parę stóp ścieżki obrzeżonej przez śnieg, gdy prowadził kobiety do ich kwatery. Adelia pocałowała dziecko na dobranoc i zostawiła Gylthę, żeby położyła je do łóżka.

Przeszła z posłańcem przez zewnętrzny dziedziniec. Lekki zapach zgnilizny wskazywał na to, że gdzieś w pobliżu jest warzywnik zwarzony przez mróz.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytała.

- Do obory, pani - odparł Jacques przeprasającym tonem. - Tam się ukrywa ta dziewczyna. Matka przełożona posłała ją do kuchni, ale kucharki nie chciały z nią pracować, bo wiedziały, że to ona podała truciznę lady Rozamundzie. Zakonnice próbowały z nią rozmawiać, ale mówią, że trudno wydobyć coś sensownego z biedaczki. Boi się, że przybędzie gospodyni jej pani.

Posłaniec paplał, jakby chciał dowieść, że jest godny włączenia w krąg śledczych biskupa.

- Co do herbu na sakiewce tego biednego młodzieńca, może warto, pani, żebyś się naradziła z siostrą Lancelynie. Prowadzi rejestr zakonu i ma herbarz wszystkich rodzin, które w takim czy innym czasie dały datek. Może...

Nie tracił czasu w opactwie. Zmysłny posłaniec umiał wkraść się w łaski sług w odwiedzanych domach, bo to gwarantowało lepszą strawę i napitki przed ponownym wyruszeniem w drogę.

Buty Adelii chlupotały w brei na często używanej za dnia ścieżce. Wyczuwała węchem, że mijają piekarnię, potem kuchnię, pralnię. Wszystkie budynki były ciche i niewidoczne w ciemności.

Znowu otwarty teren. Znowu breja, ale tu i tam ślady na śniegu, gdy ktoś zszedł ze ścieżki.

Poczuła zagrożenie.

Wrażenie to było tak nagłe, niewytłumaczalne, tak silne, że się skuliła i znieruchomiała, jakby wróciła w zaułki Salerno i ujrzała na murze cień mężczyzny z nożem.

Posłaniec też się zatrzymał.

- Co się stało, pani?

- Nie wiem. Nic. - Ślady stóp na śniegu bez wątpienia były całkiem zwyczajne, ale dla niej, pamiętającej ślady na moście, wiązały się ze śmiercią.

Zmusiła się do podjęcia wędrówki.

Ostra woń gorącego metalu powiedziała jej, że mijają kuźnię z paleniskiem wygaszonym na noc. Teraz stajnia i zapach końskiego nawozu, który niedługo później przemienił się w krowi, gdy dotarli do obory.

Jacques otworzył jedno skrzydło drzwi, odsłaniając szerokie przejście pomiędzy zagrodami, w większości pustymi. Tylko nieliczne zwierzęta przeżyły ubój w dniu Świętego Michała, bo nigdy nie starczało paszy na wykarmienie bydła przez zimę. W głębi obory latarnia oświetliła oblepione łajnem zady i ogony krów, które zachowano przy życiu, żeby dostarczały mleka.

- Gdzie ona jest?

- Powiedzieli, że tutaj. Berta! - zawołał. - Berta!

Z mroku w końcu obory dobiegł pisk i szelest słomy, jakby ogromna mysz szukała dziury.

Jacques oświetlił drogę do ostatniej zagrody, po czym powiesił latarnię na haku wbitym w belkę.

- Jest tutaj. - Odsunął się, żeby Adelia mogła zajrzeć do środka.

Pod tylną ścianą piętrzyła się słoma.

- Berta? Nie zrobię ci krzywdy, chcę tylko porozmawiać - powiedziała Adelia.

Musiała powtórzyć to kilka razy, zanim w słomie coś się pokazało. Adelia z początku pomyślała, że to świński ryj, potem zrozumiała, że to twarz dziewczyny z nosem zadartym tak mocno, że widać było tylko nozdrza. Małe oczy, prawie bezrzęse, wpatrywały się w nią ze strachem. Szerokie usta poruszyły się i wydobył się z nich wysoki dźwięk:

- Non me fo. - Co brzmiało jak *non mefaux*. Adelia zwróciła się do Jacques'a:

- Jest Francuzką?

- O ile mi wiadomo, nie, pani. Chyba mówi, że to nie jej wina. Znowu bełkot:

- Niedajcobymewziela.

- Nie pozwól, żeby mnie zabrała - przetłumaczył Jacques.

- Pani Dakers? - zapytała Adelia. Berta skuliła się ze strachu.

- Obróćmemyśże.
- Przemieni mnie w mysz - powiedział Jacques.

Adelii mimo woli nasunęła się myśl, że Dakers nie musiałyby zbytnio się wysilać, żeby przemienić ją w zwierzę.

- Ipadnełapke. - Berta nabrała pewności siebie. Wyciągnęła chudą szyję, pokazując całą głowę z włosami koloru słomy, w której się kuliła.

- I wpadnę w pułapkę - powiedział Jacques.

Adelia zaczynała rozumieć bełkot Berty. Przekonała się już, że dziewczynę zastraszało ciemnymi zabobonami.

- Usiądź - poleciła.

Świńskie oczka zamrugały i Berta usiadła, rozrzucając słomę. Przywykła do ślepego posłuszeństwa.

- Posłuchaj - zaczęła Adelia cichszym tonem - nikt cię nie wini za to, co się stało, ale musisz mi powiedzieć, jak do tego doszło.

Berta pochyliła się i trąciła naszyjnik Adelii.

- Co to?

- Krzyż. Nie widziałas krzyża?

- Pani Roz ma podobny, śliczniej szy. Do czego to? Do czarów?

Coś nieprawdopodobnego! Czy nikt nie nauczył jej podstaw wiary chrześcijańskiej?

- Gdy tylko będę mogła, kupię ci podobny i wszystko wytłumaczę.

Ale teraz ty musisz wyjaśnić mi pewne rzeczy. Zrobisz to?

Berta pokiwała głową, wciąż wpatrzona w srebrny krzyżyk.

Tak się zaczęło. Adelia bardzo się napracowała, zanim zdołała wyciągnąć jakieś sensowne informacje z Berty, która z uporem powtarzała, że to nie jej wina. Dziewczyna była tak ciemna, tak naiwna, że Adelia wyrobiła sobie złe zdanie o Rozamundzie - żaden sługa nie powinien być do tego stopnia nieoświecony. Piękna Rozamunda! Nie ma nic pięknego w zaniedbaniu żalosnego dziecka, na wpół zagłodzonego, nieświadomego świata jak kret, który nie wyłazi z nory.

Trudno było ocenić jej wiek. Może miała szesnaście, a może dwadzieścia lat.

Jacques niepostrzeżenie przyniósł stołek do dojenia i postawił za nią. Usiadła, dzięki czemu oczy jej i Berty znalazły się na tym samym poziomie. Posłaniec stał w cieniu tuż za jej plecami, nie odzywając się ani słowem.

Adelia miała nadzieję, że śmierć Rozamundy to tragiczny wypadek.

Z opowieści Berty wynikało jednak, że była współsprawcą, choć nieświadomym, morderstwa z premedytacją.

Tego feralnego dnia poszła do lasu za wieżą Wormhold po chrust, nie po grzyby, ciągnąc sanki do przewiezienia strąconych kijem suchych gałęzi.

Należała do najniższej kategorii sług Rozamundy i już miała za sobą zły ranek. Dakers zabiła ją za upuszczenie garnka, powiedziała, że pani Rozamunda ma jej dość i zamierzają odprawić. Dla Berty, bez rodziny, oznaczałoby to włóczęgę i żebranie o jedzenie.

- To smoczyca - szepnęła, rozglądając się czujnie na wypadek, gdyby Dakers wleciała, łopocząc skrzydłami, by przysiąc na belce w oborze.

- Między sobą zwiemy ją Smoczyca Dakers.

Bojąc się gniewu gospodyni, nieszczęsna Berta nazbierała tyle chrustu, że gdy przywiązała go do sanek, nie mogła ich uciągnąć. Usiadła na ziemi i wykrzyczała w las swoje cierpienie.

- I wtedy przyszła ona.

- Kto?

- Starucha.

- Widziałas ją wcześniej?

- Nie. Nie pochodziła z naszych stron. Była drugą kucharką królowej Eleonory.

Wszędzie z nią podróżowała.

- Tak ci powiedziała?

- Tak.

- Jak wyglądała?

- Jak stara baba.

Adelia zaczerpnęła powietrza i spróbowała jeszcze raz:

- Bardzo stara? Opisz ją. Była dobrze ubrana? Czy w łachmanach?

Jaką miała twarz? Jaki głos?

Ale Berta, pozbawiona zmysłu obserwacji i odpowiedniego słownictwa, nie umiała odpowiedzieć na te pytania.

- Szpetna, ale dobra - powiedziała. Mogła podać tylko taki opis. W jej życiu życzliwość była czymś tak wyjątkowym, że zasługiwała na uwagę.

- Dobra?

- Dała mi grzyby. Zaczarowane. Rzekła, że przez nie pani Roz spojrzy na mnie...

- brzydki nos zmarszczył się z wysiłku, gdy Berta próbowała sobie przypomnieć użyte słowo - łaskawie.

- Powiedziała, że twoja pani będzie z ciebie zadowolona?

- Jużci.

Wymagało to czasu, ale w końcu rozmowa Berty i starej kobiety w lesie została zrekonstruowana.

- Sama tak robię - powiedziała starucha. - Przyrządzam mojej pani, królowej Eleonorze, takie grzyby, a wówczas patrzy na mnie łaskawie.

Berta zapytała z przejęciem, czy to się sprawdzi w przypadku niżej urodzonej damy.

- O tak, jeszcze lepiej.
- A gdyby moja pani chciała mnie odprawić?
- Odprawić? Urośniesz w jej oczach.

Potem stara dodała:

- Powiem ci, co zrobić, Berto, moja kacuszko. Podobasz mi się, więc dam ci grzyby, a ty je przyrządzisz dla swojej pani. Lubi grzyby, prawda?

- Przepada za nimi.
- W takim razie weź. Przyrządzisz je i spotka cię nagroda. Tylko zrób to od razu.

Zdumiona Adelia zastanawiała się przez chwilę, czy to nie bajka, którą Berta zmyśliła, żeby ukryć swoją winę. Porzuciła tę myśl, bo dziewczyna niezdolna była do zmyślenia, a przecież nikt nie zadałby sobie trudu, żeby opowiadać jej bajki o tajemniczych staruszkach, które spełniają marzenia.

Tamtego dnia w lesie, Berta, znów pełna sił, przywiązała kosz z grzybami do chrustu i pociągnęła sanki do wieży Wormhold.

Pani Dakers wybrała się na targ po nową kucharkę - jak się zdaje, kucharki ciągle odchodziły, nie wytrzymując terroru gospodyni. Służący skorzystali z okazji i zrobili sobie wychodne, zostawiając Piękną Roza-mundę zupełnie samą.

Tak oto w pustej kuchni Berta zabrała się do pracy. Osądziła, że grzybów starczy na dwa posiłki, więc podzieliła je z myślą, że część zostawi na jutro. Połowę wrzuciła do rondla z masłem, szczyptą soli, ząbkiem dzikiego czosnku, odrobiną pietruszki, rozgrzała na ogniu, aż puściły soki, i zaniosiła danie na szczyt wieży, gdzie Rozamunda siedziała przy stole, zajęta pisaniem listu.

- Umiała pisać - mruknęła z podziwem.
- I zjadła grzyby?
- Pożarła. - Dziewczyna pokiwała głową.

Czary zadziały. Pani Rozamunda, co było niezwykle, uśmiechnęła się do Berty, podziękowała jej, powiedziała, że jest dobrą dziewczyną.

Później zaczęły się konwulsje...

Nawet teraz, jak stwierdziła Adelia, Berta nie podejrzewała staruchy z lasu o zdradę.

- Widać jakiś zły grzyb przez omyłkę trafił do koszyka - powiedziała.

Zaprzeczanie nie miało sensu, ale pomyłka nie wchodziła w rachubę. Wśród grzybów, które Berta odłożyła na później i które Rowley pokazał Adelii, grzyby trujące były równie liczne jak okazy jadalne - i starannie z nimi przemieszane.

Berta jednak nie chciała uwierzyć w złą wolę kogoś, kto okazał się dla niej taki dobry.

- To nie jej wina ani moja.

Adelia siedziała na stołku, zastanawiając się. Oczywiście morderstwo; tylko Berta mogła wierzyć w wypadek, tylko Berta mogła myśleć, że królewscy słudzy wałęsają się po lesie, rozdając zaczarowane grzyby każdej napotkanej osobie. Plan został drobiazgowo opracowany. Stara kobieta, kimkolwiek była, utkała sieć, by złowić tę właśnie muchę dokładnie tego dnia, gdy Smoczycy Dakers zabrakło u boku jej pani.

Co znaczyło, że starucha знаła obyczaje panujące w domu Rozamundy albo została dokładnie przez kogoś poinstruowana.

Rowley ma rację, komuś zależało na śmierci Rozamundy i wplątaniu w to królowej. Gdyby Eleonora zleciła zabójstwo, nie posłałaby kobiety, która wymieni jej imię. Nie, to nie Eleonora. Ktokolwiek to zrobił, nienawidził królowej bardziej niż Rozamundy. A może chciał wzbudzić wściekłość jej męża i tym samym pograć Anglię w wojnie?

W oborze panowała cisza. Mamrotanie Berty ucichło. Słyszeć było tylko odgłosy przeżuwania siana przez krowy.

- Na miłość boską, nie zauważyłaś niczego więcej? - zapytała Adelia z rozpaczą.

Berta rozmyślała, kręcąc głową. Nagle zrobiła zdumioną minę.

- Pachniała ładnie.

- Jak?

- Ładnie. - Dziewczyna podczołgała się bliżej, poruszając nozdrzami. - Jak ty.

Mydło. Dobre, wonne mydło. Jedyne luksus, na jaki pozwalała sobie Adelia. Użyła mydła ledwie dwie godziny temu, w czasie kąpieli, gdy zmywała brud po podróży. Raz w roku przybrana matka przysyłała jej z Rzymu kostki z ługu, oliwy i olejków kwiatowych - Adelia poskarżyła się w jednym z listów, że mydło w Anglii, wyrabiane z łożu bydlęcego, sprawia, że użytkownicy pachną jak sztuka mięsa gotowa do pieczenia.

- Pachniała jak kwiaty? - zapytała. - Róże? Lawenda? Rumianek?

- Zrozumiała, że to bez sensu. Jeśli nawet Berta znała te rośliny, to tylko pod jakimiś miejscowymi nazwami.

Ale to była ważna informacja. Zwyczajna staruszka zbierająca grzyby w lesie nie pachnie perfumowanym mydłem, jeśli w ogóle używa mydła.

Podnosząc się, Adelia zapytała:

- Jeśli poczujesz znowu taki zapach, powiesz mi?

Berta pokiwała głową. Wpatrywała się w krzyżyk pod szyją Adelii, jakby, choć nie znała jego znaczenia, mówił jej o nadziei.

A na co ty masz nadzieję, biedactwo?

Adelia z westchnieniem zdjęła łańcuszek i wsunęła go w brudną, drobną dłoń Berty.

- Zatrzymaj go, dopóki nie kupię ci innego.

Ten gest wiele ją kosztował. Nie z powodu symboliki krzyża - znała zbyt wiele religii, żeby pokładać całą wiarę w jednej z nich - ale dlatego że dostała krzyżyk od Małgorzaty, piastunki, prawdziwej chrześcijanki, która zmarła w drodze do Anglii.

Ale poznała miłość. Miała dziecko, zawód, przyjaciół.

Berta, która nie miała niczego takiego, zacisnęła krzyżyk w ręce i becząc ze szczęścia, zakopała się w słomie.

W drodze powrotnej Jacques zapytał:

- Wierzysz, pani, że ta świnka potrafi wywęszyć trufle?

- Przypuszczam, że nos Berty jest najlepszym instrumentem, jakim dysponujemy. Jeśli znowu poczuje ten zapach od kogoś, kto kupuje zagraniczne mydło, dowiemy się, kto jest dostawcą, a dostawca z kolei poda nam listę klientów.

- Sprytne - powiedział posłaniec z podziwem. Po chwili zapytał:

- Myślisz, że królowa jest w to zamieszana?

- Ktoś chce, żebyśmy tak właśnie myśleli.

Rozdział 5

Czterej jeźdźcy i pies zatrzymali się na wzniesieniu nad doliną i przyjrzeni budowlom na szczycie następnego wzgórza.

Wieża Wormhold wraz z tym, co ją otaczało, wyglądała nieco wulgarnie. Strzelista, nakryta kopułą - galerijka wokół szczytu zwiększała podobieństwo do fallusa - wyrastała nad pierścieniem labiryntu, który

przypominał mężczyznom kobiece włosy łonowe. Wyglądała jak nieprzystojny rysunek, nagryzmołony na tle nieba przez dziecko olbrzyma.

Biskup przywiódł ich tu cwałem, bojąc się, że mogą zatrzymać ich śniegi, ale teraz wyraźnie miał ochotę sycić oczy sprośnym widokiem.

Podróż na północ ścieżką holowniczą, która biegła z Godstow do miejsca oddalonego o pół mili od wieży, okazała się łatwa. Tak łatwa, że Adelia wyzbyła się lęku, iż zła pogoda utrudni jej powrót do dziecka.

Wprawdzie napotkani flisacy ostrzegali ich przed śniegiem, ale na razie dzień był bezchmurny, choć słońce nie stopiło śniegu z zeszłej nocy. Białe pola radowały oczy, przywodząc na myśl pościel rozpostartą do wysuszenia pod błękitnym niebem.

Dalej na południe, na rzece, od której właśnie się oddalili, Mansur i dwaj zbrojni biskupa z paroma ludźmi z Godstow płynęli barką, która miała przewieźć do klasztoru zwłoki Rozamundy, gdy biskup Rowley zabierze je z wieży.

Ale najpierw musieli przebyć labirynt otaczający warownię zmarłej kobiety.

- Mówiłem ci - rzekł Rowley do Adelii, mrugając zarazem do Walta
- że to największy pas cnoty w chrześcijańskim świecie?

Próbował ją sprowokować.

- Nie sądziłam, że będzie taki duży - odparła i westchnęła w duchu.

Nie bawiło jej to. Labirynt w St. Giorgio w Salerno był uważany za

cud świata, jego długość i złożoność miały symbolizować podróż duszy przez życie. Ale ten tutaj przewyższał go ogromem. Otaczał wieżę pierścieniem tak szerokim, że zajmował większą część zbocza po tej stronie wzgórza. Zewnętrzny mur labiryntu miał dziewięć albo dziesięć stóp wysokości, a wewnątrz z tej odległości zdawało się wypełnione białą wełną.

Przeorysza Godstow ostrzegła ją przed wyjazdem.

- Tarnina - powiedziała z odrazą. - Dasz wiarę? Granitowe mury obsadzone tarniną...

Kamień i żywopłot, wijący się w śniegu.

To nie żaden pas cnoty, lecz wąż, wielki wąż dusiciel.

- Ci, którzy go strzegą, mają używanie - stwierdził Walt, a Rowley ze śmiechu omal nie spadł z konia.

Siostra Havis uprzedziła Adelie, czego się może spodziewać. Labirynt został zbudowany wokół wieży przez szalonego saskiego nekromantę, a następnie powiększony przez jednego z rycerzy Wilhelma Zdobywcy, w celu powstrzymania wrogów od wejścia i kobiet od wyjścia.

Potomkowie tego rycerza zostali z kolei wywłaszczeni przez Henryka Plantageneta, który uznał to miejsce za dogodną siedzibę dla kochanki, gdyż sąsiadowało z lasem Woodstock, gdzie miał pawilon myśliwski.

- Architektoniczna sprośność - powiedziała ze złością siostra Havis. - Symbol męskiej chuci. Miejscowi są pełni strachu i podziwu, jeśli nawet się wyśmiewają. Nieszczęsna lady Rozamunda. Obawiam się, że król uznał ulokowanie jej w wieży za zabawny pomysł.

- Z pewnością. - Adelia знаła poczucie humoru Henryka Plantageneta.

I Rowleya.

- Spróbujemy go sforsować - powiedział biskup. - Trochę w prawo, trochę w lewo i wszyscy będą radzi.

Słuchając ich śmiechu, Adelia zaczęła współczuć Rozamundzie. Czy nie miała nic przeciwko mieszkaniu w miejscu, które wręcz się dopraszało o sprośne komentarze z ust każdego mężczyzny?

Biedaczka. Nawet martwej okazywano niewiele szacunku.

Ze śniegiem leżącym na murach i gałęziach labiryntu wieża wyglądała tak, jakby wyrastała z białego mchu. Adelia przypomniała sobie starszego mężczyznę, pacjenta przybranego ojca. Demonstrowała na nim, jak leczyć przepuklinę w kroczu. Nagle, ku ogólnej konsternacji, pacjent dostał erekcji.

Popatrzyła na Rowleya.

- Pamiętajmy - powiedziała z naciskiem - że jest tam martwa kobieta.

Wskazał ręką.

- Zadzwonimy.

Zaskoczona widokiem wieży, nie zauważyła konstrukcji stojącej nieco niżej na zboczu, obok koryta dla koni.

Jak wszystko inne w Wormhold, była to rzecz przedziwna: wysoki na osiem stóp drewniany trapez, z którego zwisał dzwon wielki jak w katedrze.

- Śmiało, Jacques - ponaglił biskup. - Dzwon.

Posłaniec zsiadł z konia i zakołysał liną zwisającą z serca dzwonu.

Adelia przywarła do karku spłoszonej klaczy, a Walt chwycił wodze wierzchowca Jacques'a, żeby nie uciekł. Ptaki poderwały się z drzew, gdy potężny dźwięk dzwonu rozniósł się po dolinie. Nawet Strażnik, najbardziej niewrażliwy z kundli, podniósł głowę i szczeknął.

Po chwili echo ucichło.

Rowley zaklął.

- Jeszcze raz - polecił. - Gdzie jest Dakers? Ogluchła?

- Na pewno - powiedział Jacques - ten hałas zbudziłby nieboszczyka. - Spostrzegł swoją niezręczność. - Wybacz, panie.

Wielki dzwon zahuczał po raz drugi, wstrząsając ziemią. I tym razem nikt się nie pojawił.

- Chyba kogoś widziałem - mruknął Walt, mrużąc oczy w słońcu.

Adelia też zauważyła na galeryjce wieży czarną sylwetkę, która na tychmiast zniknęła.

- Wyszlaby, gdybym był w biskupich szatach - orzekł Rowley. Miał na sobie strój myśliwski. - Cóż, to na nic. Sami znajdziemy drogę, pa miętam ją dokładnie.

Ruszył w dół zbocza galopem, a peleryna powiewała za jego plecami. Pozostali z większą ostrożnością podążyli za nim.

Wejście w murze labiryntu znowu rozbawiło mężczyzn. Dwa kamienne łuki stykały się u góry i na dole, tworząc szeroką na dziesięć stóp szczelinę, która przywodziła na myśl srom kobiecy. Sugestię tę podkreślało otoczenie, rzeźbione w kamieniu węże, wijące się wśród różnych owoców.

Choć szczelina była dość duża, mieli kłopoty z przeprowadzeniem koni i musieli zasłonić im oczy. Zdaniem Adelii w ten sposób zwierzęta okazały większą przyzwoitość niż mężczyźni, którzy nie szczędzili nieprzystojnych uwag, ciągnąc je za wodze.

W labiryncie mieli przed sobą w miarę szeroką drogę, ale wysoki żywopłot z tarciny przysłaniał słońce, tworząc tunel, do którego docierało tylko nikłe, szare światło. Czuli zapach butwiejących liści.

Splecione gałęzie sklepienia wisały zbyt nisko, żeby mogli dosięść koni, musieli więc je prowadzić.

- Chodźcie - ponaglił ich Rowley.

Po paru zakrętach przestali słyszeć śpiew ptaków. Droga się rozwidliła. Mieli przed sobą dwa tunele równie szerokie jak ten, którym przyszli, jeden wiodący w lewo, drugi w prawo.

- Tędy - zdecydował biskup. - Skręcimy na północny wschód ku wieży. Grunt to nie stracić orientacji.

Do serca Adelii zakradły się pierwsze wątpliwości.

- Panie, nie jestem pewna, czy to...

Ale Rowley już pędził dalej.

Był tu wcześniej, może jednak pamięta drogę. Adelia szła za nim wolniej, za nią dreptał pies. Słyszała, jak Walt, zamykający tyły, mruczy:

- Wormhold. Dobra nazwa dla tego węża.

Na targowiskach zawodowi bazarze - których Anglicy zwali skaldami - straszili słuchaczy opowieściami o wielkim wężu-smoku, który wił się przez saksońskie legendy jak tunele labiryntu.

Adelia wspomniała Ulfa, który uwielbiał te opowieści i udawał saksońskiego wojownika - jak on się nazywał? - pogromcę jednego takiego potwora.

Tęskniła za Ulfem. Tęskniła ze Allie. Nie chciała przebywać w legowisku smoka.

Ulf opisywał go z lubością: „Straszny był, krył się głęboko w ziemi i śmierdzał krwią martwych ludzi”.

Przynajmniej smród został im oszczędzony. Ale mieli wrażenie, że wędrują po podziemnym labiryncie bez wyjścia. Ten budowniczy zrealizował zamysły Dedala. To tłumaczyło obecność tarniny. Gdyby nie krzaki, mogliby wspiąć się na mur, zobaczyć, dokąd się kierować, i odetchnąć świeżym powietrzem, ale tarnina miała ciernie, które darły ciało na strzępy niczym zęby smoka.

Jej to nie przerażało - wiedziała, jak się wydostać - ale zauważyła, że mężczyźni przestali się śmiać.

Skręcili na południe i ujrzeli trzy tunele. Rowley bez wahania wybrał drogę w prawo.

Za następnym zakrętem droga znowu się rozwidliła. Adelia usłyszała przekleństwo Rowleya. Wyciągnęła szyję, żeby ponad końskim zadem spojrzeć, jaka jest tego przyczyna.

Ślepy zaułek. Rowley wyciągnął miecz i dźgnął żywopłot tarasujący drogę. Zgrzyt metalu o kamień świadczył, że pnącza skrywają mur.

- Przeklęte diabelstwo. Musimy zawrócić. - Podniósł głos. - Wracaj, Walt.

Tunel był za wąski, żeby obrócić konie bez narażania ich łbów i zadów na po-drapanie; mogłyby się wówczas spłoszyć.

Klacz Adellii nie chciała się cofnąć ani iść dalej.

Rowley precyzyjnie się obok swojego wierzchowca, chwycił uzdę oburącz i pchał klacz, aż wycofała się ze ślepego zaułka do miejsca, gdzie mogli zawrócić.

- Mówiłem, że powinniśmy iść na północny wschód - powiedział do Adellii, jakby to ona wybrała tę drogę.

- A gdzie jest północny wschód?

Ale zirytowany biskup już ruszył dalej i Adelia musiała przynaglić klacz do truchtu, żeby nie stracić go z oczu.

Następny tunel. I jeszcze następny. Adelia straciła orientację. Pewnie tak, jak Rowley.

Zgubiła go w następnym tunelu. Stała na rozwidleniu, nie wiedząc, którą odnogę wybrać.

- Dokąd poszedł? - zapytała Jacques'a, a potem zwróciła się do psa:

- Gdzie on jest, Strażniku?

Twarz posłańca poszarzała, jakby nagle się postarzał.

- Wyjdziemy stąd, pani?

- Oczywiście - odparła uspokajająco. Wiedziała, co on czuje. Ciernisty dach przytłaczał, byli kretami bez krecich umiejętności wychodzenia na powierzchnię.

Skądś dobiegł stłumiony głos Rowleya:

- Gdzie jesteście, do diabła?

Nie mogli go zlokalizować, bo tunele tłumiły dźwięk i zmieniały jego kierunek.

- A gdzie ty jesteś?

- Na Boga, nie ruszajcie się z miejsca, wracam.

Pokrzykiwali, żeby go prowadzić. Odkrzykiwał, głównie rzucając przekleństwa. Złorzeczył po arabsku, czego nauczył się podczas wyprawy krzyżowej. Czasami jego głos rozlegał się tak blisko, że aż podskakiwali, potem przycichał, brzmiał głucho, gdy Rowley pomstował na labirynty w ogólności i ten jeden w szczególności. Kłął panią Dakers. Kłął Ewę i jej przekłętą węża... Nawet, o zgrozo, gdy tarnina rozdarła mu płaszcz, Rozamundę i jej przekłete grzyby.

Strażnik strzygł uszami, jakby ciesząc się z tej przygody.

Zawsze wina jest po stronie kobiet. Rowley nie przeklinał mężczyzny, który zbudował ten koszmar, nie przeklinał króla, który uwięził w nim Rozamundę.

Adelia pomyślała: boją się. Walt może nie, ale Rowley na pewno. I Jacques też.

Wreszcie wysoka sylwetka zamajaczyła w cieniu, prowadząc konia w jej stronę.

- Czego tu sterczysz, niewiasto? Zawracaj. Powinniśmy skręcić w drugą stronę.

Znowu jej wina. Znowu klacz nie chciała się ruszyć, dopóki biskup nie chwycił za uzdę i nie popchnął.

Nie chcąc zawstydząć go przy mężczyznach, Adelia powiedziała cichym głosem:

- Rowley, to nie jest labirynt.

- Nie, jasne, że nie. Jesteśmy w trzewiach zsranej matki Grendela, bodaj Bóg ją przeklął! - odparł głośno.

Przypomniała sobie. Beowulf. Tak się nazywał. Beowulf, ulubiony legendarny saski wojownik Ulfa, pogromca Wyrna, na wpół ludzkiego potwora Grendela i jego strasznej, mściwej matki, krążącej pomiędzy ziemią a piekłem w kobiecej postaci.

Dlaczego zawsze kobiety są wszystkiemu winne... wszystkiemu, od upadku człowieka po ten przeklęty żywopłot?

- Nie jesteśmy w labiryncie, panie - powtórzyła wyraźnie.

- Zatem gdzie?

- W płątaninie.

- Na jedno wychodzi. - Warknął do konia: - Zawracaj.

- Wcale nie. W labiryncie jest tylko jedna droga. To symbol życia. Droga w labiryncie wije się i skręca, ale ma początek i koniec, wiedzie przez ciemność ku światłu. Jak labirynt Ariadny.

- Nie chcę mitów, pani, pięknych czy niepięknych. Chcę dotrzeć do tej nieszczęsnej wieży. Czym więc jest labirynt, gdy nie jest labiryntem?

- Sztuczka. Sztuczka, która ma dezorientować. Wprawić w zdumienie.

- I pani wie, jak nas wyprowadzić?

- Tak, w istocie. - Szydził z niej. Miała ochotę nie ruszyć się z miejsca i pozwolić, żeby się pocił ze strachu.

- Zatem zrób to, na Boga.

- Przestań na mnie wrzeszczeć!

Zobaczyła na jego twarzy pojednawczy uśmiech. Powiedział po cichu:

- Biskup St. Albans składa wyrazy uznania pani Adelii i prosi, żeby na litość boską wyprowadziła go z tej nory czarownicy. Jak to zrobisz?

- Moja sprawa. - Niech ją diabli, jeśli mu powie. Kobiety były wystarczająco bezbronne i bez ujawniania swoich sekretów. - Pójdę pierwsza.

Cofnęli konie do skrzyżowania, gdzie mogli je zawrócić bez narażania na zranienie, choć ciasnota nie pozwoliła na przeprowadzenie jednego obok drugiego. Dlatego Adelia musiała poprowadzić wierzchowca Walta, Walt konia posłańca, Jacques jej klacz, a Rowley na końcu swojego rumaka. Manewr ten wzbudził niezadowolenie. Nawet Jacques, jej sprzymierzeniec, zapytał:

- Jak zamierzasz nas wyprowadzić, pani?

- Po prostu to zrobię. Ale może to potrwać.

Szła na czele, trzymając w prawej ręce wodze wierzchowca Walta. W drugiej miała pejcz, którym z pozorną niedbałością muskała żywopłot.

Gdy szli, mamrotała pod nosem. Boże, jak w tym przeklętym kraju lekceważy się kobiety!

Wróciła myślami do powodów, które skłoniły ją do odrzucenia propozycji małżeństwa z Rowleyem. Spodziewał się, że z czasem król da mu baronię, nie biskupstwo, tym samym zezwalając na ożenek. Choć za nim szalała, zgoda oznaczałaby założenie złotych kajdan. Jako jego żona nigdy nie byłaby sobą, *Medica* z Salerno.

Adelia nie posiadała cenionych niewieścich talentów. Nie umiała tańczyć, nie grała na lutni, nigdy nie tknęła tamborka - w jej przypadku szycie ograniczało się do zszywania trupów, które rozkroiła. W Salerno mogła doskonalić swoją sztukę, ale w Anglii nie było dla niej miejsca. Kościół przeklinał białogłowy, które nie chciały się mu podporządkować - więc dla własnego bezpieczeństwa zmuszona była wykonywać zawód w tajemnicy, pozwalając, by mężczyzna przypisywał sobie zasługi.

Jako żona barona Rowleya byłaby fetowana i komplementowana, ludzie gięliby się przed nią w ukłonach. Jak długo by to wytrzymała?

Na ironię, im niżej kobiety stały na drabinie społecznej, tym większą cieszyły się swobodą. Żony robotników i rzemieślników mogły pracować ze swoimi mężami, a czasami, gdy owdowiały, nawet przejmować ich fach. Gyltha, dopóki nie została przyjaciółką Adelii i piastunką Allie, handlowała węgorzami i żadnego mężczyzny nie zwała swoim panem.

Adelia brnęła dalej w głąb nory czarownicy, trzewi matki Grendela. Dlaczego to okropne miejsce zagubionym w nim mężczyznom kojarzyło się z płcią niewieścią? Z powodu tuneli? Podobieństwa do łona? Czy to magia kobiet? Wielkie łono?

Czy dlatego Kościół nienawidzi kobiet, ponieważ są źródłem prawdziwej siły? Źródłem życia?

Boże, pomyślała nagle, tu nie chodzi o nienawiść. To strach. Oni się nas boją.

Zaśmiała się cicho. Z jej ust wydostał się dźwięk zwielokrotniony echem, przypominający każdego mężczyznę o drżenie.

- Do diabła, co to było?

- Chyba ktoś się z nas śmieje, panie - odparł Walt beznamiętnie.

- Dobry Boże!

Wciąż uśmiechnięta Adelia zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Walt patrzy na nią. Z rozbawieniem, przyjaźniej niż przedtem. Śledził wzrokiem pejcz przesuwany po żywopłocie. Mrugnął do niej.

Wie, o co tu chodzi.

Podniosła ją na duchu świadomość, że ma nowego sojusznika. Przyspieszyła kroku.

Robiło się coraz ciemniej.

Było dopiero popołudnie, ale niskie zimowe słońce nie oświetlało już tej części labiryntu. Wolą nie myśleć, jak jest tutaj w ciemności.

Już teraz było strasznie. Wędrówka wzdłuż żywopłotu od czasu do czasu prowadziła w ślepe zaułki. Zmęczyło ich mozolne zawracanie coraz bardziej niespokojnych koni. Za każdym razem Adelia słyszała narzekanie Rowleya:

- Do diabła, czy ta kobieta wie, co robi?

Sama zaczęła wątpić. Czy żywopłot ciągnie się bez przerwy? Jeśli ta część labiryntu jest oddzielona od reszty, będą się błąkać, dopóki się tu nie uduszą.

Cienie przed Adelią złośliwie szczerzyły zęby, bez słów mówiąc straszne rzeczy. Nie wyjdiesz. Jesteś zamknięta w środku. Już nie zobaczysz swojego dziecka.

Ze strachu spociły jej się ręce. Chcąc chwycić wyslizgujący się pejcz, wpadła na żywopłot. Na jej głowę i twarz posypał się śnieg.

Opamiętała się. Nie ma tu żadnych czarów. Starając się nie słyszeć przekleństw Rowleya - śnieg posypał się na wszystkich - szła dalej.

Walt rzekł, jakby dla zabicia czasu:

- Ciekaw jestem, jak utrzymują ten żywopłot. Pewnie strzygą go dwa razy w roku. Trzeba do tego wielu ludzi. I kosztuje to niemało.

Walt miał rację. Utrzymanie labiryntu wymagało całej armii ludzi.

- Nie tylko do przycinania, ale też do zamiatania - zauważyła. Na ścieżkach nie było gałązek. - Nie chciałabym, żeby mój pies wbił sobie cierń w łapę.

Walt przyjrzał się Strażnikowi drepczącemu za Adelią.

- Nigdy dotąd takiego nie widziałem. - Powiedział to takim głosem, jakby wolał nadal nie oglądać.

Wzruszyła ramionami.

- Przywykłam do niego. Wydzielają specyficzną woń. Niedługo po tym, jak przybyłam do Anglii, przeor Gotfryd z Cambridge dał mi jego poprzednika, który potrafił mnie odnaleźć, gdy się zgubiłam. Tego dostałam, gdy tamten... padł.

Zabity i poćwiartowany, gdy w Cambridge wytropiła mordercę dzieci w kryjówce tysiąckroć straszniejszej od tego labiryntu. Uratował ją wtedy zapach, jaki za sobą zostawił. Dlatego przeor i Rowley nalegali, że powinna mieć drugiego takiego psa.

Gawędziła z Waltem, a zarośla chłoneły ich głosy. Okazało się, że Walt miał córki i obrotną żonę, która pod jego nieobecność zarządzała gospodarstwem.

- Długo mnie tam nie zobaczą. Biskup Rowley wybrał mnie spośród katedralnych masztalerzy, więc ruszyłem z nim w drogę.

- Trafny wybór - orzekła Adelia szczerze.

- Inni nie przepadają za księdzem biskupem. Nie podoba im się, że jest przyjacielem króla Henryka. Pamiętają śmierć biednego świętego Tomasza, zabitego w Canterbury.

- Rozumiem. - Rowley, mianowany przez króla, spotykał się z wrogością ludzi we własnej diecezji.

Nigdy nie była pewna, czy winą za zamordowanie Tomasza Becketa na schodach katedry słusznie obciąża się Henryka Plantageneta, chociaż król w gniewie żądał jego śmierci. Czy Henryk, głośno domagając się głowy arcybiskupa, był świadom tego, że niektórzy z jego rycerzy, z osobistych powodów pragnący śmierci Becketa, chętnie spełniającego wolę?

Może tak. Może nie.

Ale gdyby nie interwencja króla Henryka, zwolennicy świętego Tomasza skazałyby ją na pręgierz. Niewiele brakowało.

Adelia stała po stronie Henryka. Uznany za męczennika arcybiskup utożsamiał Kościół; Kościół był nieomylny, prawa kościelne i boskie musiały być przestrzegane bezdyskusyjnie, bez żadnych poprawek. Henryk, który miał wiele wad, ale dzięki nim był bardziej ludzki, chciał zmian na korzyść ludu. Becket sprzeciwiał mu się na każdym kroku i nadal to robił z za grobu.

- Ja, Oswald, ojciec Paton i Jacques, wszyscy jesteśmy nowi - mówił Walt. - Nie psiojemy na biskupa Rowleya, w przeciwieństwie do innych. Tamci są na niego wściekli, bo jest człowiekiem króla. Ojciec Paton i Jacques dołączyli do niego tego samego dnia, gdy objął biskupstwo.

Świadom istnienia wielkiej przepaści pomiędzy królem a męczennikiem, nowy biskup wybierał nowych służących. Miał rację, sądząc po Walcie i Jacques'u. Posłaniec zaczynał się już denerwować.

- Mamy zawołać o pomoc, panie? - zapytał Rowleya. Biskup tym razem okazał mu wyrozumiałość.

- Już niedługo, synu. Zaraz wyjdziemy.

Nie mógł tego wiedzieć, ale rzeczywiście zbliżali się do wyjścia. Adelia właśnie zobaczyła na to dowód. Obawiała się, że biskup nie będzie zbyt zadowolony.

Walt odchrząknął, gdy zobaczył to, co ona - przed nimi w tunelu leżała kupka końskiego nawozu.

-Napaskudził, gdy wchodziliśmy - powiedział Walt cicho, ruchem głowy wskazując konia, którego prowadziła Adelia. Wierzchowiec należał do niego, szedł ostatni, gdy zagłębili się w labiryncie.

Idący za nimi mężczyźni nie słyszeli tej rozmowy i nie zwrócili uwagi na nawóz rozdeptany kopytami koni.

Kolejny zakręt tunelu. Światło.

Adelia wyprowadziła konia na czyste, zimne powietrze. Zachodzące słońce oświetlało szubienicę z wielkim dzwonem na wzgórzu, z którego zjechali dwie godziny temu.

Jeden po drugim wszyscy wyszli z labiryntu. Zapanowała cisza.

Adelia zwróciła się do biskupa Rowleya:

-Jeśli labirynt jest ciągły, jeśli nie ma przerw i żywoploty są połączone, trzymając się jednej strony, musisz w końcu przejść na drugą stronę, to nieuniknione... - Jej głos załamał się żałośnie. -Ale wybrałam ciąg po lewej stronie. Okazał się niewłaściwy.

Cisza. W gasnącym świetle dnia wrony krążyły radośnie nad czubami wiązków, krakaniem szydząc z przykutych do ziemi ludzi.

- A więc trzymając się żywoplotu po prawej stronie, w końcu dotarlibyśmy do miejsca przeznaczenia?

- Tak.

- Żywoplot z prawej strony?

- Chcesz nas tam znowu zabrać?

- Tak - odparł biskup krótko.

Boże, spędzą tu całą noc. Czy z Allie wszystko w porządku?

Znowu uderzyli w wielki dzwon na wypadek, gdyby osoba, którą widzieli na galerii wieży, zmięknęła i zechciała ich wpuścić. Gdy poili konie przy korycie, stało się jasne, że nikt się nie zjawi.

W milczeniu zapalali latarnię. W labiryncie będą panowały całkowite ciemności.

Rowley ściągnął czapkę z głowy i ukląkł.

-Nie opuszczaj nas, Panie, przez wzgląd na miłość do Twego ukochanego Syna.

Tak oto ponownie weszli do labiryntu. Świadomość, że ma koniec, podniosła ich na duchu, choć bezustannie musieli skręcać i wycofywać się ze ślepych uliczek. Z każdym krokiem byli coraz bardziej zmęczeni.

- Jak to się stało, że znasz się na labiryntach, pani? - zapytał Walt.

- Mój przybrany ojciec wiele podróżował po Wschodzie i widywał labirynty, choć nie takie wielkie.

- Pewnie jest też prosta droga, ale jej nie znamy.

Adelia przyznała mu rację. Takie odcięcie od świata musiało być dla mieszkańców wieży wielce niedogodne. Niewątpliwie istniała prostsza droga. Przypuszczała, że istnieją tu furtki zamaskowane tarniną, prowadzące na prostą drogę.

Ale nie mogli z niej skorzystać. Sprawdzanie każdej ściany trwałoby zbyt długo. Szli w milczeniu, nawet Walt przestał gadać.

Noc zbudziła labirynt do życia. Zmarły dawno temu szarlatan, który go zaprojektował, nadal próbował ich straszyć. W świetle latarni tunel ze splecionych gałęzi wyglądał jak bezkresna szara pończocha, w której roiły się niewidoczne stworzenia.

Gdy wydostali się na zewnątrz, było za ciemno, żeby zobaczyć, jak z tej strony wygląda wejście. Nikomu nie było już do śmiechu.

Tunele chroniły ich przed mroźnym powietrzem, które teraz zaatakowało z pełną siłą. Poza krzykiem zaniepokojonej sowy, która zerwała się z muru i odleciała, powoli machając skrzydłami, w wieży po drugiej stronie dziedzińca panowała cisza. Budowla, bardziej masywna niż się wydawało z daleka, sięgała wysoko w niebo, gdzie gwiazdy mrugały lodowato niczym rozsypane diamenty.

Jacques wyjął z sakwy drugą latarnię i świece, po czym ruszył pierwszy w cień u stóp wieży, gdzie znajdowały się schody.

Żaden człowiek nie chodził po dziedzińcu od czasu ostatniego śniegu, ale wokół było pełno śladów zwierząt i ptaków. Ośnieżone garby okazały się porzuconymi przedmiotami: połamane krzesło, strzępy tkanin, beczka z wgniecionymi klepkami, potłuczone garnki, warząchew.

Walt potknął się o kubek z martwą kurą w środku. Zamarznięte ścierwo psa z wyszczerzonymi zębami leżało na końcu łańcucha.

Rowley kopnął kubek, wyrzucając kurę w powietrze.

- Nielojalni łajdacy, banda złodziei.

Czyżby?

Podobno po śmierci Wilhelma Zdobywcy słudzy natychmiast odarli jego zwłoki z odzienia i uciekli ze wszystkim, co tylko mogli unieść.

Czy słudzy Rozamundy zrobili to samo po jej śmierci? Rowley nazwał to nielojalnością, ale Adelia pamiętała, co pomyślała o zaniedbaniu Berty przez Rozamundę. Lojalność mogła wyrastać tylko ze wzajemnego szacunku. Czy Rozamunda po kimś płakała? Jeśli nie, dlaczego ktoś miałby po niej zapłakać?

Weszli po lśniących od lodu stopniach i stanęli przed drzwiami z grubych dębowych desek. Nie było kołatki. Walili pięściami i słyszeli, jak po

drugiej stronie łoskot rozchodzi się echem niczym w pustej jaskini. Nikt nie odpowiedział.

Trzymając się razem - nikt nie zaproponował, żeby się rozdzielić - szli wokół wieży, przechodząc z dziedzińca na dziedziniec, i znaleźli drugie drzwi. Te przynajmniej znajdowały się na poziomie ziemi.

- Wyłamiemy je.

Najpierw jednak musieli zająć się końmi. Ścieżka wiodła na puste podwórze stajenne ze studnią. Walt wrzucił do niej kamień. Plusk rozwiął jego obawy, że woda zamarzła. W zagrodach leżała słoma, choć nieco brudna, a w żłobach nie brakowało owsa. Widocznie zostały napełnione niedługo przed kradzieżą zwierząt.

- Na razie wystarczy - burknął Walt.

Zostawili go, gdy odłupywał lód z kołowrotu przy studni.

Grabieżcy brali wszystko, co popadnie, w ogromnym pośpiechu. W obórcie została jedna krowa. Nie padła łupem złodziei, bo akurat się cielila. Zdechła razem z cielakiem, który nawet się nie wydostał z worka płodowego.

Schylając się pod sznurem, na którym wisały sztywne jak blacha płócienne płachty, zbadali zabudowania kuchenne. Komórka służąca do mycia i przechowywania naczyń została ogołocona, z kuchni zniknęło wszystko z wyjątkiem stołu, który okazał się za ciężki do wyniesienia.

Zajrzeli do stodoły. W polepie widniały odciski w miejscu, gdzie kiedyś leżały pług i brona. I...

- Co to, panie?

Jacques podniósł latarnię, oświetlając coś wielkiego w kącie przy stosie drewna.

Płaska metalowa płyta tworzyła podstawę dla dwóch ram z mocnymi sprężynami. Górne poprzeczki ram zaopatrzone były w trójkątne żelazne zęby, które wchodziły jedno pomiędzy drugie.

Przystanęli.

Walt dołączył do nich i wytrzeszczył oczy.

- Może odciąć nogę - wycedził. - Nigdy ich nie lubiłem.

- Ani ja - powiedział Rowley. - Ktoś świeżo to naoliwił.

- Co to jest? - zapytała Adelia.

Rowley bez słowa podszedł do urządzenia i chwycił jedną ramę. Walt złapał drugą i wspólnymi siłami rozchylili je, kładąc płasko na ziemi, zębami w górę.

- W porządku. Teraz ostrożnie. - Rowley pochylił się i ostrożnie obmacał mechanizm od spodu. - Zwalniana przez spust.

Walt pokiwał głową.

- Co to jest? - powtórzyła Adelia.

Rowley wyprostował się i wziął długą szczapę ze stosu. Ruchem ręki kazał Adeli przytrzymać psa.

- Wyobraź sobie, że to leży w wysokiej trawie. Albo pod śniegiem.

Potrzask. Pułapka na ludzi. Boże, zlituj się!

Adelia złapała Strażnika za obrozę. Rowley rzucił polano na metalową płytę.

Potrzask podskoczył jak atakujący rekin. Zęby się zatrzasnęły. Z pewnym opóźnieniem usłyszeli szczęk. Po chwili Walt powiedział:

- Trafi prosto w przyrodzenie, za przeproszeniem pani. Nie ma po co wyciągać człowieka.

- Zdaje się, że lady Rozamunda nie lubiła kłusowników - skomentował biskup. - Niech mnie diabli, jeśli wybiorę się na przechadzkę po jej lasach. - Otrzeptał ręce. - Chodźmy. Potrzebujemy tarana.

Adelia została, wpatrując się w potrzask. Zęby zatrzaskiwały się na wysokości krocza mężczyzny średniego wzrostu. Jak powiedział Walt, uwalnianie ofiary nie miało sensu, tak czy siak czekała ją długa śmierć w męczarniach.

Potrzask jeszcze wibrował, jakby oblizując paszczę.

Biskup wrócił po Adelię.

- Ktoś to przygotował - orzekła. - Naoliwił, żeby użyć.

- Wiem. Chodź już.

- To straszliwe miejsce.

- Tak.

Jacques w jednej z przybudówek znalazł kozioł do piłowania drewna. Trzymając go bokiem za nogi, razem z Waltem wyłamali drzwi wieży przy trzeciej próbie.

W środku było niemal równie zimno, jak na zewnątrz. I jeszcze ciszej.

Znajdowali się w okrągłym pomieszczeniu, które, ponieważ wieża była szersza u podstawy, musiało być większe od tych powyżej. Nie wyglądało na miejsce, w którym szacowni goście mogliby czekać na przyjęcie przez gospodynię, przypominało raczej wartownię. Jediną ozdobą były piękne krzesła, które ze względu na ciężar uniknęły grabieży. Oprócz nich stały tu twarde ławy i puste wieszaki na broń. Uchwyty do pochodni zostały wydarte ze ścian, żyrandol zerwano z łańcucha.

W sitowiu na podłodze poniewierało się parę lichtarzy ze świeczkami. Rowley, Adelia i Walt wzięli je, zapalili od latarni i zaczęli wchodzić po nagich kamiennych stopniach biegnących łukiem pod ścianą.

Jeden okrągły pokój położony był nad drugim, jak pigułki w ustawionej pionowo rurce ze sztywnego papieru, do każdego wiodły drzwi z maleńkiego podestu. Puste wieszaki, walające się wiechcie skrzypu do polerowania i zapach wosku sugerowały, że kolejne pomieszczenie to wielki schowek.

Wyżej znajdowała się izba służących. Stały tam cztery drewniane łóżka i prawie nic poza tym. Wszystkie łóżka zostały odarte z sienników i pościeli.

Dotąd nie napotkali żywego ducha. W szwalni, też splądrowanej, zostały stoły ustawione pod otworami strzelniczymi, które zapewniały światło. Wśród pasów podartego materiału leżała przeoczona podu-szczeka do szpilek. Gipsowy manekin został rozbity, a jego szczątki wyrzucono na podest.

- Nienawidzili jej - stwierdziła Adelia.

- Kto?

- Służący.

- Kogo nienawidzili? - Biskup sapał ze zmęczenia.

- Rozamundy - powiedziała Adelia. - Albo pani Dakers.

- Wcale im się nie dziwię, jeśli musieli chodzić po tych schodach. Uśmiechnęła się.

- Zbyt dużo jadasz.

- Skoro tak mówisz. - Nie obraził się, choć mu dopiekła. W dawnych czasach byłby oburzony.

Muszę pamiętać, pomyślała. Już nie jesteśmy kochankami, należy utrzymywać dystans.

Czwarty pokój - a może piąty - nie został splądrowany, choć i bez tego wydawał się surowszy od poprzednich. Łóżko schludnie okryte szarą, zrobioną na drutach narzutą. Stolik, na którym stał dzbanek z miską. Stołek. Prosta skrzynia z kobiecymi ubraniami, równie prostymi i starannie złożonymi.

- Pokój Dakers - rzekła Adelia. Zaczynała rozumieć charakter gospodyni i była zdegustowana.

- Nikogo nie ma. Wychodzimy.

Ale Adelię zatrzymała ciekawość. Grabieżcy nie dotarli tutaj. Była pewna, że Smoczyca Dakers, przerażająca, jak opisała ją Berta, stanęła na schodach i nikomu nie pozwoliła wejść wyżej.

Nad łóżkiem Dakers zobaczyła wyrytą tarczę herbową Rozamundy. Pomalowana i złocona, rzucała się w oczy w szarym pokoju. Podnosząc świecę, Adelia usłyszała głośny oddech Rowleya.

- Na Boga! - mruknął. - To jakieś szaleństwo!

Rzeźbiona zewnętrzna tarcza przedstawiała trzy lamparty i lilię, znany każdemu człowiekowi w Anglii herb ich króla Andegawena Plantage-neta. Wewnątrz znajdowała się mniejsza tarcza, przedzielona na krzyż, jedno pole z wężem, drugie z różą.

Adelia miała skąpą wiedzę o heraldyce, ale wiedziała, że ma przed sobą herb mężczyzny i jego żony.

- Henryku! Na Boga, Henryku, coś ty uczynił, jak mogłeś do tego dopuścić? To szaleństwo! - szepnął biskup.

Na ścianie pod tarczą widniała wyryta dewiza. Jak większość herbowych dewiz, była kalamburem. *Rosa Mundi*. Róża świata.

- Wielkie nieba - mruknęła Adelia.

- Jezu, zlituj się - sapnął Rowley. - Jeśli królowa to zobaczy...

Dewiza i herb były policzkiem dla Eleonory. Woli mnie niż ciebie.

Ja jestem jego żoną we wszystkim prócz nazwiska, ja jestem prawdziwą królową jego serca.

- Bodaj to szlag! - zaklął biskup. - Nie ma znaczenia, czy Eleonora to widziała. Ludzie założą, że widziała i dlatego kazała zamordować Rozamundę. Wystarczający powód, żeby zabić.

- To tylko kawałek kamienia z rysunkiem - sprzeciwiła się Adelia. - Ma aż takie znaczenie?

Najwyraźniej. Królowa była bardzo dumną kobietą, o czym wiedzieli jej wrogowie, a także wrogowie króla.

- Zabiję tę sukę, jeśli jeszcze oddycha - warknął sługa boży. - Spalę to miejsce razem z nią. To wezwanie do wojny.

Adelia nie kryła zaskoczenia.

- Byłeś tu wcześniej. Nie widziałeś tego?

Pokręcił głową.

- Spotkaliśmy się w ogrodzie, gdzie zażywała powietrza. Podziękowaliśmy Bogu za ozdrowienie, a potem Dakers przeprowadziła mnie przez labirynt. Właśnie, gdzie jest Dakers?

Odepchnął Jacques'a i Walta, którzy stali w drzwiach, i wbiegł na schody, wołając gospodynię. Trzasnęły otwierane drzwi, gdy zajrzał do następnego pomieszczenia, a potem popędził na górę.

Pospieszyli za nim. W wieży rozbrzmiewał tupot butów i stukot psich pazurów na kamiennych schodach.

Mijali komnaty Rozamundy. Dakers zachowała je w całej świetności. Adelia, próbująca dotrzymać kroku biskupowi, widziała w przelocie gobeliny z alegoriami wiosny i jesieni, perskie dywany, weneckie puchary, damasceńskie otomany, kapiące od złota obrazy i tryptyki, arrasy i rzeźby: królewskie dary, złożone u stóp kochanki.

Tutaj były oszklone okna, nie otwory strzelnicze, jak w pomieszczeniach na dole. Przysłaniały je okiennice, ale blask świeczki Adelii odbijał się w pięknym drogim szkle.

Z otwartych drzwi płynął zapach perfum, subtelny, lecz dość silny, by sprawiać przyjemność po mrozie i drażniącą woni psiej sierści.

Adelia powąchała. Róże. Zdobył dla niej nawet róże.

Ponad nią kolejne drzwi uderzyły w ościeże. Biskup krzyknął ostro:

- Co tam jest?!

Dołączyła do niego na ostatnim podeście, gdzie kończyły się schody. Rowley stał przed otwartymi drzwiami. Opuścił rękę z zapaloną świeczką, wosk kapał na podłogę.

- Co się stało?

- Myliłaś się - odparł. Panowało tutaj wyjątkowe zimno.

- Myliłam się?

- Rozamunda żyje. Jednak żyje.

Poczułaby ulgę, gdyby nie to, że zachowywał się dziwnie, a w pokoju, do którego zaglądał, nie było światła. Poza tym nie próbował przestąpić progu.

- Siedzi tam - dodał i się przeżegnał.

Adelia weszła, pies za nią.

Poczuła dziwny, nieokreślony zapach. Wszystkie okna - co najmniej osiem w kołistym pokoju - były otwarte, wpuszczając powietrze wystarczająco mroźne, by zabić człowieka.

Słyszała, jak Strażnik węszy po pokoju, nie sygnalizując, że kogoś napotkał. Weszła nieco głębiej.

Blask świeczki padł na łóżko pod północną ścianą. Przepiękna biała koronka spływała ze złożonego pierścienia pod sufitem i opadała po obu stronach kapy ze złotymi frędzlami. Łoże było wysokie, wspaniałe, z maleńkimi schodkami z kości słoniowej, ustawionymi w taki sposób, że nie dałoby się po nich wejść bez czyjejś pomocy.

Nikt w nim nie leżał.

Przy stole naprzeciwko łoża, twarzą do okna, z piórem w ręce siedziała kobieta.

W lekko drżącym blasku świecy Adelia zobaczyła wysadzaną klejnotami koronę i popielatoblond włosy spływające po plecach.

Zmusiła się do zrobienia paru kroków. Gdy mijała łóżko, nastąpiła na fałdę leżącej na podłodze koronki i lód zachrząścił pod jej trzewikiem.

- Lady Rozamunda? - Grzeczność wymagała, żeby się odezwać, choć wiedziała swoje.

Zdjęła rękawiczkę i dotknęła ramienia kobiety. Poczowała kamienny chłód. Zobaczyła białą dłoń i wałeczek skóry na nadgarstku, jak u pulchnego dziecka. Kciuk i palec wskazujący trzymały gęsie pióro, jakby przed sekundą skreśliły podpis na dokumencie.

Adelia pochyliła się i z westchnieniem spojrzała w twarz siedzącej kobiety. Otwarte, niebieskie oczy były lekko spuszczone, jakby czytała to, co właśnie napisała.

Ale Piękna Rozamunda była martwa.

I bardzo gruba.

Rozdział 6

Dakers! - powiedziała Adelia. - Dakers to zrobiła!

Tylko gospodyni Dakers mogła się sprzeciwić złożeniu martwej pani do grobu.

Rowley doszedł do siebie.

- W tej pozycji nigdy nie włożymy jej do trumny. Na miłość boską, zrób coś. Nie popłyną do Godstow z tą suką, jeśli będzie tak siedziała, gapiąc się na mnie.

- Okaż trochę szacunku zmarłej. - Adelia zamknęła ostatnie okno i odwróciła się w jego stronę.

Oboje na swój sposób odreagowywali ostatnie wydarzenia.

Jacques zatrzymał się na progu, a Walt, zajrzawszy do komnaty, natychmiast popędził na dół. Tylko Strażnik drapał się jakby nigdy nic.

Przywykła do widoku zwłok Adelia nigdy się nie bała - aż do teraz. W konsekwencji wpadła w złość. Rozamunda nie zmarła w tej pozycji - jeśli zabiły ją grzyby, koniec musiał być gwałtowny. Nie, Dakers

przywlokła jeszcze ciepłe zwłoki na fotel, upozowała je i albo czekała na stężenie pośmiertne, albo trzymała martwą Rozamundę, póki mróz docierający przez otwarte okna nie unieruchomił głowy, tułowia i kończyn w takiej pozycji, jakby zamarzała w trakcie pisania.

Adelia wiedziała, że tak właśnie było, jakby widziała to na własne oczy, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, iż martwa kobieta wstała z łóżka, podeszła do stołu, usiadła i sama wzięła pióro do ręki.

Rowley opryski iwością maskował odrazę. Adelia, która czuła to samo, także zareagowała z rozdrażnieniem.

- Nie powiedziałeś mi, że była gruba.
- Czy to ważne?

Nie, oczywiście, że nie, ale zaszokował ją wygląd Rozamundy. Po rozmowie z Bertą, gdy wędrowała przez straszny labirynt, gdy zobaczyła jeszcze bardziej straszną pułapkę, wyobrażała sobie kobietę piękną i obojętną na ludzkie cierpienie niczym olimpijska bogini, rozpieszczoną, wyniosłą, zimnajak gad - ale szczupłą. Zdecydowanie szczupłą.

Patrzyła na puciołowatą twarz, która miała dobroduszny wyraz, typowy dla ludzi otyłych.

To zmieniało postać rzeczy. Adelia nie była pewna dlaczego, ale zmieniało.

- Od jak dawna nie żyje? - zapytał Rowley.
- Co? - Adelia błędziła myślami, wpatrując się w trupa. Dlaczego, z taką tuszą, mieszkała na szczycie wieży? Jak zeszła po schodach, żeby spotkać się z Rowleyem w ogrodzie? Jak wróciła na górę?

- Pytam, od jak dawna nie żyje?
- Ach tak. - Pora zebrać myśli i zabrać się do pracy, do jakiej ją tu sprowadził. - Trudno powiedzieć.

- Czy zabiły ją grzyby?
- Skąd mam wiedzieć? Prawdopodobnie tak.
- Możesz ją położyć?
- Sama się położy. Wystarczy ogrzać ten przeklęty pokój. Jak myślisz, dlaczego Dakers upozowała ją tak, jakby pisała?

Ale biskup był już za drzwiami. Zawołał do Walta, żeby przyniósł kosze, podpałkę, drewno i świece, posłał Jacques'a do pomocy, a potem udał się na poszukiwanie gospodyni. W komnacie zapanowała śmiertelna cisza.

Adelia pomyślała tęsknie o człowieku, który zawsze udzielał jej pomocy i dawał otuchy w trakcie trudnych śledztw - a nigdy żadne nie było trudniejsze od tego. Ale Mansur płynął na barce z trumną

Rozamundy, Oswaldem i ludźmi z opactwa. Jeśli nawet dobili do przystani, mieli tam czekać na posłańca.

Tej nocy nie przybędą. Tej nocy nikt nie przejdzie przez labirynt smoka.

Adelia miała tylko jedną świeczkę, bo Rowley zabrał swoją. Postawiła ją na stole przy ręce trupa, blisko, ale żeby nie przypalić skóry, zapoczątkowując w ten sposób proces rozmrażania, który miał być nie tylko czasochłonny, ale też bardzo nieprzyjemny.

Wspomniała zagrodę na wzgórzach nad Salerno i martwe świnie, na których pod okiem Gordinusa, swojego nauczyciela, badała procesy rozkładu. Cofnęła się myślami do tych zamrożonych w lodowni, wykutej głęboko w skale. Porównała masę i czas, wyobraziła sobie igły kryształków lodu utwardzające mięśnie i tkankę... i soki, gdy truchła się rozmrażały.

Biedna Rozamunda. Czekał ją koszmar rozkładu, a wszystko w jej komnacie mówiło, że kochała schludność i porządek.

Biedna Dakers, która niewątpliwie kochała swoją panią do granic szaleństwa.

Która włożyła koronę na jej głowę. Prawdziwą koronę, nie diadem, nie złoty wianek czy opaskę, ale starożytną koronę z grubego złota z czterema zębami w kształcie lilii, z wysadzaną klejnotami obręczą- koronę małżonki króla.

A jednak ta sama ręka wyszczotkowała piękne włosy, pozwalając im spłynąć po ramionach i plecach trupa w niestosownym stylu dziewczycy.

Och, daj spokój, powiedziała Adelia w duchu. Nie przyszłaś tutaj ekscytować się niezmierzonymi głębiąmi ludzkiej obsesji, ale odkryć, kto i dlaczego uznał, że ta kobieta musi umrzeć.

Żałowała, że z dołu nie napływają żadne hałasy, które rozproszyłyby grobową ciszę pokoju. Może położony był zbyt wysoko, żeby docierały tu jakiekolwiek dźwięki.

Adelia zwróciła uwagę na stół, dziwny mebel za szklaną taflą, w której, jak w zwierciadle, odbijała się wraz z siedzącym trupem.

Ładny stół, misternie wykończony i wypolerowany. Blisko lewej ręki Rozamundy, jakby po to, żeby mogła tam sięgnąć, stała miseczka ze smażonymi w cukrze śliwkami.

Miska była czarna, zdobiona czerwonymi figurami atletów, podobna do tej, którą przybrany ojciec Adellii znalazł w Grecji. Stwierdził, że jest bardzo cenna, i nikomu nie pozwalał jej dotykać. Rozamunda w swojej trzymała słodycze.

Szklany kałamarz w filigranowym złotym koszyczku. Mała skórzana podstawka do piór, kawałek kości słoniowej i stalowy nóż do ostrzenia.

Dwa arkusze najlepszego welinu, oba pokryte drobnym pismem, jeden pod prawą ręką, drugi obok niego. Naczyńko z piaskiem, również szklane, dopasowane do kałamarza, prawie puste. Małe palnik do topienia wosku i dwie czerwone laski wosku.

Adelia rozejrzała się za pieczęcią. Nie znalazła żadnej, ale na palcu martwej kobiety lśnił wielki złoty sygnet. Podniosła świeczkę i przysunęła do pierścienia. Okrągłe oczko na rozgrzanym wosku wyciskało dwie litery: *R.R.*

*Rozamunda Regina?**

Zastanawiające.

Dakers musiało zależeć, żeby Rozamunda została uznana za osobę piśmienną - w Anglii umiejętność pisania i czytania była rzadko spotykana nawet wśród kobiet wysokiego rodu - dlatego upozowała ją w ten sposób. Nie ulegało wątpliwości, że umiała pisać: stan przyborów świadczył o częstym używaniu. Rozamunda dużo pisała.

Czy gospodynią kierowała tylko duma, że jej pani umiała pisać? A może jest inny powód?

Adelia skupiła uwagę na dwóch arkuszach welinu. Podniosła leżący przed trumponem i przekonała się, że w tym świetle nie zdoła go odczytać.

Rowley ciągle nie wracał ze swoją świecą, niech go licho. Podniosła arkusik, a drugą ręką niebezpiecznie blisko przysunęła świeczkę. Teraz mogła już czytać.

„Do lady Eleonory, księżnej Akwitanii i rzekomej królowej Anglii, z pozdrowieniami od prawdziwej królowej tego kraju, Rozamundy Pięknej”.

Adelia omal nie wypuściła listu z ręki. To nie obraza majestatu. To jawna, prowokująca do wojny zdrada.

I bezgraniczna głupota.

- Byłaś obłąkana? - szepnęła w ciszy pokoju.

Rozamunda rzucała wyzwanie Eleonorze i z pewnością wiedziała, że królowa będzie musiała zareagować, bo inaczej zostanie na zawsze zhańbiona.

Bardzo ryzykowała. Wieża Wormhold nie jest nie do zdobycia, nie oparłaby się atakowi wojsk wysłanych przez rozsierdzoną królową.

Ale czy zamiast żołnierzy królowa nie wysłała staruszki z trującymi grzybami?

Ani jedno, ani drugie. Przecież Eleonora nie dostała tego listu. Najprawdopodobniej Rozamunda nie miała zamiaru go wysłać. Odizolowana

* *Rozamunda Regina* (łac.) Rozamunda Królowa.

w tej strasznej wieży, zabawiała się fantazjowaniem o władzy królewskiej.

Co jeszcze napisała?

Adelia odłożyła list i podniosła drugi dokument. W mroku odcyfrowała następny nagłówek. A zatem drugi list. Znow musiała trzymać go w taki sposób, żeby światło padało z dołu prosto na arkusz.

„Do lady Eleonory, księżnej Akwitanii i rzekomej królowej Anglii, z pozdrowieniami od prawdziwej królowej tego kraju, Rozamundy Pięknej”.

Dokładnie tak jak poprzednio. Słowa bardziej czytelne, bo wyszły spod innej ręki. To pismo różniło się od bazgrołów Rozamundy, było wyraźne, pochyłe - kaligrafia człowieka wykształconego.

Rozamunda skopiowała list.

Strażnik warknął głucho, ale Adelia, zaintrygowana rozwikłaniem tajemnicy, nie zwróciła na to uwagi.

Nagle znieruchomiała, zeszywniała jak zwłoki Rozamundy. Strażnik próbował ją ostrzec, że ktoś wszedł do pokoju, ale nie zwróciła na to uwagi.

Trzy głowy odbijały się w szybie, dwie zwieńczone koronami.

- Miło cię poznać, moja droga - powiedziała jedna z nich, bynajmniej nie do Adeli.

Adelia zamarła na chwilę, patrząc prosto przed siebie, próbując opanować przesądny lęk, mobilizując zdrowy rozsądek przeciwko wierze w duchy i czary.

Potem odwróciła się i ukloniła. Stała przed prawdziwą królową, nie miała co do tego wątpliwości.

Eleonora nie zwróciła na nią uwagi. Podeszła do stołu, rozsiewając ciężki zapach wschodnich pachnideł. Dwie białe dłonie o długich palcach spoczęły płasko na blacie stołu, gdy pochyliła się i spojrzała w twarz martwej kobiety.

- Ho, ho, aleś się zaniedbała. - Upierścieniony palec trącił grecką wazę. - Za dużo słodkości.

Jej czarujący głos niósł się po komnacie.

- Lordzie Montignardzie, wiedziałeś, że biedna Rozamunda była gruba? Dlaczego mi nie powiedziano?

- Krowy zwykle są tłuste, pani - odezwał się mężczyzna, który stał w drzwiach, trzymając latarnię. Za jego plecami majaczyła sylwetka kogoś wyższego, w kolczudze.

- Co za niegrzeczna uwaga - rzekła Eleonora przepaszającym tonem, zwracając się do zwłok. - Mężczyźni są niesprawiedliwi, prawda?

Przecież musiałaś mieć wiele cech, które wynagradzały otyłość... umiejętnie szafowałaś wdziękami.

W porównaniu z wysoką, smukłą królową, którą jeszcze bardziej wyszczuplało futro, Rozamunda wydawała się plebejska, a rozpuszczone włosy wyglądały niedorzecznie u dojrzałej kobiety. Korona Rozamundy, w porównaniu ze złotym diademem Eleonory, była za ciężka, przesadnie zdobiona.

Królowa podeszła do stołu.

- Kolejny list do mnie? Widzę, że Bóg zabrał cię w trakcie pisania.

Adelia otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

Ona i mężczyźni w drzwiach byli tylko pionkami w grze, jaką Eleonora Akwitańska prowadziła z martwą kobietą.

- Niestety, nie było mnie tu wtedy - powiedziała królowa. - Dowie działam się o twojej chorobie tuż po przybyciu z Francji, ale wówczas musiałam zająć się innymi sprawami. Nie mogłam od razu stanąć przy twym łożu śmierci. - Westchnęła. - Najpierw interesy, potem przyjemności, jak zawsze.

Podniosła list i trzymała w wyciągniętych rękach. W tym świetle nie mogła nic przeczytać.

- Czy jest taki jak inne? „Pozdrowienia dla rzekomej królowej od prawdziwej...?” Nieco to monotonne, nie sądzisz? Nie warto go zachowywać.

Zmieniła list i rzuciła na podłogę, rozdeptując obcasem pięknego bucika.

Adelia powoli przesunęła się w bok i przykucnęła. Wsunęła swój dokument za cholewkę trzewika. Pies liznął japo ręce.

Patrząc w odbicie w szybie, sprawdziła, czy mężczyzna w drzwiach coś zauważył. Nie, skoncentrował uwagę na Eleonorze, która wpatrywała się w zwłoki Rozamundy.

Królowa podniosła rękę do ucha, jakby nadśluchiwała odpowiedzi.

- Nie masz nic przeciwko temu? Jakaż hojność, ale podobno nikomu nie szczędziłaś względów. Och, wybacz, ta błyskotka jest moja... - Eleonora zdjęła koronę z głowy martwej kobiety. - Została zrobiona dla żon hrabiów Anjou dwa stulecia temu. Jak on śmiał dać ją takiej śmierdzącej dziewczce jak ty!

Królowa straciła panowanie nad sobą. Z krzykiem odrzuciła koronę. Strażnik szczerknął.

Korona uderzyła w okno watowanym brzegiem obręczy i to uratowało życie Eleonorze. Gdyby szyba pękła, Adelia nie zobaczyłaby w niej odbicia sunącej ku nim Śmierci. Ani noża w jej ręce.

Nie miała czasu, żeby się odwrócić. Śmierć szła ku Eleonorze. Adelia instynktownie rzuciła się w bok, lewą ręką uderzyła Śmierć w ramię.

Źle wymierzyła i ostrze noża rozcięło jej prawą dłoń. Ale pchnięty przez nią napastnik stracił równowagę i upadł.

Rozamunda siedziała niewzruszenie na krześle, Eleonora, równie nieruchoma, stała przed oknem, w którym widziała napaść, Adelia patrzyła na osobę leżącą twarzą do podłogi u jej stóp.

Pies podszedł, węsząc, a potem się cofnął.

Chwilę później lord Montignard zaczął coś krzyczeć do królowej, a mężczyzna w kolczudze postawił nogę na plecach napastnika i oburącz uniósł miecz, wzrokiem pytając Eleonorę o pozwolenie na zadanie ciosu.

- Nie!-zawołała Adelia.

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi. Z kamiennym wyrazem twarzy patrzył na królową, która podniosła rękę do głowy. Zdawało się, że upadnie, lecz tylko osunęła się na kolana. Składając białe ręce, chyląc głowę w koronie, Eleonora Akwitańska zaczęła się modlić.

- Wszchemogący Boże, przyjmij dzięki za to, żeś przemienił mojego wroga w bryłę lodu. Nawet po śmierci nasłała na mnie swoje sługi, Ty jednak odwróciłeś ostrze, ażebym mogła żyć i dalej Ci służyć, Panie i Odkupicielu.

Kiedy Montignard pomógł jej wstać, była zdumiewająco spokojna.

- Wiedziałam - powiedziała do Adeli. - Wiedziałam, że Bóg wybrał cię na swoje narzędzie, aby mnie ocalić. Jesteś gospodynią? Mówią, że ta ladacznica miała gospodynię.

- Nie. Nazywam się Adelia. Adelia Aguilar. Przypuszczam, że to jest gospodyni. Nazywa się Dakers. - Gdy wskazała ręką, krew skapnęła na leżącą postać.

Królowa Eleonora puściła mimo uszu ostatnie słowa.

- Co zatem tutaj robisz, dziewczyno? Długo tu mieszkasz?

- Nie mieszkam. Jestem tu obca. Zjawiliśmy się jakąś godzinę temu. - Wydawało się, że od tej pory upłynęły całe wieki. - Nigdy wcześniej tu nie byłam. Przed chwilą weszłam po schodach i odkryłam...

- Czy ta istota przybyła z tobą? - Eleonora wskazała ręką nieruchomego napastnika.

- Nie. Nie widziałam jej, musiała się ukryć, gdy usłyszała nas na schodach.

Montignard podszedł do Adeli.

- Mówisz do swojej królowej. Okaż szacunek, bo utnę ci nos. - Był młody, smukły, kędzierzawy, teraz bardzo odważny.

- Milcz, Monty - rzuciła królowa i zwróciła się do mężczyzny w kolczudze: -
Miejsce zabezpieczone, Schwyz?

- Zabezpieczone? - Schwyz najwyraźniej uważał, że trudno tu mówić o jakimkolwiek bezpieczeństwie. - Zgarnęliśmy czterech ludzi na barce i trzech na dole. - On też nie zwracał się do królowej z należnym szacunkiem, ale Adelia zauważyła, że Montignard nie zagroził mu ucięciem nosa. Wyglądał bardziej na żołnierza niż na rycerza i nie ulegało wątpliwości, że na znak Eleonory przebiję gospodynię sztychem jak trzepoczącą się rybę. I Montignarda, jeśli będzie trzeba.

Najemnik, zdecydowała Adelia.

- Czy przybyłaś z tymi trzema na dole? - zapytała królowa.

- Tak. - Była już zmęczona tym wszystkim.

- Po co?

- Ponieważ biskup St. Albans prosił, żebym mu towarzyszyła.

- Rowley? - Głos królowej się zmienił. - Rowley jest tutaj? - Zwróciła się do Schwyza: - Dlaczego mi nie powiedziano?

- Cztery ludzie w łodzi i trzech na dole - powtórzył Schwyz beznamiętnie, z cudzoziemskim akcentem. - Nie wiem, czy wśród nich jest biskup. -1 najwyraźniej wcale go to nie obchodziło. - Zostaniemy tu na noc?

- Do czasu przybycia Młodego Króla i opata Eynshama.

Schwyz wzruszył ramionami.

Eleonora zwróciła się do Adellii:

- A dlaczego ksiądz biskup St. Albans przywiózł jedną ze swoich kobiet do wieży Wormhold?

- Nie mogę tego powiedzieć. - W tej chwili nie miała siły opowiadać o całym łańcuchu wydarzeń. Była zbyt zmęczona, wstrząśnięta, rozbita, żeby tłumaczyć, że nie jest Jedną z kobiet księdza biskupa", choć wcale nie była zdziwiona, że miał ich wiele.

- Zapytamy go - rzekła Eleonora obojętnie. Popatrzyła na istotę, która teraz wiała się na podłodze. - Podnieś ją.

Dworzanin Montignard kopnął nogą leżący obok nóż. Objął jedną ręką niedoszłą zabójczynię, a drugą przyłożył jej sztylet do gardła.

To była żywa śmierć, bardziej ją przypominająca niż maski z misteriów, które wystawiano na placach targowych. Kaptur czarnej peleryny opadł, odsłaniając wystające kości policzkowe i czaszkę obciążoną bladą skórą z wielką brodawką na górnej wardze. Zapadnięte oczy jak dziury w głowie. Brakowało tylko kosy.

Syknęła, plując śliną:

- Ośmiel się tknąć prawdziwą królową, ty oszustko... Mój pan, mój pan północnej godziny... spali twoją duszę... strąci cię... w najgłębszą plugawą otchłań.

Eleonora pochyliła się, nadstawiając ucha.

- Demony? Belial? Ona grozi mi Belialem.

- Pozwól mi ją zabić, pani - poprosił dworzanin. - Pozwól mi przekłuć ten wrzód.

- Kropla krwi pojawiła się w miejscu, gdzie czubek sztyletu przebił skórę.

- Zostawcie ją w spokoju! - krzyknęła Adelia. - Jest obłąkana i ledwo żywa. - Od-
ruchowo zacisnęła rękę na nadgarstku kobiety, z trudem wyczuwając puls. Jak długo
ukrywała się w tej lodowatej komnacie?

- Potrzebuje ciepła - powiedziała do Eleonory. - Musimy ją ogrzać.

Królowa popatrzyła na skaleczoną rękę Adellii, potem na gospodynię.

Wzruszyła ramionami.

- Zabierz ją na dół, Schwyz, i każ dobrze pilnować. Później ją prze-
słuchamy.

Monty z chmurną miną przekazał kobietę Schwyzowi, który wyprowadził ją, a po
chwili wrócił.

- Pani, powinniśmy stąd odejść. Nie mogę strzec tego miejsca.

- Jeszcze nie. Zajmij się swoimi obowiązkami,

Schwyz oddalił się ciężkim krokiem, wielce niezadowolony. Królowa uśmiechnę-
ła się do Adellii.

- Widzisz? Poprosiłaś o darowanie życie tej niewieście, a ja się zgo-
dziłam. Jestem łaskawą monarchinią.

Królowa zaimponowała Adellii. Dramatyczne zdarzenia, po których ona sama le-
dwo trzymała się na nogach, na Eleonorze nie zrobiły większego wrażenia, jakby pró-
by zabójstwa były chlebem powszednim rodów królewskich.

Montignard się zawahał. Skinął w stronę Adellii.

- Zostawić cię samą z tą dziewczką, pani? Może zechce cię skrzywdzić?

- Kimkolwiek jest, ocaliła mi życie. Ty zaś... nie kwapiłeś się z pomocą. Idź,
zajmij się tąszkaradą. Nam również nie zaszkodzi trochę ciepła. Dopilnuj tego. I
przyrowadź biskupa St. Albans.

Adelia dodała:

- I przyślij brandy. - Zdażyła obejrzeć ranę. Była głęboka, a ona
potrzebowała prawej ręki.

Królowa skinęła głową. Nie miała zamiaru opuszczać tej komnaty. Zważywszy
na zwłoki, Adelia uważała pobyt tutaj za perwersję, ale

była rada, że nie musi chodzić po schodach. Osunęła się na podłogę przy łóżku.

Ludzie wchodzili i wychodzili. Zabrali pościel i materac na dół do spalania, na co nalegała królowa.

Piękna dziewczyna, zapewne dworka Eleonory, weszła, zatrzepotała powiekami na widok Rozamundy i omdlała. Trzeba było ją wynieść. Słudzy - ilu ich z sobą sprowadziła? - wnieśli świece wystarczające do oświetlenia Watykanu, kadzidła i lampki oliwne, lampy, pochodnie. Adelia, która sądziła, że już nigdy się nie rozgrzeje, zamknęła oczy...

- Do diabła, co tu robisz? Jeśli przybędzie, to prosto do tej wieży.

- Był to głos Rowleya, bardzo głośny, bardzo zły.

Adelia się zbudziła. Wciąż siedziała na podłodze przy łóżku. W komnacie zrobiło się gorąco, teraz przebywało tu znacznie więcej osób. Martwa Rozamunda nadal siedziała przy stole, ale jakaś litościwa dusza okryła płaszczem jej głowę i ramiona.

- Jak śmiesz w ten sposób zwracać się do mojej pani? Idzie tam, gdzie ma ochotę. - To powiedział Montignard.

- Rozmawiam z królową, psi synu. Zamilcz więc... - Ostatnie słowo z trudem wykrztusił, bo go uderzył.

Patrząc pod łóżkiem, Adelia zobaczyła klęczącego przed królową Rowleya. Miał związane ręce. Okryte kolczugą nogi obok należały do Schwyza, a te w pięknych skórzanych butach - do Montignarda. Jeden but był uniesiony do następnego kopniaka.

- Zostaw go - wycedziła Eleonora lodowato. - Innego języka nie spodziewam się po biskupie St. Albans.

- To prawda - rzekł Rowley.

- W takim razie odpowiedz, co tutaj robisz?

Spotkanie to musiało wydać się niepokojące dla królowej, która niedawno ledwie uszła z życiem.

Adelia ostrożnie rozwiązała sznurek sakiewki u pasa i namacała rulonik z instrumentami chirurgicznymi, które zawsze nosiła przy sobie w podróży.

- Mówiłem ci. Przybyłem dla twojego dobra. Ludzie już winiącię za śmierć Rozamundy...

- Mnie? Bóg Wszechmogący ją zabił.

- Ktoś mu w tym dopomógł. Przyjechałem po to, aby się dowiedzieć...

- Po ciemku? W środku nocy? - wtrącił Montignard. - Przybyłeś, a w tym samym czasie demon wyskoczył ze ściany, żeby zadźgać królową?

Jest. Adelia znalazła maleńki, zabójczo ostry nóż. Nie była pewna, co zrobi, ale jeśli go skrzywdzą...

- Co? Jaki demon? - zapytał Rowley. Eleonora pokiwała głową.

- Gospodyni, Dakers. Wynajęłaś ją, żeby mnie zabiła?

- Eleonoro! - Tylko stary przyjaciel mógł sobie pozwolić na takie odezwanie się. Wszyscy inni w komnacie jakby nagle przestali się liczyć. Królowa ochłonęła.

- No dobrze - powiedziała łagodniej. - Przypuszczam, że mogę cię rozgrzeszyć, skoro twoja kochanka odepchnęła ostrze.

Adelia rozluźniła palce.

- Moja kochanka?

- Zapomniałam, że masz ich wiele. Ta z cudzoziemskim nazwiskiem, pozbawiona dobrych manier.

- Gdzie ona jest?

Adelia oparła się o łóżko zdrową ręką i wstała. Teraz, gdy wszyscy na nią patrzyli, czuła się trochę głupio.

Rowley odwrócił się niezdarnie. Miał krew na ustach. Ich oczy się spotkały.

- Cieszę się, pani, że przysłużyła ci się - rzekł powoli biskup St. Albans. Podpatrzył na królową. - Zatrzymaj ją, jeśli chcesz, ja nie mam z niej żadnego pożytku. Jak powiedziałaś, brak jej dobrych manier.

Eleonora pokręciła głową.

- Widzisz, z jaką łatwością się ciebie pozbywa? Wszyscy mężczyźni to niegodziwcy, król czy biskup.

Adelia się przeraziła. Porzucają! A ona musi wrócić do Godstow, do Allie?

Rowley odpowiadał na kolejne pytanie:

- ...tak, dwa razy. Pierwszy raz wtedy, gdy zachorowała. Wormhold znajduje się na terenie mojej diecezji, to mój obowiązek. I dzisiaj, kiedy usłyszałem o jej śmierci. To nic nie znaczy... - Choć związany i na kolanach, nie przestawał pouczać królowej. - Na Boga, Eleonoro, dlaczego nie pojechałaś do Akwitanii? Przebywanie tutaj to szaleństwo. Uciekaj. Błagam.

- Nic nie znaczy? - Eleonora podniosła list Rozamundy. - Otrzymałam dziesięć takich listów. Ty i ta dziewczka sprzymierzyliście się z Henrykiem, żeby osadzić ją na tronie jako królową.

Zapadła chwila ciszy, gdy Rowley czytał.

- Boże, nic o tym nie wiedziałem! - zawołał. Adelia pomyślała, że nawet Eleonora musiała usłyszeć lęk w jego głosie. - Ani król, przysięgam. Ta niewiasta była obłąkana.

- Zła. Była zła. Powinna spłonąć wraz ze wszystkim, co do niej należało. Chrust już czeka. Odpowiedni koniec dla ładaczniczy. Nie dla niej chrześcijański pochówek.

- Dobry Boże! - Adelia zobaczyła, że Rowley poblądł. Nagle zaczął mówić takim tonem, jak niegdyś do niej w łóżku. - Eleonoro, jesteś największą z królowych, wniosłaś piękno, ogładę, muzykę i wytworność do królestwa dzikusów, ucywilizowałaś nas.

- Doprawdy?

- Wiesz, że tak. Kto nauczył nas galanterii wobec kobiet? Kto, na Boga, nauczył mnie mówić „proszę”? - Kuł żelazo, póki gorące, gdy się roześmiała. - Błagam, nie dopuszczaj się aktu barbarzyństwa, który zwróci się przeciwko tobie. Nie trzeba palić tej wieży, niech stoi w swoim brudzie. Wróc do Akwitanii, choćby na jakiś czas, żebym mógł się dowiedzieć, kto naprawdę zabił Rozamundę, żebym mógł porozmawiać z królem. Na miłość Chrystusa ukrzyżowanego, pani, nie zrażaj Henryka, póki nie osiągnę celu.

Uderzył w niewłaściwą nutę.

- Ja mam go nie zrażać? - powiedziała słodko. - Kazę uwięzić mnie w Chinon, biskupie. Nie słyszałam twojego głosu wśród tych, które podniosły się w mojej obronie.

Dała znak ludziom, którzy poderwali Rowleya na nogi. Gdy doprowadzili go do drzwi, powiedziała dobitnie:

- Jesteś sługą Henryka Plantageneta. Zawsze byłeś i będziesz.

- Również twoim, pani! - zawołał. - I Boga.

Słyszeli, jak klnie, gdy żołnierze ściągnęli go po schodach. W komnacie zapanała cisza.

- Ten *Schweinehund* ma rację, powinniśmy się stąd wynieść, pani - powiedział Schwyz.

Królowa zignorowała go; krążyła po komnacie, wzburzona, mruczając do siebie. Schwyz odszedł, z rezygnacją wzruszając ramionami.

- On nigdy by cię nie skrzywdził, pani - odezwała się Adelia. - Nie krzywdź go.

- Widzę, że go kochasz - parsknęła królowa.

Nie kocham. Nie będę kochać. Tylko go nie krzywdź.

- Pozwól wyłupić mu oczy, pani. - Montignard dyszał ciężko. - Mało brakowało, a zabiłby cię rękami tego demona.

- Nie - powiedziała Eleonora, a Adelia odetchnęła z ulgą. - Rowley rzekł prawdę. To ta kobieta, Dakers... Kazałam zasięgnąć języka. Powszechnie wiadomo, że szalała za swoją panią. Nawet teraz zabiłaby mnie dziesięć razy.

- Naprawdę? - Montignard okazał zainteresowanie. - Miłowały się?

Królowa nie przestawała spacerować.

- Czy jestem zabójczynią dziewczek, Monty? O co jeszcze mogą mnie oskarżyć?

Dworzanin schylił się i podniósł do ust rąbek jej płaszcza.

- Jesteś błogosławionym Aniołem Pokoju, który ponownie zawitał w Betlejem.

Uśmiechnęła się.

- Cóż, nie możemy zrobić nic więcej do czasu przybycia Młodego Króla i opata.

- Z dołu dobiegł huk przewróconego mebla i trzask okiennic. - Co Schwyz tam wyrabia?

- Rozstawia łuczników przy oknach, gotując się do obrony. Boi się, że król przybędzie.

Królowa pobłażliwie pokręciła głową, jakby miała do czynienia z dziećmi.

- Nawet Henryk nie zdoła podróżować szybko przy takiej pogodzie. Bóg oszczędził mi śniegu, a teraz go zsyła, żeby przeszkodzić królowi. Zostanę w tej komnacie do czasu przybycia mojego syna. - Popatrzyła na Adelię. - Ty też, tak?

- Pani, za twoim pozwoleniem, dołączę...

- Nie, nie. Bóg zesłał mi ciebie jako talizman. - Eleonora miała ładny uśmiech. - Zostaniesz tutaj ze mną i... - podeszła do zwłok i zerwała okrywający je płaszcz - razem będziemy patrzeć, jak Piękna Rozamunda gnije.

Adelia zapamiętała te długie nocne godziny, gdy została sama z królową, nie licząc śpiącego Montignarda. Eleonora Akwitańska siedziała prosta jak trzcina, niezmordowana, z oczami wbitymi w zwłoki kobiety, którą kochał jej mąż.

W pewnym momencie wszedł młody dworzanin z lutnią i przechadzał się po komnacie, śpiewając w języku *langue d'oc*. Nie zainteresował jednak królowej, nie mówiąc już o nieboszczce.

Adelia pamiętała ciepło z koszy i setek świec. W pewnym momencie zapytała:

- Czy możemy na chwilę otworzyć okno, pani? - W komnacie było gorąco jak w garncarskim piecu.

- Nie.

Tak oto Adelia, szczęśliwy talizman, uprzywilejowana jako zesłana przez Boga wybawczynie królowej, siedziała w jej obecności na podłodze, na płaszczu, podczas gdy ona, wciąż w futrze, patrzyła na zwłoki.

Oczy Eleonory oderwały się od nich dopiero wtedy, gdy przyniesiono brandy. Adelia, zamiast wypić alkohol, wylała go na rozciętą rękę, po czym wyjęła igłę i jedwabną nitkę z podróżnej paczuski z instrumentami.

- Kto cię nauczył oczyszczać rany brandy? - zainteresowała się Eleonora. - Ja używam dwukrotnie destylowanego wina bordoskiego... Och, pozwól, że to zrobię. - Zacmokała z niezadowolenia, gdy Adelia spróbowała zszyć ranę lewą ręką. Wzięła od niej igłę z nitką i założyła siedem szwów, podczas gdy Adelia poprzestała na pięciu. - My, którzy uczestniczyliśmy w krucjacie, musieliśmy się nauczyć opatrywać ran nych, a było ich wielu.

Głównie z powodu nieudolności króla Francji, przywódcy wyprawy, jak stwierdził Rowley po własnym, znacznie późniejszym pobycie w Ziemi Świętej.

Nie znaczy to, że Kościół potępił Ludwika za poniesione straty. Wolał zamiast tego roztrząsać gorszące zachowanie Eleonory, wówczas jego żony, która uparła się towarzyszyć mu z wieloma równie awanturnicznymi kobietami.

„Urodzona do kłopotów, jak iskry do wzlatywania w górę - scharakteryzował ją Rowley nie bez podziwu. - Ona i jej, Amazonki! I romans z wujem Rajmundem z Tuluzy, gdy przybyła do Antiochii! Co za niewiasta!”

Zachowała coś z tej dawnej śmiałości, o czym świadczyła jej obecność tutaj.

- Au! - syknęła Adelia, gdy królowa ukłuła ją boleśnie igłą. - Gdzie się nauczyłaś... przechodzić labirynty? Na... Wschodzie? - Nic nie wskazywało na to, by Eleonora błąkała się po labiryncie, w przeciwieństwie do niej i jej towarzyszy.

- Tak. Saraceni potrafią budować jak nikt inny. Nie wątpię, że również twój biskup nauczył się tej sztuczki na Wschodzie. Rowley pojechał tam na mój rozkaz... dawno temu. - Jej głos złagodniał. - Zawiózł miecz mojego zmarłego synka do Jerozolimy i złożył go na ołtarzu Chrystusa.

Adelia odczuła ulgę. Wiąż między Eleonorą i Rowleyem, zawiązana dzięki tej podróży, sięgała głęboko. Obecne okoliczności mogły ją narazić na szwank, ale nie została zerwana. Królowa nie pozwoli zabić Rowleya.

Jest matką, pomyślała Adelia, pozwoli mi wrócić do dziecka. Poproszę o to, gdy lepiej się poznamy. Tymczasem musiała się dowiedzieć jak najwięcej o śmierci Rozamundy. Eleonora nie zleciła morderstwa. A więc kto to zrobił?

Eleonorę zawsze miała cechować elegancja, na zawsze miała zachować piękną jasną cerę, idealnie pasującą do kasztanowych włosów, w tej chwili ukrytych, ale wokół jej ust pojawiły się już zmarszczki. Była szczupłą, drobnokoścista, jednak nad wysadzonym klejnotami pasem rysował się fałd ciała.

Nic dziwnego. Urodziła dwie córki pierwszemu mężowi, królowi francuskiemu Ludwikowi, a po rozwodzie miała ośmioro dzieci z Henrykiem Plantagenetem, w tym pięciu synów.

Dziesięcioro dzieci. Dziw, że zachowała taką figurę.

Jednak nawet gdyby król i królowa nie byli w separacji, Eleonora już nie urodzi dziecka. Ile ma lat? Pięćdziesiąt?

A Henryk pewnie nie miał jeszcze czterdziestu.

- Gotowe - powiedziała królowa i odgryzła koniec jedwabnej nici.

Wyjęła koronkową chusteczkę, wprawnie owinęła nią rękę i zawiązała.

- Jestem ci wdzięczna, pani - powiedziała Adelia szczerze.

Ale Eleonora znów wpatrywała się w zwłoki.

Skąd ta nienawiść? - zastanawiała się Adelia. To ciebie niegodne.

Królowa uciekła z zamku w dolinie Loary, przebyła wrogie terytorium męża, gromadząc po drodze zwolenników i żołnierzy, przepłynęła przez kanał i znalazła się w południowej Anglii. Wszystko po to, żeby dotrzeć do samotnej wieży w Oxfordshire. W dodatku zimą. Co prawda większą część drogi przebyła, zanim trakty stały się nieprzejezdne, jednak podróż musiała być bardzo męcząca. Po co to wszystko? Aby zatryumfować nad rywalką?

Ale wróg przemieniony został w słup lodu. Zabójstwo zostało udaremnione przez Adelię i czuwającego nad Eleonorą Boga. Rozamunda okazała się tłustą krową. Wszystko to powinno wystarczyć do zaspokojenia żądz zemsty.

Ale nie wystarczyło królowej, która siedziała tu, sycąc oczy rozkładem pokonanej rywalki. Dlaczego?

Nie przybyła tutaj dlatego, że zazdrościła młodszej kobiecie zdolności do rodzenia dzieci. Rozamunda nie miała potomstwa.

Nie była też jedyną kochanką króla. Henryk miał więcej kobiet, niż dałoby się zliczyć. „Dosłownie ojciec swojego ludu”, rzekł kiedyś Rowley z dumą.

Eleonora została wychowana w taki sposób, żeby się nie spodziewać wierności małżeńskiej. Co więcej, kiedy mogła na nią liczyć w związku z rozmodlonym, cnotliwym jak mnich królem Ludwikiem, tak bardzo ją to znudziło, że wystąpiła o rozwód.

I czy nie wyświadczyła przysługi Henrykowi, przyjmując pod swój dach jednego z jego bastardów i zapewniając mu królewskie wychowanie? Młody Gotfryd, syn londyńskiej prostytutki, okazał się oddany i przydatny ojcu. Rowley szanował go bardziej niż czterech pozostałych synów z prawego łóża.

Rozamunda, tylko Rozamunda wzniciła nienawiść Eleonory, emanowała żar potrzebny do przyspieszenia procesu rozkładu.

Czy dlatego, że Rozamunda cieszyła się względami króla dłużej niż inne kochanki, że król bardziej ją faworyzował, okazywał jej głębszą miłość?

Nie, to przez te listy. Starzejąca się Eleonora wierzyła w ich przesłanie. Inna kobieta szykowała się zająć jej miejsce, jej pozycja została zagrożona.

To Rozamunda na swój sposób zatrąła Eleonorę.

A jednak Rowley miał rację: królowa nikogo nie zamordowała.

Oczywiście nie było na to dowodu, nic nie mogło oczyścić jej z podejrzeń. Sposób zabójstwa sugerował, że obmyślił je ktoś, kto nie musiał przebywać w pobliżu. Ludzie powiedzą, że zleciła zbrodnię, będąc jeszcze we Francji. Nic nie uciszy plotek - nawet słowo Eleonory.

Ale to nie w jej stylu, powiedział Rowley, i Adelia przyznała mu rację. Gdyby Eleonora zaplanowała morderstwo, chciałaby na własne oczy zobaczyć śmierć ofiary.

Obserwowała rozkład rywalki w ten dziwnie naiwny, okropny sposób, gdyż nie miała okazji cieszyć się widokiem jej ostatnich drgawek.

Nagle Adelię przytłoczyła ohyda tej sytuacji. Była zmęczona, ręka paliła ją żywym ogniem, chciała wrócić do dziecka. Allie za nią tęskni.

Wstała.

- Pani, niezdrowo jest tu przebywać. Zejdźmy na dół. Królowa nawet na nią nie spojrzała.

- W takim razie ja zejść - powiedziała Adelia.

Podeszła do drzwi, omijając Montignarda, który chrapał na podłodze. Dwie włócznie skrzyżowały się z trzaskiem, tarasując jej drogę. Drugi zbrojny dołączył do pierwszego.

- Przepuście mnie.

- Jak chcesz się wysikać, skorzystaj z nocnika - poradził jeden, szczerząc zęby.

Adelia zwróciła się do Eleonory:

- Nie jestem twoją poddaną, pani. Moim królem jest William z Sycylii.

Oczy królowej wpatrywały się w Rozamundę.

Adelia zgrzytnęła zębami. Nie tędy droga. Jeśli ma zobaczyć Allie, ta kobieta musi jej zaufać.

Zaczęła razem z psem krążyć po komnacie, nie szukając wyjścia - nie było żadnego - ale wykorzystując czas na znalezienie kryjówki Dakers.

Nie mogła schować się pod łóżkiem, bo Strażnik by ją wywęszył. Nie miał najlepszego nosa, nadto mylił go własny zapach, ale tego by nie przeoczył.

Poza łóżkiem w komnacie znajdował się klęcznik, mniejszy od tego z pokoju biskupa w St. Albans, ale bogato rzeźbiony. I trzy wielkie kufry pełne ubrań.

Na małym stoliku stała taca, na której przyniesiono kolację królowej: kurczak, pasztet z cielęciny, ser, chleb - lekko spleśniały - suszone figi, dzbanek piwa i zakorkowana butelka wina. Eleonora nie tknęła jedzenia. Adelia, który ostatni raz jadła w klasztorze, odkroiła kawał kurczaka i dała trochę psu. Ugasiła pragnienie piwem i naląła kieliszek wina, które sączyła w czasie badania komnaty.

Podręczna szafka zawierała ładne butelki i flakoniki z etykietkami: „Olejek różany”. „Fiołek wonny”. „Ocet malinowy do bielienia zębów”. „Olej z orzecha do wygładzania rąk”. Prawie same kosmetyki, choć Adelia zauważyła, że Rozamunda musiała mieć problemy z oddychaniem - nic dziwnego z taką tuszą - bo zażywała wyciąg z korzenia omanu.

Łóżko stało pod ścianą, zajmując więcej powierzchni, niż było to konieczne. Za nim wisiał gobelin przedstawiający rajski ogród - najwyraźniej temat należał do ulubionych, bo powtarzał się na drugim gobelinie, w lepszym stanie, wiszącym na wschodniej ścianie pomiędzy oknami.

Podchodząc bliżej, Adelia poczuła przyjemny chłód.

Gobelin był stary i na tyle ciężki, że nie poruszał nim silny przeciąg. Podczas gdy na drugiej ścianie Adam i Ewa hasali radośnie, tutaj stali naprzeciwko siebie wśród przedziwnych drzew, skamieniali jak sama Rozamunda. Tylko zielone sploty węża sugerowały ruch.

Adelia podeszła jeszcze bliżej. Chłód się nasilił.

W tkaninie, w miejscu oka węża, znajdowała się dziurka - i nie zrobiły jej mole.

Judasz.

Musiała wyteżyć siły, żeby odciągnąć gobelin od ściany. Uderzyło w nią lodowate powietrze i zapach stęchlizny. Zobaczyła maleńkie pomieszczenie.

Rozamunda nie musiała używać nocników, miała toaletę. W zakrzywionej, wyłożonej aksamitem ławie z polerowanego drewna widniał okrągły otwór nad przepaścią. Mydło w kształcie róży leżało na podstawce obok złoczonego dzbanka. W zasięgu ręki stała miska z kłębkiem jagnięcego runa.

Dobrze to świadczyło o Rozamundzie. Adelia pochwalała ubikację, o ile latryna pod nimi była regularnie sprzątana. Ubikacje oszczędzały służącym biegania po schodach z pojemnikami, z których często wychlapywało się cuchnąca zawartość.

Mniej jej się spodobały freski pokrywające ściany, ich erotyzm bardziej pasował do domu publicznego niż do toalety, ale widocznie Rozamunda lubiła na nie patrzeć, kiedy tu siedziała. Henryk Plantagenet niewątpliwie też był rozbawiony. Ale czy na pewno wiedział o istnieniu ubikacji i judasza?

Adelia stanęła za gobelinem w taki sposób, żeby spojrzeć przez dziurkę. Ujrzała łóżko, stół do pisania i okno.

Tutaj ukrywała się Dakers i - ta myśl nie była przyjemna - szpiegowała ją w czasie, gdy badała komnatę. Ileż musiała mieć cierpliwości i wytrwałości, żeby znieść panujące tu zimno. Dopiero gdy Eleonora zerwała koronę z głowy jej pani, furia pchnęła ją do działania.

Dziurka była starannie obszyta, pewnie służyła obserwacjom prowadzonym nie tylko dzisiejszej nocy.

Na to piętro zapraszano gości - Anglicy mieli w zwyczaju przyjmować znamienite osoby w sypialni. Jeśli Dakers ich szpiegowała, zajmowała pozycję w ubikacji za wiedzą Rozamundy.

Obserwowała gości? Króla? Łóżko i to, co się w nim działo?

Adelia wolała nie spekulować o tym. A jeszcze mniejszą ochotę miała na zgłębianie związków pani z gospodynią.

Do diabła! Za pozwoleniem królowej, musiała odetchnąć świeżym powietrzem. Wysunęła się zza zasłony. Eleonora chyba niczego nie zauważyła. Adelia podeszła do najbliższego okna, podniosła haczyk, pociągnęła skrzydła okienne do wewnątrz i pchnęła okiennice. Przyniosła nogą podnózek, stanęła na nim i wychyliła się nad parapetem.

Gwiazdy skrzyły się na zimnym nocnym niebie. Patrząc w dół, zobaczyła ogniska otoczone przez uzbrojonych ludzi.

Jeśli zaprószą ogień w krzakach wokół wieży... jeśli zerwie się wiatr i porwie iskry z któregoś ogniska...

Ona i Eleonora znajdowały się na czubku komina.

Dość miała świeżego powietrza. Drżąc, nie tylko z zimna, Adelia zamknęła okiennice. Przeniosła ciężar ciała na skraj podnóżka i przewróciła go na podłogę z łomotem.

Spojrzała na królową, oczekując nagany. Ale Eleonora była jak w transie. Ani na chwilę nie oderwała oczu od Rozamundy. Śpiący na podłodze Montignard poruszył się, zamamrotał coś i znów zaczął chrapać.

Adelia pochyliła się, żeby postawić podnózek, i zobaczyła, że spadło z niego pokrycie. Podnózek był skrzynką na nóżkach. Wewnątrz leżały dokumenty. Wyjęła je i zabrała za łóżko, żeby przeczytać.

Listy, wszystkie adresowane do Eleonory, wszystkie rzekomo autorstwa Rozamundy, jednak napisane tym samym charakterem, co ten, który Adelia wsunęła w cholewkę trzewika.

Każdy miał ten sam szyderczy nagłówek. W jasnym świetle komnaty mogła przeczytać ciąg dalszy. Wciąż powtarzało się główne przesłanie.

„Dzisiaj mój pan król figlował ze mną i mówił o swoim uwielbieniu... Mój pan król przed chwilą opuścił moje łóżko... Z utęsknieniem mówi o rozwodzie z tobą... Papież spojrzy przychylnie na rozwód, zważywszy na grzech, jakim jest buntowanie synów przeciwko królowi...przygotowania do mojej koronacji w Winchester i Rouen... mój pan król oznajmi Anglikom, kto jest ich prawdziwą królową”.

Truczna zawarta w inkauscie nie przestawała się saczyć!

Autor listów kazał Rozamundzie skopiować je własną ręką. Dołączono nawet odpowiednie instrukcje.

„Pisz czytelniej, bo królowa wydrwi twoje pismo i nazwie cię nieukiem.

Pisz szybko, żeby list dotarł do królowej w rocznicę, do której przywiązuje wielką wagę, czym będzie tym bardziej dotknięta.

Śpiesz się, bo posłaniec musi przybyć do Chinon, gdzie jest przetrzymywana królowa, zanim król przeniesie ją w jakieś inne miejsce”.

I notka najbardziej wymowna: „Wygrywamy, pani. Zostaniesz królową, gdy na-
dejdzie lato”.

Autor nigdzie nie podał swojego imienia. Ale musiał być to ktoś na tyle bliski Eleonorze, by wiedzieć, że królowa wyśmieje charakter pisma Rozamundy.

Głupiec. Jeśli liczył na rozwód Henryka z Eleonorą i koronowanie Rozamundy, brakowało mu najbardziej podstawowego zmysłu politycznego. Henryk nigdy nie rozwiedzie się z Eleonorą. Po pierwsze, nawet jeśli zdrada żony stanowiła podstawę do rozwodu - w co Adelia wątpiła - Henryk za bardzo obraził Kościół śmiercią Becketa. Srodze przez to ucierpiał, więc nie ośmieli się ryzykować kolejnej obrazy, występując o rozwód albo uśmiercając żonę. Po drugie, miał na względzie ważniejsze rzeczy. Tracąc Eleonorę, straciłby wielkie księstwo Akwitanii, a Henryk nigdy nie oddawał ziemi.

Poza tym Anglicy mogli z przymrużeniem oka patrzeć na kochankę króla, ale nie znieśliby kochanki na tronie. To byłaby obelga.

A jednak listy były na tyle dobre, żeby zainspirować głupią, ambitną kobietę, zachęcić ją do sporządzania i wysyłania kopii. Żeby skłonić królową do ucieczki i namawiania synów do wystąpienia przeciwko ojcu.

Być może Rowley miał rację. Osoba, która napisała te listy, zrobiła to w celu wywołania wojny.

Z drugiego końca pokoju dobiegł głos:

- Rozmraża się. Zaczęła śmierdzieć.

Szybciej niż Adelia się spodziewała. Zaskoczona, spojrzała na Roza-mundę, wciąż sztywno siedzącą przy stole.

Zobaczyła, że Strażnik, szukając wygodnego miejsca, usadowił się na trenie gronostajowego płaszcza królowej.

- To tylko mój pies.

- Pies? Zabierz go. Co on tu robi?

Jeden ze zbrojnych, który stał w drzwiach, ocknął się i zabrał Strażnika na podest, po czym, na znak królowej, wrócił na posterunek. Eleonora zmieniła pozycję, coraz bardziej niespokojna.

- Święta Eulalio, obdarz mnie cierpliwością. Jak długo to potrwa?

- Czuwanie stawało się męczące.

Adelia chciała powiedzieć, że jeszcze jakiś czas, ale zmieniła zamiar. Dopóki nie dowie się czegoś więcej, lepiej pozostać w roli kobiety, którą królowa zaakceptowała jako bagaż Rowleya, a także jako wybraną przez Boga wybawicielkę.

Ale powinnaś wiedzieć coś więcej, pomyślała Adelia z rozdrażnieniem. Powinnaś wiedzieć więcej o wszystkim: jak zmarła Rozamunda, dlaczego pisała te listy, kto je dyktował... Należało kazać przeszukać pokój i znaleźć wzory listów przede mną. Nie wystarczy być królową, powinnaś zadawać pytania. Twój mąż to robi.

Henryk Plantagenet był dociekliwy. W jednej chwili wywęszył profesję Adelii i więził ją w Anglii, dopóki nie znalazł dla niej nowego zadania. Dokładnie znał jej relacje z biskupem, wiedział, kiedy urodziło się ich dziecko, i znał jego płeć, czyli wiedział więcej niż ojciec. Świadczył o tym fakt, że kilka dni po porodzie posłaniec królewski, w zwykłym stroju, dostarczył do domu na mokradłach wspaniałą koronkową szatkę do chrztu i list dla Adelii: „Nazwij ją jak chcesz, dla mnie zawsze będzie Rowley-Powley”.

W przeciwieństwie do króla Eleonora interesowała się tylko sobą i wierzyła, że Bóg nad nią czuwa.

Adelia zastanawiała się, czyjej nie oświecić. Musiała korespondować z Rowleyem w przeszłości, więc знаła jego charakter pisma. Pokazanie listów dowiodłoby przynajmniej, że nie on jest ich autorem. Może nawet królowa rozpoznałaby charakter pisma i tym samym wskazała osobę, która podsuwała je Rozamundzie do skopiowania.

Ale lepiej poczekać. Zostały popełnione dwa przestępstwa.

Gdyby Mansur albo przybrany ojciec Adelii obserwowali ją w tej chwili, stwierdziliby, że wygląda jak typowy anatom: usta zaciśnięte w wąską linię, oczy skupione jak wtedy, gdy nóż śledził połączenie mięśnia ze ścięgnem, sunął wzdłuż żyły, ciął w celu znalezienia przyczyny.

Gershom kiedyś jej powiedział, że jest doskonałym anatomem dzięki posiadanejmu instynktowi.

- Logiczne myślenie i nauka, ojcie - odparła.

Uśmiechnął się.

- Człowiek nauczył cię logicznego myślenia i zapewnił edukację, ale Bóg dał ci instynkt i powinnaś go za to błogosławić.

Dwa przestępstwa.

Pierwsze: Rozamunda kopiowała listy podżegające do wojny. Drugie: Rozamunda została zamordowana.

Jedną rzeczą było odkrycie, kto nakłonił Rozamundę do napisania listów. Drugą - odkrycie mordercy. I oba cele pozostawały w sprzeczności, gdy chodziło o Eleonorę Akwitańską i biskupa St. Albans.

Dla królowej liczył się tylko autor listów, to on był złoczyńcą i zasługiwał na śmierć. Nie obchodziło jej, kto zabił Rozamundę - gdyby się dowiedziała, morderca zapewne dostałby nagrodę.

Ale według Rowleya to morderca zagrażał pokojowi i dlatego musiał zostać wyeliminowany. Poza tym morderstwo było znacznie poważniejszą zbrodnią.

Adelia uznała, że na tym etapie lepiej zapewnić Rowleyowi jak największą swobodę w prowadzeniu śledztwa niż komplikować je, pozwalając na to, żeby królowa rozpoczęła swoje dochodzenie.

Adelia włożyła dokumenty do skrzynki i zamknęła wieko. Nie zrobi nic, dopóki nie naradzi się z Rowleyem.

Eleonora wciąż się wierała.

- Czy w tej przeklętej wieży nie ma ubikacji? Gdzie można pójść za potrzebą?

Adelia zaprowadziła ją za gobelin.

- Światło. - Królowa wyciągnęła rękę po świecę. Adelia podała ją niechętnie. Przy świetle Eleonora zobaczy nieprzyzwoite malowidła.

Adelia nawet jej współczuła. Eleonorę trawiła dzika zazdrość o męża, a tu na każdym kroku coś jej przypominało o zdradzie.

Kiedy królowa wyszła zza gobelinu, wyglądała na zmęczoną i starą. Milczała.

- Powinnaś odpocząć, pani - poradziła Adelia zatroskana. - Chodźmy na dół.

Na schodach rozległ się hałas. Dwaj strażnicy rozchyłili skrzyżowane włócznie i stanęli na baczność.

Wszedł człowiek wielki jak góra, tryskający energią. Istny wielkolud. Gdy ukląkł przed królową, żeby ucałować jej dłoń, ich głowy znalazły się na tej samej wysokości.

- Gdybym tu był, moja droga, nie doszłoby do tego - rzekł, wciąż klęcząc. Oburącz przycisnął dłoń Eleonory do czoła.

- Wiem. - Uśmiechnęła się do niego czule. - Mój drogi opacie, własnym ciałem zasłoniłbyś mnie przed nożem, prawda?

- 1 odszedłbym cieszyć się rajem. - Westchnął i wstał, patrząc na nią z góry. - Spalisz obie?

Królowa pokręciła głową. . - Przekonano mnie, że Dakers jest obłąkana. Nie skazujemy na śmierć chorych na umyśle.

- Kto? Och, Dakers. Jest szalona, mówiłem ci. Niech strawią ją płomienie. I wraz z nią jej przeklętą panią. Gdzie jest ta dziewczka?

Podszedł do stołu i trącił ramię trupa.

- Jak mówili, zimna niczym cycek czarownicy. Odrobina ognia rozgrzeje je obie, przygotuje na piekło. - Odwrócił się i pokiwał palcem. - Jak wiesz, jestem prostym człowiekiem z Gloucestershire, i, Słodka Mario miej mnie w opiece, grzesznym, ale całą duszą kocham Boga i kocham królową, dlatego opowiadam się za spaleniem ich wrogów. - Splunął na włosy Rozamundy. - Oto, jakie zdanie o tobie ma opat z Eynsham.

Montignard wstał, gdy zjawił się gość. Krzątał się - zazdrosny i bezużyteczny - próbując przyciągnąć uwagę królowej, nakłaniając ją do jedzenia. Eynsham, który miał budowę odpowiedniejszą do przerzucania bel siana niż pasania zakonnych owieczek, stał się najważniejszą osobą w komnacie.

Mógł wydawać się prostacki, ale wszystko, co nosił, było drogie, wykwiłtne. Raził tylko pectorał, który zakołysał się na szyi, gdy składał ukłon królowej - bryła złota tak wielka, że mogła posłużyć do wyważenia drzwi.

Eleonora, uwielbiała jego towarzystwo. Poza impertynenckim Montignardem, jej dworzanie byli zbyt zmęczeni po podróży, by się przejmować, że o włos uniknęła śmierci.

Adelia pomyślała, że i nią nikt się nie przejmował. Bolała ją ręka.

- Mam jednak złe wieści - powiedział opat. Twarz Eleonory się zmieniła.

- Coś z młodym Henrykiem?

- Och, z nim wszystko w porządku. Ale pościg deptał nam po piętach przez całą drogę z Chinon, więc Młody Król zamiast do Anglii udał się do Paryża.

Królowa namacała poręcz krzesła i opadła na nie.

- Nie jest tak źle - podjął opat niskim głosem - ale znasz swojego młodzika, nigdy nie przepadał za Anglią. Mawia, że tutejsze wino jest nic niewarte.

- Co pocniemy? Co mamy zrobić? - Eleonora szeroko otworzyła oczy. - Wszystko stracone. Boże Wszchemogący, co teraz zrobimy?

- Cicho, cicho. - Opat ukląkł obok niej, ujął jej dłonie. - Schwyz uważa, że wszystko będzie dobrze. Prawda, Schwyz?

Najemnik potwierdził.

- Widzisz? Schwyz wie, co mówi. A oto dobre wieści... Słuchasz mnie, chlubno królestwa? Słuchaj, co uczynił dla nas Pan Jezus. Król Francji stanął po naszej stronie. Dołączył do Młodego Henryka.

Eleonora podniosła głowę.

- Doprawdy? Nareszcie! Bogu niech będą dzięki.

- Król Ludwik wyprowadzi w pole swoje wojska, żeby walczyć przeciwko ojcu Henryka.

- Bogu niech będą dzięki - powtórzyła nabożnie Eleonora. - Teraz mamy armię.

Opat pobłażliwie pokiwał głową.

- Święty król. Był dla ciebie kiepskim mężem, przyznaję, lecz teraz Bóg wesprze jego męstwo. Nie widzisz, pani? Młody Henryk i Ludwik podniosą sztandar we Francji, my podniesiemy nasz w Anglii i wspólnie zmusimy starego Henryka do złożenia broni. Światło przeważa nad ciemnością. Razem schwytemy w sieć i powalimy starego orła.

Wlewał w nią życie, policzki jej poróżowiały.

- Tak - powiedziała. - Atak z dwóch stron. Ale czy wystarczy nam ludzi tutaj, w Anglii? Schwyz ma ze sobą niewielu.

- Lord Wolvercote obozuje w Oksfordzie, czekając na nas z siłą tysiąca ludzi.

- Wolvercote - westchnęła Eleonora - tak, oczywiście. - Przygnębienie ją opuszczało, gdy wspinała się po drabinie nadziei, którą podtrzymywał opat.

- Tysiąc ludzi. Gdy staniesz na czele, dołączy do nas następnych dziesięć tysięcy. Wszyscy, których Plantagenet zdeptał i doprowadził do ruiny, zbiegną się gromadnie z Midlands. Potem wyruszymy i radość zapanuje w niebie.

- Najpierw trzeba dotrzeć do Oksfordu - wtrącił Schwyz. -1 to szybko. Zacznie padać śnieg i na wieki utknijemy w tej dziurze. W Woodstock mówiłem jej, że tu nie można się bronić. Jedźmy prosto do Oksfordu, powiedziałem. Tam mogę cię obronić. Ale ona była mądrzejsza. „Och nie, Schwyz, złe drogi udaremnią pościg. Henryk nie ruszy za nami”. Henryk przybędzie, znam psiego syna.

W pewnym stopniu była to najdziwniejsza chwila nocy. Mina Eleonory, wyrażająca zwątpienie przemieszane z uniesieniem, nie uległa zmianie. Opat, wciąż klęczący u jej boku, nie odwrócił głowy.

Czyżby go nie słyszeli?

Adelia wróciła myślą do dolnych Alp, dokąd każdego roku jeździła wraz z przybranymi rodzicami, uciekając przed skwarem lata w Salerno. Tam, w willi użyczonej przez biskupa Chur, wdzięcznego pacjenta medyka Gershoma, jako małe dziecko zbierała zioła i polne kwiaty wraz z jasnowłosymi dziećmi pasterza kóz. Przysłuchiwała się rozmowom dzieci i dorosłych, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że jej umysł chłonie wszystkie języki jak gąbka.

Był to dziwny język, gardłowa mieszanina łaciny i dialektu germańskich plemion, z których wywodzili się mieszkańcy Alp.

Usłyszała go znowu.

Schwyz mówił w języku retoromańskim.

Nie podnosząc głowy, opat powiedział królowej:

- Schwyz mówi, że z twoją wstążką na ramieniu wygramy tę wojnę. Jest ci oddany całą duszą.

- Wiem. - Eleonora uśmiechnęła się do Schwyza, który skinął głową.

- Tylko że czuje śnieg i chciałby już być w Oksfordzie. Ja też będę spokojniejszy, mając obok ludzi Wolvercote'a. Zniesiesz podróż, kochana? Nie jesteś zbyt zmęczona? W takim razie zejdz z Montym na dół do kuchni i zjedz coś gorącego. Czeka nas jazda na mrozie.

- Mój drogi opacie - powiedziała Eleonora ciepło, wstając. - Jakże potrzebowałeś twojej obecności. Przypominasz nam o dobroci Boga, przynosisz z sobą zapach pól i wszystkiego, co naturalne. Dodajesz nam odwagi.

- Mam nadzieję, moja droga, mam nadzieję. - Gdy królowa i Mon-tignard zniknęli na schodach, opat odwrócił się i popatrzył na Adelię. - Kto to?

- Dziewka biskupa St. Albans. Przywiódł ją z sobą. Była w pokoju, gdy ta wariatka napadła na Nelly. Zdołała ją obalić na ziemię. Nelly myśli, że ocaliła jej życie. - Najemnik wzruszył ramionami. - Może i tak.

- Doprawdy? - Opat zrobił dwa kroki, podchodząc do Adelii. Zaskakująco wypielęgnowaną rękę wsunął pod jej podbródek i podniósł jej głowę. - Królowa zawdzięcza ci życie, dziewczko?

Adelia starała się zachować obojętny wyraz twarzy, niewzruszony jak wpatrzone w nią oczy biskupa.

- Zatem szczęśliwy traf?

Cofnął rękę i odwrócił się do wyjścia.

- Chodź, chłopcze.

- A co z nią? - Schwyz wskazał kciukiem Rozamundę.

- Niech spłonie.

- A ona? - wskazał Adelię.

Wzruszenie ramion sugerowało, że Adelia może wyjść albo spłonąć, według własnej woli.

Została sama w pokoju. Strażnik, korzystając z okazji, zainteresował się tacą z niedojedzonym pasztetem.

Adelia usłyszała w myślach głos Rowleya: „Wojna domowa... zatarg Stefana i Matyldy będzie niczym w porównaniu z tym konfliktem... Czterech Jeźdźców Apokalipsy... Słyszę tętent kopyt”.

Już przybyli. Widziała trzech z nich.

Z głębi komnaty dobiegł cichy dźwięk, gdy rozmarzające ciało Roza-mundy osunęło się na stół.

Rozdział 7

Postępując wbrew radzie dowódcy swego niewielkiego oddziału i kierując się do wieży Wormhold, Eleonora opóźniła realizację celu, jakim było dołączenie do buntowniczej armii czekającej na nią w Oksfordzie.

Pogoda się pogarszała i Schwyz chciał jak najszybciej odstawić królową na miejsca spotkania, bo wiedział, że beczynność, zwłaszcza na mrozie, spowoduje rozprężenie w szeregach wojska. Tylko jedną drogą mogli dotrzeć tam w miarę szybko - rzeką. Tamiza płynęła z północy na południe przez siedem mil, które dzieliły Wormhold od Oksfordu.

Królowa i jej słudzy przyjechali wierzchem z ostatniego obozu, a ludzie Schwyza przybyli tu pieszo. Musieli znaleźć łodzie. Znaleźli kilka. Różnego rodzaju. Wystarczająco dużo, by przewieźć najważniejszych członków świty i część ludzi Schwyza, ale nie wszystkich. Pośledni słudzy wraz z większością żołnierzy mieli ruszyć do Oksfordu flisacką ścieżką. Ich podróż, na koniach i mułach, miała być znacznie wolniejsza i trudniejsza niż przeprawa łodziami.

Adelia zorientowała się w sytuacji, gdy zeszła do najniższej komnaty w wieży, gdzie wykrzykiwane komendy powiększały chaos.

Jakiś żołnierz lał olej na wielki stos połamanych mebli, podczas gdy zabiegani słudzy krzyczeli, żeby zaczekał z podkładaniem ognia, póki nie zabiorą skrzyń, kufrów i worków, które kilka godzin temu wnieśli do wartowni. Eleonora lubiła podróżować wygodnie.

Schwyz wołał, żeby wszystko zostawili. Ani ci, którzy mieli płynąć w łodziach, ani ci, których czekała podróż lądem, nie mogli zabrać bagaży do Oksfordu.

Albo go nie słyszeli, albo ignorowali. Jeszcze bardziej rozwścieczył go upór Eleonory, która nie mogła się obyć bez tego czy tamtego sługi, a gdy wreszcie osiągnięto kompromis, wybrańcy nie chcieli stanąć spokojnie, żeby mógł ich policzyć. Kłopoty częściowo wynikały z tego, że Akwitańczycy wątpili w uczciwość swoich sprzymierzeńców. Osobista pokojówka Eleonory oświadczyła, że królewskiej garderoby nie wolno powierzyć brudnym najemnikom, a kucharz odmawiał zostawienia bodaj jednego rondla, żeby nie skradli go żołnierze. Tak oto, gdy na dziedzińcu żołnierze zmagali się ze sztywną od mrozu uprzężą, przygotowując konie i muły do drogi, w wieży Akwitańczycy królowej kłócili się i biegali, znosząc bagaże, których nie mogli zabrać.

Adelia zdecydowała, że cokolwiek się stanie, ona sama pojedzie ścieżką holowniczą, i to jak najszybciej. W tym chaosie nikt nie zwróci na nią uwagi, więc przy pewnym szczęściu z pomocą Bożą zdoła dotrzeć do klasztoru.

Najpierw musi jednak znaleźć Rowleya, Jacques'a i Walta.

Nie dostrzegła ich w wartowni, musieli zostać wyprowadzeni na zewnątrz. Zobaczyła jednak czarną sylwetkę w cieniu pod ścianą. Zmierzając ku schodom, skakała niezdarnie jak żaba. Miała związane nogi. Sznur założony na szyję podrygiwał, gdy się przesuwiała.

Adelia przyczaiła się na schodach i gdy kobieta wskoczyła na pierwsze stopnie, chwyciła ją za ramię.

- Nie - powiedziała.

Więzy na rękach i nogach, mocno zaciągnięte, powstrzymałyby normalnego człowieka, ale ten, kto ją skrepował, nie brał pod uwagę siły wynikającej z szaleństwa. Dakers oddaliła się z miejsca, gdzie zostawili ją strażnicy, i próbowała wrócić do swojej pani na szczycie wieży.

Mogłaby tego dokonać. Gdy Adelia ją złapała, Dakers zaczęła się szamotać. Niezauważone przez nikogo zmagaly się na schodach.

- Spłoniesz - syknęła Adelia. - Na miłość boską, chcesz spłonąć razem z nią?

- Tak.

- Nie pozwolę na to.

Gospodyni była słabsza. Podała się, stanęła przodem do Adelii. Żołnierze potraktowali ją brutalnie, krwawiła z nosa, oko miała zamknięte i podpuchnięte.

- Puść mnie, puść. Chcę być z nią. Muszę być z nią.

Jakie to straszne. Żołnierz szykował się do spalenia wieży, słudzy myśleli tylko o sobie. Nikogo nie obchodziło, czy niedoszła zabójczyni królowej zginie w płomieniach - może nawet woleli, żeby tak się stało.

Nie wolno do tego dopuścić, ona jest niespełna rozumu. Adelia kochała Anglię między innymi dlatego, że gdyby Dakers została oskarżona o próbę zamachu na życie królowej, żaden sąd w kraju, widząc, w jakim jest stanie, nie skazałby jej na śmierć. Sama Eleonora to potwierdziła. Ukarać więzieniem, tak, ale starożytne stwierdzenie *furiosus furorē so-lumpunitur* - szaleństwo obłąkanego jest wystarczającą karą- znaczyło, że człowiekowi, który stracił rozum wskutek choroby, rozpacz lub innej przyczyny, trzeba darować winę.

Zasada ta była zgodna z jej przekonaniami. Nie zamierzała patrzeć, jak ktoś ją łamie, jeśli nawet Dakers była współwinna zdrady i wolała spłonąć wraz ze zwłokami Rozamundy. Życie to rzecz święta, a nikt nie wiedział tego lepiej od medyczki, która miała ciągle do czynienia ze śmiercią.

Kobieta się odsunęła i Adelia zacisnęła rękę, czując fizyczny wstręt. Zwłoki nigdy nie przyprawiły jej o mdłości, ale teraz brzydziła się tego żywego ciała, jego chudości -jakby trzymała pęk patyków -jego pragnienia śmierci.

- Nie chcesz jej pomścić? - zapytała, ponieważ tylko to mogła wy myślić, żeby ją uspokoić.

Dakers popatrzyła przytomniej.

- Kto to zrobił? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem. Mogę tylko zapewnić, że nie królowa.

Dakers nie uwierzyła.

- Zapłaciła komuś, żeby to zrobił.
- Nie. Berta też jest niewinna.
- To wiem - parsknęła pogardliwie.

Adelia czuła, że Dakers ocenia jej wartość jako sprzymierzeńca.

- Dowiaduję się różnych rzeczy. Tym się zajmuję - powiedziała Adelia, nieco rozluźniając palce. Tłumiąc odrazę, dodała: - Chodź ze mną, a będziemy się dowiadywać razem.

Dakers po chwili wahania skinęła głową.

Adelia znalazła nóż w kieszeni. Przecięła sznur na nogach gospodyni i zdjęła jej pętlę z szyi. Znieruchomiała, niepewna, czy uwolnić rękę.

- Obiecujesz?

Zdrowe oko spojrzało na nią koso.

- Dowiesz się?

- Spróbuję. Po to biskup St. Albans mnie tu sprowadził. - Niezbyt to krzepiące, biorąc pod uwagę, że biskup St. Albans został uwięziony, a niebawem miało się rozpętać piekło.

Dakers podniosła chude ręce.

Schwyz wyszedł z wartowni, żeby opanować sytuację na dziedzińcu. Niektórzy słudzy ruszyli za nim, a pozostali, wciąż zajęci gromadzeniem dobytku, nie zwrócili uwagi na dwie wymykające się kobiety.

Na dziedzińcu panowało równie wielkie zamieszanie. Adelia zarzuciła kaptur na głowę Dakers i sama zrobiła to samo.

Wiatr niósł płatki śniegu, które nie chciały się topić. Księżyc pobły-skiwał za chmurami jak mrugająca świeca.

Nie zwracając niczyjej uwagi, wciąż trzymając Dakers, Adelia szła ze Strażnikiem u nogi, szukając w tłumie Rowleya. Dostrzegła go po drugiej stronie dziedzińca i z ulgą zobaczyła, że są z nim Jacques i Walt. Wszyscy trzej byli związani razem. W pobliżu opat Eynsham spierał się na ich temat ze Schwyzem, jego głos przebijał się przez wycie wiatru i ogólny harmider.

- Nie obchodzi mnie, co chcesz, muszę się dowiedzieć, co oni wiedzą. Pójdą z nami.

Wiatr porwał odpowiedź Schwyza, ale było jasne, że Eynsham wygrał. Więźniów poprowadzono w stronę tłumy przy bramie, gdzie Eleonora dosiadała konia.

Bodaj to szlag! Adelia musiała porozmawiać z Rowleyem, zanim się rozdziela. Czy zdoła to zrobić niepostrzeżenie, wlokąc ze sobą niedoszłą zabójczynię? Mimo ryzyka nie chciała puścić ręki Dakers.

A Dakers się śmiała. Spod kaptura płynął cichy chichot.

- O co chodzi? - zapytała Adelia. Na chwilę oderwała oczy od Rowleya i jego towarzyszy, a gdy spojrzała ponownie, już ich nie zobaczyła.

Pociągnęła Dakers w kierunku sklepionego przejścia na zewnętrzny dziedziniec, za którym znajdowało się wejście do labiryntu. Wiatr łopotał pelerynami sług, złoty lew Akwitanii na proporcach migotał w świetle pochodni. Żołnierze, odziani w wataowane kurtki, próbowali zaprowadzić porządek, wyrывая z rąk sług niepotrzebne ciężkie rzeczy, nie pozwalając im zabrać. Tylko Eleonora zachowywała spokój. Jedną ręką trzymała wodze, a drugą osłaniała oczy, czegoś wypatrując.

Dostrzegła Strażnika, małą czarną plamkę na tle śniegu, i wskazała go Schwyzowi, wydając rozkaz. Schwyz rozejrzał się i też wyciągnął rękę.

- Cross - krzyknął do jednego z ludzi - przyrowadź ją! Tę z psem.

Pochwycono Adelię i posadzono na muła. Szamotała się, nie chcąc puścić ręki Dakers.

Cross podniósł Dakers z ziemi i posadził za jej plecami.

- I nie zsiadać! - ryknął. Jedną ręką trzymając uzdę muła, wyprowadził go na zewnętrzny dziedziniec i czekał na resztę kawalkady.

Eleonora wysunęła się na czoło, Eynsham zajął miejsce tuż za nią. Otwarta brama labiryntu ziała przed nimi niczym czarna dziura.

- Jedź prosto, królowo mojego serca! - zawołał wesoło. - Prosto, jak pług mojego staruszka.

- Prosto?

Rozłożył ręce.

- Czy nie rozkazałaś, żebym zgłębił tajemnice tej dziewczki? Czyż nie zrobiłem tego dla ciebie?

- Jest prosta droga? - Eleonora się zaśmiała. - Opatcie, mój opacie. „Co jest krzywe, niech się wyprostuje...”

- „...a miejsca nierównie niech będą równiną” - dokończył. - Stary Izajasz wiedział to i owo. Ja jestem tylko jego sługą i twoim. Jedź, moja królowo, a Pan cię przeprowadzi.

Poprzedzana przez kilku ludzi, jednego z latarnią, Eleonora ruszyła naprzód na klaczy, wciąż się śmiejąc. Inni pociągnęli za nią.

Schwyz wydał rozkaz i zapalona pochodnia zakreśliła łuk w powietrzu, szybując ku stosowi drewna w wartowni...

Opat miał rację, przez labirynt biegła prosta droga. Jeden tunel łączył się z drugim, a żywopłoty maskowały przejścia.

Tajemnica zniknęła. Żywopłoty wokół nich chwiały się jak zwyczajne, miotane na wietrze krzewy. Adelia nie tęskniła za dawną atmosferą grozy. Zdumiewało ją coś innego. Jeśli ten dziwny opat, który podawał

się za stronnika królowej, nie skłamał, to sama Rozamunda pokazała mu sekretne przejście.

- Znasz tego człowieka? - zapytała przez ramię. Wzdrygnęła się, czując, jak chuda pierś unosi się i opada, gdy gospodyni zaczęła chichotać.

- Nie jest mądry. Myśli, że pokonał naszego smoka, ale on wciąż ma kły. - W jej głosie nie wyczuwało się wrogości do człowieka, który, jak sam wyznał, odwiedził Rozamundę w wieży, żeby wydać ją w ręce królowej.

Przebyli labirynt w parę minut. Klnąc strasznie na muła, Cross przynaglał go do truchtu. Adelia i Dakers podskakiwały, jadąc na oklep, gdy kawalkada pędziła w dół zbocza.

Wiatr przybrał na sile, niosąc śnieg, który przesłaniał księżyc. Gdy wspięli się na szczyt wzgórza, wicher gwałtownie uderzył w ich twarze.

Adelia obejrzała się i zobaczyła Rowleya, Jacques'a i Walta, wyprowadzanych z labiryntu przez ludzi z włóczniami.

Dakers zawyla triumfalnie, zwracając głowę ku wieży, czarnej, wysokiej, nieporuszonej na tle nieba.

- Nasz pan, Szatan, mnie wysłuchał, moja luba! Wróć po ciebie, ukochana! Czekaj na mnie! - zawołała.

Wieża powinna się już palić jak pochodnia, ale coś zdusiło ogień. Pewnie śnieg nanieiony przez wiatr.

Adelia nie mogła zapomnieć widoku Rozamundy, diabolicznie zakonserwowanej, czekającej w zimnej komnacie na powrót swojej sługi...

Na rzece czekała żałośnie mała flotylla złożona z czółen, płaskode-nek i starego promu, zarekwirowanych przez żołnierzy Schwyza. Jedyłą wartą coś łodzią była barka, którą Mansur, Oswald i ludzie z Godstow przyплыnęli z dołu rzeki, żeby zabrać zwłoki Rozamundy. Adelia rozglądała się, szukając Mansura. Obawiała się, że zabili go żołnierze. Byli nieokrzesanymi ludźmi, przypominali jej hałastę towarzyszącą krzyżowcom przechodzącym przez Salerno, gotową zabić każdego, kto się od nich różnił. Na dziobie barki stał wysoki mężczyzna, ale jak wszyscy w pelerynie z naciągniętym na głowę kapturem. Może to Mansur, ale mógł to być również jakiś żołnierz.

Próbowała pocieszyć się myślą, że Schwyz i jego ludzie są najemnikami, ludźmi praktycznymi. Z pewnością zachowali przy życiu wszystkich obznajomionych z ręką ludzi, żeby miał ich kto przewieźć do Oksfordu.

Chaos zrobił się tu jeszcze większy, gdy ludzie Eleonory zaczęli walczyć o miejsca na barce z Godstow -jedynej łodzi z kabiną.

Najemnik Cross, odpowiedzialny za Adelie i Dakers, zbyt długo czekał na rozkazy. Gdy zrozumiał, że nie dostanie żadnych, barka była już niebezpiecznie przeładowana, pełna sług i bagaży królowej. Nie pozwolono mu wsiąść.

Klnąc, zaciągnął kobiety do następnej łodzi i niemal je do niej wrzucił. Strażnik wskoczył za nimi.

Była to otwarta łódź wiosłowa, przycumowana do rufy barki z Gods-tow. Adelia zawołała do żołnierza:

- Nie możesz nas tu zostawić! Zamarzniemy. - Wystawione na lodowaty wiatr, umrą przed dotarciem do Oksfordu, zamarzną jak Roza-munda. Łódź zakołysała się, gdy drugi strażnik wepchnął do niej jeszcze trzy osoby i wsiadł za nimi. Rozległ się niski, mocny głos, którego nie zagłuszył wiatr:

- Na Boga, człeczce, chcesz nas zabić? Daj nam jakąś osłonę. Ta pani uratowała życie królowej. - Biskup St. Albans dołączył do Adelii. Wciąż związany z Jacques'em i Waltem, zachował dawną godność.

- Zaraz, nie pali się! - odkrzyknął Cross. - Przestań wrzeszczeć. Siadaj. Przed kobietami.

Kiedy wszyscy usadowili się zgodnie z jego życzeniem, wyjął wielki toból, który okazał się zwiniętym żaglem, i zawołał do swojego towarzysza Giorgia, żeby pomógł go rozpostrzeć.

Ich maniery mogły budzić zastrzeżenia, ale działali sprawnie. Wiatr próbował porwać płótno, więc kazali Dakers i Adelii usiąść na jednym końcu, po czym przeciągnęli żagiel do przodu, żeby okryć trzech więźniów i ławkę na dziobie, gdzie sami przycupnęli. Giorgio wymownym ruchem położył miecz na kolanach.

Żagiel, brudny, śmierdzący, nie był dość szeroki, więc osłaniali się przez wiatrem zacinającym z lewej strony, zostawiając lukę po prawej. Lód natychmiast usztywnił płótno, tworząc dodatkową warstwę ochronną. Mieli namiastkę schronienia.

Wiatr burzył rzekę i lodowata woda przelewała się przez burty. Adelia wzięła Strażnika na kolana, okryła go płaszczem i oparła stopy o plecy Rowleya, żeby się nie zamoczyły - siedział przed nią po prawej burcie. Jacques zajmował miejsce pomiędzy nim a Waltem.

- Wszystko w porządku? - Musiała podnieść głos, żeby nie zagłuszyło go wycie wiatru.

- A u ciebie? - zapytał.

- Cudownie!

Posłaniec również próbował być dzielny.

- Przejazdźka łódką to miła odmiana - rzekł.

- Będę mniej hojny w napełnianiu twojej sakiewki - odciął się biskup. Nie było czasu na gadanie, żołnierze zaczęli wołać, żeby wybierali wodę, „zanim ta przekłeta krypa pójdzie na dno”. Mężczyźni dostali czerpaki, a kobiety dzbanki.

-I przyłóżcie się, niech was diabli!

Jeśli łódź pójdzie na dno, zginą, nie mając szans na dotarcie do brzegu. Adelia jak najszybciej wylewała lodowatą wodę za burtę, a rzeka wlewała ją z powrotem.

Spod żagla widać było niesiony wiatrem śnieg, oświetlony przez latarnie na rufie barki i na dziobie łodzi płynącej za nimi. W nikłym blasku Adelia rozpoznała dzbanek, którym czerpała wodę. Srebrny, niedawno stał ma tacy, na której sługa przyniósł jedzenie i picie dla Eleonory do komnaty Rozamundy. Akwitanczycy mieli rację: najemnicy - w każdym razie ci dwaj z tej łodzi - byli złodziejami.

Nagle Adelia wpadła w furię. Rozwścieczona kradzieżą dzbanka, ale głównie zimnem, wilgocią, niewygodą i lękiem o życie, wrzasnęła do Dakers, która siedziała beczynnie:

- Wybieraj wodę, od diabła!

Jednak ona nadal siedziała bez ruchu, ze zwieszoną głową. Pewnie nie żyła.

Rowley zawołał do żołnierza, żeby rozwiązał im ręce. Związani ze sobą, zawsze musieli czerpać wodę i wylewać ją za burtę jednocześnie, co spowalniało pracę.

Żołnierz kazał mu się zamknąć. Po chwili Adelia poczuła, że łódź kołysze się jeszcze bardziej, a potem usłyszała przekleństwa siedzących przed nią mężczyzn. Żołnierz ich rozdzielił, ale mieli nadal skrupowane ręce.

Mimo wszystko mogli teraz szybciej wybierać wodę. Adelia przeniosła swoją złość na Dakers, która miała czelność umrzeć po tym wszystkim, co ona, Adelia Aguilar, dla niej zrobiła.

- Czysta niewdzięczność - warknęła i chwyciła ją za rękę. Po raz drugi tej nocy poczuła słaby puls.

Pochyliła się, omal nie rozgniatając psa leżącego na kolanach, wyciągnęła stopy Dakers z zęzy i, żeby je rozgrzać, jedną wepchnęła pomiędzy Rowleya i Jacques'a, a drugą pomiędzy Jacques'a i Walta.

- Jak długo mamy tu siedzieć? - zawołała nad ich głowami do żołnierzy. - Kiedy w końcu ruszymy?

Ale wiatr wył tak głośno, że żołnierze jej nie słyszeli. Rowley ruchem głowy wskazał lukę między plandeką a burcią.

Adelia spojrzała na wirującą zaslonę śniegu. Płynęli już od jakiegoś czasu i dotarli do zakrętu rzeki, gdzie osłoniły ich wysoki brzeg albo drzewa.

Nie wiedziała, czy barkę, za którą płynęli, pchają ludzie z żerdziami czy ciągną konie - dla jednych i drugich byłoby to równie trudne zadanie. Pewnie pchali ją ludzie, bo zdawało się, że płyną szybciej niż koń idący stępa. Pomagał im wiatr wiejący w plecy i nurt, czasami aż za bardzo wartki, bo dziób ich łodzi uderzał w rufę barki. Żołnierze się zmieniali - gdy jeden siedział pod żaglem, drugi stał z wiosłem na dziobie, chroniąc ich przed zderzeniem.

Adelia nie miała pojęcia, jak daleko jest do Oksfordu, ale Godstow znajdowało się jakąś godzinę drogi stąd. Musiała tam koniecznie wyjść na brzeg.

Gdy tylko podjęła to postanowienie, poczuła się spokojniejsza, znów była medyczką z chorym pacjentem na rękach. Jej rozdrażnienie częściowo wynikało z głodu. Pomyślała, że prawdopodobnie Dakers jest jeszcze bardziej głodna, półżywa z głodu - nie znaleźli śladu jedzenia w kuchni Wormhold, gdy się tam rozglądali.

Adelia, choć przeklinała kradnących najemników, także nie wyszła z komnaty Rozamundy z pustymi rękami. Na tacy królowej zostało jedzenie, a ciężkie czasy nauczyły ją szacunku dla strawy.

Cóż, Rozamunda raczej nie miała apetytu.

Sięgnęła do kieszeni po serwetkę, rozwinęła ją, odłamała duży kawałek pasztetu i pomachała nim przed nosem Dakers. Zapach jedzenia przywrócił siły gospodyni, która szybko wyrwała pasztet z jej palców.

Uważając, żeby nie zobaczyli jej żołnierze, pochyliła się i wsunęła skradziony ser pomiędzy Jacques'a a Rowleya. Poczula, że któryś z nich w podzięcie ucisnął jej dłoń. Nastąpiła przerwa w wybieraniu wody, gdy trzech mężczyzn sekretnie dzielili się serem, aż żołnierze zaczęli krzyczeć, żeby wrócili do pracy.

Reszką pasztetu podzieliła się ze Strażnikiem.

Niewiele mieli do roboty poza wybieraniem wody. Co jakiś czas żagiel opadał tak bardzo, że któryś z nich musiał uderzać od spodu, żeby strząsnąć śnieg.

Woda chlupocząca pod podniesionymi nogami Adelii nie chciała opaść, niezależnie o tego, ile wylała jej za burte; każdy oddech moczył pelerynę, którą osłaniała twarz, i natychmiast zamarzał. Usta jej spierzchły od zimna, płótno żagla drapało japo głowie, gdy się pochylała i prostowała. Ale gdyby przestała się ruszać, zimno ścięłoby krew w jej żyłach. Musiała wybierać wodę, żeby utrzymać się przy życiu, zobaczyć Allie.

Rowley łokciem trącił ją w kolana. Adelia pochylała się, zanurzała dzban, wylewała wodę za burłę, pochylała się, czerpała, wylewała; robiła to już całkiem machinalnie. Rowley znowu ją trącił i dopiero wtedy zrozumiała, że może przestać. Woda przestała wlewać się do łodzi.

Wiatr przycichł. Płynęli w ciszy, światło - czyżby wstawał dzień? - wsączało się pod żagiel, za którym śnieg sypał tak gęsto, że wydawało się, jakby łódź płynęła w powietrzu pełnym łabędziego puchu.

Od zimna zdrętwiały jej prawy bok i ramię. Przytuliła się do pleców Rowleya, żeby zachować trochę ciepła, i pociągnęła za sobą Dakers, żeby przywarła do Jacques'a.

Rowley lekko odwrócił głowę i poczuła jego oddech na czole.

- Jak tam?

Adelia wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć nad jego ramieniem. Choć wiatr przycichł, wzburzona rzeka płynęła szybciej, co groziło rozbiciem łodzi o barkę albo o brzeg.

Jeden z żołnierzy - pewnie Cross - wysunął się spod żagla, który opadł na jego towarzysza, i wiosłem chronił łódź przed zderzeniem. Drugi, starszy najemnik garbił się na dziobowej ławce, pogrążony we śnie.

Walt i Jacques też siedzieli bez ruchu. Dakers wciąż opierała się o plecy posłańca.

Adelia zbliżyła usta do ucha Rowleya:

- Zamierzają podnieść sztandar Eleonory w Oksfordzie. Myślą, że Midlands powstanie i dołączy do rebelii.

- Ilu ludzi mają w Oksfordzie?

- Tysiąc.

- Widziałaś Eynshama?

- Tak. Kto to?

- Łajdak. Bystry. Ma poparcie u papieża. Nie ufaj mu.

- A Schwyz? - zapytała.

- Drugi łajdak, najemnik. Dobry żołnierz.

- Wojskiem w Oksfordzie dowodzi niejaki Wolvercote.

- Łajdak.

Adelia przytuliła się do jego policzka.

- Masz nóż? - zapytał.

- Tak.

- Przetnij ten przeklęty sznur. - Poruszył związanymi rękami.

Zerknęła na żołnierza siedzącego na dziobie. Miał zamknięte oczy.

- Szybko. - Usta Rowleya ledwo się poruszały. - Za chwilę wysia

dam. - Mówił tak, jakby to była jakaś zwykła podróż.

RS

- Nie. - Objęła go.

- Muszę znaleźć Henryka. Ostrzec go.

- Nie. - W tej śnieżycy nikt nikogo nie znajdzie. Rowley zginie. Ludzie z mokradł opowiadali o wieśniakach, którzy w czasie burzy śnieżnej wychodzili zamknąć drób albo przyprowadzić krowę. Nie mogąc odnaleźć drogi powrotnej w lodowatej, wirującej bieli, w której ślepli i tracili orientację, zamierzali tuż koło drzwi domu. - Nie - powtórzyła.

- Przetnij ten przeklęty sznur.

Żołnierz na dziobie poruszył się i mruknął:

-Co się dzieje?

Czekali, dopóki znów nie zasnął.

-Czy chcesz, żebym popłynął ze związanymi rękami? – szepnął Rowley.

Boże, jak bardzo go nienawidziła. I nienawidziła Henryka Plantageneta. Król, zawsze król, wart poświęcenia jej życia, życia ich dziecka.

Sięgnęła do kieszeni, chwyciła nóż i zastanowiła się całkiem poważnie, czy nie wbić mu ostrza w nogę. Nie mógłby wtedy iść i zamarłby gdzieś na polu.

- Nienawidzę cię - wymamrotała. Łzy zamarzały jej na rzesach.

- Wiem. Przetnij sznur.

Trzymając nóż, objęła go prawą ręką, przez cały czas obserwując człowieka na dziobie. Zastanawiała się, czy nie krzyknąć ostrzegawczo, żeby zapobiec ucieczce Rowleya...

Nie mogła tego zrobić. Nie wiedziała, jaki los Eleonora zgotuje więźniowi, co zrobi Eynsham albo Schwyz.

Znalazła jego dłonie i wymacała sznur na nadgarstkach. Zaczęła ciąć, bardzo ostrożnie - nóż był tak ostry, że wystarczył jeden niewłaściwy ruch, żeby przeciąć żyły.

Jedno włókno, drugie. W czasie pracy syczała, wylewając żółć:

-Jestem twoją kochanką? Nie masz ze mnie żadnego pożytku, co?

Będiesz się smażył w piekle, a Henryk razem z tobą.

Ostatnie włókno puściło i poczuła, jak Rowley porusza rękami, żeby przywrócić krążenie.

Przekreślił głowę, żeby ją pocałować. Jego zarost podrapał jej policzek.

-Żadnego pożytku - powiedział. - Z wyjątkiem tego, że dzięki tobie wszędzie słońce.

I zniknął.

Jacques tłumaczył wściekłemu Crossowi, że wskutek uderzenia łodzi o brzeg biskup wypadł za burtę.

- Już po nim - odpowiedział najemnik.

Jacques zaczął głośno zawodzić. Jednocześnie zabrał Strażnika z kolan Adellii, posadził ją pomiędzy sobą a Waltem, pozwalając, by śpiąca Dakers oparła się o jej plecy, i ułożył psa z powrotem pod jej płaszczem.

Adelia była jak półprzytomna. Ciągłe słyszała słowa Rowleya: „Dzięki tobie wszędzie słońce”.

Jeśli go znów zobaczy, zabije go.

Śnieg przestał padać, a ciężkie chmury, które go przyniosły, odpłynęły na zachód. Wyszło słońce i Cross zwinął żagiel, żeby trochę się ogrzali w jego promieniach.

Adelia nic nie zauważyła, dopóki Walt jej nie trącił.

- Co z nim, pani?

Podniosła głowę. Najemnicy siedzieli na ławce dziobowej. Cross próbował zbudzić towarzysza.

- Szybko, Giorgio! To nie twoja wina, że straciliśmy przeklętego biskupa. No, ruszaj się.

- On nie żyje - orzekła Adelia.

Buty mężczyzny stały w lodowatej wodzie zęzy. Kolejny zamrożony trup powiększył żniwo, jakie śmierć zebrała tej nocy.

- Niemożliwe. Kazałem mu siedzieć w ciepłe. - Twarz Crossa wykrzywił wyraz udręki.

Chcąc się upewnić, Adelia wyciągnęła rękę i przyłożyła palce do szyi żołnierza, szukając pulsu. Namacała sztywne ciało. Pokręciła głową. Był znacznie starszy od swojego towarzysza.

Jacques i Walt przyklękli.

- Przykro mi - powiedziała Adelia. - Niech Bóg się zmiłuj nad jego duszą.

- Niech to diabli porwą, siedział tutaj, myślałem, że mu ciepło.

- Wiem. Zrobiłeś dla niego, co mogłeś.

- Dlaczego więc ty nie zdechłaś? Siedziałaś tak samo jak on.

Bez sensu było tłumaczyć, że oni czerpali wodę, ruszając się bez przerwy. On sam, choć przebywał na wietrze, też cały czas pracował, zapobiegając zderzeniom. Poza tym biedny Giorgio siedział samotnie, nie dzieląc z nikim ciepła.

- Przykro mi - powtórzyła. - Był stary, nie wytrzymał zimna.

- Nauczył mnie żołnierki. Razem odbyliśmy trzy kampanie. Pochodził z Sycylii.

- Jak ja.
- Tak?
- Nie ruszaj go - poleciała.

Zwłoki były zamrożone. Chciała zaoszczędzić Crossowi widoku przyjaciela leżącego na grzbiecie jak pies z zadartymi łapami.

- Na Boga, czy to nie Godstow? - odezwał się Walt.

Allie.

Świat skrzył się od śniegu. Adelia musiała osłonić oczy, żeby cokolwiek zobaczyć. Gałęzie drzew wyglądały jak suche palce zamrożone w akcie desperackiego błagania. Wszystko wydawało się spłaszczone pod ciężarem śniegu, doliny stały się płytkimi nieckami wśród łagodnych wzniesień. Proste nici dymu na tle niebieskiego nieba świadczyły o tym, że garby rozrzucone na wzniesieniu nad brzegiem sąna wpół zasypanymi domami.

W dali majaczył niewielki most, biały jak marmur. Stała na nim z Rowleyem tamtej nocy, jakby w innym stuleciu. Zmrużyła oczy i za mostem ujrzała liczne pasemka dymu, las, zarys bramy.

Znajdowali się naprzeciwko wioski Wolvercote. W dali, choć nie mogła go zobaczyć, znajdował się klasztor Godstow. Była tam Allie.

Adelia wstała, pośliznęła się i zakołysała łodzią.

- Wysadź nas na brzeg - powiedziała, ale Cross chyba jej nie słyszał.

Walt i Jacques posadzili ją z powrotem na ławce.

- To na nic, pani, nawet jeśli... - odezwał się posłaniec.
- Popatrz na brzeg, pani - dodał Walt.

Popatrzyła i zobaczyła stromą skarpe w miejscu, gdzie powinno rozciągać się płaskie pastwisko. A widoczne tam krzaki były w rzeczywistości rozłożystymi koronami starych dębów, które tkwiły w głębokich zaspach.

- Nie damy rady się przedostać - tłumaczył Jacques.

Prosiła, błagała, wiedząc, że mówią prawdę. Dopóki mieszkańcy wioski nie wygrzebią się z chałup i nie przekopią tuneli do brzegu rzeki, albo dopóki śnieg nie staje, będzie odcięta od klasztoru. Nie miała innej możliwości, jak siedzieć w łodzi, która unosiła ją coraz dalej od Allie. Bóg wie, kiedy do niej wróci.

Minęli wioskę. Zbliżyli się do mostu, który spinał brzegi przy młynie. Tamiza poszerzała się, tworząc szerokie zakole wokół łąk klasztoru.

Coś się działo...

Barka zwolniła. Wysokie burty nie pozwalały zobaczyć pokładu, ale panował tam wzmożony ruch i słychać było przekleństw.

- O co chodzi?

Walt podniósł czerpak, nabrał wody z rzeki, przemieszał ją palcem.

- Patrzcie.

Spojrzeni. Woda była szara i ziarnista, jakby ktoś nasypał w nią soli.

- Co to?

- Lód - odparł Walt cicho. - Przekłety lód. - Rozejrzał się. - Tu musi być płytko. Rzeka zamara.

Adelia popatrzyła na wodę, potem na Walta i z powrotem na rzekę. Nagle usiadła i podziękowała Bogu za cud przewyższający te biblijne. Będą musieli się zatrzymać. Wyjdą na brzeg, a jest ich tylu, że zdołają przekopać się do klasztoru.

Obejrzała się, żeby policzyć płynące za nimi łodzie.

Nie było żadnej. Jak okiem sięgnąć, pusta rzeka, bliżej szara i błękitniejąca w oślepiającej, milczącej dali.

Adelia szukała żołnierzy, którzy powinni towarzyszyć im na flisackiej ścieżce.

Ale oczywiście nie było nawet śladu ścieżki. Wzdłuż rzeki biegła falista, nieprzerwana skarpa zamrożonego śniegu, miejscami wysoka na dwóch chłopów, z krawędzią wyrzeźbioną przez wiatr i wodę tak starannie, jakby jakiś ogromny cukiernik odcinał nożem polewę na placku.

Ponieważ tak bardzo zależało jej na dotarciu do córki, pomyślała: nie jest nas dość, żeby wykopać ścieżkę...

A zaraz potem: Dobry Boże, gdzie oni są? Gdzie ci wszyscy ludzie?

Słońce pięknie oświetlało pustą rzekę, gdzie być może w górnym jej biegu ludzie siedzieli w łodziach nieruchomi jak Giorgio, gdzie być może trupy kołysały się w roziskrzonej wodzie.

A co z jeźdźcami? Gdzie się podzieli, Boże Wszechmogący? Gdzie Rowley?

Odpowiedziała jej cisza, straszna cisza, którą chwilami przerywały przekleństwa i stękanie ludzi z barki.

Ludzie na pokładzie wyteżali siły, zanurzając żerdzie w płytkiej, gęstniejącej wodzie, szukając dna rzeki, by przepchnąć barkę kawałek dalej...

Po jakimś czasie rozległy się dźwięki ostre jak trzask batów - ludzie musieli przebijać lód na powierzchni rzeki.

Posuwając się cal po calu, dotarli do miejsca, gdzie do rzeki wpadała struga. Jej brzegi spinał most, za którym stał młyn wodny. Koło młyńskie nie czyniło hałasu, kaskada zastygła w połyskliwym bezruchu.

Boże Wszechmogący, ratuj nasze dusze! Ktoś zrobił z mostu szubienicę. Dwie lśniące, powykęcane figury wisiały na sznurach. Adelia ujrzała dwie martwe twarze, patrzące na nią z lekkim zdziwieniem i dwie pary wyprężonych stóp, jakby ich właściciele zamazali w trakcie tanecznego podskoku.

Nikt inny nie zwrócił uwagi na wisielców. Walt i Jacques wiosłami popychali łódź, żeby nie hamowała barki. Dakers siedziała teraz obok Adelii, z twarzą przysłoniętą kapturem. Ktoś okrył je żaglem, żeby nie traciły ciepła.

Powoli minęli most. Tamiza przepływała obok łąki Godstow, która, co dziwne, nadal była łąką. Wiatr oczyścił ziemię ze śniegu i szeroki spłacheć zamarzniętej trawy urozmaicał świat bieli.

Tu barka stanęła, bo lód był już za gruby, żeby płynąć dalej. Nie miało to żadnego znaczenia - od klasztoru do brzegu prowadziła udeptana ścieżka, a nad samą wodą stali ludzie, krzyczeli i machali rękami. Również wszyscy na łodziach krzyczeli i machali rękami niczym rozbitkowie, którzy dostrzegli zbliżający się żagiel...

Dopiero wtedy Adelia poczuła, że traci siły. Ogarnęło ją rozleniwienie, które towarzyszy śmierci. Rozminęła się z nią o włos.

Musieli wyjść na lód, żeby dotrzeć do lądu. Strażnik pośliznął się i upadł, sunąc po lodzie. Ktoś objął Adelię, spiesząc z pomocą. Podniosła głowę i ujrzała Mansura.

- Allach jest miłosierny - powiedział.

Brnęła z nim po lodzie, a potem przez zwarzoną mrozem trawę łąki.

Z przodu dostrzegła wyprostowaną sylwetkę Eleonory. Po chwili królowa zniknęła w tunelu, który prowadził do klasztornej bramy. Ścieżka była wąska, obrzeżona stromymi ścianami śniegu. Przekopano ją dla trumny Rozamundy, ale zamiast niej niesiono teraz zamarznięte zwłoki najemnego żołnierza.

Na samym końcu tunelu stała starsza kobieta. Jej sztuczna obojętność maskowała ulgę.

- Nie spieszyliście się.

Gdy Adelia padła w jej ramiona, Gyltha rzekła:

- Oczywiście, że nic jej nie jest. Jak zawsze pełna życia. Myślisz, że się nią nie zajmowałam? Niech cię licho, dziewczyno, zostawiłaś ją ledwie wczoraj.

Rozdział 8

Matka Edyve z pewnością przeraziła się, że trzeba będzie nakarmić i zakwaterować około czterdziestu wyczerpanych, przemoczonych, przemarzniętych ludzi, chwiejnym krokiem wchodzących przez bramę, ale niczego nie dała poznać po sobie, nawet wówczas, gdy zobaczyła królową Anglii i opata Eynshama, niebędących przyjaciółmi Godstow, nie mówiąc o oddziale najemnych żołnierzy.

Kazała podać grzane wino z mlekiem, oddała swój dom królowej Eleonorze i jej pokojowym, opata i Montignarda ulokowała w męskim domu gościnnym ze sługami królowej, Schwyza zakwaterowała w stróżówce, psy i jastrzębie królowej umieściła w klasztornych psiarniach i sokolarniach, a najemników rozproszyła, jak tylko mogła, tego posyłając do piekarni, tamtego do kowala, pozostałych rozmieszczając wśród podstarzałych służących w domach, które tworzyły osadę w obrębie murów klasztoru.

- Są rozdzieleni i ani jeden z nich nie trafił tam, gdzie są młódki
- pochwaliła Gyltha. - Mądra jest ta matka Edyve.

To Gyltha zdała matce przełożonej sprawozdanie z wydarzeń, jakie zaszły w Wyrmhhold. Adelia była zbyt zmęczona, a poza tym nie mogłaby powiedzieć jej o śmierci Rowleya.

- Nie uwierzyła, że biskup nie żyje - oznajmiła Gyltha po powrocie.
- Ja też nie wierzę. A teraz pozwól, że się wami zajmę.

Mansur powtarzał, że nic mu nie jest, ale kobiety się o niego martwiły, bo popychając barkę, cały czas przebywał na lodowatym powietrzu, w przeciwieństwie do Adelii, Jacques'a i Walta.

- Popatrz, co zrobiłeś z rękami, ty wielki gamoniu - burczała Gyltha. Jej niepokój zawsze przybierał formę złości. Dłonie Mansura krwawiły, gdyż tyczka najpierw poszarpała rękawice, a potem skórę.

Adelia najbardziej się bała o jego palce, które wystawały, białe i lśniące, z podartych rękawic.

- Odmrożone.
- Nie bolą- odparł Mansur obojętnie.
- Zaraz zaczna-zapowiedziała Adelia.

Gyltha pobiegła do kwatery Mansura po suchą odzież. Przyniosła ją razem z kubłem gorącej wody z kuchni. Chciała włożyć do wody ręce mężczyzny, ale Adelia ją powstrzymała.

- Poczekaj, niech trochę ostygnie.

Nie pozwoliła również zbliżyć do Araba kosza z węglami. Jej przybrany ojciec interesował się odmrożeniami - spędził nawet zimę w Alpach, żeby je studiować - i doszedł do wniosku, że rozgrzewanie musi następować stopniowo.

Mała Allie, która nie mogła dosięgnąć kosza - stał w niedostępnym miejscu - próbowała ściągnąć sobie na głowę wiadro. Adelię bardzo bolały przemarznięte stopy, gdy krew zaczynała w nich krążyć.

Zastanowiła się, czy nie uraczyć siebie i Mansura przeciwbólowym wywarem z kory wierzbowej, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Oboje byli wytrzymali na ból, a brak pęcherzy na zaczerwienionych palcach jej nóg i jego rąk wskazywał, że odmrożenia nie są groźne - lepiej zachować lekarstwo dla tych, którzy mogli być w gorszym stanie.

Wczołgała się do łóżka. Strażnik wskoczył za nią, a ona nie miała serca, żeby go wygonić. Pies dzielił się z nią swoim ciepłem na łodzi. Cóż z tego, że teraz podzieli się pchłami?

- Co zrobiliście z Dakers? - zapytała.

Gyltha od pierwszego wejrzenia nie polubiła chudej jak szkielet staruszki, którą Adelia przywlokła do bramy konwentu. Trzeba było się nią jednak zająć, utrzymać biedaczkę przy życiu.

- Przekazałam ją siostrze Havis, a ona siostrze Jennet w infirmerii. Nic jej nie będzie.

- Dobrze. - Adelia zamknęła oczy.

- Nie chcesz wiedzieć, kto się tu pojawił w czasie twojej nieobecności?

- Nie.

Kiedy się zbudziła, było popołudnie. Mansur udał się do domu gościnnego, żeby odpocząć. Gyltha siedziała przy łóżku, robiąc na drutach - umiejętność, której nauczyła się od jednej ze skandynawskich klientek w czasie, gdy jeszcze handlowała węgorzami.

Oczy Adeli spoczęły na pulchniutkiej Allie. Dziecko jeździło na pupie po podłodze, ścigając psa i pokazując w uśmiechu jeden maleńki ząbek, który wyróżzał się w dolnej szczęce pod nieobecność matki.

- Przysięgam, więcej cię nie zostawię - zapewniła. Gyltha parsknęła.

- Powtarzam: minęło zaledwie trzydzieści godzin. Ale dla Adeli rozłąka trwała znacznie dłużej.

- Minęła cała wieczność - powiedziała i dodała żałośnie: - Dla Rowleya nigdy się nie skończy.

Gyltha była innego zdania.

- Wróci jak zawsze. Trzeba czegoś więcej niż odrobiny śniegu, żeby wykończyć tego chłopaka. - Dla Gylthy biskup St. Albans miał na zawsze pozostać „tym chłopakiem”.

- Może nie wracać - powiedziała Adelia. - Nie dbał, Gyltho, ani o swoje życie, ani o życie Allie, ani o moje.

Powiedział jednak, że dzięki niej wszędzie słońce.

- Poszedł zapobiec wojnie, która może kosztować życie wielu ludzi. Niech Bóg ma go w opiece.

- Nie obchodzi mnie to. Jeśli to tak zbożne dzieło, niech Bóg się nim zajmie. Wyjeżdżamy. Gdy tylko śniegi stopnieją, wracamy na mokradła.

- Akurat.

- Mówię poważnie. - Na mokradłach wiodła pożyteczne życie. Została go pozbawiona, a następnie porzucona przez człowieka, który ją w to wszystko wplątał. Co gorsza, jego widok ożywił w niej uczucia, które uważała od dawna za martwe.

„Dzięki tobie wszędzie słońce”.

Niech go licho, nie wolno o tym myśleć.

- Tak czy siak, to wszystko polityka. Zabójstwo Rozamundy, o ile się orientuję, miało związek z królową i królem. A to wykracza poza moje możliwości. Czy zabiły ją grzyby? Tak, prawdopodobnie. Czy wiem, kto je przysłał? Nie, nie wiem, a pytania bez odpowiedzi mnożą się bez końca. Jestem medyczką. Nie dam się wciągnąć w ich wojnę. Gyltho, Eleonora mnie uprowadziła: uprowadziła! Mało brakowało, a dołączyłabym do jej przeklętej armii.

- Może zatem nie powinnaś była ratować jej życia?

- Co miałam zrobić? Dakers szła na nią z nożem.

- W dalszym ciągu nie chcesz wiedzieć, kto zjawił się w konwencji?

- Nie. Chcę wiedzieć tylko, czy ktoś powstrzyma nas od wyjazdu.

Wyglądało na to, że po przybyciu do klasztoru wszystkich podróżnych opuściły siły, nawet Eleonorę. Nikt nie poświęcił myśli kobiecie, która ocaliła życie królowej oraz kobiecie, która omal go nie odebrała.

Adelia pomyślała, że może królowa zapomniała o Dakers i o niej, i gdy drogi znów staną się przejezdne, wyruszy do Oksfordu bez nich. A ona zabierze Gylthę, Mansura i Allie i ucieknie. Dakers niech sama sobie radzi.

Gyltha poszła po kolację do kuchni.

Adelia wstała z łóżka, podniosła córeczkę, przytuliła twarz do jej miękkiego policzka i posadziła ją na kolanach, żeby mogły na siebie patrzeć.

- Wracamy do domu, wiesz? Tak, wracamy. Nie damy się wciągnąć w te ich wojny, prawda? Pojedziemy daleko, wrócimy do Salerno, nie obchodzi nas, co mówi ten wstrętny stary król Henryk, prawda? Znajdziemy gdzieś pieniądze. Robienie mi-niek nic nie da... - Allie wysuwała dolną wargę i pokazywała nowy ząbek w sposób, który przywodził na myśl wielbłąda z menażerii w Salerno. - Spodoba ci się tamtejsze ciepło. Zabierzemy Mansura, Gylthę i Ulfa. Tęsknisz za Ulfem, prawda? Ja też.

Gdyby miała kontynuować śledztwo, wnuk Gylthy byłby jej oczami i uszami. Tylko jedenastoletni urwis -jego wyjątkowo brzydkie rysy maskowały wybitną inteligencję - mógł zaglądać wszędzie bez zwracania na siebie uwagi.

Adelia podziękowała Bogu, że przynajmniej Ulfowi nic nie grozi. Ciekawe, co powiedziałby o tej sytuacji...

Allie zaczęła się wiercić, chcąc wrócić do zabawy ze Strażnikiem, więc Adelia posadziła ją na podłodze. Sama siedziała na łóżku w zamyśleniu, prowadząc wewnętrzny dialog.

Dwa morderstwa. Rozamundy i młodego człowieka na moście. Myślisz, że są ze sobą powiązane?

Nie wiem. To nie ma znaczenia.

To zależy, kto się pojawił. Czy przybył ktoś ciekaw, dlaczego trup na moście nie wywołał zamieszania? Ktokolwiek to jest, chciał jego śmierci, prawda? I zależało mu na tym, żeby śmierć wywołała zamieszanie.

Tak zakładałam. Ale nie było wówczas czasu.

Ktoś przybył.

Nic mi do tego. Wracam do domu, boję się.

Zostawisz biedaka w lodowni? Wielce po bożemu.

Och, nie chcę tego słuchać.

Adelia lubiła porządek. W pewnym sensie jej profesja była tego przykładem; wszak zmarli nie wykonują niespodziewanych ruchów, nie grożą nożem. Utrata panowania nad własnym losem i znalezienie się na kapryśnej łasce innych, zwłaszcza ludzi o złych zamiarach, czego doświadczyła w Wormhold i na rzece, wstrząsnęły całym jej jestestwem.

Niska, skromna izba klasztorna uspokajała, jakby mówiła, że we wszystkim należy zachować umiar. Zapadła noc i belki powały rzucały cień w blasku żaru z kosza, tworząc pasiasty wzór na białym tynku. Daleki śpiew nieszpórów, choć stłumiony przez wełnę, którą Gyltha powtykała w szpary okiennic dla ochrony przed zimnem, przypominał o tysiącu lat rutyny.

Wszystko to było jednak iluzją z powodu zwłok leżących w lodowni i martwej kobiety siedzącej przy stole w wieży, czekających... na co?

Na rozwiązanie zagadki.

Adelia błagała samą siebie: Nie mogę nic zrobić. Boję się, chcę wrócić do domu.

Ale zapamiętane obrazy nie dawały jej spokoju: ślady stóp na śniegu, zmięty list w sakwie, inne skopiowane listy, świński nos Berty, wietrzący zapach...

Gyltha wróciła z kociołkiem bulionu z baraniny, paroma łyżkami, bochenkiem chleba pod jedną pachę i skórzanym bukłakiem piwa pod drugą. Nalała trochę bulionu do miseczki Allie. Dużymi, silnymi zębami przeżuwała jedzenie na papkę, którą następnie wypluwała do naczynia.

- Rzepa i kasza jęczmienna - powiedziała. - Trzeba siostronom przyznać, że robią porządne kolacje. A dziś rano były ciepłe mleko od krowy i owsianka.

Adelia zapytała z pewnymi oporami:

- Czy Berta wciąż jest w oborze?

- Nosa nie wyściubiła, biedactwo. Ta stara Dakers wciąż chce poderżnąć jej gardło?

- Nie sądzę.

Karmienie Allie, która próbowała jeść sama, wymagało koncentracji uniemożliwiającej myślenie o czymkolwiek innym.

Kiedy położyły już spać Allie, w milczeniu zjadły kolację, grzejąc nogi przy koshu i przekazując sobie bukłak z piwem.

Ciepło łagodziło ból. Adelia pomyślała, że bezpieczeństwo jej świata zależy teraz od tej wychudzonej starszej kobiety, która siedzi na stołku naprzeciwko niej. Codziennie dziękowała w duchu przeorowi Gotfrydowi, że poznał ją z Gylthą, codziennie żyła w strachu, że Gyltha może odejść, i zastanawiała się, dlaczego nie odeszła.

- Gyltho, nie masz nic przeciwko temu, że tu jesteś?

- Nie mam wyboru, dziewczyno. Uwięził nas śnieg. Znowu pada, jeśli chcesz wiedzieć. Ścieżka do rzeki została zasypana.

- Chodzi mi o tę szaloną jazdę, o popełnione morderstwo... Nigdy się nie skarżysz.

Gyltha wydłubała z zębów włókno wołowiny, przyjrzała mu się uważnie i włożyła z powrotem do ust.

- Czasem warto zobaczyć coś innego - stwierdziła.

Może i tak. Kobiety zwykle nie ruszały się stamtąd, gdzie rzucił je los; w przypadku Gylthy były to mokradła Cambridgeshire, miejsce,

które Adelia uznała za bardzo egzotyczne, ale które niewątpliwie było dość monotonne. Dlaczego serce Gylthy nie miałyby bić szybciej na myśl o przygodzie w dalekich stronach, jak serce krzyżowca? Dlaczego nie miałyby pragnąć pokoju bożego w tym kraju, tak jak Rowley? Albo żądać, pomimo ryzyka, aby boska sprawiedliwość dosięgła tych, którzy dopuścili się mordu?

Adelia pokręciła głową.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Gyltha przelała resztki bulionu z miseczki Adelii do swojej i postawiła ją na podłodze dla Strażnika.

- Od samego początku nie miałas czasu, żeby się dowiedzieć, kto zabił tego biednego chłopaka i Rozamundę - powiedziała.

- No dobrze. - Adelia westchnęła. - Mów.

- Niby co? - Gyltha uśmiechała się z satysfakcją.

- Dobrze wiesz. Kto przybył? Kto wypytywał o chłopca z lodowni? Ktoś chciał, żeby został znaleziony, to pewne, ktoś wypytuje, dlaczego tak się nie stało. Kto?

Okazało się, że był więcej niż jeden przybysz. Jakoby uciekając przed śniegiem, który teraz ich więził, cztery osoby przyjechały do Godstow w czasie nieobecności Adelii.

- Pan i pani Bloat z Abingdon, rodzice tej małej Emmy, którą polubiłaś, przyjechali na ślub.

- Jacy są?

- Wielcy. - Gyltha rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć pień drzewa. - Wielkie brzuchy, wielkie słowa, wielkie głosy, w każdym razie on ryczy niczym wół. A to, że przywozi więcej wina z obcych stron niż ktokolwiek inny, a to, że sprzedaje więcej niż ktokolwiek inny... i pewnie drożej niż ktokolwiek inny. Wieprz na wielkim koniu.

Adelia wywnioskowała, że pan Bloat upaja się pozycją, która nie była mu dana od urodzenia.

- A jego żona?

Gyltha w odpowiedzi skrzywiła usta w afektowanym uśmiešku, podniosła buklak, pretensjonalnie odgięła mały palec i udała, że pije. Blo-atowie nie przypadli jej do gustu.

- Mało prawdopodobne, że są mordercami - stwierdziła Adelia. - Kto jeszcze?

- Ich przyszły zięć.

Kolejna osoba, która miała ważny powód, żeby zawitać do Godstow.

- Aha. - Więc piękny, pełen galanterii autor wierszy przybył po pan-
nę młodą. Jak miło, że miłość przynajmniej na chwilę rozświetli zimową
ciemność.

- Jak się tu dostał?

Gyltha wzruszyła ramionami.

- Jak inni, przybył z Oksfordu przed śnieżycą. Zdaje się, że ma dwór za mostem, ale
nie spędza tam wiele czasu. Polly mówi, że to ruina. - Gyltha nawiązała przyjaźnie w
kuchni. - W czasie wojny jego ojciec stał po stronie Stefana. Miał w górze rzeki zamek,
który król Henryk kazał zburzyć.

- Przystojny, jak mówi Emma?

Adelia zauważyła, że ten przybysz też nie przypadł Gylcie do gustu.

- Starszy niż się spodziewałam. Wielki pan. Był już kiedyś żonaty, ale owdo-
wiał. Bloatowie liżą mu buty, bo wyświadcza im łaskę, czyniąc z ich córki szlach-
ciankę... - Gyltha pochyliła się lekko - za co łaskawie przyjmie dwieście marek po-
sagu.

- Dwieście marek? - Była to ogromna suma.

- Tak mówi Polly. W złocie. - Gyltha pokiwała głową. - Nasz pan Bloat sypie
złoto garściami.

- Skoro jest gotów kupić szczęście córki... - Urwała. - Jest szczęśliwa?

Gyltha wzruszyła ramionami.

- Nie widziałam jej. Nie wychodzi z klauzury. Myślałam, że wybiegnie zobaczyć
lorda Wolvercote'a...

- Wolvercote'a?

- Tak się nazywa jej narzeczony.

- Gyltho... Wolvercote zebrał wojsko dla królowej. Miał być w Oksfordzie, cze-
kając na jej przyjazd.

- Cóż, jest tutaj.

- Teraz? Ale... Najprawdopodobniej też nie jest mordercą. Na jego korzyść
przemawia fakt, że gotów opóźnić wojnę, bo spieszo mu do ślubu z młodą Emmą.

- Z młodą Emmą- zaznaczyła Gyltha - i dwustoma markami w złocie. Wiesz, co
zrobił zaraz po przyjeździe do wioski? Powiesił w okamgnieniu dwóch bandytów,
których przyłapał na rabowaniu dworu.

- Tych dwóch na moście?

- Siostra Havis nie jest uszczęśliwiona. Most należy do opactwa i siostry nie
lubią, gdy obwiesza się go trupami. „Natychmiast ich zdejmij”, powiedziała jego lor-
dowskiej mości. A on na to, że most jest jego, więc nie zdejmie. I nie zdjął.

- O Boże! - Tego już było za wiele. - A kim jest czwarty przybysz?

- Prawnik. Nazywa się Warin. Bardzo się martwił o swojego młodego kuzyna, którego podobno widziano ostatni raz, jak jechał w górę rzeki.

- Warin... Warin. Napisał list, który wiózł chłopak. - Adelia miała wrażenie, że stopniała lodowa pokrywa i wypływały nagle spod niej wszystkie wspomnienia. „Twój miłujący Cię kuzyn, pan Warin, mistrz prawa, który niniejszym śle: dwie srebrne marki jako zadatek Twojego dziedzictwa, zaś reszta zostanie przekazana, kiedy się spotkamy”.

Listy, ciągle listy. List w sakwie martwego mężczyzny. List na stole Rozamundy. Czy wiążą oba morderstwa? Niekoniecznie. Ludzie piszą listy, jeśli tylko umieją pisać. Z drugiej strony...

- Kiedy pan Warin przybył szukać swojego kuzyna?

- Późną nocą, tuż przed śnieżycą. Obawiał się, że kuzyn utknął gdzieś w śniegu albo został napadnięty przez zbójców. Chciał jechać za most i wypytać wieśniaków, ale rozpętała się śnieżycy.

- Szybko się dowiedział, że chłopak zaginął. Talbot z Kidlington. To on leży w lodowni, zabity zeszłej nocy.

- Czy to jakiś trop? - zapytała Gyltha z błyskiem w oku.

- Nie wiem. Dobry Boże, co znowu?

Zaczął dzwonić kościelny dzwon po drugiej stronie uliczki, wstrząsając dzbanem w misce, wprawiając łóżko w drżenie. Allie otworzyła usta do krzyku, więc Adelia podeszła i zakryła jej uszy.

- Co się dzieje? - To nie było wezwanie na modlitwę.

Gyltha przyłożyła ucho do okiennicy, słuchając krzyków w uliczce.

- Wszyscy biegą do kościoła.

- Pożar?

- Nie wiem. - Gyltha podbiegła do kołków na ścianie, na których wisiały peleryny. Adelia zaczęła owijać Allie w futro.

Ludzie biegli uliczką, żeby dołączyć do zgromadzenia w kruchcie kościoła, gdzie rozmawiano z niepokojem, przerzucano się pytaniami, nie otrzymując na nie odpowiedzi. Weszli do środka... i ucichli.

Zatłoczony kościół był prawie ciemny. W skąpo oświetlonym prezbiterium siedzieli mężczyźni, niektórzy w kolczugach. Przed ołtarzem ustawiono tron biskupi dla królowej Eleonory; miała koronę, ale wydawała się mała ma ogromnym krześle.

Obok niej stał rycerz w hełmie, w pelerynie odrzuconej na plecy, żeby nie zasłaniała szkarłatno-czarnego herbu z wilczą głową na piersi. Dłoń w rękawicy spoczywała na rękojeści miecza. Stał nieruchomo jak posąg.

W kościele zgromadzili się wszyscy mieszkańcy Godstow, przynajmniej ci, którzy mogli chodzić. Adelia, obawiając się, że tłum zmiażdży dziecko w jej ramionach, rozejrzała się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Z pomocą ludzi weszła na nagrobek. Gyltha i Strażnik dołączyli do niej.

Dzwon umilkł. Stanowił zapowiedź tego, co miało teraz nastąpić.

Rycerz skinął głową i mężczyzna w liberii odwrócił się, żeby otworzyć drzwi zakrystii, z których korzystały zakonnice.

Weszła matka Edyve, wsparta na lasce, a za nią siostry Godstow. Opatka zatrzymała się w prezbiterium i popatrzyła na mężczyzn zajmujących miejsca przeznaczone dla mniszek. W stallach siedzieli opat Eyn-sham, Schwyz, Montignard i wielu innych. Żaden się nie ruszył.

Wierni zaczęli szemrać, oburzeni, ale matka Edyve tylko pokręciła głową i pokuśtykała dalej. Ruchem palca przyzywając swoje stadko, zeszła po schodach, żeby stanąć z parafianami.

Adelia rozejrzała się, szukając Mansura, lecz go nie zobaczyła. Jej uwagę przykuł mężczyźni z kolczugach z dobytymi mieczami, stojący pod ścianami.

Strażnicy.

Rycerz w prezbiterium przemówił:

- Znacie mnie wszyscy. Jestem lord Wolvercote i od tej chwili przejmuję władzę nad Godstow w imieniu Pana naszego Zbawiciela i mojej łaskawej pani, królowej Anglii, Eleonory, żeby bronić opactwa przed wrogami.

Miał zaskakująco piskliwy, słaby głos jak na tak wysokiego człowieka.

Rozległ się pomruk niedowierzania. Za plecami Adelii ktoś spytał:

- O czym on gada?

- Do kroćset, czy mówi, że wybuchła wojna? - mruknął ktoś inny.

Z nawy dobiegło wołanie:

- Nie mamy wrogów, wszyscy jednakowo jesteśmy zasypani śniegiem. - Adelia pomyślała, że rozpoznaje głos młynarza, którego wypytywał biskup Rowley. Odpowiedział mu głośny śmiech.

Natychmiast dwóch zbrojnych spod ściany rzuciło się w jego stronę, płazując ludźmi mieczami. Chwycili go za ramiona i powlekli przez tłum do głównych drzwi.

Rzeczywiście był to młynarz. Adelia ujrzała w przelocie jego okrągłą twarz, usta otwarte w krzyku. Wlokący go ludzie nosili herb z wilczą głową. Za nimi pobiegł chłopiec.

- Tata! Zostawcie go w spokoju.

Nie widziała, co się stało później, bo drzwi się zatrzasnęły i zapadła cisza.

- Nie będziemy tolerować nieposłuszeństwa - oświadczył Wolvercote. - Opactwo podlega rządowi wojska, a wy, ludzie, podlegacie prawu wojennemu. Obowiązuje zakaz opuszczania domów po zmroku...

Adelia słuchała tego z niedowierzaniem. Najbardziej szokująca była głupota nowej władzy. Wolvercote zrażał do siebie ludzi, których pomocy potrzebował, dopóki śnieg nie stopnieje. Młynarz miał rację, tutaj nie było wrogów. Jak ostatnio słyszała, najbliższe wojska stacjonowały w Oksfordzie - i należały do Wolvercote'a.

Montignard uśmiechał się do królowej. Większość innych obserwowała tłum w kościele. Opat Eynsham oglądał paznokcie, a mars na twarzy Schwyza świadczył, że jest on zdegustowany tym, co się działo.

Adelia pomyślała, że on by tego nie zrobił, jest zawodowym żołnierzem. Ona też by tego nie zrobiła, choć nie zna się na sztuce wojennej.

- ...święte niewiasty pozostaną w klasztorze. Dopóki śnieg nie ustąpi, jeden posiłek dziennie spożywany będzie wspólnie: szlachetnie urodzeni w refektarzu, chłopstwo w stodole. Zabrania się zgrupowań większych niż pięciu ludzi.

- No to co z tymi posiłkami...? - szepnęła Gyltha.

Adelia się uśmiechnęła. Oto głupota *in extremis**. W samych kuchniach pracowało ze dwadzieścia osób. Jeśli się nie zbiorą, nie będzie obiecanych posiłków.

Niezależnie, do czego ten drań zmierza, nie tędy droga.

Jest to jednak człowiek, który tylko strachem umie wymusić posłuszeństwo.

I dopiął swego. Ludzie są przerażeni. Czują strach, dawną bezradność. Jeźdźcy Apokalipsy wrócili, sprowadzeni do ich spokojnego życia przez tego głupiego wieprza.

Poco?

Adelia spojrzała na Schwyza i opata Eynshama, którzy najwyraźniej byli zaniepokojeni. Jeśli to wojna królowej, wszyscy oni powinni stać po tej samej stronie. Czy Wolvercote próbuje przejąć władzę? Ani opat Eynsham, ani Schwyz, ani nikt inny nie wejdzie mu w drogę. Wolvercote przybył do opactwa i zastał tu królową Anglii. Musiał wystąpić w roli jej zbawcy, zanim zrobi to ktoś inny. Jeśli królowa zwycięży pod jego przewodnictwem, może nawet zostanie regentem Anglii.

* *in extremis* (łac.) - maksymalna.

Kości zostały rzucone.

Wolvercote zakończył litanie rozkazów. Odwrócił się, ukląkł przed Eleonorą, podał jej miecz.

- Zawsze twój sługa, pani. W majestacie Boga przysięgam ci wierność.

Eleonora dotknęła rękojeści miecza. Wstała. Ominęła go i uniosła rękę. Wyglądała pięknie.

- Ja, Eleonora, królowa Anglii, księżna Akwitanii, przysięgam, że będę tak służyć memu ludowi, jak służę mojemu panu, Jezusowi Chrystusowi.

Jeśli spodziewała się wiwatów, to się zawiodła.

- Mój wierny wasal, lord Wolvercote, jest człowiekiem wojny, ale po trafi też kochać, jak sami zobaczycie. Za parę dni odbędą się jego zaślubiny z jedną z was i na uroczystość tę zaproszony zostanie każdy tu obecny.

Dalej nie było radosnych okrzyków, za to w głębi nawy ktoś pierdnął głośno.

Zbrojni kręcili głowami, wypatrując winowajcy.

Jak ja kocham Anglię, pomyślała Adelia.

Opat Eynsham wstał, ratując sytuację. Udzielił ludziom błogosławieństwa. Na słowa „idźcie w pokój” drzwi się otworzyły i pozwolono wiernym przejść pomiędzy szeregami zbrojnych, którzy bez słowa kierowali ich do domów.

W izbie Gyltha ze złością zdarła z siebie pelerynę.

- Wszyscy zgłupieli czy tylko ja?

- Zgłupieli. - Adelia położyła Allie na łóżku. Dziecko zasnęło, znużone nadmiarem wrażeń.

- Co zyskają?

- Konflikt wewnętrzny - odparła Adelia. - Lord Wolvercote pośpieszył się, żeby zostać obrońcą królowej, zanim sama wybierze kogoś innego. Widziałaś mnie Schwyza? Biedna Emma.

- Obrońca królowej? - parsknęła Gyltha. - Jeśli Godstow wcześniej nie popierało Henryka Plantageneta, to jasne jak słońce, że teraz stanie za nim murem. Oto, czego dokonał obrońca królowej.

Ktoś zapukał do drzwi. Był to najemnik Cross.

- Ona pójdzie ze mną - powiedział do Gylthy, ruchem głowy wskazując Adelię.

- Aha, jesteś jednym z nich. - Gyltha ze złością wypchnęła go na korytarz. - Nigdzie z tobą nie pójdzie, zbój, i możesz powtórzyć zasranemu Wolvercote'owi, co ci powiedziałam.

- Nie jestem człowiekiem Wolvercote'a, lecz Schwyza. - Zwrócił się do Adelii: - Powiedz jej.

Gyltha nie ustąpiła.

- Jesteś brudnym Flamandem, niezależnie komu służysz. Zabieraj się stąd.

- Przysłała mnie siostra Jennet. - Teraz mówił do Adelii. Siostra Jennet była infirmariuszką Godstow. - Medyk czegoś chce. Pilnie.

Gyltha przestała go popychać.

- Jaki medyk?

- Czarniawy. Myślałem, że to flisak, ale okazał się medykiem.

- Jakiś chory potrzebuje pomocy. - Adelia odetchnęła z ulgą. Pochyliła się, żeby pocałować Allie, i poszła po torbę. - Kto to taki? Co się stało?

- Poyns - powiedział Cross. - Źle z jego ręką.

- Jak wygląda?

- Zzieleniała.

- Hm. - Adelia włożyła zawiniątko z nożami do przegródki w torbie.

Nawet gdy wychodzili w towarzystwie Strażnika, Gyltha nie przestała popychać najemnego żołnierza.

- Masz tu ją przyprowadzić w dobrym stanie, łachudro, bo inaczej ze mną będziesz miał do czynienia. A co z waszym zakazem opuszczania domostw?

- To nie moje prawo - burknął Cross - tylko Wolvercote'a.

Zakaz już obowiązywał. Pies warknął w odpowiedzi na szczekanie

lisa gdzieś na polach, ale poza tym w opactwie panowała cisza. Gdy minęli kościół i skręcili przy stodole, z drzwi małego, podobnego do pieprzniczki budynku, który służył za klasztorny areszt, wyszedł strażnik.

Światło pochodni nad drzwiami padało na jego hełm. Trzymał pikę w ręku.

- Kto idzie?

- Do infirmerii - odparł Cross. - Ta tutaj to pomocnica medyka. Mój kamrat jest w kiepskim stanie.

- Hasło.

- Jakie hasło, psia mać? Jestem żołnierzem królowej, tak samo jak ty.

- Podaj hasło, inaczej zabiję.

- Słuchaj, przyjacielu... - Omijając pikę, Cross przyskoczył do wartownika i trzasnął go w szczękę.

Strażnik padł jak rażony gromem.

Cross nawet na niego nie spojrział. Skinął na Adelię.

- No, ruszaj się.

Zanim posłuchała, pochyliła się, żeby sprawdzić, czy wartownik oddycha. Oddychał i zaczął jęczeć.

- Idę.

Siostra Jennet narażała na szwank swoją nieśmiertelną duszę, sprowadzając do jednego z chorych pogańskiego medyka. Nie polepszyła sytuacji, godząc się na obecność „pomocnicy”, kobiety, której związek z biskupem rodził różne domysły mniszek.

A jednak ten sam biskup mówił o zaletach arabskiej medycyny i o szczególnych przymiotach tego medyka. Ona zaś nie mogła biernie się przyglądać, jak jeden z pacjentów umiera, ponieważ nie potrafiła mu pomóc.

- Nie spieszyłaś się - powitała Adelię ze złością. - I zostaw psa za drzwiami, wystarczy, że muszę znosić tutaj najemników. - Spojrzała groźnie na Strażnika, który podkulił ogon.

Adelia widywała infirmerie, gdzie obecność jej psa jedynie poprawiłaby zapach. Rozejrzała się. Równie czystej sali nigdy dotąd nie spotkała. Świeża słoma na deskach, zapach ziół, głowy pacjentów ogolone dla obrony przed wszami, krzątająca mniszek - wszystko to sugerowało, że chorzy mają odpowiednią opiekę.

Adelia wyprowadziła Strażnika za drzwi.

- Może powiesz mi, co mam zrobić.

Siostra Jennet nie kryła zaskoczenia. Nie spodziewała się takiego zachowania - ani takiej skromnej sukni - po dziewczce biskupa. Nieco ułagodzona wyjaśniła, czego wymaga od medyka Mansura.

- ...ale oboje znaleźliśmy się w przeklętej wieży Babel.

- Ach tak. Nie możesz się z nim porozumieć. - Mansur z pewnością wystarczająco dobrze rozumiał siostrę, ale bez niej, Adelii, nie mógł nic zrobić.

- Ani on ze mną. Dlatego po ciebie posłałam. Podobno znasz jego mowę. - Po chwili dodała: - Naprawdę jest taki dobry, jak twierdzi biskup Rowley? - Gdy wymieniła jego imię, mimo woli zerknęła na twarz Adelii i zaraz odwróciła oczy.

- Nie będziesz zawiedziona - obiecała jej Adelia.

- Wszystko jest lepsze od wioskowego balwierza. Nie stój tak. Chodź. - Spojrzała gniewnie na najemnika. - Ty też.

Pacjent leżał na końcu sali. Zakonnice rozwiesiły białe płachty wokół łóżka, ale sączący się zza nich zapach dobitnie świadczył, z jakiego powodu siostra Jennet potrzebowała pomocy poganina.

Chory najwyraźniej lękał się wysokiej, ubranej na białą postaci o ciemnym obliczu.

- Nie boli - powtarzał. - Nie boli.

- Gdzie byłeś? - zapytał Mansur po arabsku. Adelia odparła w tym samym języku:

- Wezwano wszystkich do kościoła. Nastąpiły rządy wojskowe.

- Z kim walczymy?

- Bóg raczy wiedzieć. Co my tu mamy?

Mansur pochylił się i ostrożnie podniósł szarpie z lewej ręki chłopaka.

- Nie ma czasu do stracenia, jak sądzę.

Z pogruchotanego, poczerńiałego przedramienia, sączyła się cuchnąca, żółtawa ropa.

- Jak to się stało? - zapytała Adelia po angielsku, po czym, co nieraz było konieczne, dodała: - Medyk chce wiedzieć.

- Wpadł pod koło wozu w czasie marszu do wieży, niezguła - wyjaśnił Cross. - Nałożysz jakąś maść, prawda?

- Zostawisz mu łokieć? - zapytał Mansur.

- Nie. - Oznaki martwicy sięgały powyżej stawu. - Będzie miał szczęście, jeśli uratujemy mu życie.

- Dlaczego tamta kobieta nie zrobiła tego wcześniej sama?

- Nie wolno jej przelewać krwi.

Kościół bezwzględnie zakazywał osobom duchownym przeprowadzania operacji, siostra Jennet musiała się podporządkować. Mansur skrzywił jastrzębi nos.

- Zostawili go na śmierć?

- Posłaliby po balwierza z Wolvercote. - Adelia skuliła się, przerażona na samą myśl. - Golibroda, dobry Boże.

- Golibroda, który puszcza krew?

Nawet gdyby go wezwano, balwierz musiałby zrobić swoje w kuchni, żeby nie urazić Boga wonią krwi rozlanej na terenie klasztoru. Tam także miała operować Adelia. Spór medycyny z religią sprawił taki zamęt w sercu siostry Jennet, że patrząc, jak Mansur wynosi pacjenta z sali, nienawidziła ich obu.

- A ty - krzyknęła do Crossa, którym gardziła - wracaj do swojej psiarni! Nic im po tobie.

- Potrzebujemy go - powiedziała Adelia. - On... zna hasło.

Procesja złożona z medyka, chorego, pomocnicy, psa, najemnika,

oraz dwóch zakonnic z czystymi płótnami i siennikiem wyszła z kaplicy przy infirmerii i skręciła w lewo ku kuchniom.

Adelia przepuściła wszystkich i przed wejściem złapała Crossa za kaftan. Mogła go potrzebować, pacjent będzie mniej przerażony w obecności przyjaciela. Nie lubiła Crossa - a on nie lubił jej - ale pomyślała, że może mu zaufać w kwestii zachowania milczenia.

- Posłuchaj, temu chłopcu trzeba odjąć rękę i...

- Co to znaczy, odjąć?

- Trucizna rozprzestrzenia się w ramieniu i jeśli dotrze do serca, twój przyjaciel umrze - wyjaśniła w prostych słowach.

- Ten czarny powie jakieś magiczne słowo...

- Nie, amputuje... odetnie. A raczej ja zrobię to za niego, ale...

- Nie możesz. Jesteś kobietą.

- Widziałeś, w jakim stanie są dłonie medyka? Są obandażowane. Będziesz słyszał jego słowa i widział mnie przy pracy, ale...

- Powie ci, co masz robić? - Cross trochę się uspokoił. - Ale co chłopak zrobi bez ręki?

- A co zrobi bez życia? Chodzi o to... musisz przysiąc, że nigdy nie powiesz nikomu, absolutnie nikomu, co widziałeś tej nocy. Rozumiesz?

Twarz Crossa się rozjaśniła.

- To czary, tak? Czarny odprawi czary, dlatego zakonnicom nie wolno się przyglądać.

- Kto jest twoim patronem?

- Święty Achacjusz. Nigdy mnie nie zawiódł.

- Przysięgnij na niego, że nikomu nie powiesz.

Cross przysiągł.

Kuchnie w nocy były puste. Zakonnice położyły siennik na wielkim kłocu do rąbania mięsa i rozesłały czyste prześcieradła dla pacjenta, po czym ukłoniły się i wyszły.

Poyns wytrzeszczał oczy i oddychał szybko. Miał gorączkę i był przerażony.

- Nie boli. Wcale nie boli.

Adelia uśmiechnęła się do niego.

- Nie, nie boli. I nie będzie bolało. Zaraz zaśniesz. - Wyjęła z torby butelkę z opium i czystą szmatkę. Mansur już opuszczał siatkę z nożami do kociołka wrzącej wody nad ogniem, bo gorąca stal cięła lepiej niż zimna.

W kuchni brakowało światła.

- Weź dwie świece - powiedziała Adelia do Crossa. - Po jednej w każdej dłoni. Trzymaj je tam, gdzie powiem, ale żeby nie kapały.

Cross patrzył, jak Mansur wyciąga noże z garnka i wyjmuje je z siatki obandażowanymi rękami.

- Jesteś pewna, że on wie, co robi?

- Świece - syknęła Adelia. - Pomagaj albo wynoś się.

Pomagał, przynajmniej trzymał świece, lecz gdy przyłożyła nasączoną opium szmatkę do twarzy pacjenta, próbował interweniować:

- Uduśisz go. - Mansur musiał go przytrzymać.

Miała tylko parę sekund, pacjent nie mógł zbyt długo wdychać oparów opium.

- Tę rękę trzeba odjąć. I tak może umrzeć, lecz na pewno nie przeżyje, jeśli go nie zoperuję.

- Ale on będzie ci mówił, co masz robić? - Cross nabrał respektu do Mansura, który zrobił na nim wrażenie swoją postawą i uporem. - Jest czarownikiem? Dlatego tak dziwnie gada.

- Musisz udawać, że udzielasz mi wskazówek - powiedziała Adelia.

Mansur zaczął trąkotać po arabsku.

Musiała pracować szybko. Dziękowała Bogu, że mak rośnie obficie na mokradłach Cambridgeshire, dzięki czemu miała spory zapas usypiającego soku, ale musiała uważać, żeby skutki niekorzystne nie przeważały nad dobroczynnymi.

Świat skurczył się do blatu stołu.

Skoro musiał mówić, Mansur wybrał sobie za temat tekst *Alflajla wa lajla, Księgi tysiąca i jednej nocy*. Tak oto w klasztornej kuchni w Oxford-shire kastrat wysokim głosem recytował po arabsku historie, które trzysta lat wcześniej Szeherezada wymyśliła dla męża sułtana, żeby odroczyć egzekucję. Opowiadał je Adeli, gdy była mała, i ona je uwielbiała. Teraz nie zwracała na to większej uwagi niż na trzaskanie ognia.

Gdyby Rowley, cudem ocalony z lodowatej rzeki, nagle wszedł do kuchni, Adelia nie podniosłaby głowy, a jeśli nawet, toby go nie rozpoznała. Słyszając imię własnego dziecka, spytałaby: „A kto to?” Liczył się tylko pacjent, a nawet nie on, tylko jego ręka. Rozsunęła płaty skóry.

- *Saturae*.

Mansur włożył igłę z nicią w wyciągniętą rękę i zaczął wycierać krew.

Arterie, żyły.

Piłować kość czy odrąbać? Nie zastanawiała się, jak pacjent da sobie radę w życiu z kikutem ręki, bo rozmyślanie o tym mogłoby tylko przedłużyć operację.

Coś ciężkiego wpadło do kuchennego kubła na odpadki.

Więcej szwów. Maść, szarpie, bandaże.

Wreszcie przedramieniem otarła pot z czoła. Powoli pole widzenia rozszerzyło się, ogarniając belki, garnki i potrzaskujący ogień.

- Co on gada? Wydobrzeje? - zapytał Cross.

- Nie wiem.

- To były cuda, prawda? - Cross mocno ścisnął rękę Mansura.

- Jak twoje ręce, mój drogi? - zapytała Adelia Mansura. - Dasz radę zanieść go do infirmerii?

- Tak.

- W takim razie owiń go ciepło i pospiesz się, zanim środek nasenny przestanie działać. Uważaj na jego ramię. Powiedz siostrze Jenet, że gdy oprzytomnieje, pewnie będzie wymiotował. Zjawię się za chwilę.

- Będzie żył, prawda? Wydobrzeje?

Odwróciła się w stronę natręta. Po operacji zawsze była rozdrażniona. Potrzebowała czasu na odzyskanie sił.

- Medyk nie wie - odparła. - Twój przyjaciel ma młody organizm, ale rana zbyt długo była zatruta i... - pochyliła się, jakby do ataku - powinna była zostać opatrzona znacznie wcześniej. A teraz odejdz i zostaw mnie w spokoju.

Patrzyła, jak zgarbiony najemnik wychodzi za Mansurem. Usiadła przy ogniu. Chwała Bogu, w okolicy nie brakowało kory wierzbowej. Pacjent będzie jej potrzebował do uśmierzania bólu. Jeśli przeżyje.

Smród rozkładu płynący z kubła przypomniał jej, że to przecież była kuchnia, w której przyrządzano posiłki. Szczur wyjrzał zza szafki. Adelia podniosła polano i rzuciła w niego.

Co zrobić z odciętą kończyną? W Salerno inni się tym zajmowali. Zawsze podejrzewała, że wrzucają je do pomyj dla świń i między innymi dlatego unikała potraw z wieprzowiny.

Owinięta płaszczem, niosąc kubek, wyszła w uliczkę, żeby znaleźć jakieś wysypisko. Po ciepłej kuchni na dworze było jej bardzo zimno i ciemno.

W głębi uliczki ktoś zaczął krzyczeć.

- Nie mogę tam iść - powiedziała Adelia głośno. - Nie mogę. - Ale jednak poszła.

Ujrzała latarnię podskakującą w ciemności, usłyszała tupot kroków.

- Kto tam? - Był to posłaniec, Jacques. - Och, to ty, pani.

- Tak. Co się dzieje?

- Nie wiem.

Poszli razem w tamtą stronę. Po drodze dołączały do nich inne latarnie, które rzucały światło na strwożone twarze i ślizgające się stopy.

Przed otwartymi drzwiami obory tłoczyli się ludzie, jedni próbowali uspokoić wrzeszczącą dojarkę, większość stała jak sparaliżowana, wytrzeszczając oczy, wysoko trzymając latarnie. Światło padało na Bertę.

Wisiała na haku w belce. Palce jej bosych stóp wskazywały stołek do dojenia, leżący w słomie z boku.

Zakonnice lamentowały nad martwą dziewczyną. Co jaopętało, pytały, żeby odbierać sobie życie, popełniając taki ciężki grzech? Czyżby nie wiedziała, że jej życie należy do Boga i że w konsekwencji dopuszcza się bezprawnego czynu przeciwko władzy boskiej, zakazanego przez Pismo Święte i Kościół?

Nie, pomyślała Adelia ze złością. Berta tego nie wiedziała, nikt jej nie nauczył.

Poczucie winy, osądziły siostry. To jej ręka podała trujące grzyby Rozamundzie. Zabiły ją wyrzuty sumienia.

Ale ponieważ są dobrymi, miłosiernymi niewiastami, zdecydowały, że choć Berta nie zostanie pogrzebana w poświęconej ziemi w obrębie murów klasztoru, zabiorą jej ciało do swojej kaplicy i będą przy nim czuwać do czasu pochówku. Szły, śpiewając modlitwy za zmarłych. Tłum podążył za nimi.

Za życia Berta nigdy nie przyciągnęła takiej uwagi. Śmierć w małej społeczności zawsze stanowi ważne wydarzenie, tym bardziej śmierć samobójcza.

Podążając za procesją ciemnymi uliczkami, Adelia wciąż wściekała się w duchu, dlaczego istocie, która zaznała tak niewiele dobra w swoim krótkim życiu, odmówiono nawet chrześcijańskiego pochówku?

Jacques pokręcił głową.

- Straszne. Powiesiła się, biedactwo. Pewnie czuła się winna śmierci lady Rozamundy.

- Nie, Jacques. Byłeś tam. „Nie moja wina, nie moja wina” powtarzała. Tylko to Berta mówiła jasno.

- W takim razie śmiertelnie wystraszyła się Dakers.

Powszechnie będzie się uważało, że albo dręczyły ją straszne wyrzuty sumienia z powodu śmierci Rozamundy, albo tak bardzo bała się tego, co zrobi z nią Dakers, że wolała sama odebrać sobie życie.

- To okropne - powiedziała Adelia.

- Wielki grzech - zgodził się Jacques. - Boże, mimo wszystko zlituj się nad jej duszą.

Zbliżali się do kaplicy. Osoby świeckie towarzyszące zmarłej zatrzymały się tutaj. Dalej było już terytorium mniszek. Adelia i tak nie zniosłaby tego dłużej: miała dość Jacques'a i jego gadaniny, ożywionych dyskusji mężczyzn i kobiet, śpiewu zakonnic.

- Jak trafić stąd do domu dla gości? Jacques wskazał jej drogę.
- Dobrego snu, pani. Tego ci potrzeba.
- Tak. - Ale to nie zmęczenie najbardziej dawało się jej we znaki.

Nękało ją poczucie, że nic tu się nie zgadza.

Posłaniec oświetlił schody i odszedł, mruczając coś pod nosem. Gyltha, która usłyszała krzyk nawet w pokoju, wyrzała przez okno i już знаła przyczynę.

- Źle się stało - powiedziała, gdy Adelia wróciła. - Mówią, że rozpacz pchnęła ją do tego, nieszczęśnica...

- A może się bała, że Dakers przemieni ją w mysz i rzuci kotu na pożarcie. Tak, wiem.

Gyltha podniosła głowę znad robótki.

- Źe co?

- Nic się nie zgadza. - Adelia podrapała Strażnika za uszami. Gyltha zmrużyła oczy, lecz nie podjęła tematu.

- Jak Flamand?

- Pewnie nie wyżyje. - Adelia podeszła do łóżka i pogładziła włosy śpiącej córki.

- Dobrze mu tak. - Gyltha nie miała dobrego słowa dla najemników, którzy w czasie wojny Stefana i Matyldy zostali powszechnie znienawidzeni. Czy pochodzili z Flandrii, czy nie, „Flamand” stało się synonimem gwałtów, rabunków i okrucieństwa. - Jedno trzeba oddać królowi - powiedziała - wypędził wszystkich tych szubrawców. A teraz Eleonora sprowadza ich z powrotem.

- Hm.

Gyltha uniosła brwi. Przygotowała grzane mleko z rumem i cała izba pachniała rozkosznie. Podała kubek Adelii.

- Wiesz, która godzina? - Wskazała cztery kreski na świecy przy łóżku. - Pora spać. Prawie świta. Niebawem zaczną śpiewać jutrznię.

- Nic się nie zgadza, Gyltho.

Gyltha westchnęła, bo wiedziała, na co się zanosi.

- Sprawa może poczekać do rana.

- Nie. - Adelia odpędziła senność i włożyła płaszcz. - Potrzebuję miary. Mamy jakiś sznurek?

Znalazł się sznur używany do wiązania bagaży.

- Chcę, żebyś go zwróciła - zaznaczyła Gyltha. - To porządny sznur. Dokąd idziesz?

- Zostawiłam w kuchni torbę z lekami. Lepiej po nią pójde.

- Zostań tutaj - powiedziała Gyltha stanowczo. - Nigdzie nie pójdziesz bez tego starego Araba.

Ale Adelia poszła, zabierając sznur i latarnię. Nie do kuchni. Kierowała się do kaplicy mniszek. Świtało.

Zwłoki Berty położono na katafalku w nawie. Biel płachty, jaką je okryto, ścigała całe światło z wysoko umieszczonych okien i reszta przestrzeni kryła się w mroku.

Adelia szła przez kościół, szelest sitowia pod nogami mącił ciszę. Zakonnica klęcząca u stóp katafalku odwróciła się, żeby zobaczyć, kto idzie.

Adelia nie zwróciła na nią uwagi. Postawiła latarnię na podłodze i podniosła płachtę.

Twarz Berty miała fioletowy odcień. Koniuszek języka, sterczący w kącie ust, i maleńki, zadarty nos nadawały jej twarzy zuchwały wyraz. Wyglądała jak jakiś psotny chochlik.

Zakonnica - której Adelia nie знаła - próbowała się sprzeciwić, gdy Adelia podniosła latarnię, a drugą ręką otworzyła powieki Berty, żeby odsłonić oczy.

Cętki krwi w białkach. Tego się spodziewała.

Adelia uklękła i przysunęła latarnię do szyi. Wgłębienie po rzemieniu, na którym wisała, ale też inne ślady - pionowe wyżłobienia.

A pod siniakami od sznura wiele maleńkich, okrągłych dołeczków.

Zakonnica podniosła się, próbując odsunąć rękę Adeli od zwłok.

- Co ty robisz? Zakłócasz spokój zmarłej.

Adelia nie zwróciła na nią uwagi, jakby jej nie słyszała. Zakryła płachtą twarz i przesunęła się, żeby podnieść spódnicę i odsłonić dolną część ciała Berty.

Mniszka wybiegła z kaplicy.

W pochwie nie było oznak rozdarcia ani, o ile mogła zobaczyć, śladu nasienia.

Adelia zakryła ciało.

Był sposób na poznanie prawdy. Pokazał go jej stary nauczyciel, Gor-dinus, przecinając szyję i porównując kości gnykowe więźniów straconych przez powieszenie i uduszenie - tę metodę egzekucji, odziedziczoną po Rzymianach, wciąż stosowano w okolicach Pawii. „Widzisz, moja droga? U uduszonych kość rzadko jest złamana, podczas gdy u wisielców prawie zawsze. W ten sposób, gdy okoliczności budzą nasze

podejrzenia, możemy określić, czy śmierć była samobójcza, czy nastąpiła wskutek ataku innej osoby. Poza tym u wisielców rzadko zobaczysz krwawienie do mięśni karku, dlatego gdy znajdziesz je u kogoś, kto rzekomo sam się powiesił, masz powody podejrzewać, że to ofiara morderstwa".

Sekcja... gdyby mogła przeprowadzić sekcję... Cóż, będzie musiała polegać wyłącznie na pomiarach.

- A co tu się dzieje? - zadudnił w kaplicy głęboki głos, płosząc ciszę, niemal wzbijając kurz, i ktoś pojawił się w świetle.

Zakonnica trąkotała:

- Widzisz ją, panie? Ta niewiasta...

- Widzę. - Przybysz zwrócił się do Adelii, która sznurkiem mierzyła ciało Berty od głowy do bosych stop. - Straciłaś rozum? Dlaczego znieważasz zmarłą? Nawet kogoś takiego jak ona?

Adelia owinęła sznur wokół dłoni i bez słowa ruszyła do drzwi. Imponujący posturą i bogatym strojem opat zastąpił jej drogę.

- Pytałem, pani, dlaczego przeszkadzasz tej biednej duszy?

Adelia go ominęła. Rzemień może nadal jest w oborze. I mój łańcuszek, pomyślała.

Opat patrzył w ślad za nią, a potem ruchem ręki odesłał mniszkę do czuwania przy zwłokach.

Na zewnątrz, pomimo samobójstwa, obecności królowej, najazdu najemników i straszliwego zimna, życie opactwa toczyło się jak zwykle. Ślizgając się po brudnym, zdradliwym lodzie, mieszkańcy Godstow śpieszyli rozniecać ogień i rozpoczynać pracę.

Gdy Adelia mijała stajnie, podszedł do niej Jacques.

- Co z tym zrobić? - Trzymał kubek, w którym znajdowała się ręka. Adelia patrzyła na nią przez chwilę, zanim sobie przypomniała, że w czasie, który wydawał się należeć do innej epoki, dokonała amputacji.

- Nie wiem. Zakop gdzieś. - Ruszyła dalej.

- Zakop - mruknął Jacques, patrząc za nią. - W ziemi twardej jak żelazo.

Obora w świetle dziennym. Ciepła, pomimo otwartych drzwi. Słońce świecące na polepę, cisza zakłócana tylko przez rytmiczny szum z kojca, gdzie młoda kobieta doła krowę. Stołek, na którym siedziała, był tym spod wiszącego ciała Berty.

Powiedziała, że ma na imię Peg i że to ona, gdy przyszła na poranny udój, znalazła Bertę. Tak się zdenerwowała, że musiała pobiec do domu,

żeby zażyć kropelkę matczyne go kordiału na uspokojenie, zanim mogła ponownie wrócić do obory i przystąpić do pracy.

- Dlatego dopiero teraz mogę ulżyć biednym bydłom. Nigdy nie zapomnę tego, co ujrzałam po otwarciu drzwi. Ta stara szopa już nigdy nie będzie dla mnie taka sama.

Adelia wiedziała, co czuje dziewczyna. Spokojna atmosfera tego miejsca, gdzie unosił się zapach gnoju i słomy, została nieodwracalnie zniszczona. Wiekowa belka, na której wisiało ciało, stała się szubienicą. Adelia pomyślała, że ona też nie odzyska spokoju.

- W czym mogę pomóc, pani? - zapytała Peg, nie przerywając dojenja.

- Szukam naszyjnika, krzyżyka na łańcuszku, który dałam Bercie. Nie miała go na szyi, a chciałabym włożyć go jej do grobu.

Peg pokręciła głową, nie odrywając czoła od krowich żeber.

- Nie widziałam.

Adelia odtworzyła w myślach scenę sprzed godziny. Odźwierny Fit-chet ustawił stółek koło Berty, wszedł na niego i podniósł ciało tak, żeby rzemienny pas zwiisał luźno z haka w belce.

Co potem? Potem inni mężczyźni pomogli mu zdjąć ciało. Ktoś rozwiązał i odrzucił stryczek. Tłoczący się ludzie, którzy bezskutecznie próbowali ożywić martwą dziewczynę, uniemożliwili Adelii sprawdzenie, czy miała na szyi łańcuszek z krzyżykiem. Jeśli tak, rzemień przycisnął go do skóry, wbijając w nią ogniówka i powodując powstanie charakterystycznych śladów.

Ale jeśli nie nosiła naszyjnika...

Adelia zaczęła się rozglądać.

W zasnutym pajęczyną kącie znalazła stryczek. Był to stary pasek. Odcisnięty rowek wskazywał na to, gdzie właściciel go zapinał, a na drugim końcu był supeł, zaciągnięty mocno przez ciężar ciała Berty.

- Ciekawe, skąd wzięła ten pas - zastanowił się na głos Adelia.

- Nie wiem, nigdy nie miała paska - odparła Peg.

Otóż to. Adelia przeszła powoli w drugi koniec obory, po drodze rozkopując słomę, żeby zobaczyć, czy czegoś nie skrywa. Usłyszała z tyłu głos Peg:

- Biedaczka, co też ją naszło. Jasne, była trochę kołowata, ale mimo wszystko...

- Coś ci mówiła?

- Bez przerwy coś mamrotała. Jej gadanie przyprawiało mnie o ciarki, puszczałam je mimo uszu.

Adelia doszła do kojca, który zajmowała Berta. Było tu ciemno. Postawiła latarnię na przegrodzie i uklękła, żeby przetrząsnąć słomę, macając na oślep aż do ubitej ziemi.

Peg poklepała krowę po zadzie i przeszła do następnej. Po chwili rozległ się odgłos kroków, gdy ktoś nowy wszedł do obory.

- Dzień dobry, panie Jacques - powiedziała Peg.

- Dzień dobry, panienko Peg. Najwyraźniej ze sobą flirtowali.

Posłaniec spiesznie przeszedł pomiędzy kojcami i przystanął obok Adelii.

- Zakopałem.

- Co? Aha, dobrze.

- Mogę pomóc w tym, co teraz robisz, pani?

- Nie.

Właśnie znalazła. Jej palce napotkały metal. Krzyżyk na naderwanym łańcuszku.

A zatem stało się to tutaj. W tej ciemnej zagrodzie Berta drapała paznokciami szyję, próbując oswobodzić się z duszącej ją pętli.

Biedne dziecko.

Adelia znów zobaczyła, jak Berta czołga się w jej stronę, mówiąc, jak pachniała stara kobieta, która dała jej grzyby dla Rozamundy.

Wspomnienie było nieznośnie bolesne. Krótkie, smutne, nic niezna-czące życie zakończone w okrutny sposób... Dlaczego? Kto to zrobił?

- Pani? - Jacques był zakłopotany jej milczeniem.

Adelia się podniosła. Z krzyżykiem w ręce podeszła do Peg, która przelewała mleko ze skopka do większego naczynia. Jej zadek zakołysał się prowokująco, gdy usłyszała kroki Jacques'a.

Stołek do dojenia. Adelia już wiedziała, że Berta została zamordowana, ale istniał jeszcze jeden dowód...

Gdy Peg poszła po stołek, by zanieść go do następnej krowy, Adelia ją wyprzedziła.

- Mogę pożyczyć na chwilę?

Peg i Jacques patrzyli, jak ustawia stołek pod hakiem w belce. Rozwinęła sznur z ręki i podała go Jacques'owi.

- Zmierz mnie.

- Zmierzyć cię, pani?

- Tak. Od czubka głowy do stóp.

Wzruszywszy ramionami, przytrzymał koniec sznurka na wysokości czubka głowy Adelii i puścił resztę swobodnie. Pochylił się i zacisnął palce w miejscu, gdzie sznurek dotknął ziemi.

-Już. Nie jesteś zbyt wysoka, pani.

Uśmiechnęła się. Bez butów byłby takiego wzrostu jak ona. Patrząc na sznur, zobaczyła supełek, który zawiązała, gdy mierzyła zwłoki na katafalku. Była wyższa od Berty.

- Właśnie mi się przypomniało, że wczoraj była czymś mocno poruszona, gdzieś koło wieczornego dojenia - odezwała się Peg.

- Kto? Berta?

- Powiedziała, że ma coś do powiedzenia pani z krzyżem, i wybiegła. Pewnie tak nazywała mniszki.

Nie, pomyślała Adelia, chodziło o mnie. Ja byłam dla niej panią z krzyżem.

- Dokąd poszła?

- Niedaleko - odparła Peg - bo niedługo potem wróciła, przestraszona, jakby zobaczyła diabła cuchnącego siarką. Plotła coś od rzeczy.

- Dakers? - zapytał Jacques.

- Możliwe.

- Musiała widzieć panią Dakers. Śmiertelnie jej się bała.

- Nie wiesz, co chciała powiedzieć mniszce? - dociekała Adelia.

- Mamrotała coś, że to nie ona, tylko on.

Adelia oparła się o słupek przegrody, chwyciła go mocno.

- A może „to nie była ona, tylko on”?

- Możliwe.

- Hm. -Adelia chciała to przemyśleć, ale krowy muczały niespokojnie i Peg zaczęła się domagać zwrotu stołka.

Adelia wsunęła pas w sprzączkę i założyła go na szyję. Weszła na stołek, spróbowała sięgnąć luźnym końcem do haka, ale udało jej się tylko go musnąć. Stała na placach, ale w żaden sposób nie mogła zahaczyć paska, a przecież była wyższa od Berty.

-Za krótki - oznajmiła. - Pasek jest za krótki.

Właśnie to nie dawało jej spokoju. Widok wiszącego ciała był zbyt szokujący, żeby wtedy mogła to zrozumieć, ale umysł zarejestrował nieprawidłowość - stopy Berty nie mogłyby dosięgnąć do stołka, żeby go przewrócić.

Zaczęła się krztusić, próbując rozluźnić pętlę, zanim niewidzialne ramiona podniosą ją i umocują pas do haka. Nie mogła oddychać.

Ręce Jacques'a sięgnęły do jej szyi. Walczyła z nim jak Berta z zabójcą.

-W porządku, pani - powiedział. - Spokojnie. Zachowaj spokój.

- Zdjął pas i pogładził ją po plecach jak przestraszonego kota. - Spokojnie. Spokojnie.

Peg patrzyła na nich ze zdumieniem. Jacques skinął na nią, wskazując stołek. Dójka zabrała go i z ulgą poszła do krów.

Adelia stała, słuchając, jak mleko strzyka do skopka z regularnością bicia w bęben.

- „To nie była ona, tylko on”.

Jacques patrzył na nią pytająco. Zrozumiał, po co wchodziła na stołek z pętlą na szyi.

- Teraz Berta może zostać pochowana w poświęconej ziemi -orzekła.

- To nie było samobójstwo?

- Nie. Została zamordowana.

Jego młoda twarz nagle się postarzała.

- Dakers - powiedział.

Rozdział 9

Zakonnice doszły do tego samego wniosku.

- Czy dobrze rozumiem? - spytała matka Edyve. - Mówisz, że pani Dakers powiesiła to biedne dziecko?

Znajdowały się w kapitularku, gdzie matka przełożona zwołała na naradę starsze mniszki.

Miały do rozważenia wiele poważnych spraw; opactwo okupowali niebezpieczni najemnicy, na moście wisiały ciała, a jeśli śnieg nie stopnieje, niedługo zacznie brakować jedzenia. Nie chciały słuchać dziwacznych, niepokojących doniesień o morderstwie - morderstwie? - na terenie klasztoru.

Ale Adelia zabrała z sobą Mansura. Gyltha ją przekonała: „Na ciebie nie zwrócą uwagi - powiedziała - ale może wysłuchają tego starego Araba”. Po paru godzinach Adelia zdecydowała, że Gyltha ma rację. Mansur przyjechał z biskupem, wyglądał jak mnich, a przede wszystkim był mężczyzną i z racji tego, choć cudzoziemiec, cieszył się większym poważaniem niż ona.

Trudno było uzyskać posłuchanie przed zakończeniem narady w kapitularku, ale Adelia nie chciała czekać.

Morderstwo, gdziekolwiek do niego doszło, podlegało królewskiej jurysdykcji. Powiedziała mniszkom, że lord Mansur umie wykrywać

sprawców przestępstw, dlatego nakazem Henryka II został wezwany do Anglii, aby przyrzeć się sprawie śmierci dzieci w Cambridgeshire i znaleźć zabójcę.

Powiedziała, że Mansur nie zna angielskiego, i udawała, że tłumaczy jego słowa. Błagała, żeby same obejrzały ślady na szyi Berty, pokazała im dowód morderstwa - bezskutecznie.

Odpowiedziała matce Edyve:

- Lord Mansur nie oskarża pani Dakers. Mówi, że ktoś powiesił Bertę. Nie powiesiła się sama.

To było dla nich zbyt przerażające. Ten wysoki mężczyzna w dziwnym ubiorze - poganin, na miły Bóg! - i mówił im coś, czego nie chciały słuchać, za pośrednictwem kobiety o wątpliwej reputacji.

Nie miały dociekliwych umysłów. Zdało się, że wszystkie, nawet matka przełożona, są pozbawione jakiegokolwiek ciekawości. Kierowały się regułą ustanowioną przez świętego Benedykta, co im całkowicie wystarczało.

Nie przejmowały się też zbyt doczesną sprawiedliwością. Mordercę, jeśli w ogóle był jakiś morderca, spotka znacznie straszniejsza kara, gdy stanie przed Sędzią, który zna wszystkie grzechy. Sąd ludzki nie miał większego znaczenia.

Nawet nie chciały patrzeć na pas, zerwany łańcuszek i sznur, leżące przed nimi na stole.

No tak, mówiły, ale czy odległość pomiędzy stopami Berty a stołkiem do dojenia naprawdę ma znaczenie? Czy ta biedna, zbłąkana dziewczka nie mogłajakoś wspiąć się na przegrodę z paskiem na szyi i skoczyć? Kto wie, jaką siłę daje desperacja? Z pewnością Berta bała się, co może zrobić z nią pani Dakers, ale czyż właśnie ten fakt nie przemawia za samobójstwem?

Gdyby tu był Rowley...

- To morderstwo - powtórzyła Adelia z uporem. - Lord Mansur do wiódł, że popełniono morderstwo.

Matka Edyve się zadumała.

- Nie podejrzewałam Dakers o taką siłę.

Adelia była zrozpaczona. To przypominało błędne koło. Jeśli Berta została zamordowana, to przez Dakers, która pomściła śmierć Rozamundy - bo przez kogo innego? Jeśli Dakers nie była morderczynią, w takim razie Berta nie została zamordowana.

- Może to któryś z Flamandów, najemnik Wolvercote'a albo Schwyza? - powiedziała siostra Bullard. - Są zdolni do wszystkiego, kiedy się upiją. Musimy postawić wartę w piwnicach, bo kradną nasze wino.

To zapoczątkowało powódź skarg:

- Matko, jak my ich wszystkich wykarmimy?
- Matko, boję się o nasze młode siostry.
- Już pobili biednego młynarza.

Na domiar wszystkiego przywieziono im martwego człowieka znalezione na moście, a teraz okazuje się, że jeszcze jeden zabójca grasuje w murach opactwa.

Po spojrzaniach rzucanych spod welonów Adelia poznała, że do niej i do Mansura przyłgnęło piętno śmierci.

- Jeśli nawet lord Mansur mówi prawdę, matko - odezwała się siostra Gregoria, opiekunka chorych - cóż możemy zrobić? Jesteśmy uwięzieni w śniegach, nie możemy posłać po koronera, dopóki nie przyjdzie odwilż.

- A póki śnieg się nie stopi, król Henryk nie przybędzie z odsieczą - zaznaczyła siostra Bullard. - Do tej pory nasze opactwo, nasze istnienie, będzie zagrożone.

To było dla nich najważniejsze, bo wprawdzie klasztor przetrwał jeden konflikt monarchów, ale mógł nie przetrwać drugiego. Jeśli królowa pokona króla, z pewnością nagrodzi tego szubrawca Wolvercote'a, który zapewnił jej zwycięstwo - a lord Wolvercote od dawna patrzył łakomie na Godstow i ziemie klasztoru. Mniszki potrafiły wyobrazić sobie przyszłość, w której zębrzą o chleb na ulicach.

- Pozwólcie lordowi Mansurowi kontynuować dochodzenie - po prosiła Adelia. - A przynajmniej nie chowajcie Berty w niepoświęconej ziemi, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw.

Matka Edyve pokiwała głową.

- Proszę powiedzieć lordowi Mansurowi, że jesteśmy wdzięczne za zainteresowanie - oznajmiła obojętnym głosem. - Możecie nam pozostać przesłuchanie pani Dakers. Będziemy się modlić o wskazówki w tej sprawie.

To był koniec audiencji. Mansur i Adelia uklonili się i wyszli. Jeszcze nie zamknęli za sobą drzwi, gdy w kapitularku rozgorzała dyskusja.

- Gdzie jest król? Jak może przybyć nam z pomocą, skoro nawet nie wie, że jesteśmy w potrzebie? Nie możemy mieć pewności, iż biskup Rowley do niego dotarł, obawiam się, że nie żyje.

Gdy wyszli z kapitularku, Mansur powiedział:

- One są przerażone. Nie pomogą nam w poszukiwaniu zabójcy.
- Nawet ich nie przekonałam, że jest jakiś zabójca - mruknęła Adelia.

Mijali infirmerię, gdy ktoś z tyłu zawołał japo mieniu. Była to przeorysza. Podeszła zasapana.

- Chciałam z panią mówić. - Adelia skinęła głową, pożegnała się z Mansurem i zawróciła.

Przez jakiś czas szły w milczeniu.

Adelia zapamiętała, że siostra Havis nie odezwała się słowem w czasie dyskusji w kapitularni. Była świadoma tego, że mniszka jej nie lubi. Przeorysza zmroziła ją chłodem.

Zatrzymała się przed kaplicą mniszek. Odwracając twarz, przemówiła twardym głosem:

- Nie pochwalam cię, nie pochwalałam Rozamundy. Nie podzielam pobłażliwości matki Edyve wobec grzechów ciała.

- Jeśli to wszystko, co masz do powiedzenia... - mruknęła Adelia, odchodząc.

Siostra Havis ruszyła za nią.

- Nie, ale musiałam to powiedzieć. - Wysunęła spod szkaplerza dłoń w rękawicy. Trzymała w niej zerwany naszyjnik, sznur do mierzenia i pasek. - Zamierzam wykorzystać te przedmioty w śledztwie. Pójdę do obory. Niezależnie od twoich słabości, dostrzegam w tobie analityczną duszę.

Adelia stanęła.

- Dużo podróżuję - powiedziała przeorysza. - Moja praca polega na zarządzaniu naszymi ziemiami, wskutek czego widzę więcej ludzkiego gnojowiska niż moje siostry, widzę niegodziwości i błędy, widzę lekceważenie ogni piekielnych, które czekają grzeszników.

Adelia milczała. To było nie tylko kazanie; siostra Havis miała coś istotnego do powiedzenia.

- Tak - ciągnęła - byłam przy łożu Rozamundy Clifford, widziałam jej straszny koniec. Wiodła rozwiązłe życie, ale nawet ona nie powinna umierać w ten sposób.

Adelia czekała.

- Nasz biskup odwiedził ją kilka dni wcześniej, wypytał służbę i wyjechał. Rozamunda wówczas czuła się dobrze, ale z zasłyszanych informacji wywnioskował, że ktoś podjął próbę otrucia, która, jak wiemy, zakończyła się powodzeniem. - Nagle przeorysza odwróciła głowę i gniewnie spojrzała w oczy Adellii. - Czy to ci powiedział?

- Tak - odparła Adelia. - Po to nas tu przywiódł. Wiedział, że wina spadnie na królową, dlatego chciał znaleźć prawdziwego zabójcę i zapobiec wojnie.

- Musi więc wielce cię cenić, pani. - To była drwina.

- Tak, w istocie - syknęła Adelia. Stopy drętwiały jej z zimna, a rozpacz po stracie Rowleya pozbawiała ją sił. - Powiedz, co masz do powiedzenia, albo pozwól mi odejść. Na Boga, rozmawiamy o Rozamundzie, Bercie czy biskupie?

Przeorysza nie spodziewała się takiej reakcji.

- O Bercie - powiedziała pojednawczo. - Może zainteresuje cię fakt, pani, że wczoraj zajęłam się panią Dakers. Ta niewiasta jest obłąkana i nie chciałam, żeby samopas włóczyła się po opactwie. Tuż przez nieszporami zamknęłam ją na noc w ogrzewanym pokoju.

Adelia podniosła głowę.

- O której jest wieczorne dojenie?

- Po nieszporach.

- Berta jeszcze wtedy żyła - powiedziała Adelia. - Dójka ją widziała.

- Tak, rozmawiałam z Peg.

- Wiedziałas, że to nie Dakers.

Przeorysza pokiwała głową.

- Chyba że nieszczęśnica umie przechodzić przez grube, zaryglowane drzwi. Większość moich sióstr byłaby skłonna w to uwierzyć.

- Dlaczego zataiłaś to w kapitularku?

- Dowodziłaś, że Berta została zamordowana. Przypadkiem wiem, że Dakers nie mogła jej zabić. Nasuwa się pytanie, kto to zrobił. I dlaczego? To wilk, którego nie chciałam wpuszczać między siostry, już i tak przerażone.

Aha. Całkiem logiczne. Ta kobieta gotowa była wyjaśnić sprawę aż do końca.

- Berta wiedziała coś o osobie, która dała jej grzyby w lesie - wyjaśniła Adelia. - Dopiero wczoraj sobie przypomniała. Myślę, jestem pewna, że wyszła z obory, żeby mi o tym powiedzieć. Coś ją zatrzymało, dlatego wróciła. I została uduszona, a potem powieszona.

- Nie była przypadkową ofiarą?

- Nie sądzę. O ile wiem, nie doszło do zbliżenia seksualnego. Ani do rabunku, srebrny łańcuszek nie został skradziony.

Zaczęły spacerować przed kaplicą. Adelia dodała:

- Berta powiedziała Peg, że to nie była ona, tylko on.

- Miała na myśli tę osobę napotkaną w lesie?

- Chyba tak. Berta coś sobie przypomniała, coś, co miało związek ze starą kobietą, która dała jej grzyby dla Rozamundy. Chyba przyszło

jej na myśl, że to wcale nie była kobieta, jej opis od początku brzmiał... dziwnie.

- Czy stare kobiety handlujące trującymi grzybami nie są dziwne?

Adelia się uśmiechnęła.

- Jej wygląd wydawał się przerysowany. Myślę, że właśnie to Berta chciała mi powiedzieć: „nie ona, lecz on”.

- Mężczyzna? Przebrany za kobietę?

- Tak sądzę.

Przeorysza się przeżegnała.

- Nasuwa się wniosek, że Berta mogłaby nam powiedzieć, kto zabił Rozamundę...

- Tak.

- ...ale została uduszona, zanim zdążyła to zrobić... przez tę samą osobę.

- Tak sądzę.

- Tego się obawiałam. Diabeł grasuje wśród nas.

- Tak, w ludzkiej postaci.

- Nie ulęknię się - recytowała siostra Havis - strzały lecące w dzień ani zła, które przychodzi w ciemności, ani diabła w południe. - Popatrzyła na Adelię. - Nie, a jednak się lękam.

- Ja też. - Była jednak rada, że podzieliła się swoją wiedzą z przeoryszą, która, choć źle do niej nastawiona, po opatce sprawowała najwyższą władzę w konwencie.

Po chwili siostra Havis powiedziała:

- Musiałyśmy wynieść z lodowni zwłoki młodzieńca przywiezionego z mostu. Pytał o niego kuzyn, pan Warin, prawnik z Oksfordu. Złożyłyśmy ciało w kościele na czuwanie i żeby mógł je zidentyfikować. Ten martwy człowiek to niejaki Talbot z Kidlington. Czy jest kolejną ofiarą tego diabła?

- Nie wiem. - Adelia zdała sobie sprawę, że przez cały czas wypowiada się we własnym imieniu. - Naradzę się w lordem Mansurem. On prowadzi śledztwo.

Cień rozbawienia przemknął przez twarz mniszki. Wiedziała, kto jest śledczym.

- Zrób to.

Z klauzury dobiegły do nich śmiech i śpiewy. Przeorysza gwałtownie ruszyła w tamtą stronę, a Adelia za nią.

Dwie młode zakonnice pokrzykiwały radośnie na małym wiryda-rzu, uciekając przed śnieżkami, które ciskał młodzieniec w szkarłatnym

odzieniu. Drugi młody człowiek grał na wioli i śpiewał, zadzierając głowę ku górnemu oknu w domu matki przełożonej. Stała w nim Eleonora, zaśmiewając się z tych błazeństw.

Tu, w świętym miejscu, gdzie nie powinna postać noga świeckiego człowieka. Gdzie pewnie nigdy dotąd nie powstała.

Z okna Eleonory płynęła woń perfum, nieuchwytna jak miraż, przesycona zmysłowością: syreni zapach wabiący ku porośniętych palmami wyspom, tak piękny, że Adelia zatęskniła do tego luksusu.

O Boże, jaka była zmęczona wszędzie obecną śmiercią i zimnem.

Siostra Havis stała obok niej sztywna z dezaprobaty, milcząca. Po chwili uczestnicy zabawy jądostrzegli. Pieśń uwięzła w gardle trubadura, śnieżka wypadła z ręki jego towarzysza. Młode zakonnice z minami urażonej niewinności podjęły przechadzkę, jakby w ogóle nic się nie stało. Młodzieniec na śniegu zerwał z głowy kapelusz i przycisnął go do piersi w geście udawanej skruchy.

Eleonora pomachała z okna.

- Wybacz - powiedziała i zamknęła okiennice.

Nie ja jednajestem napiętnowana, pomyślała Adelia z rozbawieniem. Królowa i jej świta sprowadzili bogactwo barw świeckiego życia do klasztornej królestwa czerni i bieli. Obecność Eleonory, która tak fatalnie wpłynęła na wyprawę krzyżową, zagrażała fundamentom Godstow jeszcze bardziej niż Wolvercote i jego najemnicy.

Czy królowa przywiodła tu z sobą zabójcę?

Adelia była zbyt zmęczona, żeby tego ranka robić coś więcej poza zajmowaniem się Allie. Gyltha poszła do kuchni. Przynosiła stamtąd informacje i plotki.

Po powrocie powiedziała:

- Zjawił się stary Wilk, więc zajęły się szykowaniem wesela młodej Emmy. Biedactwo, za skarby świata nie wyszłabym za niego. Zachodzą w głowę, czy aby się nie rozmyśliła, bo nie wyściubia nosa z klauzury. Podobno dotąd nie rzekła do niego słowa.

- Nie wolno oglądać pana młodego przed ślubem, to przynosi pecha - odparła Adelia z roztargnieniem.

- Ja nie chciałabym oglądać go po ślubie. Aha, później siostry pójda zająć się wisielcami na moście. Matka przełożona mówi, że pora ich pochować. - Zdjęła płaszcz. - Zapowiada się ciekawie. Stary Wilk, jak się zdaje, z chęcią obwiesiłby opactwo trupami. Może dojdzie między nimi do starcia? Boże, a ty dokąd?

- Do infirmerii. - Adelia przypomniła sobie o swoim pacjencie.

Siostra Jennet powitała ją ciepło.

- Racz przekazać wyrazy wdzięczności lordowi Mansurowi. Taki ładny, czysty kikut. Chory szybko wraca do zdrowia. - Zrobiła zasmuconą minę. - Żałuję, że nie byłam świadkiem operacji.

Adelia pomyślała o kobietach, które nie mogły uprawiać zawodu medyka i podziękowała swojemu Bogu za przywilej, jakim było życie w Salerno.

Siostra Jennet poprowadziła ją w głąb sali. Wszyscy pacjenci byli mężczyznami - „kobiety zwykle leczą się same”. Większość z nich cierpiała na zatory płucne, spowodowane życiem na nisko położonych terenach, dokąd docierały szkodliwe wyziewy z rzeki.

Trzech najstarszych pacjentów pochodziło ze wsi Wolvercote.

- Niedożywieni - wyjaśniła infirmariuszka, nie próbując ściszyć głosu. - Lord Wolvercote haniebnie zaniedbuje wieśniaków. Nawet nie mają gdzie się modlić, odkąd kościół się zawalił. Łaska boska, że jesteście w pobliżu.

Przeszła do następnego łóżka, gdzie zakonnica lała ciepłą wodę na ucho pacjenta.

- Odmrożenie.

Adelia z poczuciem winy rozpoznała Oswalda, zbrojnego Rowleya. Zapomniała o nim. Był jednym z tych, którzy wraz z Mansurem pchali barcę wysłaną przez klasztor do Wormhold.

Walt siedział na jego łóżku, przyciskając pięści do czoła.

- Bardzo boli? - zapytała Adelia Oswalda.

Ciemne pęcherze utworzyły się na płątku ucha, które wskutek tych zmian upodobniło się do grzyba. Oswald spiorunował ją wzrokiem.

- Nie trzeba było ściągać kaptura - ozwał się wesoło Walt. - My nie ściągaliśmy, prawda, pani? - Zbliżyło ich wspólne cierpienie na łodzi.

Adelia uśmiechnęła się do niego.

- Mieliśmy szczęście.

- Pilnujemy jego ucha - powiedziała siostra Jennet pogodnie. - Wciąż mu powtarzam, że albo zostanie, albo odpadnie. Chodźmy dalej.

Łóżko Poynsa wciąż otoczone było parawanem - nie dla zapewnienia prywatności, jak wyjaśniła siostra Jennet, ale po to, by złe obyczaje najemnika nie udzieliły się innym.

- Choć muszę przyznać, że ani razu nie zaklął, co jest niezwykłą rzeczą u Flamanda. - Odciągnęła parawan, nie przestając mówić: - Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o jego przyjacielu. - Pogroziła palcem

Crossowi, który, podobnie jak Walt, złożył wizytę pacjentowi.

RS

- Nie jesteśmy żadnymi Flamandami - rzekł Cross ze zmęczeniem. Adellii nie pozwolono obejrzeć rany. Medyk Mansur już to zrobił i oświadczył, że jest zadowolony.

Kikut został dobrze obandażowany i - Adelia powąchała - nie czuć było woni rozkładu. Mansur, który towarzyszył jej przy wielu operacjach, umiał rozpoznać oznaki martwicy.

Poyns był blady, ale nie gorączkował i nie zwracał pokarmu. Adelia dumna była ze swojego dzieła, a jednocześnie zaskoczona wytrzymałością ludzkiej konstrukcji.

Zapytała o panią Dakers. Była to druga osoba, którą zaniedbała i za którą czuła się odpowiedzialna.

- Trzymamy ją w ogrzewanym pokoju - odparła siostra Jennet, jak by mówiła o jakimś przedmiocie. - Gdy wydobrzała, nie mogłam zostać więc jej tutaj, bo straszyla moich pacjentów.

W klasztorze męskim ogrzewanym pomieszczeniem byłoby skryptorium, gdzie kaligrafowie spędzali dni na kopiowaniu manuskryptów w ciepłe płynącym z kossy, chroniącym ich spracowane palce przed drętwieniem z zimna.

W ogrzewanym pokoju w Godstow Adelia zastała tylko siostrę Lan-celinę i ojca Patona - obecność sekretarza Rowleya stanowiła niespodziankę, gdyż zapomniała o jego istnieniu. Oboje siedzieli przy stole i pisali.

Mdłe zimowe słońce świeciło na ich pochylone głowy i dokumenty z wielkimi pieczęciami na wstążkach.

Adelia się przedstawiła. Ojciec Paton zmrużył oczy i dopiero po chwili pokiwał głową on też o niej zapomniał.

Siostra Lancelina z radością zawarła znajomość. Nie interesowała się plotkami i chyba nawet nie wiedziała, że Rowley zaginął.

- Przybyłaś w orszaku biskupa, prawda? Przekaż księdzu biskupowi wyrazy wdzięczności za ojca Patona, co ja bym bez niego poczęła... Przy sięgłam uporządkować nasz kartularz i rejestr, a zadanie, jak się okazało, przerosło moje siły. Na szczęście ksiądz biskup przysłał tego Herkulesa do mej stajni Augiasza.

Porównanie ojca Patona do Herkulesa było rozczulające, podobnie jak sama siostra Lancelina, sędziwa, mała, podobna do skrzata mniszka z błyszczącymi jak klejnoty oczami, podobnie jak pokój, od podłogi do sufitu obstawiony półkami, na których piętrzyły się zwoje dokumentów i edyktów.

- Układ alfabetyczny, rozumiesz - mówiła siostra Lancelina. – Poza tym musimy sporządzić kalendarz z notatkami, którego dnia należy się nam jaka dziesięcina, jaka dzierzawa... Ale widzę, że patrzysz na naszą księgę.

Była to tutaj jedyna książka. Cienki tom oprawny w cielecą skórę spoczywał samotnie na półeczce wyłożonej aksamitem niczym szkatułka na klejnoty.

- Oczywiście mamy Pismo Święte i mszał - powiedziała siostra Lancelina, usprawiedliwiając skąpy księgozbiór-jedno i drugie w kaplicy, ale... O Boże! - zawołała, bo Adelia podeszła do książki. Gdy chwyciła w palce okładki, żeby ją podnieść, mniszka odetchnęła z ulgą. - Widzę, że umiesz obchodzić się z księgami, wielu ciągnie grzbiet palcem od góry i łamie...

- Boecjusz - stwierdziła Adelia. - „O szczęśliwa raso ludzka, jeśli miłość, która włada gwiazdami, może również władać twoim sercem”.

- „Aby osiągnąć boskość, stań się bogiem - zacytowała z uniesieniem siostra Lanceline - poprzez uczestnictwo”. Za to go uwięzili.

- I zabili. Wiem, ale mój przybrany ojciec mówi, że gdyby nie trafił do więzienia, nie napisałby *De consolatione philosophiae*.

- Mamy tylko *Fides et ratio* - rzekła siostra Lancelina. - Pragnę... nie, *mea culpa**, požądam reszty jak król Dawid požądał Batszeby. W bibliotece w Eynsham mają wszystkie dzieła filozoficzne i ośmieliłam się poprosić opata o pożyczenie kopii, ale odpisał, że księgi są zbyt cenne, aby je przysyłać. Nie pochwała uczonych niewiast, za co oczywiście nie można go winić.

Adelia nie była uczoną, czytała głównie traktaty medyczne, ale bardzo ceniła osoby o szerokiej wiedzy. Rozmowy z przybranym ojcem i nauczycielem Gordinusem otworzyły jej drzwi do literatury. Ujrzała przez nie drogę do gwiazd, którą, jak sobie obiecała, pewnego dnia podaży. Tymczasem miło było odkryć tutaj, wśród półek i zapachu welinu, staruszkę o nieugaszonym pragnieniu wiedzy.

Ostrożnie odłożyła książkę na miejsce.

- Miałam nadzieję, że zastanę tu panią Dakers.

- Też służy nam pomocą - powiedziała siostra Lancelina, wskazując zakapturzoną postać, która siedziała na podłodze, na wpół zasłonięta przez półki.

Dali gospodyni Rozamundy nóż do ostrzenia piór. Jedno właśnie trzymała w ręku. Nieszkodliwe zajęcie - setki razy musiała robić to samo dla Rozamundy - a jednak Adelii nieodparcie kojarzyło się z ćwiartowaniem.

Podeszła i przycupnęła obok kobiety. Dwoje skrybów wróciło do pracy.

* *mea culpa* (łac.) - moja wina.

- Pamiętasz mnie, pani?

- Pamiętam. - Dakers ostrzyła pióro szybkimi ruchami noża. Najadła się i wyczęła, wyglądała mniej blado, ale nienawiść wciąż płonęła w jej oczach.

- Znalazłaś zabójcę mojej ukochanej pani? - zapytała.

- Jeszcze nie. Słyszałaś o śmierci Berty? Dakers wyszczerzyła zęby.

- Wezwałam mojego pana, ażeby ją ukarał, i w końcu to uczynił - oznajmiła z radością.

- Jakiego pana?

Dakers odwróciła głowę i Adelia mogła spojrzeć jej w twarz. Miała wrażenie, że patrzy w głąb dołu grzebalnego.

- Jest tylko jeden.

Cross czekał na nią na zewnątrz i teraz szedł u jej boku.

- Co zrobią z Giorgiem?

- Z kim? Aha, Giorgio. Pewnie siostry go pochowają. - W Godstow wciąż przybywało trupów.

- Ale gdzie? Chcę należytego pochówku. Giorgio był chrześcijaninem.

I najemnikiem, co w Godstow może stawiać go na równi z tymi, którym nie przysługuje chrześcijański pogrzeb.

- Pytałeś mniszki?

- Nie mogę. - Cross stwierdził, że święte siostry odbierają mu odwagę. - Ty zapytaj.

- Czemu miałabym to robić?

- Jesteś z Sycylii, prawda? Jak Giorgio. Sama tak powiedziałaś. Musisz zapewnić mu przyzwoity pochówek, z księdzem i błogosławieństwem... jak było tej świętej, której odcięli cycki?

- Chyba Agnieszka - odparła Adelia chłodno.

- Zgadza się. - Brzydka twarz Crossa skrzywiła się w sprośnym uśmiechu. - Nadal obnoszą jej cyce w dni świąt?

- Obawiam się, że tak. - Zawsze uważała ten zwyczaj za godny pożałowania. Procesje w Palermo wciąż upamiętniały męczeństwo świętej Agnieszki. Wierni obnosili na tacy repliki odciętych piersi, jak ciastka zwieńczone sutkami.

- Giorgio wiele myślał o świętej Agnieszce. Powiedz im.

Adelia otworzyła usta, żeby go skarcić, ale zobaczyła jego oczy i nic nie powiedziała. Najemnik cierpiał z powodu śmierci przyjaciela, podobnie jak bolał nad ranym Poynsem.

- Spróbuję.
- Postaraj się.

Na otwartej przestrzeni za spichrzem człowiek w barwach Wolver-cote'a chodził tam i z powrotem przed aresztem w kształcie pieprzniczki. Czego tam pilnuje?

Dalej klasztorny kowal tłukł lód na stawie, żeby wybić przerębel, zapewniający dostęp do wody nadętym kaczkom. Dzieci - pewnie jego -jeździły po stawie na kościanych łyżwach przywiązanych do butów.

Adelia przystanąła i patrzyła na nie tęsknie. Zbyt późno poznała radość płynącą z jazdy na łyżwach - dopiero w czasie zimy na mokradłach, gdy zamrożone rzeki przemieniały się w drogi i place zabaw. Ulf ją nauczył. Mieszkańcy mokradeł doskonale umieli jeździć na łyżwach.

- Jeździsz? - zapytał Cross, patrząc na nią.
- Tak, ale nie mam łyżew.

Gdy zbliżyli się do kościoła, kilkanaście zakonnic pod wodzą przeoryszy wyszło z drzwi jak szereg zdyscyplinowanych kawek.

Kierowały się do bramy klasztoru i położonego za nią mostu. Jedna pchała dwukołowy wózek. Liczna gromada świeckich mieszkańców Godstow spieszyła za nimi, ciekawa, co będzie dalej. Adelia dostrzegła Walta i Jacques'a. Dołączyła do nich z Crossem. Gdy mijali dom dla gości, Gyltha zeszła po schodach w towarzystwie Mansura, z opatuloną Allie w ramionach.

- Nie chcę tego przegapić - powiedziała.

Przy bramie zabrzmiał dźwięczny głos siostry Havis.

- Otwórz, Fitchet, i przynieś mi nóż.

Za murami wykopana w śniegu ścieżka umożliwiała ruch pomiędzy wioską a konwentem. Nie wiadomo, z jakiego powodu lord Wolvercote uznał za konieczne postawić na niej wartownika. Wartownik, wobec gromadki odzianych w czerń kobiet w woalach, z krzyżami na piersi, uznał za konieczne zapytać:

- Kto idzie?

Siostra Havis podeszła do niego, jak zeszłej nocy Cross do tamtego strażnika. Adelia niemal się spodziewała, że go uderzy, wydawała się do tego zdolna. Zamiast tego przeorysza odepchnęła grzbietem dłoni pikę, którą zagradzał drogę, i pomaszerowała dalej.

- Nie wtrącałbym się, przyjacielu - poradził Fitchet strażnikowi nie mal współczującym tonem. - Idą w boskiej sprawie.

Widząc wisielców z łodzi, Adelia była zbyt zmarznięta, zbyt przerażona, zbyt przejęta myślą o dziecku, żeby się zastanawiać, jak ich powieszono. Zapamiętała tylko obraz zwisających stóp.

Teraz już wiedziała. Dwaj mężczyźni ze związanymi rękami stali na moście, podczas gdy oprawcy założyli każdemu stryczek na szyję i przywiązali drugi koniec liny do słupka na moście. Następnie przerzucili ich przez balustradę.

Mosty umożliwiały kontakty między ludźmi, były zbyt święte, by robić z nich szubienice. Adelia żałowała, że Gyltha zabrała Allie. Nie chciała, żeby jej córka oglądała taką scenę. Swoją drogą, dziecko rozglądało się z zaciekawieniem. Otaczający je widok stanowił miłą odmianę po wąskich uliczkach klasztoru, gdzie codziennie zażywała świeżego powietrza. Most, będący częścią tej scenerii, przeglądał się w zamrożonej rzece, a wodospad od strony młyna tworzył rzeźbione kolumny.

Koło młyńskie zastygło w bezruchu i lśniło sopłami niczym tysiące stalaktytów. Niszczenie piękna tego widoku graniczyło z niegodziwością.

- Nie pozwól, żeby zobaczyła zwłoki - poprosiła Gylthę.

- Przywyknie - odparła Gyltha. - Gdy dorośnie, zobaczy mnóstwo wisielców. Mój ojciec zabrał mnie na pierwsze wieszanie, gdy miałam trzy lata. Rozbawił mnie ten widok.

- Nie chcę, żeby ją rozbawił.

Podciągnięcie ciała nie było łatwe, bo pokrywał je lód, a na domiar złego lina przymarzła do balustrady. Walt podszedł do Adellii.

- Przeorysza mówi, że nie możemy im pomóc. Muszą zrobić to same.

Siostra Havis po chwili namysłu wydała rozkazy. Podczas gdy jedna

z sióstr nożem Fitcheta zdrapywała lód ze sznurów, najwyższa wychyliła się i wyciągnęła rękę, żeby złapać za włosy jednego wisielca.

Mewa, która dziobała oko mężczyzny, z krzykiem wzleciała w czyste niebo. Allie odprowadzała ją wzrokiem.

- Ciągnijcie, siostry - poleciała przeorysza. - Ku chwale Maryi.

Rząd czarnych pleców zgiął się nad balustradą. Ciągnęły, para z ich oddechów buchała w górę jak dym.

- Do diabła, co wy robicie?

Stojący na moście lord Wolvercote interesował zakonnicę nie bardziej niż mewa. Ruszył w ich stronę z ręką na mieczu. Fitchet, Walt i kilku innych mężczyzn podwinęło rękawy. Wolvercote się rozejrzył. Jego strażnik bezradnie wzruszył ramionami, jakby mówił, że nie wystąpi przeciwko żeńskiemu zastępowi Boga. Poza tym druga strona miała przewagę liczebną.

- Zostawcie ich! - krzyknął Wolvercote do sióstr. - To moja ziemia, moja połowa mostu i łotry będą na niej wieszani, gdy tylko uznam za słuszne.

- To nasz most, panie, jak dobrze ci wiadomo - odezwał się Fitchet, głośno, wyraźnie zmęczony odnawianiem starego sporu. - A matka przełożona nie życzy sobie, ażeby obwieszać go trupami.

Podniesiono jedno ciało, zbyt sztywne, żeby je zgiąć. Gdy siostry przeciągały trupa nad balustradą, przekrzywiona głowa patrzyła pytająco w kierunku człowieka, który skazał go na śmierć.

Mniszki położyły wisielca na wózku, potem zawróciły do balustrady po jego kamrata.

Rodzina młynarza patrzyła przez okna na sprzeczkających się mężczyzn, buchających parajak smoki.

- Byli szubrawcami, głupcze. Złodziejami. Znalazłem przy nich moją skradzioną własność i ukarałem ich dla przykładu, do czego upoważnia mnie prawo. Zostawcie ich.

Wolvercote, mężczyzna około trzydziestki, wysoki, o ciemnej karnacji, byłby przystojny, gdyby jego twarz nie krzywiła się wiecznie w wyrazie pogardy, w tej chwili podkreślonej przez wściekłość. Emma z radością mówiła o wierszach przysłego męża, ale Adelia nie doszukała się w tym człowieku ani śladu poezji. Widziała tylko głupotę. Ukarał dwóch złodziei dla przykładu, wisieli tutaj od dwóch dni, a brak ruchu na rzece oznaczał, że każdy, kto miał ich zobaczyć, już to zrobił. Bardziej rozsądny człowiek ustąpiłby przed tym, co było nieuchronne, dał swoje błogosławieństwo i odszedł.

Ale Wolvercote widział, że siostry podkopują jego autorytet, i to go przerażało.

Rowley kiedyś wspomniał o prawie wieszania:

„Prawo wieszania? To oparty na starożytnym prawie przywilej dziedziców do karaniania śmiercią złodziei przyłapanych na terenie ich posiadłości. Król jest przeciwko temu. Mówi, że w ten sposób mogą powiesić każdego, kto im się nie podoba”.

„Dlaczego w takim razie go nie zlikwiduje?”

Ale najwyraźniej nie można było odebrać odwiecznych przywilejów bez wzbudzenia niezadowolenia, a nawet buntów wśród tych, którym one odpowiadały.

„Zrobi to z czasem”.

Drugi trup został wciągnięty i oba okryto workami. Zakonnice zaczęły pchać wózek, ich stopy ślizgały się po lodzie.

- Patrz, kaczuszeko - powiedziała Gyltha do Allie. - Czy to nie było zabawne?

Siostra Havis przystanąła, gdy mijały Wolvercote'a.

- Jak się nazywali? - zapytała głosem zimniej szym niż ciała wisielców.

- Nazwiska? Po co ci nazwiska złodziei?

- Na groby.

- Nie mieli nazwisk. Ukradliby kielich mszalny z twojego przeklętego ołtarza, gdybym ich nie powstrzymał. Byli złodziejami.

- Podobnie jak ci dwaj łotrzy ukrzyżowani z naszym Panem, a nie przypominam sobie, by odmawiał im swojej łaski. - Przeorysza odwróciła się i poszła za siostrami.

Wolvercote nie chciał zostawić tej sprawy.

- Jesteś wredną starą suką, Havis! - zawołał za nią. - Nic dziwnego, że nigdy nie miałaś chłopca.

Nie odwróciła się.

- Chcą ich pochować - orzekła Adelia.

Jacques, stojący w pobliżu, uśmiechnął się do niej szeroko.

- Tak zwykle postępuje się ze zmarłymi, to piękny obyczaj - powiedział.

- Tak, ale nie obejrzałam jeszcze ich butów. - Zwróciła się do Gyl-thy: - Zabierz dziecko do domu. - Pobieгла za mniskami i zatrzymała wózek, stając na drodze. - Mogę? Tylko na chwilę.

Uklękła na śniegu, dzięki czemu jej oczy znalazły się na wysokości nóg trupów, i podniosła worek.

Przeniosła się myślą na most, widziany po raz pierwszy w nocy, gdy zwłoki i ślady stóp na śniegu opowiedziały jej o kolejności zdarzeń tak wyraźnie, jakby słyszała wyznanie z ust dwóch zabójców.

Usłyszała własny głos, gdy mówiła do Rowleya: „Widzisz? Jeden nosił buty nabijane ćwiekami, a poprzeczne pręgi na podeszwach drugiego wskazują być może na chodaki przywiązane paskami”.

Teraz miała przed sobą parę mocnych buciorów podkutych ćwiekami. Drugi trup jedną nogę miał bosą, ale na prawej tkwił chodak przywiązany paskami skóry, które przechodziły pod podeszwą i krzyżowały się wokół kostki.

Odłożyła worek i wstała.

- Dziękuję.

Zdumione zakonnice ruszyły w dalszą drogę. Siostra Havis przez chwilę patrzyła w oczy Adellii.

- To oni?

- Tak.

Usłyszał to Walt.

- Ci szubrawcy zabili tę biedną szkapę?

Adelia uśmiechnęła się do niego.

- I podróżnego. Tak sędzę. - Odwróciła się i stwierdziła, że podszedł do nich Wolvercote. Tłum czekał, co z tego wyniknie.

- Wiesz, skąd pochodzili? - zapytała lorda.

- A co mnie to obchodzi? Przyłapałem ich na okradaniu mojego domu, mieli przy sobie mój srebrny kubek. - Zwrócił się do odźwiernego: - Kim jest ta kobieta, co tutaj robi?

- Przybyła z biskupem - odparł Fitchet krótko.

- Towarzyszy takiemu czarniawemu medykwowi - wtrącił Walt tonem człowieka dobrze zorientowanego. - Zna się na różnych rzeczach. Umie czytać znaki. Popatrzy i wie od razu, co się stało.

Źle to ujął. Adelia zgarbiła się, czekając na nieuchronne. Wolvercote popatrzył na nią.

- Zatem wiedźma.

Słowo rozeszło się w powietrzu jak kropla inkaustu, który wypuszcza macki czerni i na zawsze zmienia barwę krystalicznej wody.

Słowo „wiedźma” skazywało kobiety na ukamienowanie i stos, nie było od niego odwołania. Stojący dokoła ludzie spochmurnieli. Nawet Jacques i Walt nie kryli wątpliwości.

Adelia czyniła sobie w duchu wyrzuty, czemu była taka głupia, czemu nie zaczekała? Mogła poszukać innej okazji, żeby obejrzeć buty wisielców, zanim zostaną pochowani. Ale nie, musiała zrobić to natychmiast. Cóż za bezmyślność!

- Niech to diabli - mruknęła. Obejrzała się. Lord Wolvercote odszedł, ale wszyscy inni patrzyli w jej stronę. Słyszała pomruki tłumu. Ziarno podejrzenia zostało zasiane.

Jacques podszedł do niej sprężystym krokiem.

- A ja nie sędzę, pani, żebyś była czarownicą- rzekł. - Nie wychodź jednak z pokoju, dobrze? Lepiej nie nawijać się ludziom na oczy.

- Gdy minęli bramę klasztoru, z drzwi kościoła wypadł gruby mężczyzna o nieprzytomnym wzroku. Wskazał na Jacques'a.

- Hej, ty! - krzyknął. - Sprowadź infirmariuszkę!

Posłaniec go posłuchał. Tęgi mężczyzna odwrócił się i wbiegł do kościoła.

Adelia stała niezdecydowanie. Dość już biedy ściągnęłaś dziś na siebie. Cokolwiek się stało, to nie twoja sprawa.

Ale dźwięki płynące z kościoła budziły niepokój.

Weszła.

Słońce nie kwapiło się z rozświetlaniem wnętrza, w którym w dzień nie paliły się świece. Lodowe snopy światła przesywały ciemność, padając z wysokich, wąskich okien na kolumny, tnąc nawę pasami, które nie sięgały środka, skąd płynęły rozpaczliwe dźwięki.

Dopóki jej oczy nie przywykły do światła, Adelia nie wiedziała, co się dzieje. Dopiero po dłuższej chwili zobaczyła katafalk i dwie postacie, mężczyznę i kobietę próbujących coś z niego ściągnąć.

To coś - teraz widziała - było młodą oblatką, Emmą. Trzymała się katafalku tak mocno, że mężczyzna i kobieta nie mogli jej ściągnąć z ciała, na którym leżała.

- Puść, dziewczyno. Chodź już. To wstyd. Do kroćset, co w nią wstąpiło? - mówił grubas.

Kobieta była nie mniej zaniepokojona.

- No już, no już, nie rób tego, kaczuszeko, martwisz tatę. Co ten nieboszczyk dla ciebie znaczy? Puść i zejź.

Grubas powiódł dokoła zdesperowanym wzrokiem i dostrzegł stojącą w drzwiach Adelię, oświetloną z tyłu przez słońce.

- Hej ty, chodź i pomóż. Zdaje się, że nasza dziewczyna omdlała.

Adelia podeszła bliżej. Emma nie zemdląca, oczy miała szeroko otwarte, wpatrzone w pustkę. Leżała na zwłokach, knykcie jej zaciśniętych rąk białeły jak kamyczki na tle czarnego drewna katafalku.

Adelia podeszła jeszcze bliżej.

Mniszki położyły monety na oczach, ale twarz się nie zmieniła. Pozostała twarzą martwego młodzieńca, którego znaleźli na moście i umieścili w lodowni. Był to pan Talbot z Kidlington. Ledwie parę minut temu oglądała obuwie jego morderców.

- Piękny mi klasztor, kładą martwych gdzie popadnie. Rozstroiło to naszą dziewczynę i wcale się nie dziwię. Czy za to płacimy dziesięcinę?!

- ryczał wściekły grubas.

Do kościoła weszła infirmariuszka, a za nią Jacques. Krzyki i nawoływania budziły echa. Słowa siostry Jennet - Juź dobrze dziecko, to nic nie da" - przerywał ryk rozwścieczonego ojca, który szukał kogoś, na kim mógłby się wyładować, podczas gdy zatroskana matka szeptała po cichu.

Adelia delikatnie dotknęła zaciśniętej ręki dziewczyny. Emma podniosła głowę, lecz Adelia nie wiedziała, co zobaczyły jej udręczone oczy.

- Widzisz, co jemu zrobili?

Ojciec i siostra Jennet stali teraz dalej, kłócąc się zawzięcie. Matka przestała zajmować się córką i dołączyła do nich.

- Opanuj się, panie Bloacie. Gdzie mieliśmy złożyć ciało, jak nie w kościele? -
Siostra Jennet nie dodała, że w Godstow zaczynało brakować miejsca na zwłoki.

- Nie tam, gdzie człowiek może się o nie potykać, nie po to płacimy dziesięcinę.

- Święta prawda - wtrąciła pani Bloat. - Dopiero co zaczęliśmy zwiedzanie?

Nasza córka nas oprowadzała.

Emma wciąż spoglądała w oczy Adelii jak w głębię piekielnej otchłani.

- Boże, czy to widzisz?

- Widzę - odparła Adelia.

Jak mogła być na tyle ślepa, żeby wcześniej tego nie zobaczyć? To dlatego Talbot z Kidlington został zamordowany.

Rozdział 10

Dokąd chcieliście uciec?

- Do Walii.

Dziewczyna siedziała na stołku w kącie izby Adelii i Gylthy. Zdarła welon z głowy i długie, jasne włosy muskały policzki, gdy się kołysała. Allie, zaniepokojona tym wszystkim, zaczęła płakać i ucichła dopiero w ramionach matki. Strażnik, okazując niespodziewane współczucie, leżał z pyskiem na trzewikach Emmy.

Kiedy wreszcie zdołali oderwać ją od zwłok Talbota, wyciągnęła ręce do Adelii:

- Z nią pójdę, z nią. Ona rozumie, ona wie.

- Oczywiście, więcej niż ja - warknął pan Bloat. Adelia trochę mu współczuła, dopóki nie spróbował odciągnąć córki, zakrywając jej usta ręką, żeby hałas nie przyciągnął jeszcze większej uwagi.

Emma też pokazała, co potrafi, szamocząc się i krzycząc. Wreszcie siostra Jennet poradziła ojcu, żeby ustąpił.

- Pozwól jej iść z tą panią. Ona zna się na medycynie i może zdoła ją uspokoić.

Państwo Bloatowie nie mieli innego wyjścia, ale widząc spojrzenia, jakimi ją obrzucali, gdy prowadziła ich córkę w stronę domu gościnnego, Adelia zrozumiała, że lista jej wrogów wydłużyła się o dwie osoby.

Zdołała nakłonić dziewczynę do wypicia naparu z obuwika, który uspokoił ją na tyle, że mogła odpowiadać na pytania. Gyltha, która delikatnie nacierała kark Emmy olejkami różanymi, spoglądała gniewnie za każdym razem, gdy padało nowe pytanie.

Zostaw biedactwo w spokoju, na litość boską, zdawała się mówić.

Nie mogę, odpowiedziała Adelia.

Pęka jej serce.

Zagoi się. W przeciwieństwie do serca Talbota.

Gyltha mogła współczuć zrozpaczonej dziewczynie, ale Adelia miała obowiązek wobec Talbota z Kidlington, który kochał Emmę Bloat i jechał do konwentu przez śniegi, żeby porwać ją i poślubić. Ucieczka kochanków miała oznaczać finansową katastrofę dla lorda Wolvercote'a, który zlecił zabójstwo.

Pan Podkute Buty i Pan Chodaki nie czekali na moście w śnieżną noc na pierwszego lepszego podróżnego. Bez wątplenia byli pospolitymi szubrawcami, ale nie brakowało im pomysłu. Wiedzieli, bo ktoś im powiedział, że o pewnej godzinie pewien człowiek przyjedzie do bramy klasztoru... i że mają go zabić.

Zabili, a potem uciekli przez most do wioski - i sami zostali zabici.

Przez tego samego człowieka, który ich wynajął?

O tak, Wolvercote idealnie pasował do tej historii.

Adelia wciąż jednak zastanawiała się, dlaczego ktoś sobie zadał tyle trudu, żeby ofiara morderstwa została zidentyfikowana. Jeśli winny był Wolvercote, to zapewne chciał, żeby Emma jak najszybciej dowiedziała się o śmierci ukochanego, żeby jej ręka - i jej majątek - znów należała do niego.

Ale gdyby Talbot się nie zjawił, Wolvercote przypuszczalnie i tak zdobyłby Emmę. Dlaczego miałby zostawiać trupa na widoku? I to w okolicznościach, które wskazywały oskarżycielskim palcem wprost na niego?

„Widzisz, co zrobili?” - powiedziała Emma.

Kim według niej byli ci „oni”?

Adelia posadziła Allie na podłodze, dała jej gryzak, który Mansur wyrzeźbił z kości, i usiadła przy Emmie.

Dziewczyna była apatyczna po przeżytych szoku.

- Pozwól mi tu zostać - powtarzała. - Nie chcę ich widzieć, nikogo. Nie mogę. Kochałaś mężczyznę, masz jego dziecko. Ty to rozumiesz. Oni nie.

- Oczywiście, możesz zostać - zapewniła ją Gyltha.

- Mój ukochany nie żyje.

Jak i mój, pomyślała Adelia. Rozpacz dziewczyny była jej rozpaczą. Zwalczyła to uczucie. Zostało popełnione morderstwo, musiała zająć się tą sprawą.

- Chcieliście jechać do Walii? - zapytała. - W środku zimy?

- Musieliśmy czekać, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat. Żeby objąć spadek. - Urywane zdania, wypowiedane obojętnym tonem.

„Do Talbota z Kidlington, oby Bóg i Jego aniołowie błogosławili Cię tego dnia, w którym wchodzisz w wiek męski”.

I tego dnia Talbot z Kidlington wyruszył w drogę, żeby zabrać Emmę Bloat, mając przy sobie, jeśli Adelia dobrze pamiętała, dwie srebrne marki dołączone do listu pana Warina.

- Odziedziczył dwie srebrne marki? - zdumiała się Adelia, a zaraz potem przypomniała sobie, że Emma nie wiedziała o markach, bo nie wiedziała o liście.

Dziewczyna nie zwróciła uwagi na to pytanie.

- Ziemię w Walii. Matka mu zostawiła, Felin Fach... - wyrzekła miękko, naśladowując głos ukochanego. „Dolina Aeron, gdzie łoś sam skacze do wędki, a ziemia rodzi złoto”.

- Złoto? - Adelia pytająco spojrzała na Gylthę. - W Walii jest złoto?

Gyltha w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

- Chciał objąć majątek w posiadanie, gdy tylko osiągnie pełnoletność. To była część jego dziedzictwa. Mieliśmy tam jechać. Ojciec Gwilym czekał, żeby udzielić nam ślubu. „Zabawny człek, ni słowa po angielsku... - zacytowała - ale w Walii może związać nas równie mocnym węzłem małżeńskim, jak każdy ksiądz”.

Gyltha ocierała oczy, Adelia też czuła się okropnie. Ale musiała poznać odpowiedzi na pytania.

- Emmo, kto wiedział, że zamierzasz uciec?

- Nikt. - Teraz naprawdę się uśmiechnęła. - „Bez płaszczą, inaczej się domyśla. Fitchet otworzy bramę...”

- Fitchet?

- Tak, oczywiście Fitchet widział o nas, Talbot mu zapłacił.

Najwyraźniej odźwierny dla Emmy w ogóle się nie liczył.

Twarz dziewczyny pobladała.

- Ale nie przyjechał. Czekałam w stróżówce... czekałam... myślałam... Słodki Jezu, okaż mi łaskę, obwiniałam go... Dlaczego go zabili? Nie mogli poprzestać na zabraniu sakiewki? Dlaczego go zabili?

Adelia znów spojrzała w oczy Gylthy. Emma winiła za śmierć kochanka rabusiów - i zapewne na tym etapie tak było lepiej. Buntowanie jej przeciwko Wolv-ercote'owi nie miało sensu, dopóki nie pojawi się dowód jego winy. W rzeczywistości lord mógł być niewinny. Jeśli nie widział o planowanej ucieczce... Ale Fitchet wiedział.

- Zatem ucieczkę uknułicie w tajemnicy?

- Mała Priscilla wiedziała, odgadła prawdę. Wiedział też Fitchet, który przemycał nasze listy. I oczywiście pan Warin, musiał bowiem napisać list do Felin Fach, żeby Talbot mógł wziąć ziemię w posiadanie, ale wszyscy przysięgli trzymać język za zębami. - Złapała Adelię za ramię. - Fitchet nie powiedziałby rabusiom, prawda? Nie mógłby tego uczynić.

Liczba tych, którzy wiedzieli o ucieczce, rosła w zatrważającym tempie.

- Nie, nie... Na pewno nie. Kim jest pan Warin?

- Czekali na niego? - Emma wbiła paznokcie w jej rękę. - Wiedzieli, że wiezie pieniądze? Wiedzieli?

- Jasne, że nie - wtrąciła Gyltha. Zdjęła rękę Emmy z ramienia Adeli i zamknęła ją w dłoni. - To zwykli bandyci. Na drodze nikt nie jest bezpieczny.

Emma szeroko otworzyła oczy, patrząc na Adelię.

- Czy cierpiał?

Tutaj wreszcie mogła powiedzieć prawdę.

- Nie. Strzała trafiła prosto w pierś. Pomyślał o tobie, a potem... już nic...

- Tak. - Dziewczyna się przygarbiła. - Tak.

- Kim jest pan Warin? - powtórzyła Adelia.

- Ale jak mam żyć dalej bez niego?

Jakoś, pomyślała Adelia, musimy żyć.

Allie odepchnęła Strażnika i usadowiła się na trzewikach Emmy. Położyła pulchną rączkę na kolanie dziewczyny. Emma popatrzyła na nią.

- Chcieliśmy mieć mnóstwo dzieci. - Jej rozpacz była wręcz namiętna. Dla dwóch cierpiących kobiet oświetlony ogniem pokój stał się zimową, bezkresną równiną z drzewami odartymi z liści.

Jest młoda, pomyślała Adelia. Może pewnego dnia zawita u niej wiosna, ale nigdy nie przyniesie tej samej świeżości.

- Kim jest pan Warin?

Gyltha cmoknęła z niezadowoleniem, bo dziewczyna zaczęła dygotać.

- Emmo, kim jest pan Warin?

- Kuzynem Talbota. Byli sobie bardzo bliscy. - Znow uśmiechnęła się smutno. - „Warin to mój zaufany człowiek, Emmo, nikt nigdy nie miał takiego troskliwego opiekuna”.

- Był opiekunem Talbota? Zarządzał jego majątkiem?

- Och, nie nękał go tym teraz. Będzie taki... Muszę się z nim zobaczyć. Nie, nie mogę... nie zniosę jego rozpaczy...

Emma przymknęła oczy.

Gyltha otuliła ją kocem, zaprowadziła do łóżka i pomogła się położyć.

- Śpij. - Zwróciła się do Adelii. - A ty chodź ze mną.

Przeszły na drugą stronę pokoju.

- Myślisz, że Wolvercote kazał uśmiercić lubego tej panny? - zapytała Gyltha szeptem.

- Prawdopodobnie, chociaż zaczynam myśleć, że kuzyn i opiekun w jednej osobie też miał dużo do stracenia, gdyby Talbot przejął włości. Jeśli zarządzał jego majątkiem... To zaczyna wyglądać na spisek.

- Nie, nie było żadnego spisku. To był zwyczajny napad.

- Bandydzi wiedzieli, na kogo mają napaść.

- Nie, nie wiedzieli!

- Dlaczego? - Adelia dotąd nie widziała Gylthy w stanie takiego wzburzenia.

- Bo teraz biedna dziewczyna będzie musiała poślubić Starego Wilka, czyjej się to podoba, czy nie. Dlatego lepiej, żeby nie myślała, że to on zabił jej umiłowanego.

- Musi wyjść za niego?

Gyltha pokiwała głową.

- To więcej niż pewne. Bloatowie są zdecydowani. Wolvercote też. Dlatego chciała uciec, żeby nie zmusili jej do ślubu.

- Nie mogą jej zmusić, Gyltho, nie mogą.

- Widziałaś ich. Taki już los posażnych panien. - Gyltha spojrzała w niebo i podziękowała Bogu, że pochodzi z gminu. - Mnie nikt nie chciał dla pieniędzy. Nigdy żadnych nie miałam.

Tak, to wszystko prawda. Przybrani rodzice Adelii pozwolili jej wykonywać wybrany zawód, ale wokół niej w Salerno młode, dobrze urodzone panny wychodziły pod przymusem za wybrańca ojca, realizując rodzicielski plan podniesienia statusu rodziny. Albo ślub, albo bicie. Albo ulica. Albo klasztor.

- Nie może zostać zakonnica?

- Jest ich jedynym dzieckiem - odparła Gyltha. - Pan Bloat nie chce mniszki, chce mieć damę w rodzinie, bo to lepsze dla interesów. - Wes-

tchnęła. - Moja ciotka była kucharką u De Pringhamów. Ich biedna mała Alys została wydana za barona Cotona, łysego starego hultaja.

- Trzeba powiedzieć „tak”. Kościół mówi, że w przeciwnym wypadku małżeństwo jest nieważne.

- Nie słyszałam, żeby mała Alys wyraziła swoją zgodę.

- Ale Wolvercote jest tyranem i głupcem. Sama wiesz.

- I co z tego?

- Mogłaby zwrócić się do królowej. Eleonora wie, co to znaczy nieszczęśliwe małżeństwo, sama rozwiodła się z Ludwikiem.

- Jużci - mruknęła Gyltha, podnosząc oczy. - Królowa na pewno nie wystąpi przeciwko człowiekowi, który dla niej walczy. - Poklepała Adelię po ramieniu. - Nie będzie tak źle Emmie...

- Nie tak źle?

- Będzie miała dzieci, a tego chce, prawda? Poza tym nie sądzę, żeby długo musiała się z nim męczyć. Kiedy król Henryk go dopadnie, wypruje mu flaki.

- Myślałam, że jej współczujesz.

- Współczuję, ale zastanówmy się, co ją czeka. Przy odrobinie szczęścia owdowieje, zanim rok upłynie, a wtedy będzie miała dziecko i jego ziemie... Tak, myślę, że z tego mogą wynikać same dobre rzeczy.

- Gyltho. - Adelia nie spodziewała się takiego praktycznego podejścia nawet u niej. - To okropne.

- Tak wyglądają małżeństwa wysoko urodzonych.

Jacques był bardzo zajęty tego dnia, przynosząc wiadomości kobietom w domu gościnnym. Pierwsza od przeoryszy:

- „Do pani Adelii, z pozdrowieniami od siostry Havis, aby cię powiadomić, że dziewczyna Berta zostanie pochowana na cmentarzu zakonnym”.

- Chrześcijański pochówek. Myślałam, że będziesz zadowolona -powiedziała Gyltha, patrząc na Adelię. - Czy nie tego chciałaś?

- Tak. Jestem zadowolona. - Przeorysza zakończyła dochodzenie i zdołała przekonać opatkę, że Berta nie zginęła z własnej ręki.

Ale Jacques jeszcze nie skończył. Wyrecytował sumiennie:

- „I aby cię ostrzec, żebyś pamiętała, iż diabeł krąży po opactwie”.

A więc o to chodzi. Mniszki przyznały, że zabójca swobodnie chodzi

po Godstow, co sprawiało, że zagrożenie było większe, a zalegające tu ciemności przerażające.

Jakiś czas później posłaniec znowu się pojawił.

- „Do pani Adelii, z pozdrowieniami od matki Edyve, aby oddała pannę Emmę do klauzury. Dla zachowania spokoju”.

- Czyjego spokoju? - zapytała Gyltha. - Pewnie Bloatowie się skarżą.

- Podobnie jak lord Wolvercote - powiedział Jacques. Skrzywił się, jak człowiek, któremu nie w smak przekazać kolejne złe wieści. - Mówi... mówi...

- Co?

- Podobno pani Adelia rzuciła czar na pannę Emmę i zwróciła ją przeciwko przyszłemu mężowi.

Gyltha nie wytrzymała.

- Możesz powiedzieć ode mnie temu bezbożnemu łajdakowi, że... Ale Emma już wkładała płaszcz.

- Dość kłopotów - powiedziała.

I zeszła po schodach, zanim któreś z nich zdążyło się ruszyć.

Półmrok, który spowijał Godstow, nie miał nic wspólnego z nikłym zimowym światłem.

W proteście przeciwko okupacji mniszki zamknęły się w swoich celach, brały posiłki z kuchni infirmerii i nie opuszczały klauzury.

Obecność dwóch band najemników zaczęła stwarzać kłopoty. Ludzie Schwyza, bardziej doświadczeni, stanowiący zwartą grupę, która walczyła w różnych wojnach w całej Europie, uważali podkomendnych Wolvercote'a za wsiowych zbirów wynajętych na czas buntu - i rzeczywiście w większości przypadków była to prawda.

Ale tamci mieli ładniejsze stroje, lepszą broń i wpływowego dowódcę - poza tym byli liczniejsi i nikomu się nie kłaniali.

Ludzie Schwyza pędzili w kuźni gorzałkę i pili; ludzie Wolvercote'a włamywali się do klasztornej piwnicy i również pili. Później, jak było do przewidzenia, brali się za łby.

Noce stały się straszne. Mieszkańcy Godstow i ich goście chowali się w izbach, słuchając odgłosów burd w uliczkach, bojąc się, że pijani najemnicy wyłamią drzwi i wtargną z zamiarem rabunku czy gwałtu.

Starając się chronić swoją własność i kobiety, utworzyli własną milicję. Mansur, Walt, Oswald i Jacques brali udział w patrolach, ale wynik był taki, że często w nocnych bijatykach uczestniczyły trzy strony.

Próba pełnienia obowiązków duszpasterskich wobec trzódki opuszczonej przez mniszki, podjęta przez kapelana opactwa, ojca Egberta, zakończyła się fiaskiem w czasie niedzielnej wieczornej komunii, gdy Schwyz krzyknął do Wolvercote'a:

- Przywołasz swoich ludzi do porządku, czy ja mam to zrobić za ciebie?

Rozpętała się wówczas bójka, której uczestnicy nie oszczędzili nawet kaplicy Marii Panny, rozbijając lampy, pulpit i kilka głów. Jeden z ludzi Wolvercote'a stracił oko.

Było tak, jakby świat skuł mróz, nie pozwalając, by do uwięzionego przez śniegi Oxfordshire dotarła inna pogoda: za dnia na niebie płonęło jasne słońce, a nocą niezliczone gwiazdy, przy czym ani jedno, ani drugie nie niosło ulgi od zimna.

Adelia co rano na krótko otwierała okiennice, żeby przewietrzyć pokój i spojrzeć w dal, wypatrując... kogo? Henryka Plantageneta? Rowleya?

Lecz Rowley nie żył.

Napadało jeszcze więcej śniegu; boki ścieżki wykopanej do Tamizy osunęły się pod jego ciężarem. Niepodobna było odróżnić rzeki od łądu. Wokół żadnych śladów życia, nawet zwierzęta się pochowały.

Gdzie zniknęły ptaki? Może skryły się w koronach drzew, które stały jak posągowi wartownicy po drugiej stronie rzeki? Czy przetrwają ten atak zimy? Gdzie są jelenie? Czy ryby pływają pod lodem?

Siedząc wzrokiem lot samotnej wrony po błękitnym niebie, Adelia zastanawiała się, czy w tym martwym, nieskazitelnie dziewiczym świecie Godstow jest jedynym ośrodkiem życia. Na jej oczach wrona złożyła skrzydła i spadła na ziemię, mała, czarna, godna pożałowania ofiara mrozu na tle bieli.

Noce w Godstow były koszmarnie, ale dni stały się makabryczne, gdy nad opactwem niósł się trzask oskardów wyrabujących groby w zamrożonej ziemi i bicie dzwonu kościelnego, który dzwonił po umarłych, jakby utracił zdolność dzwonienia z innego powodu.

Adelia starała się nie wychodzić z domu dla gości. Twarze napotykaných osób, kreślących znak krzyża, gdy ją mijali, budziły w niej strach. Ale musiała uczestniczyć w niektórych pogrzebach.

Najpierw Talbota z Kidlington. Przyszły mniszki. Za trumną stał niewysoki mężczyzna, kuzyn zmarłego, pan Warin, jak domyśliła się Adelia. Płakał przez całą ceremonię, ale ona z głębi kościoła widziała tylko Emmę w prezbiterium, bladą, z suchymi oczami, mocno trzymaną za rękę przez siostrę Priscille.

Pogrzeb Berty. Ten odbył się po zmroku, obrzędy odprawiono w zacisznej kaplicy matki przełożonej. Uczestniczyły w nim zakonnice, dójka, Jacques.

Adelia złożyła ręce Berty na zerwanym łańcuszku ze srebrnym krzyżykiem, zanim prosta trumna z miękkiego drewna spoczęła w grobie na cmentarzu mniszek.

Pogrzeb Giorgia, Sycylijczyka. Tutaj nie zjawiała się żadna zakonnica, ale przyszli najemnicy Schwyza i on sam. Mansur, Walt i Jacques też się stawili, podobnie jak na pogrzebie Talbota. Adelia wybłagała u siostry Havis przyzwolenie na chrześcijański pochówek Giorgia, dowodząc, że opactwo nie zaznało od niego krzywdy. Sycylijczyk został opuszczony do zimnego chrześcijańskiego grobu z błogosławieństwem świętej Agnieszki.

Adelia nie usłyszała słowa podziękowania od jego przyjaciela, Crossa. Odszedł z cmentarza po pochówku bez jednego słowa, choć później Adelia znalazła pod drzwiami trzy pary pięknie wymodelowanych kościanych łyżew z rzemieniami.

Pogrzeb dwóch wieśniaków z Wolvercote, którzy zmarli na zapalenie płuc. Przyszła siostra Jennet z pielęgniarkami, ale lord Wolvercote nie raczył się zjawić.

Pogrzeb dwóch wisielców. Nie przyszedł nikt prócz księdza, choć te ciała też spoczęły na przykościelnym cmentarzu.

Spełniwszy swój obowiązek, ojciec Egbert zamknął kościół i, podobnie jak zakonnice, udał się do klauzury. Oświadczył, że nie będzie odprawiał nabożeństw, dopóki do kościoła nie przestaną przychodzić najemnicy. Dni adwentu nie powinni brukać zwaśnieni barbarzyńcy, którzy nie rozpoznaliby gołębicy pokoju, nawet gdyby narobiła któremu na głowę. Co, jak miał nadzieję, wkrótce się stanie.

To był wyrok na całą wspólnotę. Nie będzie Bożego Narodzenia?

Podniosły się krzyki, najgłośniejsze Bloatów - wszak przyjechali na ślub swojego dziecka, przewidziany na święta Bożego Narodzenia. A ich córka, wskutek zgubnego wpływu niewiele wartej kobiety, teraz mówiła, że wcale nie chce wyjść za mąż. Nie po to płacili dziesięcinę.

Jeden głos jednak wzniósł się ponad inne. I odniósł większy skutek. Siostra Bullard, opiekująca się piwnicami i z tego względu poniekąd najważniejsza osoba w opactwie, została wystawiona na wielką próbę. Nawet po powołaniu nowej milicji klasztornej ogromne piwnice wciąż ponosiły uszczerbek wskutek nocnych napaści najemników, którzy łupili baryłki z piwem, beczki wina i zapasy żywności.

Z obawy, że niebawem klasztor nie zdoła się wyżywić, siostra Bullard zwróciła się do jedynej ziemskiej władzy, jaka jej pozostała - do królowej Anglii.

Eleonora przebywała w swoich apartamentach, niewiele uwagi poświęcając rzeczom, które nie służyły rozrywce. Uznając pozostałą część opactwa za nudną, ignorowała tamtejsze kłopoty. A jednak, zmuszona tkwić na wyspie Godstow, dopóki śniegi nie stają, musiała wysłuchać siostry Bullard, która oznajmiła, że czekają ich właśnie i głód.

Królowa się ocknęła.

Lord Wolvercote i pan Schwyz zostali wezwani do królewskich pokoi w domu opatki, gdzie usłyszeli, że tylko pod sztandarem królowej mogą przyciągnąć sprzymierzeńców - a królowa nie ma zamiaru stanąć na czele hałastry, jaką w tej chwili byli ich ludzie.

Ustanowiono zasady. Przywrócone zostaną posługi kościelne, w których uczestniczyć mają tylko ludzie trzeźwi. Ludzie Wolvercote'a każdego wieczoru będą chodzić za most i spać w dworze ich pana, zostawiając w opactwie tylko sześciu, by wzmocnić podkomendnych Schwyza, pilnujących, by nikt nie chodził po zmroku.

Koniec najazdów na piwnicę - najemnik przyłapany na kradzieży lub bójce zostanie publicznie wychłostany.

W spotkaniu uczestniczył również opat Eynsham, przyjaciel Schwyza, obdarzony szczególnie obrotnym, przekonującym językiem. Zauważono, że gdy lord Woh/ercote wyszedł od królowej, aż pienieł się ze złości.

- Bo nie dostał młodej Emmy - doniosła Gyltha. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Jesteś pewna?

- Jasne. Dziewczyna ubłagała matkę Edyve, która poprosiła o wstawiennictwo Eleonorę. Królowa powiedziała, że Stary Wilk powinien zaczekać.

Wiadomości znowu pochodziły z kuchni, gdzie przyjaciółka Gylthy, Polly, pomagała królewskim sługom nosić jedzenie na spotkanie królowej z przywódcami najemników. Polly dowiedziała się wielu rzeczy, między innymi tego, że królowa spełniła prośbę matki Edyve i odłożyła na czas nieokreślony ślub Emmy z Wolvercote'em „...dopóki młódka nie ozdrowieje z dolegliwości, które teraz trapią jej duszę”.

Polly zameldowała, że „Jego Wilcza Mość nie był zadowolony”.

Adelia odetchnęła z ulgą. Ale teraz już wszyscy wiedzieli, jaka dolegliwość trapi ducha Emmy, i według Gylthy otaczało ją ogólne współczucie, wyrastające w znacznej mierze z równie powszechnej antypatii do Wolvercote'a.

Z kuchni napłynęło więcej dobrych wiadomości. Po zaprowadzeniu porządku Eleonora oznajmiła, że kościół zostanie otwarty, ksiądz

podejmię posługi kapłańskie, a gdy nadejdzie Boże Narodzenie, odprawiona zostanie uroczysta msza, po której odbędzie się uczta.

- Prawdziwie angielska, jak się patrzy - powiedziała Gyltha z pogańskim błyskiem w oku. - Pieśni, ucztowanie, mimowicie, sękacz bożonarodzeniowy. Już zabijają gęsi...

Znamienne dla Eleonory. Najpierw ocalała klasztorne zapasy, teraz narażała je na niebezpieczeństwo. Uczta dla całej społeczności miała być ogromnym i kosztownym przedsięwzięciem. Z drugiej strony, królowa podjęła słuszną decyzję. Uczta rozładuje napięcie, które stawało się nie do zniesienia. I jeśli wniesie do Godstow trochę radości, to tym lepiej, bo bardzo jej tu brakowało.

Eleonora wystosowała zaproszenie do domu gościnnego. Przekazał je Jacques.

- Do pani Adelii, z pozdrowieniami od królowej Eleonory.

- Teraz załatwiasz sprawę jej królewskiej mości? - zapytała Gyltha, stojąc u drzwi. Posłaniec wytrzasnął skądś bardziej kolorowe ubranie, przykrył kręconymi włosami odstające uszy i użył tyle pachnidła, że Adelia czuła zapach po drugiej stronie pokoju.

Przyoblekł również płaszcz świadczący o nowej godności.

- Pani, zostałem faworytem królowej. A teraz muszę iść do lorda Mansura. On też jest zaproszony.

Gyltha popatrzyła za nim.

- Małpuje dworaków - burknęła z dezaprobatą. - Nasz Rowley skopie mu tyłek, jak tylko wróci.

- Rowley nie wróci - powiedziała Adelia.

Kiedy Mansur wszedł do królewskiej komnaty, któryś dworzanin mruknął niezbyt cicho:

- A teraz podejmujemy pogan. - A gdy Adelia weszła ze Strażnikiem u nogi: - O Boże, patrzcie na tę czapkę! I pies, słodki Jezu...

Eleonora jednakże była ucieleśnieniem życzliwości. Zbliżyła się, wyciągając rękę do ucałowania.

- Lordzie Mansurze, radzie jesteśmy, widząc cię tutaj. - Potem spojrzała na Adelię. - Moje drogie dziecko, dopuściliśmy się zaniedbania. Oczywiście zajmowały nas sprawy stanu, lecz mimo to obawiam się, że zaniedbaliśmy ciebie, z którą walczyłam przeciwko diabelskiemu pomiotowi.

Długa izba na piętrze, należąca do matki przełożonej, teraz stała się komnatą Eleonory. Z pewnością nie znała przedtem ciężkich woni pachnidła pogańskiego

Wschodu ani nie wypełniały jej tak barwne przedmioty - szale, poduszki, wspaniałe jesienny tryptyk - przy których gasły naiwne, biblijne sceny na ścianach. Matka Edyve nigdy nie klęczała na klęczniku ze złota, a na jej nocnikach nie ryczały rzeźbione lwy; nie miała muślinów, falujących jak pajęczyna, opadających z baldachimu łóżka na poduszkę, ani dworzan podobnych malowanym posągom, ani pięknego minstrela, którego pieśń miłosna niosła się w powietrzu.

Adelia zdumiona była widokiem łoża -jak zabrali je na łódź? - które nie budziło jednak skojarzeń erotycznych. Ten pokój na pewno nie był komnatą hurysy.

Jacques, który leniuchował w kącie, ukłonił się Adeli rozpromieniony. Sądząc po bijącej od niego radości, jeszcze wyższych butach i nowej fryzurze, która zasłaniała odstające uszy, trafił do akwitańskiego raję.

Królowa poczęstowała Mansura suszonymi daktylami i specjałami z pasty migdałowej.

- My, którzy byliśmy w zamorskich krajach, wiemy przecież, że nie należy proponować ci wina, panie, ale... - pstryknęła wypielegnowanymi palcami na pazia - nasz kucharz wyczaruje całkiem znośny sorbet.

Mansur zachował obojętny wyraz twarzy.

- O Boże - westchnęła Eleonora - czy medyk mnie nie rozumie?

- Niestety, pani - odparła Adelia. - Przetłumaczę. - Mansur nieźle władał normańskim francuskim, w jakim tutaj rozmawiano, ale udawał, że zna tylko arabski, co dobrze przysłużyło im się w przeszłości i mogło się znowu przydać. Zaskakujące, ile się dowiadywał od osób, które sądziły, że ich nie rozumie. A jeśli zabójca Bertę przebywał w tym towarzystwie...

Czego chcieli od niego? Traktowali go z niezwyklejmi honorami jak na człowieka, którego rasa zadała klęskę krucjacie królowej.

Eleonora poprosiła Adelię, żeby pochwaliła medyczne umiejętności Mansura w ocaleniu... „jednego z najemników drogiego Schwyza”. Siostra Jennet wychwalała go pod niebiosa.

Więc ona sama została tu zaproszona tylko jako tłumaczka.

Ale nie, najwyraźniej miała poświadczyć odwagę Eleonory.

Królowa położyła rękę na ramieniu Adeli i szła obok, opowiadając, co zaszło w komnacie na szczycie wieży Wormhold, gdy przy gnijącym trupie pojawił się demon z mieczem w dłoni.

Eleonora uniosła dłoń:

- Jesteś szatanem Plantageneta, albowiem ród ten wywodzi się z demonów. W imię Zbawiciela, wracaj do swego pana - rzekłam. -

I oto demon rzucił miecz, i umknął z podkulonym ogonem tam, skąd przybył. Ciekawe, co wedle niej zrobiłam, pomyślała Adelia.

- ...a ta obecna tu osobka, moja Adelia, podniosła potem miecz upuszczony przez demona, choć był bardzo gorący i cuchnął siarką, i wy rzuciła oręż przez okno.

Adelia zastanowiła się, czy królowa wierzy we własne brednie. Chyba nie. Może była tak bardzo wstrząśnięta i zawstydzona atakiem Da-kers, że musiała przedstawić zdarzenie w korzystnym dla siebie świetle? A może odgrywała tę scenę dlatego, że doskwierała jej nuda?

Nie szczędząc ochów i achów w trakcie tego występu, na zakończenie dworacy zgotowali królowej owację - z wyjątkiem Montignarda, który patrząc na Adelię ze złym błyskiem w oku, wybuchnął:

- Ale to ja troszczyłem się o ciebie później, prawda? - I jał wymieniać swe zasługi, choć zagłuszało go klaskanie opata Eynshama, opartego o kolumnkę łóżka.

Eleonora zgañała go:

- Nasze zaniedbanie jest w istocie twoim, panie. Zleciliśmy, żebyś miał oko na naszą dzielną panią Adelię, prawda?

Opat zmierzył wyrokiem Adelię od ośnieżonych trzewików po brzydką czapkę z nausznikami.

- Pani, myślę, że to zrobiłem - rzekł.

Zszokowana Adelia nie słyszała dalszych słów królowej. Ten człowiek źle jej życzył. Jednocześnie czuła, że ona, Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar, uważana tutaj za dziewczkę biskupa St. Albans, przydatną jedynie do podnoszenia demonicznych mieczy, była osobą, którą opat Eynsham w pełni docenia. Właśnie jej to powiedział.

Królowa uśmiechała się, rozkładając ręce. Dworzanie się podśmiewali. Jeden powiedział:

- Biedaczka jest zagubiona. Adelia się ocknęła.

- Wybacz, pani.

- Powiedziałam, moja droga, że musisz do nas dołączyć. Nie możemy pozwolić, żeby nasza dzielna pomocnica mieszkała w jakiejś no rze. Przeniesiesz się do moich dworek, jestem pewna, że znajdą miejsce, i będziesz brać udział w naszych rozrywkach. Niewątpliwie bardzo się nudzisz.

To ty jesteś znudzona, pomyślała Adelia. Przypuszczalnie w głębi serca Eleonora czuła się jej dłużniczką za ocalenie życia, ale, co waż-

niejsze, potrzebowała nowej zabawki. Zewsząd ziała nuda: tym ludziom wyczerpały się wszystkie pomysły i potrzebowali czegoś nowego.

Towarzystwo królowej opuszczało jeden zamek, gdy miało już go dość, i przenosiło się do następnego, gdzie polowało, bawiło się, obsługiwane przez armię kucharzy, szwaczek, praczek, służących. Pozbawiony rozrywki dwór zaczynał się burzyć i dusić w zamknięciu.

Młody dworzanin ostentacyjnie zatykał nos, broniąc się przed zapachem Strażnika, choć sam pachniał niewiele lepiej.

Przenieść się tutaj? Za nic w świecie! Adelia nie zamierzała skorzystać z zaproszenia - nie wstąpi do tego przepelnionego piekła.

Jednak z drugiej strony... Jeśli wśród nich przebywał zabójca Berty, łatwiej mogłaby go wytropić. Zamieszkać wśród nich? Nie. Ale jeśli za dnia będzie miała wstęp wolny do królewskich komnat...

Adelia się ukloniła.

- Pani, jesteś ucieleśnieniem dobra. Jeśli tylko moje dziecko nie będzie zakłócać ci nocy...

- Dziecko? - Królowa okazała zaciekawienie. - Dlaczego mi nie powiedzieli? Chłopiec?

- Dziewczynka. Ząbkuje i źle sypia...

- Ząbkuje? - jęknął Montignard.

- Wrzeszczy - powiedział Eynsham.

- Ci dwaj panowie nie lubią dzieci - stwierdziła Eleonora.

- Ja lubię - zapewnił opat. - Upieczone z natką pietruszki są całkiem apetyczne.

Adelia ciągnęła dalej:

- Poza tym muszę pomagać mojemu panu, obecnemu tutaj medykowi Mansurowi, ilekroć jest wzywany do infirmerii, często po nocach. Sprawuję pieczę nad jego miksturami.

- W śmierzących i grzechoczących kotłach - powiedział opat.

Montignard błagalnie złożył ręce.

- Pani, ani na chwilę nie zmrużysz oka. Jeśli mało ci tego dzwonu bijącego godziny i śpiewu siostr, będziemy jeszcze musieli słuchać wrzasku oseków i Bóg wie jakiego diabelstwa...

Bóg ci zapłać, pomyślała Adelia. Eleonora się uśmiechnęła.

- Potrzebuję snu, a jednak trudno mi nie nagrodzić tej dziewczyny.

- Wystarczy, że pozwolisz jej tu przychodzić - mruknął Eynsham ze zmęczeniem w głosie. - Byle nie w tym stroju.

- Oczywiście ubierzemy ją odpowiednio.

Pojawił się nowy pomysł stanowiący rozrywkę dla zabicia czasu.

Zaprowadzono Adelie do pokoju kobiet, gdzie mężczyźni wtykali głowy przez niedomknięte drzwi, a chór komentarzy powiększał jej poniżenie, gdy stała rozebrana do koszuli. Dworki przykładały pasy różnych tkanin do jej skóry i odkrytej głowy, osądzając: to pasuje, to nie pasuje, nie fioletoworóżowy, moja droga, nie z tą karnacją-jak u trupa. Skąd ona wzięła takie delikatne, białe płótno na koszulę? Czy pochodzi z Sasów, że ma taką jasną skórę? Nie, nie. Sasi mają niebieskie oczy, pewnie jest z Wenedów.

Nawet jej nie zapytano, czy chce mieć nową suknię. Nie chciała; ubierała się w taki sposób, żeby zniknąć w tłumie. Adelia była obserwatorką. Chciała robić wrażenie tylko na pacjentach, a i wtedy nie jako kobieta. Cóż... chciała robić wrażenie na Rowleyu, do tego jednak nie potrzebowała żadnego ubrania...

Z biednymi szwaczkami też nikt nie rozmawiał, choć przemiana wybranego materiału w suknię - bardzo obcisłą u góry, sutą na dole, rękawy wąskie do łokcia, niżej szerokie, sięgające prawie do ziemi - nie była taka prosta, zwłaszcza że Eleonora zażądała misternego haftu pod szyją i wokół ramion, a nadto strój miał być gotowy na świąteczną ucztę.

Co to za kobieta, która zabiera szwaczki na wojnę i rekwiruje wojskowe środki transportu do przewożenia kufrów pełnych oszałamiająco kolorowych brokatów, jedwabi, płócien i złotogłowiu? W końcu Eleonora zdecydowała się na granatowy aksamit, który, jak powiedziała, miał barwę „kwiatu akwitańskiej winorośli”.

Kiedy królowa coś robiła, wkładała w to całe serce - pokazała, jak należy przypiąć muślin do materiału, wybrała cienką złotą opaskę na głowę, ozdobny pas, haftowane trzewiczki, pelerynę z kapturem z tkaniny wełnianej tak delikatnej, że można by ją przeciągnąć przez pierścień - i wszystkie te rzeczy stały się własnością Adelii.

- Należą ci się, moja droga - powiedziała Eleonora, klepiąc ją po głowie. - To był groźny demon. - Zwróciła się do Eynshama: - Jesteśmy od niego bezpieczni, prawda, opacie? Powiedziałeś, że się go pozbyłeś?

Dakers! Co z nią zrobili?

- Nie mogłem pozwolić, aby włóczył się swobodnie, żeby znów za groził mojej pani. Znalazłem go, skrywał się wśród książek konwentu, choć wątpię, czy umie czytać. Powiesiłbym go natychmiast, lecz dobre siostry podniosły krzyk, więc zamknąłem go w klasztornej areszcie. Za bierzemy go z nami, gdy ruszymy dalej, i powiesimy... - mrugnął - jeśli nie zamarznie na śmierć.

Eleonora zaśmiała się, ale po chwili powiedziała:

- Nie, nie, ta kobieta jest opętana, nie możemy jej powiesić.
- Opętana przez zło swojej pani. Lepsza będzie martwa, jak Roza-munda.

Noc zdawała się ciągnąć bez końca. Nikt nie mógł wyjść, dopóki królowa nie wyrazi zgody, a Eleonora była niestrudzona. Były gry planszowe, zabawy w lisa i gęś, grano w kości. Wszyscy musieli śpiewać, nawet Adelia, która nie miała głosu i wzbudziła powszechny śmiech.

Kiedy przyszła kolej na Mansura, Eleonora nie kryła zachwyty i zaciekawienia.

- Pięknie, pięknie. Czy to nie kastrat?

Adelia, siedząc na stołku u stóp królowej, przyznała, że tak.

- Interesujące. Słyszałam ich na Wschodzie, ale nigdy w Anglii. Podobno mogą sprawić przyjemność kobiecie, lecz nie mają dzieci. Czy to prawda?

- Nie wiem, pani. - Była to prawda, ale Adelia nie chciała rozmawiać na ten temat w tym towarzystwie.

W pokoju robiło się coraz goręcej. Grano, śpiewano.

Adelia drzemała, budzona przez przeciąg, gdy ludzie przychodzili i wychodzili.

Jacques przyniósł jedzenie z kuchni. Montignard i Mansur wyszli, ale zaraz wrócili. Opat zniknął, po czym zjawił się ze sznurkiem, żeby spełnić nagłą zachciankę Eleonory, która zapragnęła zabawy w kocią kołyskę. Teraz razem z Mansurem siedzieli naprzeciwko siebie z głowami schylnymi nad szachownicą. Dworzaniin wszedł ze śniegiem do schłodzenia wina... Inny młody człowiek, ten, który rzucał śnieżkami w zakonnice, śpiewał do wtóru lutni...

Adelia zmusiła się do wstania. Podeszła do stołu, spojrzała na szachownicę.

- Przegrywasz - powiedziała po arabsku. Mansur nie podniósł głowy.
- Jest lepszy, oby go Allah pokarał.
- Powiedz coś więcej. Odchrząknął.
- Co mam ci powiedzieć? Jestem zmęczony tymi ludźmi. Kiedy pójdziemy?

Adelia zwróciła się do Eynshama:

- Lord Mansur każe mi spytać, panie, co możesz mu powiedzieć o śmierci tej kobiety, Rozamundy Clifford.

Opat podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć, i znów dostrzegła w jego oczach to wcześniejsze zrozumienie.

- Czyżby? Naprawdę on? A dlaczego lord Mansur chce to wiedzieć?

- Jest medykiem, interesuje się truciznami.

Eleonora usłyszała nazwisko Rozamundy. Zawołała przez pokój:

- O co chodzi? O czym rozmawiacie?

Opat w jednej chwili stał się innym człowiekiem, rubasznym, wesołym.

- Medyk dopytuje o śmierć tej suki Rozamundy. Czy nie byłem z tobą, moja słodka, gdy usłyszeliśmy, że zdechła? Czy nie powiedzieli nam o tym, gdy wyszliśmy na ląd po przeprawie z Normandii? Czy nie padłem na kolana i nie podziękowałem Bogu, że ukarał grzesznicę?

- Tak, opacie.

- Ale znałeś Rozamundę - powiedziała Adelia. - Mówiłeś, że byłeś w Wormhold.

- Czy znałem Rozamundę? Tak, znałem. Czy mogłem pozwolić, żeby nikczemność panoszyła się w moim własnym kraju? Ile dni spędziłem u tej Jezebel, przez ile dni jak Daniel nawoływałem ją do zaprzestania nierządu? - Mówił do królowej, ale jego oczy ani na chwilę nie oderwały się od twarzy Adellii.

W końcu nawet Eleonora się zmęczyła.

- Do łóżka, dobrzy ludzie. Idźcie spać.

Odprowadzający Adelię do domu Mansur był zły z powodu przegranej, bo uważał się za znawcę szachów.

- Ten ksiądz jest doskonałym szachistą. Nie lubię go.

- Maczał palce w morderstwie Rozamundy - powiedziała Adelia. - Jawnie ze mnie szydzi.

- Nie było go tutaj.

Prawda. Eynsham przebywał po drugiej stronie kanału, gdy zmarła Rozamunda. Ale...

- Kim był ten chudzielec z tryprem? - zapytał Mansur. - Zabrał mnie na zewnątrz, żeby mi pokazać. Chce jakąś maść.

- Montignard? Montignard ma trypra? Dobrze mu tak. - Adelia była rozdrażniona ze zmęczenia. Prawie świtało. Towarzyszyła im antyfona jutrzni, gdy szli ciężkim krokiem.

Mansur podniósł latarnię, żeby oświetlić stopnie domu gościnnego.

- Czy kobieta zostawiła otwarte drzwi?

- Tak myślę.

- Nie powinna. Nie jest bezpiecznie.

- W takim razie będę musiała ją zbudzić. - Adelia już wchodziła po schodach. - I ma na imię Gyitha. Dlaczego nigdy nie używasz jej imienia? - Przecież właściwie są małżeństwem.

Potknęła się o coś, co leżało na najwyższym stopniu.

- Dobry Boże! Mansur! Mansur!

Razem wnieśli kołyskę do pokoju. Dziecko spało, dobrze okryte. Zdawało się, że pobyt na zimnie nie wyrządził mu szkody.

Świeca zgasła. Gyitha siedziała bez ruchu na krześle, na którym czekała na powrót Adelii. Przez straszną chwilę Adelia myślała, że została zamordowana -jej ręka bezwładnie zwisała tam, gdzie zawsze stała kołyska.

Siedli we trójkę wokół kołyski, patrząc na śpiącą Allie, jakby się bali, że nagle rozplynie się w powietrzu.

- Ktoś wszedł tutaj i wykradł dziecko? Postawił kołyskę na stopniu? - Gyitha nie mogła w to uwierzyć.

- Tak - odparła Adelia. Niewiele brakowało, a kołyska, koziółkując, spadłaby z wysokiego ganku na uliczkę.

- Ktoś tu wszedł, a ja nie usłyszałam? Położył ją na schodach?

- Tak.

- Jaki to ma sens?

- Nie wiem. - Nieprawda, doskonale wiedziała. Mansur wyraził to na głos:

- On cię ostrzega.

- Wiem.

- Zadajesz zbyt wiele pytań.

- Wiem.

- Jakich pytań? - Gyitha nie nadażwała za rozmową. - Kto nie chce, żeby zadawała pytania?

- Nie wiem. - Gdyby wiedziała, błagałaby, żeby się zlitował. Wygrałeś. Jesteś bystrzejszy ode mnie. Nie będę ci przeszkadzać. Ale zostaw mi Allie.

Rozdział 11

Instynkt podpowiadał, żeby gdzieś głęboko ukryć Allie.

Kiedy królowa przysłała po nią Jacques'a, Adelia odpowiedziała, że jest chora i nie może przybyć.

W myślach rozmawiała z zabójcą.

Jesteś teraz uległa?

Uległa, panie. Bezwzględnie uległa. Nie zrobię niczego, co wzbudziłoby twoje niezadowolenie, tylko nie krzywdź Allie.

Nie wiedziała, kim jest, ale wiedziała, jaki jest. Zdradził się, zabierając kołyskę Allie spod ręki śpiącej Gylthy i stawiając ją na schodach.

Zastosował taki prosty środek, żeby wytrącić broń z ręki swego przeciwnika. Gdyby nie bała się go tak bardzo, mogłaby podziwiać jego pomysłowość.

Wiedziała, że ma do czynienia z dwoma rodzajami morderstw, których nic nie łączyło.

Morderstwo Talbota z Kidlington wydawało się najbardziej zwyczajne, ponieważ jego motywem była chęć zysku.

Wolvercote miał powód, żeby zabić chłopaka. Ucieczka z Emmą pozbawiłaby go wiana panny młodej.

To, że Talbot w dwudzieste pierwsze urodziny przejął swoje dziedzictwo, pozbawiłoby dochodów jego opiekuna. Być może Warin oszukiwał chłopca

- może nowy dziedzic stwierdziłby, że majątek został roztrwoniony?

Albo - i tę możliwość podsunęła Emma, choć w nią nie wierzyła

- Fletcher powiadomił dwóch kamratów, że nocą przybędzie do klasztoru młodzieniec z pieniędzmi w sakiewce. Odźwierny wszak odgrywał rolę łącznika pomiędzy kochankami - zapewne za opłatą- co wskazywało, że jest przekupny.

Albo - najmniej prawdopodobne - Bloatowie odkryli plany córki i wynajęli zabójców, żeby je udaremnić.

Nikt z listy prawdopodobnych morderców nie odpowiadał pod względem charakteru człowiekowi, który zakradł się do domu gościnnego i postawił na schodach kołyskę Allie. Sprawcy brakowało brutalności, z jaką został wyeliminowany Talbot.

Nie, ten człowiek był... Wyrafinowany? Profesjonalny? Nie zabijam, dopóki nie muszę. Udzieliłem ci ostrzeżenia. Wierzę, że go posłuchasz.

To on zamordował Rozamundę i Bertę.

Spadło jeszcze więcej śniegu. Ścieżka wykopana do Tamizy znów stała się nie do przebycia.

Gyltha przynosiła posiłki z kuchni i opał ze stosu, opróżniała nocniki do latryny.

- Może weźmiemy dziecko na świeże powietrze? - zapytała.

- Nie.

Jak bardzo jesteś uległa?

Absolutnie uległa, panie. Nie krzywdź mojego dziecka.

- Nikt jej nie porwie, gdy jest z nami ten stary Arab.
- Nie.
- Mamy więc tkwić tutaj, za zaryglowanymi drzwiami?
- Tak.

Pierwszy alarm rozległ się w nocy. Dzwonił ręczny dzwonek, ludzie krzyczeli.

Gyltha wychyliła się z okna.

- Pożar - powiedziała. - Dobry Boże, miej nas w opiece!

Owinęły Allie w futra, ubrały się, zabrały cały dobytek i zeszły po schodach.

Ogień, najgorsze z zagrożeń, ściągnął wszystkich do tej części opactwa. Fitchet biegł od bramy, niosąc dwa kubły, mężczyźni wychodzili z domu gościnnego. Mansur, pan Warin...

- Co się pali? Gdzie?

Krzyki dochodziły od strony stawu.

- Stodoła?

- Raczej areszt.

- O Boże! - szepnęła Adelia. - Dakers! - Podąła dziecko Gylcie i pobiegła.

Między stawem a aresztem stała Peg, wymachując dzwonkiem tak energicznie, jakby tłukła krnąbrną krowę. Dostrzegła płomienie, idąc do udoju.

- Tam. - Wskazała dzwonkiem wąską szczelinę, którą wchodziło po wietrze do kamiennego budynku w kształcie ula, klasztornego aresztu.

Ochotnicy już tworzyli szereg, krzykiem ponaglali do pośpiechu kowala, który tłukł żelaznym prętem lód na stawie, żeby zrobić przerębel i umożliwić nabranie wody do kubłów.

Mansur podszedł do Adellii.

- Nie czuję ognia.

- Ja też nie. - W powietrzu unosił się zaledwie lekki swąd, a w szczelinie nie pokazały się płomienie.

- Tam był ogień - powiedziała Peg.

Drzwi aresztu otworzyły się i wyszedł zirytowany strażnik.

- Wracajcie do domów! - krzyknął. - Niepotrzebne te wrzaski! Słoma się zajęła, to wszystko. Zadeptałem. - Był to Cross. Zamknął drzwi za sobą i machnął włącznią w kierunku tłumu. - Precz! Zabierać się stąd.

Uspokojeni ludzie zaczęli się rozchodzić. Adelia została.

- O co chodzi? - zapytał Mansur.

- Nie wiem.

Cross zagroził jej drogę włócznią, gdy wyszła z cienia.

- Wracaj, nie ma na co się gapić. Ach, to ty?

- Nic jej nie jest?

- Tej starej wiedźmie? Trochę wrzeszczała, ale już wszystko dobrze. Ma się tu lepiej niż gdziekolwiek indziej. Ciepło. Regularna strawa. Lepiej niż tym, którzy muszą jej pilnować. Tyle powiem.

- Co spowodowało pożar? Cross spojrzął w bok.

- Pewnie przewróciła kosz z węglami.

- Chcę ją zobaczyć.

- Nie wolno. Kapitan Schwyz przykazał: „Nikomui nie wolno z nią rozmawiać. Nikomu nie wolno się zbliżać z wyjątkiem tych, którzy przy noszą żarcie. A drzwi mają być zamknięte”.

- A kto przykazał to Schwyzowi? Opat? Cross wzruszył ramionami.

- Chcę ją zobaczyć - powtórzyła Adelia.

Mansur wyjął włócznię z ręki najemnika z taką łatwością, jakby wrywał zielsko.

- Pani chce wejść do środka.

Cross niechętnie odpiął wielki klucz od pasa i wsunął go do zamka.

- Tylko zerknij. Kapitan zjawi się lada chwila, słyszał zamieszanie.

Przekłęci wieśniacy, przekłete wrzaski.

Mansur podniósł Adelię, żeby mogła spojrzeć nad ramieniem najemnika, który zagradzał drzwi, broniąc wstępu.

Żarzące się w koszu kłody słabo oświetlały wnętrze. Pod ścianami piętrzyła się gruba warstwa słomy. W jednym miejscu widniała łąta popiołu. W słomie coś się poruszyło.

Adelia przypomniała sobie Bertę.

Usłyszeli chrzęst lodu pod butami. Cross wyrwał włócznię Mansurowi.

- Idzie kapitan. Uciekajcie, na litość boską! Uciekli.

- I co? - zapytał Mandur.

- Ktoś chciał ją spalić - odparła Adelia. - Szczelina jest w tylnej ścianie, naprzeciwko wejścia. Myślę, że ktoś wrzucił przez nią płonąca szmatę. Jeśli Cross pilnował drzwi, nie widział sprawcy. Ale wie, co się stało.

- Powiedział, że kosz się przewrócił.
- Nie, jest przymocowany do podłogi. Ktoś chciał ją zabić, ale nie był to Cross.
- To zropanczona, szalona kobieta, może sama próbowała się spalić.
- Nie. - Rozamunda. Berta. Dakers. Wszystkie trzy wiedziały coś, czego nie powinny.

Gdyby nie szybka reakcja Crossa, który zdusił ogień, ostatnia z nich zostałaby uciszona na zawsze.

Nazajutrz wczesnym rankiem uzbrojeni najemnicy wdarli się do kaplicy, gdzie modliły się mniszki, i zabrali Emmę Bloat.

Adelia dowiedziała się o tym, gdy Gyltha przybiegła z kuchni, dokąd poszła po śniadanie.

- Biedactwo. To było straszne. Przeorysza próbowała ich powstrzymać, ale ją powalili. W jej własnej kaplicy. Powalili ją!

Adelia już się ubierała.

- Dokąd zabrali Emmę?

- Do wioski. Wolvercote i jego przekłeci Flamandowie. Zanieśli ją do dworu. Podobno krzyczała głośno.

- Nie sprowadzono jej z powrotem?

- Mniszki po nią poszły, ale co mogą zrobić?

Gdy Adelia dotarła do bramy, oddział ratowniczy zakonnic wracał przez most z pustymi rękami.

- Nic nie można zrobić? - zapytała Adelia, gdy ją mijaly.

Siostra Havis miała bladą twarz i skaleczenie pod okiem.

- Odpędzili nas włóczykami. Jeden z jego ludzi naigrawał się z nas.

Oświadczył, że wszystko odbędzie się zgodnie z prawem, bo mają księdza. - Pokręciła głową. - Nie wiem, co to za ksiądz.

Adelia poszła do królowej.

Eleonora, która przed chwilą usłyszała o tym, wściekała się.

- Co to za dzikusy! Dziewczyna była pod moją opieką! Czy nie mówiłam Wolvercote'owi, żeby dał jej czas?

- Mówiłaś, pani.

- Trzeba ją sprowadzić. Powiedz Schwyzowi... gdzie Schwyz? Powiedzcie mu, żeby zebrał ludzi... - Rozejrzała się. Nikt nawet nie drgnął. - Co się dzieje?

- Pani, obawiam się... hm... obawiam się, że już za późno. - Był to opat Eynsham. - Zdaje się, że Wolvercote ma we wsi klechę. Słowa zgody zostały już wypowiedziane.

- Ale nie przez tę dziewczynę, jestem pewna, nie w tych okolicznościach. Czyjej rodzice byli obecni?

- Zdaje się, że nie.

- To porwanie. - W ostrym głosie Eleonory brzmiała desperacja władcy, który traci kontrolę nad poddany. - Jak można w ten sposób zlekceważyć moje rozkazy?

Poza Adelią tylko królowa nie kryła gniewu. Inni, przynajmniej mężczyźni, okazywali zaniepokojenie, niezadowolenie, ale również lekkie rozbawienie. Losy kobiety, dopóki nie chodziło o ich własną, porwaną i siłą zaciągniętą do łoża, składały się na wspaniałą komedię.

Opat mrugnął ledwo dostrzegalnie, mówiąc:

-Obawiam się, że pan Wolvercote na sposób rzymski potraktował naszą Sabinę.

Nie można było nic zrobić. Ksiądz wyrzekł odpowiednie słowa; Emma Bloat została żoną. Mąż pozbawił ją dziewictwa, a ona -jak uważał każdy mężczyzna - dobrze się przy tym bawiła.

Adelia wyszła z pokoju, bezsilna, nie mogąc znieść towarzystwa tych ludzi.

Na krużganku jeden z młodych ludzi Eleonory, głuchy na wszystko, chodził tam i z powrotem, grając na wioli, ćwicząc nową piosenkę i przy okazji tarasując przejście.

Adelia pchnęła go mocno, aż się zatoczył. Weszła do kaplicy, rozpaczliwie potrzebując pociechy, świadoma tego, że jej nie uzyska.

Uklękła w nawie.

Matko Boża, chroń ją i pociesz.

Lodowate, przesycone zapachem kadzidła powietrze udzieliło odpowiedzi: „Jest prochem, jako i ty. Pogódź się z tym”.

Adelia uderzyła pięściami w kamienne płyty i rzuciła głośno:

-Rozamunda nie żyje. Berta nie żyje. Emma została zgwałcona.

Matko Boża, dlaczego na to pozwalasz?

Napłynęła odpowiedź:

-Wreszcie znajdzie się lekarstwo na twoje udreki, moje dziecko.

Kto jak kto, ale ty ze swoim darem uzdrawiania powinnaś to wiedzieć.

Głos był prawdziwy, choć tak ulotny - jakby na skrzydłach przyfruwiał z prezbiterium do nawy.

Matka Edyve była taka mała, że niemal nikła w stallach, w których siedziała z rękami złożonymi na lasce, z podbródkiem wspartym na rękach.

Adelia podniosła się z klęczek.

- Przeszkadzam, matko. Już odchodzę.

Głos nabral siły, gdy szła do drzwi.

- Emma miała dziewięć lat, gdy przybyła do Godstow, przynosząc radość nam wszystkim.

Adelia odwróciła się w jej stronę.

- Już nie ma radości ani dla niej, ani dla was.

- Jak królowa Eleonora przyjęła tę wiadomość? - zapytała niespodziewanie matka Edyve.

- Z gniewem. Złości się, bo Wolvercote ją zlekceważył. Matka Edyve potarła podbródkiem złożone ręce.

- Sądzę, że jesteś niesprawiedliwa.

- Wobec Eleonory? Co może zrobić z wyjątkiem ciskania gromów? Co któreś z nas może zrobić? Twoje radosne dziecko niczym świnia zostało zamknięte w kojcu do końca swoich dni i nawet królowa Anglii nie może temu zaradzić.

- Słucham pieśni, jakie jej śpiewają. Wiola i młode męskie głosy. Siedziałam tutaj i myślałam o nich.

Adelia uniosła brwi.

- O czym śpiewają? - zapytała matka Edyve. - *Cortez amor!* Co to takiego?

- Dworna miłość. Prowansalska fraza. Pochlebcze, sentymentalne prowansalskie bzdury...

- Dworna miłość, tak. Serenada do serca niezdobytej damy. Wielce ciekawe. Ziemska miłość pojmowana jako nobilitacja. Można by rzec, że ci młodzi mężczyźni pragną ideału Marii Panny.

Głupiutka staruszeko... -pomyślała.

- Ci młodzi ludzie nie pragną świętości, matko. Ta pieśń skończy się barwnym opisem sekretnej arkady. Wiedz, że tak nazywają pochwę.

- Miłość cielesna, naturalnie - przyznała opatka i zaraz dodała: -Ale opisana z mniejszą pożądlivością niż dotąd słyszałam. Sami o tym nie wiedząc, śpiewają do Boga Matki.

- Do Boga Matki?

- Bóg jest naszym ojcem i naszą matką. Jak może być inaczej? Stworzenie dwóch płci i faworyzowanie tylko jednej byłoby błędem, choć muszę wyznać, iż ojciec Egbert mnie łaje, gdy tak mówię.

Nic dziwnego, że ojciec Egbert ją łajał; dziw, że jej nie wyklął. Bóg męski i żeński?

Adelia, choć uważała, że ma otwarty umysł, była wstrząśnięta koncepcją Wszechmogącego, który w każdej znanej jej religii stworzył

słabą, grzeszną niewiastę ku rozkoszy mężczyzny - żywy piec do wypiekania nasienia. Pobożny żyd codziennie dziękował Bogu, że nie urodził się kobietą. A jednak ta mała, sędziwa mniszka wyskubywała brodę ze szczęki Boga i przydawała mu nie tylko piersi, lecz również kobiecy umysł.

Była to nadzwyczaj buntownicza filozofia. Po namyśle Adelia doszła do wniosku, że matka Edyve w istocie musi być buntowniczką, w przeciwnym razie nie zlekceważyłaby nakazów Kościoła, przyznając miejsce na cmentarzu zwłokom królewskiej kochanicy. Tylko wolnomyślicielski umysł mógł jednocześnie żywić życzliwość dla królowej, która sprowadziła do opactwa taki zamęt.

- Tak - podjął ptasi głos. - Bolejemy nad niesprawiedliwością świata, jak z pewnością boleje Bogini. Lecz czas boski nie jest naszym czasem, wiek upływa w okamgnieniu dla tego, kto jest Alfą i Omegą.

Adelia podeszła bliżej i usiadła bokiem na stopniach prezbiterium. Obejmując kolana, patrzyła na nieruchomą postać mniszki.

- Po raz pierwszy za mojej pamięci mamy królową, która podniosła głos w obronie godności niewieściej.

- Co?

- Słuchaj - poleciła opatka.

Trubadur na krążanku skończył komponować piosnkę. Teraz śpiewał, tenor słodki niczym patoka wlewał się do szarej kaplicy.

- *Las! Einssi ay de ma mort exemplaire, mais la douleur qu 'U me convendra traire, douce seroit, se un tel espoir avoie...*

Jeśli śpiewak umierał z miłości, to postanowił swe cierpienie przedstawić w radosny sposób. Adelia uśmiechnęła się mimo woli. Takie połączenie powinno mu pomóc podbić serce bogdanki.

- *...Dame, et se ja mes cuers riens entrepren, don't mes corps alt honneur n 'avancement. De vous venracom loneins que vos soie...*

Muzyka towarzysząca Eleonorze wszędzie, dokąd się udawała, dla niewyrobnego ucha Adelii była niczym więcej, jak kolejnym przejawem jej afektacji, próżności, zazdrości, płochości.

A jednak matka przełożona słuchała muzyki jak Pisma Świętego.

Dołączywszy do niej, Adelia jeszcze raz to przemyślała. Lekceważyła wymyślną śpiewaną poezję dworzan, ich zainteresowanie strojami i uperfumowane loki, ponieważ osądzała ich według standardu brutalnej męskości narzuconej przez brutalny męski świat. Rowley nie cierpiał zniewieściałych mężczyzn, równał upodobanie swojego posłańca do pachnideł z najgorszymi ekscesami cesarza Kaliguli.

Jednak opatka miała rację. Świadomie czy nie, królowa wprowadzała na wiejskie podwórze swojego królestwa wizerunek niewiasty godnej szacunku, cenionej za osobiste zalety, nie zaś traktowaną jak towar na sprzedaż. Mężczyzna musiał zasłużyć sobie na taką kobietę.

Eleonora ukazała Wolvercote'a dworzanom niejako potężnego samca zdobywającego, co dusza zapagnie, ale jako brutalną bestię, która wlecze ofiarę do swego barłogu.

- Przypuszczam, że masz rację... - przyznała Adelia z pewną niechęcią.

- *...vous quej'aim tres loyaument... Ne sans amours, emprendre nel samie...*

- Ale to tylko poza - dodała. - Czy miłość, honor, szacunek dotyczą zwykłych niewiast? Wątpię, czy ten młodzieniec w istocie robi to, o czym śpiewa. To... to hipokryzja.

- A ja wysoko cenię hipokryzję - odparła drobna mniszka. - Sławi ideał, tym samym potwierdzając jego istnienie. Uznaje istnienie Boga. Na swój sposób jest świadectwem cywilizacji. Nie znajdziesz hipokryzji pośród dzikich zwierząt. Ani w sercu lorda Wolvercote'a.

- Co wynika z dobra, jeśli się go nie czyni?

- Zastanawiałam się nad tym - rzekła matka Edyve spokojnie. - Doszłam do wniosku, że może pierwsi chrześcijanie też się zastanawiali. Być może Eleonora na swój sposób zrobiła dobry początek, kładąc cegłę w fundamencie, na którym z bożą pomocą córki naszych córek zbudują nowe, lepsze Jeruzalem.

- Nie za czasów Emmy.

- Nie.

Tylko ta stara kobieta mogła patrzeć z nadzieją na jedną cegłę położoną na pustkowiu.

Siedziały jeszcze przez chwilę, słuchając. Śpiewak zmienił melodię i temat:

- Trzymałbym cię nagą w ramionach, głowę złożyłbym na twoich piersiach...

- To też swego rodzaju miłość - rzekła matka Edyve. - Przecież Bóg uczynił nasze ciała takimi, jakie są.

Adelia uśmiechnęła się, myśląc o tym, jak było jej dobrze w łóżu z Rowleyem.

- Przekonałam się, że to prawda.

- Ja też, co mówi wszystko o mężczyznach, których kochałyśmy. - Westchnęła z zadumą. - Ale nie powtarzaj tego ojcu Egbertowi.

Opatka z trudnością stanęła na słabych nogach. Adelia podeszła, żeby pomóc jej włożyć okrycie.

- Matko - powiedziała - obawiam się, że pani Dakers nie jest bez pieczna.

Żyłasta drobna ręka machnęła niecierpliwie. Matka Edyve śpieszyła się do wyjścia.

Kuśtykając, dodała coś jeszcze, jakby: „Mam wszakże klucze od aresztu”.

Pod koniec dnia Adelia podjęła decyzję. Może pod wpływem gwałtu na Emmie Bloat. Może powodem tego był zamach na życie Dakers. Może odwagą natchnęła ją rozmowa z matką Edyve.

Cokolwiek to było, wiedziała, że nie może dłużej chować się tchórzliwie w domu dla gości, podczas gdy mordercy i porywacze grasują bezkarnie.

Zabójca Rozamundy i Berty przesłał jej wiadomość, żeby zostawiła go w spokoju.

Posłuchałaby bez słowa, gdyby wierzyła, że nie spróbuje popełnić kolejnego mordu.

Ale wrzucił płonąca szmatę przez szczelinę, żeby usmażyć żywcem tamtą kobietę.

Nie wolno na to pozwolić.

Bała się, naprawdę bardzo się bała. Będzie musiała zapewnić córce ochronę, jaką nie otoczono dotąd żadnego innego dziecka, ale wiedziała, że ani ona, ani Allie nie mogłaby żyć za cenę śmierci innych ludzi.

- Dokąd idziesz?! - zawołała za nią Gyltha.

- Zadawać pytania.

Znalazła Jacques'a w klauzurze, gdzie brał lekcję gry na wioli od jednego z trubadurów. Barwne stroje ożywiały to miejsce. Zakonnice były zbyt zastraszone, żeby zabronić wstępu dworzanom.

Pociągnęła niechętnego posłańca tam, gdzie biedni przychodzili po jałmużnę, i kazała mu zająć miejsce na kłocu do wsiadania na konie. Sama też usiadła.

- Tak, pani?

- Chcę, żebyś pomógł mi odkryć, kto stoi za śmiercią Talbota z Kid-lington.

Jacques nie krył zaskoczenia.

- Nie wiem, jak miałbym to zrobić, pani, ale jestem przeciwny temu konceptowi.

Zignorowała jego uwagę i wymieniła listę podejrzanych. Wolvercote, Warin, odźwierny i Bloatowie.

Potańczał podbródek. Był teraz schludnie ogolony, jak wszyscy młodzi mężczyźni na dworze Eleonory.

- Mogę powiedzieć jedno - oznajmił. - Prawnik Warin zrobił wielkie przestawienie, gdy został przedstawiony lordowi Wolvercote'owi w kościele. „To zaszczyt poznać waszą lordowską mość. Nie spotkaliśmy się, ale wiadomo mi, jak...” Ze trzy czy cztery razy powtórzył, że widzą się po raz pierwszy.

- Jak Woh/ercote potraktował pana Warina?

- Jak każdego innego, jak zadrę w tyłku. - Jacques skrzywił się, zaniepokojony, że mógł ją urazić. - Wybacz, pani.

- Ale jesteś pewien, że Warin twierdził, iż wcześniej się nie spotkali, prawda?

- Tak, jestem pewny.

Adelia drżała z zimna. Strażnik wsunął się pod jej spódnicę, szukając ciepła. Gargulec z domu opatki gapił się na nią, rozdziawiając szczękę porośniętą soplami.

- Emma miała dobre zdanie o panu Warinie, co znaczy, że Talbot także, a to z kolei oznacza, iż oboje darzyli go zaufaniem...

- I zwierzyli mu się z zamiaru ucieczki? - Jacques okazał zainteresowanie.

- Znał ich plany. Wiem to od Emmy. Talbot powiedział Warinowi, że wybrał swoje urodziny na dzień ucieczki, żeby objąć dziedzictwo...

- Które pan Warin bez jego wiedzy roztrwonił...

Adelia pokiwała głową.

- Które pan Warin w istocie mógł roztrwonąć, co tym samym wymusiło usunięcie kuzyna...

- ...i przyszło mu na myśl, że ma sprzymierzeńca w osobie lorda Wolvercote'a. Stary Wilk straciłby pannę młodą i posag, gdyby ucieczka się powiodła.

- Tak. Dlatego Warin skontaktował się z lordem Wolvercote'em i zasugerował, że Talbot powinien umrzeć.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, pogrążeni w myślach.

- Dlaczego zabójcy zależało na szybkim zidentyfikowaniu martwego Talbota? - zastanowiła się Adelia.

- To proste, pani. Warin z pewnością potrzebuje pieniędzy, wygląda na człowieka, który lubi zbytkowne życie. Jeśli jest dziedzicem Talbota, udowodnienie koronerowi, że majątek anonimowego nieboszczyka

należy do niego, zabrałoby sporo czasu. Sądy pracują powoli. Wierzycciele zjawiliby się na długo przed objęciem spadku.

- A Wolvercote'owi byłoby na rękę, gdyby Emma wiedziała, że jej ukochany nie żyje. Tak, wszystko pasuje. To Wolvercote wynajął zabójców. Warin pewnie nie znał odpowiednich ludzi.

- Lord pozbył się łotrów zaraz po tym, co zrobili. Tak, pani, to możliwe. Rozmowa ta potwierdziła domysły Adelii. Dwóch ludzi zmówiło się, żeby przerwać życie zakochanego młodzieńca. Omówili niegodziwy czyn w kantorze prawnika jak interes, godzinami rozważali go przy dzbanie wina we dworze; ludzie dostali rozkazy. Adelia była bezradna. Zło triumfowało.

- Ale jak to udowodnić? - zapytał Jacques.

- Spiskowcy nie ufają jeden drugiemu. Myślę, że mogę dowieść ich winy, ale będę potrzebowała twojej pomocy.

Pozwoliła mu odejść, a potem pośpieszyła do domu dla gości, wciąż pełna lęku o Allie.

- Zdrowa jak ryba - zapewniła Gyltha. - Spójrz tylko na nią.

Ale Adelia wiedziała, że Gyltha też się boi, bo kazała Mansurowi wprowadzić się do nich na dzień i na noc.

- Nie obchodzi mnie, co o tym inni pomyślą - powiedziała. - Rób, co musisz. Mansur czuwa.

Podobnie jak zabójca.

Adelia musiała zobaczyć się z ojcem Patonem.

Tym razem zrobiła to ostrożnie, czekając do nocy, przemykając z cienia w cień, aż wreszcie znalazła się w wąskiej uliczce prowadzącej do schodów ogrzewanego pokoju.

Siostra Lancelina poszła na nieszpory i mały ksiądz siedział sam wśród regałów. W blasku świecy mozolił się nad kartularzem i nie był ani trochę rad, że ktoś mu przeszkadza.

Adelia opowiedziała mu wszystko, poczynając od znalezienia ciała Talbota na moście - ksiądz nie widział, co się działo, gdyż siedział w ciepłe pod budą wozu - przez wydarzenia w Wormhold do powrotu do Godstow i śmierci Berty. Wyjawiała swoje podejrzenia dotyczące sprawców, a także wspomniała o grożeniu Allie i o zamachu na życie pani Dakers.

Ojciec Paton nie chciał słuchać, wiercił się i zerkał tęsknie na leżące przed nim dokumenty. Opowieść tej niewiasty cuchnęła grzechami, on zaś wołał rozpatrywać ludzkość w formie abstrakcyjnej.

- Jesteś pewna? - zapytał. - Na pewno nie. Jak śmiesz mówić takie rzeczy?

Adelia nie ustępowała, przytaczając kolejne fakty. Nie lubiła go zbyt, a on tym bardziej jej nie lubił, ale wybrała go, bo był odizolowany od tego, co się wokół działo.

- Musisz zachować to wszystko w sekrecie - przykazała. - Nie mów nic nikomu z wyjątkiem króla. - Ten bezkrwisty człowieczek musiał w przypadku jej śmierci przekazać informacje Henrykowi Plantagenetowi. - Kiedy król się zjawi, będzie wiedział, co zrobić.

- Ale ja nie wiem. Powiedziała mu, czego ma szukać.

- To zuchwalstwo. - Był wstrząśnięty.

Adelia nie miała innej broni w swoim arsenale. Spróbowała dodać mu otuchy, choć sama jej nie czuła.

- Król przybędzie - powiedziała z naciskiem - i wygra. - To była jedyna rzecz pewna. Eleonora rzuciła wyzwanie człowiekowi, z którym nie mogła wygrać.

Ojciec Paton zgodził się z nią.

- Tak, tak, królowa jest tylko niewiastą, niezdolną walczyć z powodem w żadnej sprawie. Spotkają kara boska za bunt przeciwko swemu prawowitemu panu. - Zwrócił się do Adeli: - Ty, pani, też jesteś tylko niewiastą, grzeszną, zuchwałą, i nie powinnaś kwestionować decyzji lepszych od siebie.

Pohamowała się, żeby nie wybuchnąć.

- Gdy król przybędzie - powiedziała - będzie chciał wiedzieć, kto zamordował Rozamundę. Człowieka, który poda mu imię sprawcy, czeka nagroda.

Patrzyła, jak ksiądz zaciska usta, zastanawiając się, czy urząd opata, może nawet biskupstwo, warte są takiego ryzyka.

- Przypuszczam, że powinienem służyć Bogu, który jest całą prawdą - rzekł powoli.

- Powinieneś - odparła i zostawiła go samego z tymi myślami.

A potem nadeszło Boże Narodzenie.

W kościele na mszy panował taki tłok, że zrobiło się gorąco, a ludzkie zapachy tłumiły świeżą, ostrą woń girland z ostrokrzewu i bluszczu.

Adelia zlewała się potem w bobrowym okryciu. Nie zdjęła go, ponieważ pod spodem miała suknię, którą szwaczki Eleonory ukończyły

w porę. Wiedziała, że w nowym stroju z dodatkami, które dała jej królowa, wygląda na tyle ładnie, by przyciągać powszechną uwagę.

- Pokaż się - poleciła Gyltha - Wyglądasz całkiem nieźle. - W jej ustach była to najwyższa pochwała.

Ale instynkt schodzenia zabójcy z oczu wciąż był silny. Adelia nawet nie wiedziała, czy zdejmie pelerynę na uczcie.

Zakonnice na powrót zajęły miejsca w stallach, tworząc czarno-białe ramy dla zdobionego haftami, zalanego blaskiem świec ołtarza, a także bogatych szat opata i dwóch księży, którzy przesuwali się w czasie liturgii niczym figury szachowe.

Niezawodna magia ceremoniału.

W kolejce do komunii stali ludzie, dla których zabijanie było chlebem powszednim. Należeli do wrogich frakcji, reprezentowali wszelkie ludzkie słabości i wady. Młynarz klęczał obok jednego z najemników, którzy go pobili. Adelia przyjęła hostię od opata Eyshama, którego ręka przez chwilę spoczęła w geście błogosławieństwa na główce Allie. Najemnik Wolvercote'a podał kielich jednemu z ludzi Schwyza, po czym obaj wrócili na miejsca, przeżuując opłatki.

Zapadła powszechna, zapierająca dech w piersi cisza, gdy Maria rodziła w pobliskiej stajence. Rozbrzmiewał coraz bliższy tupot stóp biegnących pasterzy. Aniołowie śpiewali nad rozświetlonym przez gwiazdy, ośnieżonym dachem kościoła.

Kiedy opat wznosił ręce i oznajmił: „Bóg się rodzi”, a potem wezwał do odejścia w pokoju, jego słowa utonęły w głośnym krzyku gratulacji i wiwatów; kilka kobiet radziło niewidzialnej, lecz wszechobecnej Maryi, żeby „nakarmiła piersią i ciepło owinęła dziecko”.

Betlejem było tutaj, teraz.

Gdy Adelia weszła do stodoły, Jacques przepchnął się przez tłum i dotknął jej ramienia.

- Królowa pozdrawia cię, pani, i będzie zawiedziona, jeśli nie włożyłaś darów, jakie ci dała.

Adelia niechętnie zdjęła pelerynę z kapturem, odsłaniając suknię, i poczuła się jak naga. Walt, który stał obok niej, wytrzeszczył oczy.

- Nigdy bym nie odgadł, kto to taki - powiedział.

Niewątpliwie miał być to komplement. Adelia czuła na sobie wiele

zaskoczonych spojrzeń - w większości przyjaznych, bo Eleonora, okazując łaskę, oczyściła ją z piętna czarów.

Choć Eleonora i jej dwór zaplanowali własne rozrywki, uczta miała z gruntu angielski charakter.

Subtelne akwitańskie pieśni utonęły w ryku hulanki, gdy płonąca bożonarodzeniowa kłoda, przyciągnięta przez wołu, została umieszczona pośrodku wielkiego kwadratu, który tworzyły stoły. Minstrel na galerii

- w istocie stryszku na siano - próbował śpiewać dla gości, lecz w końcu się poddał i zszedł ucztować wraz z resztą. Zaproszeni mieszkańcy klasztoru i okoliczni wieśniacy robili zbyt wiele hałasu i nikt go nie słuchał.

Jedzono głównie mięso. Mięso, mięso, jeszcze raz mięso. Lodownia dała, co miała najlepszego. Kucharz Eleonory dosłownie stawał na głowie, żeby się popisać swoją sztuką kulinarną, ale jego sałatki i frumenty, czyli potrawy z pszenicy gotowanej w mleku, jego pięknie malowane zamki z ciasta i delikatne galaretki ginęły wśród słoniny, sosów i pieczeni.

Klasztorni słudzy od dawna zaspokajali wygórowane żądania gości, a w adwent Bożego Narodzenia pracowali jeszcze ciężiej. Ostatnich parę dni spędzili w palącym żarze kuchennych ogni, a nadto musieli ozdobić stodołę w taki sposób, żeby przypominała leśną polanę. Z tego względu nie mieli zamiaru opuścić uczty, nad którą tak się napocili. Wszystko, co przyszykowali - przystawki, słodczyce, sosy, pieczenie, chleby i pudding

- podali na stoły, a sami stłoczyli się na ławach opodal drzwi, by cieszyć się jadłem.

Zewsząd rozlegały się wołania: „trochę tego nadzienia dla mojej pani”, „plaster gęsiny, jeśli łaska”, „tłuczonabrukiew, poproszę”. Wspólny posiłek połączył ludzi. Psy czekały na resztki, które spadały ze stołu.

Strażnik trzymał się blisko kolan Adelii, gdzie był karmiony po królewsku -jego pani jadła niewiele, a nie chcąc sprawić przykrości Mansu-rowi, który siedział obok i nakładał jej na talerz, po kryjomu zrzucała kawałki mięsa psu.

Adelia widziała, że Eleonora jest zadowolona. Włożyła sporządzoną przez żonę kowala ogromną koronę z bluszczu i wawrzynu, podkreślając coraz wyraźniejszy poğański charakter tej nocy, upodobniając się do bogini ziemi.

Poza królewskim kucharzem jedyną osobą, która nie uczestniczyła w powszechnej radości, była Emma, nieruchomo siedząca obok ignorującego ją męża. Wpatrywała się w pustkę.

Adelia zaczęła się zastanawiać, jak państwo Bloatowie radzą sobie z tą sytuacją. Czy potępiali wprowadzenie córki?

Nie, byli zdecydowani przymknąć oczy na wyrządzone zło. Siedzieli po wewnętrznej stronie stołu naprzeciwko porywacza i próbowali wciągnąć go w rozmowę, choć on wyniośle odtrącał ich zabiegi.

Pan Bloat nawet wstał, gotów wygłosić toast na cześć młodej pary, ale w tej samej chwili Emma jak gdyby nagle wróciła do życia i spojrzała na niego z taką goryczą, że słowa zamarły mu na ustach i usiadł.

Mając po lewej stronie Mansura i Allie w nosidełku na biodrze - przynajmniej stąd jej nie porwą - Adelia skierowała uwagę na mężczyznę siedzącego po prawej. Dołożyła wszelkich starań, żeby znaleźć się obok niego. Pan Warin w pewnym momencie spytał ją o nazwisko i nie zareagował nieprzychylnie, co świadczyło, że nie znał klasztornych plotek.

Miał nerwowy nawyk oblizywania ust i brakowało mu gładkiej wyniosłości typowej dla większości prawników. Był szarym człowieczkiem, mówiącym z akcentem z Gloucestershire. Pewnie z trudem zdobył prawnicze wykształcenie i ograniczał się do *consilio et awcilio**, doradztwa w sprawach testamentów, majątków, sporów o granice, kontraktów służby.

Kiedy wyraziła współczucie z powodu śmierci młodego kuzyna, znów oblizła usta i szczerę łzy zasnuły jego krótkowzroczne oczy.

- Jak bardzo zazdrozczę ci tej ślicznej dziewczynki, pani. Ogromnie lubię dzieci - powiedział.

Adelia doskonale jednak pamiętała, że ktoś przekazał informacje, które sprawiły, że zabójcy czekali na moście na Talbota z Kidlington, i nikt nie był bardziej podejrzany niż ten człowiek, który powiedział teraz, nawiązując do tego wydarzenia:

- Byliśmy sobie bliżsi niż kuzyni. Po śmierci rodziców został moim młodszym bratem. Troszczyłem się o niego dosłownie pod każdym względem.

Ale jego ubranie, choć skromne, było uszyte z materiału nadspodziewanie dobrej jakości, a wielki sygnet na palcu był ze złota. Panu Warino-wi powodziło się całkiem nieźle. Nie przepadał za miodem i piwem, ale chętnie wyciągał rękę po dzban z winem.

Adelia przypuściła bezpośredni atak.

- Twój kuzyn, panie, nie zwierzył ci się z zamiaru ucieczki z panną Bloat? - zapytała.

- Oczywiście, że nie. - Głos Warina nagle stał się ostry. - Szalony pomysł. Odwiódłbym go od tego. Lord Wolvercote jest powszechnie

* *consilio et awcilio* (łac.) - radą i pomocą.

szanowanym człowiekiem, nie chciałbym, żeby spotkała go taka kontuzja.

Kłamał. Emma powiedziała, że został dopuszczony do spisku.

- Znałeś zatem Wolvercote'a?

- Nie. - Warin obracał język w ustach. - Spotkaliśmy się pierwszy raz w kościele tamtej nocy.

Znów kłamał. Miała winnego.

- Zastanawiałam się, czy znałeś zamiary kuzyna, bo ludzie powiadają, że przygnałeś tutaj na złamanie karku zaraz po...

- Kto tak mówi?

- ...przybyłeś do opactwa niedługo po...

- To oszczerstwo. Martwiłem się, że kuzyn podróżuje w śnieżycy. Kim są ci oszczercy? Kim ty jesteś? Nie muszę tu siedzieć... - Warin zabrał kubek z winem i odszedł, żeby znaleźć miejsce dalej przy stole.

Mansur obrócił głowę, patrząc za rozsierdzonym prawnikiem.

- Zabił chłopaka? - zapytał po arabsku.

- Powiedział Wolvercote'owi, więc ten mógł go zabić.

- Zatem jest winny.

- Jakby własnoręcznie wystrzelił strzałę. Mógł powiedzieć, że wiedział o ucieczce i przybył do klasztoru, żeby do niej nie dopuścić, w ten sposób wyjaśniając, dlaczego zjawił się tak szybko na scenie wydarzeń. Ale nie powiedział, choć dałam mu okazję, ponieważ wtedy ludzie pomyśleliby, że siedzi w kieszeni u Wolvercote'a. Dlatego twierdzi, że wcześniej się nie znali. Nie obciążyłyby się, przyznając do znajomości, ale razem uknuli zbrodnię, rozumiesz, i to wypaczyło mu osąd. Poczucie winy sprawia, że odcina się od Wolvercote'a, chociaż nie musi.

- Zdradził własnego krewniaka, oby Allah go pokarał. Możemy to udowodnić?

- Spróbujemy. - Adelia wyjęła Allie z nosidełka i przytuliła policzek do porośniętej puchem główki córki. O ile bardziej przygnębiająca była banalna zwyczajność takiego mordercy jak mały prawnik Warin niż brutalność Wolvercote'a.

Nagle Cross trącił ją w bok, zajmując miejsce zwolnione przez Warina, przynosząc z sobą chłód zimowej nocy.

- Przesuń się. - Rzucił się na jedzenie jak człowiek konający z głodu.

- Co robiłeś? - zapytała.

- A jak myślisz? Chodziłem tam i z powrotem przed tym przeklętym aresztem. Strata czasu, bodaj to szlag. Ona zniknęła.

- Kto zniknął?
- Diablica. Sam opat mi powiedział, że była demonem.
- Dakers? Dakers zniknęła? - Adelia zerwała się na równe nogi. - Dobry Boże,

zabrali ją.

Cross patrzył na nią, a sos ściekał mu z ust.

- Nikt jej nie zabrał. Zniknęła. Tak robią demony, znikają. Adelia usiadła.
- Opowiedz mi wszystko szczegółowo.

Cross nie mógł jej powiedzieć, jak to się stało ani kiedy, bo tego nie wiedział; nikt nie wiedział. Zniknięcie odkryto dopiero przed chwilą, gdy kuchenny sługa przyniósł tacę ze świątecznym jedzeniem dla więźniarki i Cross otworzył kluczem drzwi aresztu.

- Kluczem na kółku, rozumiesz - rzekł. - Każdy strażnik przekazuje go zmiennikowi, gdy schodzi z warty. Oswald dał mi klucz, jak przy szedłem na służbę, a sam dostał go od Walta, i obaj przysięgają, że nie otwierali tych przeklętych drzwi. Ja też ich nie otwierałem, otworzyłem dopiero wtedy...

Nastąpiła przerwa, podczas której napychał usta wołowiną.

- I? - ponagliła go Adelia niecierpliwie.
- Wsunąłem klucz do zamka, przekręciłem, otworzyłem drzwi, chłopak wszedł z koszem, a ona... już jej nie było. Areszt był pusty jak moja sakiewka.
- Ktoś musiał ją wypuścić.

- Nie, za skarby świata. Mówię ci, nikt nie otwierał tych przeklętych drzwi. Ona zniknęła. Tak robią demony. Przemieniła się w kłęb dymu i wypłynęła przez szczelinę.

Cross powiedział jej, że wezwał Schwyza do aresztu. Ruchem głowy wskazał puste miejsce przy stole, gdzie jeszcze niedawno siedział dowódca najemników. Siostra Havis też została wezwana.

- Nie znajdą jej, bo powróciła do piekła, skąd przyszła. Czego inne go spodziewać się po demonie? O, patrz, idzie Schwyz.

Pochmurny Schwyz wszedł do stodoły i zbliżył się do stołu, gdzie opat Eynsham siedział przy królowej. Wszyscy byli zbyt zajęci świętowaniem i jedzeniem, żeby zwrócić na niego uwagę. Adelia zobaczyła, że Eleonora uniosła brwi, a opat zerwał się z miejsca. Zdawało jej się, że królowa coś krzyczy, choć zgiełk panujący w stodole zagłuszał jej słowa.

- Opat żąda przeszukania klasztoru - rzekł Cross. - Wykluczone.

Nikt nie odejdzie od bożonarodzeniowej wyżerki, żeby szukać demona, na domiar po ciemku. Ja na pewno tego nie zrobię.

Opat mówił coś z ożywieniem do lorda Wolvercote'a, a ten zachowywał się tak, jakby ta sprawa wcale go nie obchodziła. Po chwili Eynsham wdał się w rozmowę z matką przełożoną, która zareagowała w podobny sposób.

Matka Edyve rozłożyła ręce, a jej obojętne oczy na chwilę zatrzymały się na Adelii siedzącej w drugim końcu stodoły.

„Przecież mam klucze od aresztu”, Adelia przypomniała sobie jej słowa.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Cross.

- Z człowieka, który wpadł we własne sidła.

Niezależnie od tego, w jaki sposób opatka pomogła w ucieczce - być może na jej polecenie któryś ze strażników przytknął oko - opat Eynsham nie mógł nikogo oskarżyć ani ukarać. To on nazwał demonem gospodynię Rozamundy. Nie mógł teraz narzekać, że postąpiła jak demony.

Wciąż uśmiechnięta Adelia pochyliła się nad stołem, żeby powiedzieć Gylcie, która siedziała po prawej ręce Araba, co się wydarzyło.

- Życzę powodzenia starej wronie. - Gyltha pociągnęła z kubka. Od jakiegoś czasu nie oszczędzała się w picciu.

Mansur odezwał się po arabsku:

- Ludzie z klasztoru odkopali ścieżkę do rzeki. Na rozkaz matki przełożonej. Słyszałem, jak Fitchet mówił, że to dla królowej, by mogła pojeździć na łyżwach po lodzie. Teraz myślę, że umożliwili ucieczkę słudze Rozamundy.

- Puścili ją? W taki mróz? Myślałam, że ukryli ją gdzieś na terenie klasztoru.

Mansur pokręcił głową.

- Zbyt dużo tu ludzi, zostałyby znalezione. Przeżyje, jeśli taka jest wola Allacha. Do Oksfordu niedaleka droga.

- Nie poszła do Oksfordu.

Było tylko jedno miejsce, do którego mogła się udać pani Dakers.

Do końca posiłku i później, gdy odstawiono stoły pod ściany, żeby zrobić miejsce do tańca, Adelia myślała o kobiecie, która szła wzdłuż rzeki na północ. Czy lód utrzyma jej ciężar? Czy mróz jej nie zabije? Czy opat, który wiedział, dokąd zmierzają gospodyni, wysłał za nią ludzi z psami?

Mansur, patrząc na nią, powiedział:

- Allah chroni obłąkanych. Zdecyduje, czy ta niewiasta ma żyć, czy nie.

Ponieważ jednak Dakers była obłąkana, nie miała przyjaciół, a wiedziała zbyt wiele. Adelia czuła na sobie ciężar odpowiedzialności.

Boże, jakkolwiek się zwiesz, miej ją w opiece.

Jednakże musiała zająć się tym, co najpilniejsze: Allie, nakarmiona i wyspana, znowu się zbudziła. Należało ją umyć, zmienić pieluchy i zabawić.

Trubadurzy zgromadzili się na stryszku i grali z siłą i werwą, które porywały do tańca. W jednym końcu stodoły królowa i jej dworzanie płąsali z wyszukaną elegancją, w drugim zaś Anglicy skakali w rozkołysanych, hałaśliwych kręgach.

Jakiś starszy człowiek żonglował jabłkami ze zręcznością, która zadawała kłam jego wiekowi, a obok kował wbrew radom żony bawił ga-wiedź połykaniem miecza.

Pod stryszkiem od jakiegoś czasu panowało zamieszanie. W końcu wyłoniła się stamtąd gromada przebierańców, którzy odegrali improwizowaną wersję potopu Noego z taką werwą, że tancerze przystanęli, zmieniając się w widzów.

Adelia siedziała na polepie, trzymając na kolanach gaworzącą, machającą rączkami Allie, i dobrze się bawiła. Wątpliwe, czy Noe rozpoznałby gatunki zwierząt, które wchodziły po wyimaginowanym trapie do równie wyimaginowanej arki. Jedyne prawdziwe zwierzę, klasztorny osioł, prześcignęło ludzi, paskudząc na nogę jedno-rozca, którego odgrywał Fitchet. To przyprawiło Gylthę o taki atak śmiechu, że Mansur musiał ją odciągnąć i trzymać, dopóki nie ochłonęła.

Dworzanie Eleonory również nie mogli się powstrzymać i nie szczydzili radosnych okrzyków. Dołączyli do wspólnej zabawy, zapominając o wyrafinowaniu, przemieniając się w klaunów w dziwacznych perukach i spódnicach, z twarzami pomalowanymi mąką i marzną.

Dlaczego niektórzy mężczyźni lubią przebierać się za kobiety? - zastanawiała się Adelia, gdy wygwizdywano odgrywaną przez Montignar-da żonę Noego, która okładała męża pięściami, karząc go za pijaństwo.

Czy to Jacques krył się pod brodawkami, słomianymi włosami i bujnymi piersiami żony Jafeta? Czy to nie opat Eynsham z czarną twarzą wirował tak szybko, że nogi widoczne pod halką rozmywały się w smugę?

Allie przysnęła, wciąż trzymając kość ze smakowitym szpikiem. Pora iść spać, zanim szaleńcza wesołość nocy przemieni się w burdę, co było prawie pewne. Ludzie Schwyza i Wolvercote'a utworzyli pijane grupy i mierzyli się mętym wzrokiem w sposób, który jasno sugerował, że duch Bożego Narodzenia zaraz stąd uleci.

Wolvercote już odszedł, zabierając z sobą Emmę. Królowa przed odejściem podziękowała matce przełożonej, a matka Edyve dała znak swoim mniszkom. Pan Warin zniknął. Kowala, który trzymał się za gardło, wyprowadziła żona.

Adelia rozejrzała się, szukając Gylthy i Mansura. Arab - przypuszczalnie jedyna trzeźwa osoba w stodole z wyjątkiem jej samej - został podstępem nakłoniony do wykonania tańca miecza ku uciesze kilku klasztornych sług, a pijana Gyltha wirowała wokół niego. Nigdy nie mogła się oprzeć darmowym trunkom.

Ziewając, Adelia podniosła Allie i zabrała ją w ką, gdzie zostawili kołyskę, włożyła do niej dziecko, odebrała jej kość i dała ją Strażnikowi. Okryła córkę i naciągnęła na kołyskę skórzany kaptur. Usiadła przy niej, by czekać.

Zasnęła i przyśniło jej się, że niedźwiedź podniósł ją z ziemi, przycisnął jej twarz do swojego futra i zaczął wlec do lasu. Usłyszała warczenie, gdy Strażnik zaatakował niedźwiedzia, a potem skowyt, gdy został kopnięty.

Szamocząc się, niemal się dusząc, Adelia się zbudziła. Opat Eynsham trzymał ją w ramionach i włókł w najciemniejszy ką pod stryszkciem. Napierając wielkim ciałem, uderzył nią tak mocno o ścianę, że kawałki drewna i tynku posypały się na nich oboje.

Był bardzo pijany.

- Jesteś jego szpiegiem, suko - szeptał. - Biskupa. Znam cię... udajesz cnotliwą, dziewczko, wiem... do czego zmierzasz.

Spowiły ją opary brandy, gdy przyczerniona twarz zawisała nad jej twarzą.

Szarpnęła głową i z całej siły uderzyła go kolanem, ale śmieszny fartuch, jaki nosił, zapewnił mu ochronę i choć napastnik stęknął, nie przestał jej przyciskać.

Szeptał dalej:

- ...myślisz, że jesteś sprytna... widać to w twoich oczach, ale jesteś śmierdzącą ladacznicą. Szpiegiem. Jestem lepszy od biskupa St. Albans... lepszy... - Jego ręka znalazła jej pierś i ścisnęła. - Popatrz na mnie, mogę to zrobić... Kochaj mnie, suko, kochaj mnie... - Lizał ją po twarzy.

Ktoś się pojawił, próbując ściągnąć z niej wielki, syczący ciężar.

- Zostaw ją, Rob, ona nie jest tego warta. - Był to głos Schwyza.

- Jest, jest. Patrzy na mnie jak na gówno... Jakby wiedziała. Rozległ się głuchy łoskot i ciężkie ciało przestało na nią napierać.

Uwolniona Adelia osunęła się po ścianie, gwałtownie chwytając oddech.

Opat leżał na ziemi, gdzie rzucił go Mansur. Płakał. Obok niego klęczał Schwyz, pocieszając go:

- To tylko dziewczka, Robercie, nie potrzeba ci tego.

Mansur stał nad nimi, ssąc knykcie, niewzruszony jak zawsze. Odwrócił się i wyciągnął rękę do Adelii. Ujęła ją i wstała.

Razem wrócili do kołyski. Adelia przystanęła w drodze, żeby wytrzeć twarz, wygładzić ubranie. Czuła się zbrukana.

Za nimi skarga opata zagłuszyła uspokajające mamrotanie Schwyza:

- Dlaczego St. Albans? Dlaczego nie ja?

Z Mansurem niosącym kołyskę zabrali zataczającą się, śpiewającą Gylthę i wrócili do domu gościnnego.

Adelia była zbyt wstrząśnięta, żeby odczuwać złość, chociaż wiedziała, że w pewnej chwili wybuchnie gniewem. Miała do siebie więcej szacunku niż te kobiety, które uznają gwałt za rzecz naturalną. Choć drżała cała, próbowała zrozumieć, co się stało.

- Myślałam, że jest innym rodzajem wroga.

- Bodaj Allach go pokarał, ale sędzę, że nie zrobiłby ci krzywdy - powiedział Mansur.

- O czym ty mówisz? Chciał mnie zgwałcić.

- Sędzę, że jest niezdolny do tego. - On sam, wykastrowany, niezdolny płodzić dzieci, mógł zaspokoić kobietę. Dlatego z pewnym politowaniem traktował tych, którzy byli do tego niezdolni.

- Dlaczego tak sądzisz. - Szlochając, Adelia pochyliła się i nabrała śniegu, żeby przetrzeć twarz. - Dlaczego jesteś taki wyrozumiały?

- Chce, ale nie może. Gada, ale nie robi.

Co to było? Poczucie niższości? Rowley powiedział o nim: „Łajdak. Bystry. Ma poparcie papieża”.

I ten papieski przyjaciel musiał, kiedy się upił, błagać pogardzaną kobietę o względy?

Czy dlatego, że ona też nim gardziła?

Słabość opata czyniła go tym bardziej obmierzłym.

- Nienawidzę go - powiedziała. - Zniszczę go. Arab schylił głowę.

- Oby taka była wola Allacha.

Złość oczyszczała jej umysł. Gdy Mansur przekonał Gylthę, żeby przestała go całować i poszła spać, Adelia umyła się w misce lodowatej wody z dzbana i poczuła się lepiej.

- Zniszczę go - powtórzyła.

Na chwilę, bo dłużej nie wytrzymałaby zimna, otworzyła okiennicę, żeby popatrzeć na cienie rzucane przez dachy opactwa na śnieg za murami.

Księżycowa poświata zalewała biel przeciętą przez ciemniejszą bruzdę, gdzie przekopano nowy szlak do rzeki. Opactwo i Tamiza były teraz połączone. Wreszcie była droga ucieczki z tego kipiącego ludzkiego kotła, gdzie złe i dobre duchy prowadziły niekończącą się bitwę.

Z drogi ucieczki skorzystała już przynajmniej jedna osoba. Adelia wiedziała, że gdzieś na tym pustkowiu Dakers ryzykowała własne życie, żeby dotrzeć do swej ukochanej, chociaż martwej pani.

Rozdział 12

Gdy nazajutrz wczesnym rankiem Adelia otworzyła okiennicę, żeby powitać dzień Świętego Stefana, stwierdziła, że widok za oknem domu gościnnego jakoś się odmienił. Tak, oczywiście, na brzeg rzeki wiodła nowa ścieżka - wyłobiono w niej prymitywne stopnie - ale było coś więcej. Poczucie izolacji znikło, a jego miejsce zajęło oczekiwanie.

Trudno było powiedzieć, dlaczego. Słońce świeciło jak zwykle. Gdzie spojrzeć, śnieg był gładki, jakby nie powstała na nim ludzka stopa.

A jednak biały las za rzeką wydawał się jakby nie taki martwy.

- Coś tam jest. Mansur podszedł do okna.
- Niczego nie widzę.
- Zdaje się, że widziałam coś w lesie. Stali i patrzyli.
- Pewnie wilki - powiedziała Gyltha, która zaszyła się w głębi pokoju, unikając światła. - Słyszałam je zeszłej nocy, strasznie blisko.
- Czy wtedy, gdy wymiotowałaś do nocnika? - zapytała Adelia z zainteresowaniem.

Gyltha zignorowała pytanie.

- Tuż pod murami. Pewnie znalazły konia biednego Talbota, zostawionego w lesie.

Adelia ich nie słyszała - w jej snach grasowały niedźwiedzie. Ale Gyltha prawdopodobnie miała rację, w lesie musiały być wilki, choć mniej groźne niż te w obrębie murów.

A jednak iszka nadziei, że Rowley przeżył i sprowadził tutaj króla wraz z jego ludźmi, nie zgasła.

- Mogłaby się tam skrywać cała armia - powiedziała. - Nie zaatakują, nie znając siły obrońców, żeby krzywda nie spotkała sióstr. Henryk będzie czekać.

- Na co? - zapytał Mansur.

- Właśnie, na co? - Gyltha włączała się do rozmowy, żeby pokazać, że wczorajsze picie wcale jej nie zaszkodziło. - Nie potrzeba armii do zajęcia opactwa, mogłabym to zrobić z pomocą Allie. Ale niby jak król miałby się tutaj dostać? Nie, Stary Wilk będzie bezpieczny, dopóki nie stopnieją śniegi. Nawet nie wystawił straży.

- Właśnie wystawia - powiedział Mansur.

Adelia wychyliła się z okna. Gyltha dołączyła do niej. Wprost pod nimi człowiek Wolvercote'a patrolował przejście wzdłuż beznadziejnie słabych umocnień klasztornych, jego długi cień falował rytmicznie na blankach i znikał w każdej strzelnicy. W jednej ręce trzymał pikę, a w drugiej kołatkę.

- Przed czym nas pilnuje? - zapytała Gyltha. - Przed srokami? Tam nie ma żadnej armii. Nikt nie walczy w zimie.

- Henryk walczy - odparowała Adelia. Rowley mówił, że młody Plantagenet, walcząc o prawo matki do tronu Anglii przeciwko swojemu wujowi Stefanowi, przebył Kanał z niewielką armią w czasie strasznej grudniowej wichury, zaskoczył wroga w czasie snu zimowego i pokonał.

Do tej pory Wolvercote liczył, że angielska zima unieruchomi przeciwnika równie skutecznie, jak jego. Ale czy dlatego że wąska ścieżka przez śnieg połączyła klasztor ze światem, czy dlatego że rzeczywiście dzisiaj, w dniu Świętego Stefana, coś wisiało w powietrzu, wystawił straże...

- Boi się - stwierdziła Adelia. - Myśli, że Henryk nadciąga. To możliwe, Mansurze, król mógł pchnąć ludzi na łyżwach w górę rzeki.

- Kolejna myśl przyszła jej do głowy. - Wolvercote chyba mógłby w ten sam sposób wysłać swoich ludzi do Oksfordu i dołączyć do pozostałych buntowników. Dlaczego tego nie zrobił?

- Schwyz pomyślał o tym. Jest lepszym taktykiem - odparł Mansur.

- Zapytał Fitcheta, czy można tego dokonać. Ale dalej Tamiza jest głębsza i ma więcej dopływów, lód jest cieńszy, więc lepiej nie ryzykować.

Nikt tamtędy nie przyjdzie. - Mansur rozłożył ręce, jakby przepraszając Adelię, że sprawił jej zawód. - Miejscowi wiedzą swoje. Nikt nie ruszy do czasu, dopóki nie stopnieją śniegi.

- Zamknijcie te przeklęte okiennice - warknęła Gyltha. - Chcecie, żeby dziecko zamarzło? - A potem łagodnym tonem dodała: - Nikt na świecie nie wie, że tu jesteśmy, kaczuszko.

- Ona ma rację - poparł ją Mansur.

Adelia pomyślała, że stracili nadzieję, uznali Rowleya za martwego. Godstow było jak wrzód na białym ciele świata, a trucizna wkrótce miała się rozlać. Tylko ptaki na niebie mogły wiedzieć, że powiewa tutaj proporzec zbuntowanej królowej - a ptaki nikomu o tym nie powiedzą.

Jednak dziś, na przekór wszelkim dowodom, nadzieja podpowiadała Adeli, że coś jest za oknami... przynajmniej stopnie do rzeki i sama rzeka, jakkolwiek zdradliwa, wiodły do zewnętrznego świata... Dzień był słoneczny, w powietrzu wisiało coś nieokreślonego.

Zbyt długo się bała, zbyt długo żyła w zagrożeniu, zamknięta w ciemnych pokojach w ciągu dnia niczym zakładnik - jak zresztą wszyscy inni.

Słyszając rozmowę i śmiech, pchnęła okiennice, aż uderzyły o ścianę, i znowu się wychyliła.

Brama klasztoru była otwarta, tłum rozgadanych mężczyzn i kobiet zbierał się za murami. Pośrodku tłumy wyróżniała się smukła postać w futrze, które lśniło w słońcu.

- Królowa wybiera się na łyżwy - powiedziała Adelia. Odwróciła się. - My również. Zabieramy Allie.

Wszyscy ludzie wylegli za mury. Był przecież dzień Świętego Stefana, według tradycji należący do sług, którzy, ponieważ nie mogli pójść do rodzinnych wiosek, świętowali na miejscu. Wieczorem mieli wyprawić własną ucztę z resztek poprzedniej nocy.

Prawie wszyscy ludzie, którzy pracowali w klasztorze, wybiegli na lód, niektórzy bez łyżew, ale każdy z glinianą skarbonką, którymi grzechotali pod nosami gości.

Adelia dała datek i zajęła się córką. Przywiązała pasek do kołyski i ciągnęła ją po lodzie, jadąc na łyżwach. Inni w podobny sposób ciągnęli tych, którzy nie mieli łyżew. Szeroka wstęga Tamizy stała się lodowiskiem, na którym królowała uśmiechnięta Eleonora ze swoimi dworzanami.

Zakonnice dołączyły do nich po chwalbie, młodsze piszczały radośnie i rywalizowały z siostrą Havis, która prześcignęła je wszystkie, choć wyglądała statecznie.

Na lodzie blisko brzegu ustawiono kosz z węglami i przyniesiono krzesło, żeby matka Edyve mogła siedzieć w ciepłe w towarzystwie

zdolnych chodzić chorych, których siostra Jennet przyprowadziła z infl-merii. Strażnik, który bezskutecznie próbował dogonić Adelię, poddał się i siedział ponuro na dywaniku pod krzesłem opatki.

Adelia zobaczyła swojego pacjenta i podjechała do niego, ciągnąc za sobą kołyskę.

- Wracasz do zdrowia?

Młoda twarz Poynsa promieniała.

- Tak, pani, dziękuję. Opatka da mi robotę, będę pomagał panu Fitchetowi. Odźwierny obejdzie się bez jednej ręki.

Adelia uśmiechnęła się do niego.

- I proszę podziękować ode mnie panu medykowi, niech błogosławi go Bóg i wszyscy święci.

- Oczywiście.

Przyniesiono stoły z resztkami świątecznej uczyty.

Siedząc na brzegu na czyichś sankach, Adelia i Gyltha przeżuwały pokarm dla Allie i same też jadły, ignorując uparte nawoływania dziecka, które chciało wrócić na lód.

- Już rozkazuje - zauważyła Gyltha. - Mały tyran. - Rzuciła Strażnikowi kotlet jagnięcy, podniosła pasek i odjechała, ciągnąc kołyskę.

Adelia została z psem na brzegu. Z tego miejsca miała widok na mury klasztoru. Patrolowało je dwóch ludzi Wolvercote'a, obaj wpatrywali się w las. Ktoś wyglądał przez okno domu gościnnego dla mężczyzn, chyba Warin.

Dzięki Bogu nigdzie nie dostrzegła opata. Stał się dla niej wrogiem; podobnie jak ona, odtrącając go, musiała stać się wrogiem dla niego.

Domyśliła się, że most został zamknięty, bo kilku wieśniaków z Wolvercote tłoczyło się pod drugiej stronie, patrząc z zazdrością na uczestników zabawy na lodzie. Inni kopali własną ścieżkę do rzeki.

Za nią, w lesie, który, jak miała nadzieję, skrywał Henryka Plan-tageneta i jego wojska, słyszała nawoływania młodzieńców z klasztoru. Ich radosne śmiechy świadczyły, że nie napotkali niczego większego od ptaków.

Obejrzała się i zobaczyła chłopców biegających po lesie z twarzami przyczernionymi sadzą, jak nakazywała tradycja. Nie rozumiała, dlaczego muszą polować na strzyżyka w dzień Świętego Stefana. Nie pojmowała angielskich, w większości pogańskich zwyczajów.

Wróciła do obserwowania sceny na lodzie.

Wolvercote rozmawiał z królową przy stole zjedzeniem. Gdzie była Emma?

Adelia zastanawiała się, co skłoniło go do wystawienia wart teraz, skoro przez tak długi czas zanieczylił środki ostrożności. Może wyczuł w powietrzu tę samą zmianę, która ją ożywiła - a może po prostu dostrzegł kolejną okazję umocnienia swojej władzy. Tak czy siak, jego głupota dorównywała brutalności. Jaki był sens w pilnowaniu opactwa i szykowaniu się na wypadek oblężenia, gdy prawie wszyscy mieszkańcy bawili się za murami? Poza tym każdy z nich mógł powiadomić wroga o obecności królowej.

Gdyby nie oznaczało to pozostawienia najdroższych jej istot, sama pojechałaby na łyżwach na poszukiwanie Henryka.

Schwyz właśnie wyszedł przez bramę opactwa i patrzył z dezaprobatą na szaloną zabawę na rzece. Zszedł po śniegowych schodach, zbliżył się do Wolvercote'a, cisząc gromy...

W ciągu paru minut jego najemnicy stanęli po obu stronach zakrętu rzeki. Teraz nikt się nie wymknie. Zwymyślał nawet Eleonorę, wskazując drogę w kierunku bramy... Królowa pokręciła głową, zbył rozbawiona, i odjechała od niego.

Niebawem zabawa miała się skończyć, bo słońce opadało, zabierając światło i ciepło, jakiego używało, stojąc wyżej na niebie. Wreszcie rozległ się donośny głos Eleonory, dziękującej matce Edyve za rozrywkę.

Ludzie zaczęli wspinać się po stopniach ścieżki.

- Pani - odezwał się ktoś za plecami Adelii. Był to ojciec Paton.

Mały sekretarz Rowleya wyglądał dziwnie na łyżwach, ale dobrze sobie radził. Skrzyżował na piersi powalane atramentem dłonie, jakby chroniąc się przed czymś niegodnym.

- Mam.

Wbiła w niego oczy.

- Znalazłeś? Nie do wiary... - Musiała zapanować nad emocjami. - Taki sam?

- Tak - odparł. - Z przykrością powiem, że podobieństwo do tego, który mi dał, jest niezaprzeczalne.

- Może posłużyć za dowód przed sądem?

- Tak. Są wspólne cechy, jakie dostrzeże nawet osoba niepiśmienna. Mam je tutaj, oba... - Zaczął odpinać sakwę wiszącą u pasa.

Adelia go powstrzymała.

- Nie, nie chcę ich. Zatrzymaj je wraz z moim pisemnym oświadczeniem. Przechowaj dobrze, dopóki nie nadejdzie pora... i, na Boga, nie mów nikomu, że je masz.

- Spisałem własną relację tej sprawy, wyjaśniając każdemu zainteresowanemu, że zrobiłem to, ponieważ wierzę, że taka byłaby wola mojego pana, świętej pamięci biskupa St. Albans...

Zazgrzytał lód, gdy posłaniec biskupa okrążył ich i zatrzymał się przed nimi.

Twarz Jacques'a była rumiana z wysiłku. Wyglądał nawet przystojnie, choć biskup nie pochwaliłby wymyślnego akwitańskiego ukłonu, jaki złożył przed Adelią.

- Zrobione, pani. Przy odrobinie szczęścia spotkają się w kościele w porze nie-sporów. Ty i ten pan powinniście wcześniej zająć miejsca.

- Co to za brednie? - Ojciec Paton tolerował Jacques'a nie bardziej niż Adelię.

- Jacques dostarczył dwa zaproszenia, jakie napisałam, ojcze - wyjaśniła. - Będziemy podслуchiwać, udowodnimy, kto zaplanował morderstwo Talbota z Kidlington.

- Nic mi do twoich rzekomych morderstw. Spodziewasz się, że będę podслуchiwać? To niedorzeczne, odmawiam.

- Jakich rzekomych morderstw? - zapytał Jacques zdumiony.

- Będziemy tam - powiedziała Adelia do księdza. Ucięła jego protesty: - Tak, przyjdiesz. Potrzebujemy niezależnego świadka. Na Boga, ojcze, tamten młody człowiek został skazany na śmierć.

Zbliżył się do nich Cross i rzekł gburowatym głosem:

- Do środka, szybko!

Rad z takiego obrotu sprawy, ojciec Paton oddalił się spieszenie.

- Czy on może nam pomóc w rozwiązaniu sprawy śmierci Berty? - zapytał Jacques.

- Nie będę powtarzać - burknął Cross. - Komendant każe wracać za mury, więc zabierajcie się stąd.

Jacques posłuchał go. Adelia zwlekała.

- No, chodź już, pani. Robi się zimno. - Najemnik delikatnie ujął ją za ramię. - Drżysz.

- Nie chcę wracać. - Mury klasztoru znów miały stać się więzieniem dla niej i zabójcy. Wleczono ją do klatki, w której siedział potwór z krwawym pyskiem.

- Nie zostaniesz tu na noc. - Prowadząc ją po lodzie, Cross krzyknął przez ramię do młodzieńców szukających strzyżyka: - Pora wracać, chłopaki!

Kiedy dotarli do stopni, musiał wciągnąć po nich Adelię, jak kat więźnia na szafot.

Tłum młodych ludzi wyłonił się z lasu na drugim brzegu, niosąc triumfalnie klatkę uplecioną z witek, w której trzepotał się przerażony strzyżyk. Mieli na głowach kaptury obsypane śniegiem i nie sposób było rozpoznać ich przyczernionych twarzy.

Jeśli nawet w pokrzykującej, podskakującej gromadzie weszła przez bramę klasztoru jedna osoba więcej, niż wyszła, nikt tego nie zauważył.

Klasztorny cieśla ułożył deski na poprzecznych belkach w bocznej kaplicy Marii Panny, żeby ułatwić wymianę spróchniałych desek, tworząc platformę, z której dwie osoby mogły dyskretnie patrzeć i słuchać.

Nakłonienie księdza, żeby się tam wspiał, wymagało sporo zachodu.

Adelii też się to nie podobało. Takie postępowanie stało w sprzeczności z jej charakterem. Co gorsza, strach, jaki znów czuła, pozbawiał ją energii, pozostawiając otepiałą poczuć bezsilności.

Przez drzwi kaplicy wpadł podmuch, zakołysał płomieniami świec na ołtarzu Dziewicy, jedną zapaloną przez Emmę dla Talbota z Kidling-ton. To dla niego Adelia na przemian groziła i schlebiała Patonowi, byle uzyskać pomoc.

- Mamy obowiązek wobec zmarłego, ojciec. - To była zasada jej wiary, dla niej równie fundamentalna jak wyznanie wiary świętego Ata nazego dla liturgii Zachodu. Może ksiądz zrozumiał jej racje, bo przestał się sprzeciwiać i wszedł po drabinie ustawionej przez Jacques'a.

Dzwon wezwał na nieszpory, cichy śpiew z klauzury ucichł. Kościół był pusty - odkąd najemnicy zaczęli sprawiać kłopoty, zakonnice przeniosły czuwanie przy zmarłych do własnej kaplicy.

Gdzieś zaszczekał pies. Pewnie kundel Fitcheta, przed którym Strażnik, niesłyszający z odwagi, kładł się na grzbiecie i odsłaniał brzuch.

Znajdowali się zbyt daleko od skraju platformy, żeby widzieć cokolwiek poza blaskiem świec z ołtarza w głównej nawie. Blask pełgał po sklepieniu nad nimi. Adelia miała wrażenie, że leżą na ławkach wywróconej do góry dnem łodzi.

Zwisające ze stropu nietoperze, patrzyły na nich połyskliwymi jak paciorki oczami.

Szuranie w pobliżu sprawiło, że ojciec Paton pisnął.

- Nie cierpię szcurów.
- Bądź cicho - przykazała.
- To głupota.

Może tak, ale teraz nie mogli nic zrobić - Jacques zabrał drabinę, żeby odnieść ją do wieży. Sam usadowił się w cieniu na jej szczycie.

Szczękneła klamka. Zawiasy bocznych drzwi kaplicy zaskrzypiały głośno. Ktoś syknął zirytowany hałasem. Drzwi się zamknęły. Cisza.

Warin... To musiał być on, bo Wolvercote nie skradałby się w ten sposób.

Adelia czuła pełną zaciekawienia determinację. Jedną rzeczą było snucie teorii o winie, inną uzyskanie potwierdzenia. Gdzieś w dole stał człowiek, który zdradził jedyne go krewniaka, chłopca pozostającego pod jego opieką, chłopca, który mu ufał, a w zamian za to został posłany na śmierć.

Znów zgrzyt zawiasów, a potem tupot butów.

- Ty mnie tu ściągnąłeś? - Głos Wolvercote'a. Wściekły. Jeśli Warin zaprzeczył, oni go nie usłyszeli, bo Wolvercote mówił bez chwili przerwy: - Ty synu dziewczki, ty śmierdząca plwocino, nie wystawiaj mnie więcej na próbę, ty pijana mendo...

Tyradzie, tak niespodziewanej w ustach tego człowieka, towarzyszyły odgłosy uderzeń, niczym kłaśnięcia biczem. Za każdym razem ojciec Paton aż podskakiwał.

Prawnik nie stracił głowy.

- Posłuchaj, panie. Na rany Chrystusa, spójrz. - Odgłosy policzko wania ucichły.

Pokazywał mu jej list.

Poza podaniem miejsca i czasu proponowanego spotkania, wiadomość, którą napisała do obu, była krótka: „Zostaliśmy odkryci”.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy Wolvercote - niezbyt dobrze radzący sobie z czytaniem - odcyfrowywał list przysłany Warinowi. Prawnik rzekł cicho:

- To pułapka. Ktoś tu jest.

Usłyszeli spieszne, ciche kroki, skrzypienie otwieranych szaf, łoskot poduszeczek do klęczenia spadających na podłogę, gdy Warin strącił je z półki.

- Ktoś tu jest.

- Kto? Jaka pułapka?! - Wolvercote stał ciągle w tym samym miejscu, krzycząc do prawnika, który teraz przeszukiwał kościół. - Nie ty mi to przysłałeś?

- Co jest na górze? - zapytał Warin. - Powinniśmy tam zajrzeć.

Patrzył w górę. Adelia miała wrażenie, że jego oczy świdrują deski.

Ojciec Paton leżał bez ruchu.

- Nikogo tam nie ma. Jak ktoś mógłby tam wleźć? Jaka pułapka?

- Panie, ktoś wie. - Warin trochę ochłonął. - Panie, nie powinieneś wieszać tych łotrów. Źle to wyglądało, obiecałem im pieniądze za ucieczkę z kraju.

Więc to on opłacił zabójców!

- Oczywiście, powiesiłem psów! - Wolvercote wciąż krzyczał. - Kto wie, czy trzymaliby gęby na kłódkę. Warin, jeśli to podstęp mający na celu wyłudzenie dodatkowej zapłaty...

- Nie, panie, choć Święta Maria świadkiem, że wyświadczyłem ci wielką przysługę...

- Tak - powiedział WoWercote spokojniejszym głosem. - Zaczynam się zastanawiać, dlaczego.

- Mówiłem ci, panie. Nie chciałem, żebyś został skrzywdzony przez członka mojej rodziny. Kiedy usłyszałem, co zamierza chłopak...

- Bez żadnych korzyści dla siebie? W takim razie, co tu, do diabła, porabiasz? Czemu co koń wyskoczy przybyłeś do opactwa? Dlaczego tak prędko musiałeś sprawdzić, czy chłopak nie żyje?

Odeszli nawą kościoła, ich głosy zlały się w niezrozumiałą mieszaninę zarzutów i skarg.

Po dłuższym czasie wrócili. Zaskrzypiały uchylone drzwi. Tupot butów ucichł..

Ojciec Paton poruszył się, ale Adelia chwyciła go za ramię. Czekaj. Nie chcą, żeby widziano ich razem. Wolvercote wyszedł pierwszy.

Cisza. Potem opuścił kościół prawnik.

Adelia zaczęła, aż szczęknęła opadająca klamka, potem przesunęła się do przodu, żeby wyjrzeć zza krawędzi desek.

Kaplica była pusta.

- Szanowany człowiek, baron i taki potwór - stwierdził przerażony ojciec Paton. - Trzeba powiadomić szeryfa, muszę to spisać, tak, wszystko spiszę. Jestem świadkiem spisku i morderstwa, szeryf będzie potrzebował pełnego zeznania. Jestem ważnym świadkiem. Sam nie dałbym temu wiary...

Ledwo mógł się doczekać, aż Jacques przyniesie drabinę.

Przez chwilę Adelia leżała bez ruchu. Dwaj mordercy obciążyli się wzajemnie, z taką beztroską mówiąc o ludzkim życiu, które postanowili odebrać.

Och, Emmo!

Pomyślała o strzale w piersi młodego człowieka, przeszywającej serce, pomyślała o obojętności kusznika, który wystrzelił ją z taką precyzją,

o obojętności kuzyna, który podjął decyzję, i lorda, który mu za to zapłacił.

Emma, Emma!

Ojciec Paton uciekł do ogrzewanego pomieszczenia - chciał natychmiast spisać swoje zeznanie.

Była jasna, księżycowa noc, nie musieli używać latarni. Odprowadzając Adelię do domu, Jacques opowiedział, co udało mu się usłyszeć w kościele.

- Przed wyjściem stwierdzili, że padli ofiarą podstępu. Lord Wolvercote podejrzewa swoich najemników. Prawnik Warin był roztrzęsiony, założył się, że zechce jak najszybciej uciec z kraju.

Pożegnali się u stóp schodów domu gościnnego.

Niewiarygodnie zmęczona Adelia weszła na górę, ostrożnie stając na najwyższym stopniu. Na szczęście nie doszło wówczas do wypadku, aie w wyobraźni nadal widziała spadającą kołyskę.

Zatrzymała się. Drzwi były lekko uchylone, wewnątrz panował mrok. Nawet gdy Gyltha i Mansur kładli się spać, zawsze zostawiali dla niej zapaloną świeczkę - i zamykali drzwi.

Uspokoila się, gdy Strażnik wyszedł jej na spotkanie, energicznie merdając ogonem i rozsiewając smród większy niż zwykle. Weszła.

Drzwi zatrzasnęły się za nią. Czyjaś ręka otoczyła jej klatkę piersiową, a dłoń zacisnęła się na ustach.

Usłyszała cichy szept:

- Zgadnij, kto to. Nie musiała zgadywać.

- Ty bękarcie - parsknęła.

- W pewnym stopniu to prawda - powiedział, podnosząc ją z podłogi. Rzucił ją na łóżko i legł na niej. - Ale mama i tata w końcu się pobrali, dobrze pamiętam, byłem na ślubie.

Zaśmiała się, ale on zamknął jej usta swoimi.

Żył, pachniał jak zawsze, jego dotknięcie poruszyło ją do głębi.

Ich ciała falowały niczym ogromne skrzydła. Unosili się coraz wyżej i wyżej w powietrze, a potem, gdy skrzydła się złożyły, runęli w długim, pulsującym spazmie na łóżko w ciemnym, zimnym pokoju.

Kiedy ziemia przestała się kołysać, Adelia wysunęła się spod niego i usiadła.

- Wiedziałam, że jesteś w pobliżu - wyszeptała z błogim uśmiechem. - Jakoś wiedziałam.

Odzyskała dawną energię, jakby jego nasienie w cudowny sposób przywróciło jej ciało do życia. Zastanawiała się, czy poczęli drugie dziecko. Myśl ta uszczęśliwiła ją.

Jej kochanek leżał rozleniwiony po miłosnym akcie. Dźgnęła go palcem w plecy.

- Gdzie Allie? Gdzie Gyltha i Mansur?

- Posłałem ich do kuchni, gdzie hulają słudzy. - Westchnął. - Nie powinienem tego robić.

Chcąc na niego spojrzeć, wstała i podeszła do stołu, po omacku wyjęła krzemień z pudełka, uderzyła w krzesiwo i zapaliła świeczkę.

Wychudł, ale był taki piękny. W chłopskich spodniach, z twarzą usmarowaną czymś, co wyglądało na korę drzewa.

- Polowanie na strzyżyka - powiedziała, domyślając się. - Wszedłeś z tymi, którzy polowali na strzyżyka. Henryk przybył?

- Jakoś musiałem się dostać. Chwała Bogu, jest dzień Świętego Stefana, inaczej musiałbym przełazić przez mur.

- Skąd wiedziałeś, że będziemy w Godstow?

- A gdzie indziej mogliście być z rzeką skutą lodem?

- Mogliśmy być martwi. Niewiele brakowało.

Usiadł.

- Byłem w lesie - rzekł. - Patrzyłem, jak jeździsz na łyżwach. Bardzo ładnie, może tylko trochę niepewnie na zakrętach...

- Niech cię diabli, Rowley. Myślałam, że nie żyjesz.

- Widziałem, że Tamiza płynie tam przez las Woodstock, który należy do Henryka, dlatego skoczyłem. W pobliżu mieszka strażnik rzeczny, chrzcilem jego dziecko. Dotarłem do chaty, nie było łatwo, ale się udało. A teraz mów, co tu robisz?

- Rowley, bardzo się o ciebie martwiłam.

- Niepotrzebnie. Strażnik zabrał mnie do Oksfordu, użyliśmy rakiet śnieżnych. W tym przeklętym mieście roi się od buntowników, każdy łajdak, który walczył dla Stefana, wymachuje teraz sztandarem Eleonory albo Młodego Henryka. Musieliśmy obejść miasto i udać się do Wallingfordu. To królewska warownia. W czasie wojny FitzCountowie bronili jej dla cesarzowej. Wiedziałem, że właśnie tam przybędzie król. - Otarł czoło grzbietem ręki. - Boże, jaka to była ciężka droga.

- Znalazłeś króla? Jest tutaj?

- Prawdę mówiąc, on mnie znalazł. Dostałem zapalenia płuc, omal nie umarłem. Potrzebowałem medyka.

- Szkoda, że nie mogłam ci pomóc.

- Ale przynajmniej mogłem mieć oko na rzekę. I w istocie przybył, wraz z flotylą łodzi. - Rowley pokręcił głową. - Był w Touraine, tłumiąc bunt Młodego Henryka, gdy usłyszał o Rozamundzie. Ten chłopak sprzymierzył się z Ludwikiem, królem Francji, przeciwko własnemu ojcu. Wszyscy wiemy, że jest idiotą, ale kto by pomyślał, że zwróci się o pomoc do największego wroga swojego ojca? Eleonora go do tego nakłoniła. Nasi szpiedzy tak mówią. Zbuntowała syna przeciwko ojcu.

- Nie obchodzi mnie, co oni robią. Co teraz będzie?

Ale nie mogła nakłonić go do zmiany tematu. Wciąż był wręcz z Henrykiem Plantagenetem, który odebrał popiecznikom Młodego Króla dwa zamki w Turyngii i powiesił buntowników, a potem ruszył do Anglii z wojskiem w środku zimy najsrożej od wielu lat.

- Nie mam pojęcia, jak tego dokonał. Ale nadciąga, zmierza w górę Tamizy na czele łodzi pełnych ludzi. Uznał, że płyną zbyt wolno, więc zaczął sam wiosłować, klnąc jak pirat.

- Gdzie jest teraz?

- W drodze. - Zawiesił głos. - Chce się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę?

- Przysłał mnie po ciebie. Chce wiedzieć, czy Eleonora zabiła Rozamundę. Powiedziałem, że ty mu odpowiesz.

- Dlatego przybyłeś?

- I tak bym się zjawił. Martwiłem się o ciebie... ale powinienem się domyślić, że jesteś w miarę bezpieczna. - Przekrzywił głowę i zacmokał, podziwiając jej zdolność utrzymywania się przy życiu. - Bóg ma cię w opiece. Prosiłem go o to.

- W miarę bezpieczna? - parsknęła. - Zostawiłeś mnie na pewną śmierć w odkrytej łodzi. - Rowley zwrócił jej uwagę, żeby mówiła ciszej.

- W miarę bezpieczna? Jesteśmy uwięzieni z zabójcami. Zostało popełnione morderstwo... od tygodni żyję w lęku o Allie, o nas wszystkich...

Od tygodni. - Pięciami starła łzy z policzków.

- Minęło dziesięć dni - powiedział łagodnie. - Zostawiłem cię dziesięć dni temu. - Wstał po cichu, podciągnął spodnie, poprawił koszulę.

- Ubierz się i pójdziemy.

- Dokąd?

- Do Henryka. Chce cię zobaczyć.

- Bez Allie? Bez Gylthy i Mansura?

- Nie możemy ich zabrać. Znalazłem ścieżkę przez śniegi, ale podróż będzie trudna nawet na koniach, a mam tylko dwa.

- Nie.
- Tego się obawiałem. Mówiłem królowi, że nie przyjedziesz bez dziecka.
- Gdzie jest Henryk? Powiesz mi w końcu?
- W Oksfordzie, przynajmniej tam się kierował.
- Dlaczego nie tutaj?
- Posłuchaj - zaczął jej tłumaczyć. - Godstow nie ma większego znaczenia.

Ważny jest Oksford. Henryk przyśle tu młodego Gotfryda Fitzroya na czele oddziału. Nie będzie liczny, ale powinien wystarczyć. Mansur mówi, że Wolvercote i Schwyz mają niewielu ludzi. Henryk nie zjawi się osobiście... - Zobaczyła błysk uśmiechu. - Gdyby spotkał się z Eleonorą, mógłby przebić ją mieczem. Poza tym aresztowanie własnej żony zawsze jest trochę krępujące.

- Kiedy? Kiedy zjawi się ten Gotfryd?
- Jutro. Jeśli wrócę, żeby go poprowadzić i powiedzieć, jak wygląda obrona.

Zrobi to, pomyślała. Wróci przez te straszne śniegi, nierad, że nie chciałam zostawić córki, ale uspokojony, że nic nam nie grozi. Jest kwintesencją męskości i odwagi, jak jego przeklęty król, i wcale się nie rozumiemy. A jednak go kocham.

Czuła, że narasta między nimi obcość. Przez chwilę było cudownie, ale tylko przez chwilę. Teraz mówił ze znaną jej niefrasobliwością, a jednak na nianie patrzył. Podniósł rękę, chcąc otrzeć łzy z jej twarzy, ale ją opuścił.

- Kochasz mnie? - Musiała o to spytać.
- Aż za bardzo - odparł. - Nie powinienem tego robić.
- Czego?

- Boże Wszechmogący, wybacz. Obiecałem, przysiągłem, że jeśli będzie cię strzec, nigdy więcej cię nie tknę, nie doprowadzę znowu do grzechu. Twój widok sprawił, że to zrobiłem. Tak bardzo cię pragnę. Gdy poczułem cię w ramionach... nie mogłem się powstrzymać.

- Czym jestem? Czymś, z czego rezygnuje się na czas Wielkiego Postu?
- W pewien sposób co niedziela głoszę kazania przeciwko rozwiązłości i słyszę szept Boga: „Jesteś hipokrytą, pożadasz jej, jesteś przeklęty i ona jest przeklęta”.
- No więc dość tej hipokryzji - mruknęła ponuro; zaczęła się ubierać.
- Musisz zrozumieć. Nie mogę cię karać za mój grzech. Zostawiłem to Bogu. Zawarłem z Nim umowę. Dopóki ona będzie bezpieczna, Panie,

będę Twoim sługą we wszystkim. Przysiągłem w obecności króla, żeby to przypieczętować. - Westchnął. - I widzisz, co zrobiłem.

- Nie dbam o to, czy jest to grzech.

- Ale ja dbam - rzekł ponurym głosem. - Poślubiłbym cię, ale ty chciałaś zachować niezależność. Tak oto Henryk ma swojego biskupa. Nie byle jakiego biskupa, prawda? Anioła stróża dusz innych ludzi. Podczas gdy jego własna i twoja...

Nie rozumiała Boga, który w świecie pełnym nienawiści i zabijania uważał miłość za grzech. Ani człowieka, który słuchał tego bóstwa.

Podniósł rękę, jakby chciał nakreślić nad nią znak krzyża. Odepchnęła ją.

- Nie próbuj - syknęła. - Nie próbuj mnie błogosławić.

- Zgoda. - Narzucił pelerynę. - Ale posłuchaj. Kiedy Gotfryd przypuści atak, pójdziesz do klauzury, tam będzie spokojnie. Zabierz Allie i innych. Powiedziałem Waltowi, żeby dopilnował, abys tam dotarła... bo jesteś ważna dla króla.

Nie słuchała. Nigdy nie wygra z Henrykiem Plantagenetem, a już na pewno nie z Bogiem.

- Powiedziałeś Waltowi?

- Mansur go przyprowadził, gdy czekałem...

- Powiedziałeś Waltowi.

- I Oswaldowi. Nie wiedzieli, gdzie jest Jacques i Paton. Wszyscy mężczyźni muszą być gotowi, żeby otworzyć bramę dla Gotfryda...

- Jezu!

Strażnik zawarczał cicho.

Adelia podeszła do drzwi i zasunęła rygiel. Nasłuchiwała. Ich czas się kończył. Dobrze, że Bóg w swojej łasce pozwolił im cieszyć się sobą tak długo.

- Jak chcesz się wydostać?

- Przekupię odźwiernego. O co chodzi?

- Cicho.

Słyszała tupot butów w uliczce.

- Idą po ciebie. O Boże!

Przeszedł przez pokój i otworzył okiennice, wpuszczając księżycową poświatę do izby.

Ściągnęli koce z łóżka i związali. Gdy wyrzucili je przez okno, drzwi zadygotały.

- Otwierać! Otwierać!

Strażnik rzucił się do drzwi, szczekając.

Rowley przywiązał róg koca do słupka okiennego i pociągnął, żeby sprawdzić, czy utrzyma jego ciężar.

- Ty pierwsza, pani.

Miała na zawsze zapamiętać uprzejmy ruch jego ręki, jakby zapraszał ją do tańca.

- Nie - powiedziała. - Nie zrobią mi krzywdy. Ty jesteś w niebezpieczeństwie.

Spojrzał w dół, potem na nią.

- Muszę ich sprowadzić.

- Wiem. - Uderzenia w drzwi nie ustawały. Mogły ustąpić w każdej chwili.

Uśmiechnął się, wyjął sztylet zza pasa i podał Adelii.

- Do zobaczenia jutro.

Gdy zsunął się na dół, spróbowała rozwiązać węzeł. Ponieważ był zbyt mocno zaciągnięty, zaczęła ciąć go sztyletem, co sekunda wyglądając przez okno. Widziała, jak Rowley dobiegł do najbliższej strzelnicy i skoczył w powiewającej pelerynie. Śnieg był głęboki, pewnie miękko wylądował. Ale czy dotrze do stopni?

Udało mu się. Gdy za jej plecami rozpięły się drzwi, a Strażnik żałośnie zaskowotał, zobaczyła, że Rowley ślizga się po lodzie jak chłopiec.

Schwyz odepchnął ją na bok.

- Tam jest! - ryknął. - Na drugim brzegu. Loso. Johanness.

Dwaj mężczyźni skoczyli do drzwi. Inny zajął miejsce Schwyza przy oknie, gorączkowo naciągając korbą kuszę, którą przytrzymał nogą. Wycelował, strzelił.

- Ach, *scheiss*. - Popatrzył na Schwyza. - *Nein*.

Ktoś stanął we drzwiach.

Pochylił głowę, żeby nie zahaczyć o futrynę, i rozejrzał się spokojnie.

- Może będzie lepiej, gdy zabierzemy sztylet pani Adelii.

W żadnym wypadku nie użyłaby broni przeciwko człowiekowi. Podążyła, ręką do przodu, opatowi Eynshamowi, który pisał listy, kopiowane i wysyłane przez Rozamundę do królowej, a potem kazał ją zabić.

Gdy jej podziękował, uklękła, żeby zająć się Strażnikiem, który wczółgał się pod łóżko. Gdy namacała złamane żebro, pies popatrzył na nią z bólem. Poklepała go.

- Przeżyjesz - szepnęła. - Dobry pies. Zostań tutaj.

Opat uprzejmie podał Adelii pelerynę, a potem kazał związać jej ręce za plecami i ją zakneblować.

Zabrali ją do stróżówki.

Wokół nie było żywego ducha, wszyscy spali. Gdyby nawet mogła wołać o pomoc, w tej części klasztoru nikt by jej nie usłyszał - a w każdym razie nie przybyłby na ratunek. Państwo Bloatowie nie byli jej przyjaciółmi. Prawnik Warin też nie. Nie było śladu ludzi Wolvercote'a, ale oni i tak nie pośpieszyliby z pomocą.

Wielka brama stała otwarta. Ludzie Schwyza krzatali się w stróżówce.

Odepchnęli Adelę na bok. Fitchet leżał martwy na podłodze, z poderzniętym gardłem. Obok niego ojciec Paton wypluwał zęby.

Osunęła się na kolana obok księdza. Jego posiniaczona twarz wyrażała oburzenie.

- Po-bili mnie - wymamrotał. - Zab-rali listy.

Napastnicy wkładali peleryny i kaptury, zbierali broń, opróżniali szarkę zjedzeniem i zaganiali przerażone kury do klatki.

- Czy nasz szlachetny odźwierny miał wino? - zapytał opat. - Nie?

- Cmoknął z niezadowoleniem. - Nie cierpię piwa.

Usiadł na stołku, patrząc na krzątanicę, muskając palcami wielki srebrny krzyż na piersi.

Wrócili dwaj zasapani najemnicy, którzy ścigali Rowleya.

- Miał konie.

- *Siech.* Zatem to koniec. Idziemy. - Schwyz złapał sznur okręcony wokół nadgarstków Adelii i poderwał ją na nogi z taką siłą że omal nie wywichnął jej ręk. Powlókł ją za opatem. - Nie potrzebujemy tej dziewczki, pozwól mi ją zabić.

- Schwyz, mój wierny, dobry Schwyz. - Eynsham pokręcił wielką głową. - Zda-je się, iż uszło twojej uwagi, że w tej chwili pani Adelia jest najcenniejszą osobą w klasztorze. Król tak bardzo pragnie jej towarzystwa, że przysłał po nią biskupa: czy z racji jej zalet cielesnych, czy z powodu informacji, jakie może posiadać, to się jeszcze okaże. Jest dla nas, mój drogi, złotym jabłkiem Atalanty, które możemy rzucić za siebie, żeby opóźnić pościg... - Zadumał się. - Możemy nawet ułagodzić króla, przekazując mu ją, gdyby nas dopędził... tak... istnieje taka możliwość.

Schwyz nie miał czasu na takie pogawędki.

- Bierzemy ją czy nie?

- Bierzemy.

- A ksiądz?

- Obawiam się, że musimy być mniej wielkoduszni. Listy, które znaleźliśmy u pana Patona, przyniosły mu pecha. Ma dowody, o jakich ani król, ani królowa nie powinni usłyszeć...

- Mam go wykończyć?

- Tak.

- Nie... - Adelia rzuciła się do przodu, ale Schwyz ją przytrzymał.

- Wiem, wiem. - Opat pokiwał głową. - To przygnębiające, jednak nie mam zamiaru wypaść z łask królowej, a obawiam, że nasz ojciec Pa-ton mógłby otworzyć jej oczy. Czy to ty przekazałaś mu moje pismo, na którym niezapomniana Rozamunda opierała swoje listy? Oczywiście, że ty. Jesteś niezwykle przedsiębiorczą osobą.

Skazał księdza na śmierć, a nie przestawał gadać, rozbawiony.

- Skoro cieszę się łaskami naszej błogosławionej Eleonory, byłoby to dla mnie wielce kłopotliwe, gdyby dowiedziała się, że to ja podżegałem ją do buntu. Mogłaby powiedzieć o tym Henrykowi. Dlatego została powiadomiona, że znaleźliśmy zdrajcę. Schwyz i ja ruszymy za nim w pościg, żeby go zatrzymać, zanim dotrze do króla. W rzeczywistości zostawiamy Eleonorę na łasce losu. Śniegi okazały się nieprzebyte, lord Wolvercote za słaby...

Schwyz puścił ją i zbliżył się do ojca Patona.

Adelia zamknęła oczy.

Skowyt ojca Patona, zapach krwi. Zapadła cisza, jakby nawet ci ludzie czuli szacunek w obliczu odejścia duszy do Stwórcy.

Potem ktoś coś powiedział, ktoś inny parsknął śmiechem. Zaczęli znosić tobołki i skrzynki z ganku w dół, nad rzekę.

Opat wsunął palec pod podbródek Adelii i zadarł jej głowę.

- Zaciekałaś mnie, pani, już dawno temu. Jak taka cudzoziemska dziewczka zdołała przyciągnąć uwagę nie tylko biskupa, ale samego króla? I to, wybac mi, nie posiadając szczególnych wdzięków.

Nie otwierając oczu, odsunęła się od niego, ale chwycił ją za twarz i potrząsnął.

- Zadowoliliś ich obu? Jednocześnie? Orgia we troje? Jeden z przodu, drugi z tyłu?

Spojrzała mu prosto w oczy.

Wielki Boże, on jest prawiczkim!

Twarz nad nią skurczyła się w wyrazie błagalnej udręki.

Schwyz wołał do nich. W końcu podszedł i poderwał Adelię na nogi.

- Lepiej, żeby nie było z nią kłopotu - warknął. - Mamy dość do dźwigania.
- Jestem pewien, że nie będzie. - Opat uśmiechnął się do niej. - Możemy posłać do kuchni po dziecko, jeśli wolisz, i zabrać je z nami, choć wątpię, czy przeżyje podróż...

Pokręciła głową.

Eynsham, wciąż uśmiechnięty, skinął ręką ku drzwiom.

- Idź pierwsza, pani.

Wyszła i zeszła po lodowych stopniach pokornie jak owca.

Rozdział 13

Księżyc przesunął się ku zachodowi, więc dwaj najemnicy w pelerynach rzucali długie, ostre, zdeformowane cienie na lód, gdy ładowali na sanie wielkie pakunki, które przynosili inni. Jeden z nich podniósł Adelę i rzucił ją na tobołki.

Ktoś inny zakrył ją płachtą. Musiała pokręcić głową, żeby coś spod niej zobaczyć.

Boże, każ im iść na południe, tam jest Henryk.

Opat i Schwyz wraz z kilkoma ludźmi koło sań zakładali łyżwy, skupieni i cisi.

Muszą iść na południe - nie wiedzą, że król atakuje Oksford.

Ale oczywiście wiedzieli. Wiedzieli wszystko, Rowley nieświadomie poinformował ich o tym.

Opat na próbę kręcił piruety na lodzie, podziwiając swoje odbicie w stalowym lustrze rzeki.

- Tak, tak - mruczał. - Tego się nie zapomina.

Nie zwracał uwagi na Adelę - była teraz bagażem. Skinął na Schwy-za, który dał znak swoim ludziom. Dwóch najemników podniosło postronki uprząży i przełożyło pętle przez piersi. Ktoś inny stanął na stopniu z tyłu sań i chwycił żerdź do kierowania.

Opat popatrzył na mury opactwa.

- Królowo Eleonoro, słodka złamana trzcino, żegnaj. *Veni, vidi, vasi**. - Uniósł oczy ku rozgwieżdżonemu niebu. - W drogę!

* *Veni, vidi, vasi* (łac.) - przybyłem, zobaczyłem, odszedłem.

- Zachować ciszę - przykazał Schwyz.

Sanie ruszyły z sykiem płóz.

Kierowali się na północ.

Adelia wiedziała, że teraz nic go nie powstrzyma od odebrania jej życia.

Przez jakiś czas bała się tak bardzo, że ledwo widziała na oczy. Opat ją zabije. Musi ją zabić.

Ogarnął ją przeraźliwy smutek. W myślach widziała Allie, jak tęskni, dorasta bez niej. A ona nigdy nie przestanie jej kochać.

Potem ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To jej wina. Lepsza matka pozwoliłaby tym draniom powyrzynać się wzajemnie, byle tylko nic jej z córką nie rozdzieliło.

I tak bez końca, rozpacz i strach, strach i rozpacz, gdy po bokach przesuwwały się nierówne, białe brzegi rzeki, sanie zgrzytały, ciągnący je mężczyźni stękali z wysiłku, a para ich oddechów buchala niczym dym w księżycowej poświacie, gdy wieźli ją coraz dalej w głąb piekła.

Coś ją uwierało - leżała na worku zawierającym włócznie. Poza tym knebel miał straszny smak, bolały ją ramiona i nadgarstki.

W pewnej chwili usiadła i zaczęła się rozglądać.

Dwaj najemnicy ciągnęli sanie. Trzeci był z tyłu. Czterech jechało na łyżwach po obu stronach, Schwyz i opat z przodu. Łącznie dziewięciu. Nie dostrzegła wśród nich Crossa. Wprawdzie nie widziała twarzy dwóch najemników zaprzężonych do sań, ale byli szczuplejsi od niego.

A zatem znikąd pomocy. Dokądkolwiek się kierowali, Schwyz zabrał tylko najbardziej zaufanych ludzi, a innych zostawił.

Dokąd zmierzali? Do Midlands? W Midlands wciąż wrzało, mieszkańcy dyszeli nienawiścią do Henryka Plantageneta.

Adelia zmieniła pozycję i zaczęła obmacywać worek, przesuwając ręce wzdłuż drzewców aż do grotów włóczni.

Nacisnęła i poczuła ukłucie szpica na prawej dłoni. Próbowwała pocierać sznurem o bok ostrza, ale zamiast tego wciąż trafiała w czubek, który dźgał bezskutecznie włókna liny. Tym sposobem mogłaby się uwolnić dopiero po kilku tygodniach...

Ale coś musiała zrobić, żeby nie poddać się rozpacz. Oczywiście Eynsham każe ją zabić. Jej wartość jako „złotego jabłka Atalanty” zmaleje do zera, gdy tylko opat zyska pewność, że Henryk go nie ściga -a ryzyko pościgu malało z każdą milą jazdy na północ. Zabije ją przede wszystkim dlatego, że przekonała się, co się kryje w jego wnętrzu, jak nędznym jest robakiem.

Zmęczyła się.

Ze łzami wciąż spływającymi po twarzy, zapadła w drzemkę.

Droga była ciężka dla ludzi ciągnących sanie i być może jeszcze gorsza dla tych, którzy jechali na łyżwach. Bojąc się pościgu, nie zapalili pochodni. Księżyc świecił jasno, ale wmarznięte w lód gałęzie rzucały zwodnicze cienie, toteż najemnicy często się przewracali, musieli okrążyć przeszkody, niekiedy przenosząc nad nimi sanie.

Adelia czuła przez sen kołysanie, słyszała stłumione przekleństwa i niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyźni odpoczywają na saniach, na zmianę wczolgując się pod płachtę. Nie chcieli niczego od niej - byli zbyt zmęczeni - a ona się nie budziła, bo sen niósł zapomnienie...

Na sanie wsiadł następny pasażer, posapując z ulgi. Obmacał jej głowę i rozwiązał knebel.

- Teraz to już niepotrzebne, pani. Ani to. - Przeciął nożem sznur na rękach. - Wygodniej?

Adelia poczuła słodki, znajomy zapach. Oblizując usta, przeciągnęła się. Bolały ją ręce. Wciąż byli w drodze i wciąż panował ziąb, ale gwiazdy trochę zmatowiały, księżyc prześwitywał przez lekki woal mgły.

- Nie musiałeś zabijać Bertę - powiedziała.

Cisza.

- Chyba musiałem - odparł po chwili Jacques. - Wcześniej czy później wywęszyłaby mnie.

Tak. Wywęszyłaby.

Próbując opisać napotkaną w lesie starą kobietę, która dała jej grzyby dla Roza-mundy, Berta powiedziała:

„Pięknie pachniała... jak ty”.

Nie, nie ona. Człowiek stojący obok niej. „On. Nie ona”.

Berta poczuła zapach pośłańca - perfumy, woń charakterystyczną dla niego nawet w przebraniu staruszki zbierającej grzyby.

- Masz coś przeciwko temu? - zapytał. W jego głosie brzmiała troska, nadzieja, że jej nie zmartwił. - W gruncie rzeczy niewiele miała do stracenia, prawda?

Adelia wpatrywała się w dwóch najemników ciągnących sanie.

Jacques otulił ją płachtą i usiadł bokiem, rzeczowym tonem udzielając wyjaśnień. Już nie był tym chłopcem z wiecznie zdumionymi oczami i odstającymi uszami. Pewnie umiał zmienić wygląd na zawołanie. Mógł się stać, kim tylko zechciał, gdy okoliczności tego wymagały.

To on wyniósł Allie z pokoju i postawił kołyskę na stopniu.

- Wiesz, zwykle nie ma potrzeby podejmować dodatkowych kroków, jak było w przypadku Berty - powiedział. - Człowiek wypełnia warunki umowy i rusza dalej. Wszystko odbywa się bardzo gładko. To zadanie było interesujące, nie przeczę, ale też skomplikowane. - Westchnął. - Uwięzienie przez śniegi w klasztorze nie tylko z osobą, która mnie wynajęła, ale również ze świadkiem nie jest czymś, co chciałbym przeżyć raz jeszcze.

Zabójca!

- Tak, rozumiem - mruknęła Adelia.

Czuła do niego odrazę, odkąd zrozumiała, że to on otruł Rozamundę. Wykorzystanie go do zwabienia Wolvercote'a i Warina w pułapkę, żeby w kościele przyznali się do zbrodni, napawało ją lękiem, ale nie potrafiła wymyślić innej strategii, by uspić jego czujność. W tym czasie już wiedziała, że opactwu zagraża człowiek gorszy niż Wolvercote'a, niemający żadnych oporów. Zabić tego, oszczędzić tamtego, samemu pozostać niewinnym.

Musiała go zmylić, musiała podsunąć bezbronną mysz kotu, żeby się zabawił. Aby zyskać na czasie, pozwoliła mu patrzeć, jak rozwiązuje sprawę morderstwa, którego nie popełnił.

- Czy to Eynsham zlecił ci zabójstwo? - zapytała.

- Berty? Skądże. - Był oburzony. - Nie brak mi rozumu. Podobnie jak tobie... - Tracił ją łokciem w żebra. - Zapłaci za nią. Jej śmierć pójdzie najego rachunek.

- Na jego rachunek - powtórzyła, kiwając głową.

- Tak. Nie jestem wasalem opata, pani. Postawię sprawę jasno: jestem niezależny, podróżuję swobodnie po chrześcijańskim świecie, świadcząc usługi. Nie każdy je pochwała, wiem, lecz tym niemniej jest na nie zapotrzebowanie.

- Zabójca do wynajęcia.

Zastanowił się.

- Chyba tak. Uważam swoje rzemiosło za równe wszystkim innym.

Spójrzmy prawdzie w oczy, ty sama zajmujesz się czymś, co ciemny lud zwie czarami. Oboje jesteśmy wprawnymi rzemieślnikami, zajmującymi się czymś, do czego żadne z nas publicznie się nie przyzna. Oboje mamy do czynienia z życiem i śmiercią. Czym się zdradziłem? Próbowałem ostrzec cię przed okazywaniem zbytnej ciekawości.

Jego wizyty u Berty, ciągle kręcenie się w pobliżu, nieokreślone wrażenie zagrożenia, które czaiło się w oborze, kiedy on tam przebywał.

Zapach, który rozpoznała Berta. Swoboda wałęsania się po opactwie, jakiej nie miał nikt inny. Tylko on mógł być sprawcą.

- Świąteczna uczta - powiedziała.

Wtedy przekonała się już o tym bez cienia wątpliwości. W podskakującej, pokrytej brodawkami starej kobiecie z arki Noego rozpoznała karykaturę staruchy, którą Berta spotkała w lesie.

- No tak - mruknął - nie powinienem się przebierać, prawda? Niestety, mam do tego słabość.

- Kiedy Eynsham wynajął cię do zabicia Rozamundy?

- Och, wieki temu. Gdy po przybyciu do Anglii zacząłem rozglądać się za robotą. No dobrze, powiem ci, kiedy to było. Akurat zostałem posłańcem biskupa: w moim fachu zawsze warto mieć pretekst do podróżowania po kraju. Nawiasem mówiąc, pani, mam nadzieję, że dobrze służyłem biskupowi. Lubię mieć świadomość tego, że jestem dobry we wszystkim, co robię.

Kiedy Rowley zakradł się do opactwa i uprzedził swoich ludzi o rychłym ataku, nie przyszło mu na myśl, że nie powinien o tym wiedzieć Jacques, jego własny wierny sługa.

- Prawdę mówiąc, będzie mi brakowało pracy dla biskupa St. Albans, ale gdy tylko Walt powiedział, że król nadciąga, musiałem powiadomić Eynshama. Przecież nie mogłem pozwolić, żeby wpadł w ręce Henryka. Jest mi winien pieniądze.

- Jak to się odbywa? - zapytała. - Ludzie przekazują sobie wieści o zabójcy do wynajęcia?

- W zasadzie tak. Nie narzekam na brak zajęcia. Człowiek, który mnie najmuje, oczywiście nie lubi się zdradzać, ale chcesz wiedzieć, jak odkryłem, że to nasz opat?

Rozpierająca go duma sprawiła, że podniósł głos, płosząc sowę z drzewa. Idący z przodu Schwyz odwrócił się i zaklął.

- Wiesz, jak go rozpoznałem? Zgadnij.

Pokręciła głową.

- Po butach. Opat nosi wyjątkowo piękne buty, jak ja. Poza tym rzekł do sługi „mój synu”, a wtedy pomyślałem: „Na rany Chrystusa, to duchowny, bogaty duchowny”. Wystarczyło rozpytać się o najlepszych szewców w Oksfordzie. Rozumiesz, problem polega na uzyskaniu drugiej połowy zapłaty. Tyle z góry, tyle po wykonaniu zadania. A tacy nie lubią płacić reszty należności.

Nic nie powiedziała.

- Tak. Aby odebrać pieniądze, przyczepiłem się do opata jak rzep do psiego ogona. Prawdę mówiąc, nie jego wina. Okoliczności sprzysięgły się przeciwko niemu, ucieczka z Wormhold, śnieg... ale najwyraźniej wstąpimy do jego opactwa w drodze na północ, tam trzyma złoto.

- On cię zabije. - Adelia rzuciła tę uwagę tylko po to, żeby coś powiedzieć. W gruncie rzeczy było to jej obojętne. - Każe Schwyzowi poderżnąć ci gardło.

- Czyż nie są interesującą parą? Schwyz go wielbi. Najwyraźniej poznali się w Alpach. Zastanawiałam się, czy są... no wiesz... ale chyba nie, prawda? Z przyjemnością wysłucham opinii medyka...

Jeden z najemników w uprząży zwolnił, machając ręką na posłańca, żeby zajął jego miejsce.

Głos w uchu Adelii ścichł do konfidencjonalnego szeptu. Plotkarz zmienił się w zabójcę.

- Nie martw się o mnie, pani. Nasz opat ma zbyt wielu wrogów, których trzeba uciszyć... Schwyz to rzeźnik. Nie, nie, zawsze będzie za potrzebowanie na moje usługi. Martw się o siebie.

Odrzucił płachtę, żeby zsiąść z sań.

- Zabijesz mnie, Jacques? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie, pani - odparł uprzejmie. - To byłoby przykre. Odszedł, odmawiając zajęcia miejsca w uprząży.

- Drogi kamracie, nie jestem wołem.

Ani człowiekiem. *Lusus naturae*, bezwolne narzędzie, niewinne jak broń, którą człowiek wiesza na ścianie i podziwia za cudowną skuteczność.

Zapach jego perfum został zduszony przez smród potu i brudu najemnika, który wczołgał się pod płachtę i natychmiast zasnął, chrapiąc.

Opat stanął na stopniu z tyłu, ale nie zamierzał popychać sań. Jego ciężar spowodował ciągnących mężczyzn, którzy potykali się, idąc z trudem. Przeklinali się głośno. Na rozkaz Schwyza zdjęli łyżwy i dalej brnęli w butach, zapewniających lepsze oparcie.

Adelia słyszała chłupot wody, widziała bryzgi tryskające spod płóz. Gwiazdy zgasły, a mętna księżycowa poświata pogłębiała mrok. Schwyz zapalił pochodnię i trzymał ją wysoko, jadąc na łyżwach.

Zaczęła się odwilż.

Nad głową Adelii zabrzmiał soczysty, dudniący głos:

- Nie chciałbym się skarżyć, mój wierny Schwyzie, lecz jeszcze trochę, a będziemy maszerować po dnie rzeki. Jak daleko?

- Już blisko.

Dokąd? Adelia nie miała pojęcia, jak długo spała, nie mogła więc ocenić pokonanej odległości. Brzegi wciąż rysowały się niewyraźnie - trzciny i śnieg.

Zimno stało się jeszcze bardziej dotkliwie. Adelia wiedziała, że wilgoć w powietrzu potęguje wrażenie chłodu, ale drugą przyczyną zimna był strach. Brak pościgu w drodze w górę rzeki uspokoi Eynshama. Gdy tylko opat znajdzie się na bezpiecznym terenie, pozbędzie się brzemienia, które dotąd targał.

- Przed nami! - zawołał Schwyz.

Z przodu widać było mrugające światło, jakby na zamglonym niebie ukazała się samotna gwiazda. Zamek z tylko jednym światłem? Baszta? Zbliżali się do przystani. Nagle zrozumiała. Rozamunda czekała na nią.

Widziana przez mgłę przedświtu wieża na powrót stała się tym, czym była - mauzoleum. Wszelkie inne architektoniczne skojarzenia przepadły. Labirynt już nie był labiryntem. Prosty, ponury tunel wśród szarych krzaków wiodł ludzi ciągnących sanie do budowli, która przypominała nagrobek olbrzyma, wznoszący się na tle jeszcze bardziej ponurego nieba.

Nad schodami wisiały przekrzywione drzwi. W wartowni piętrzył się stos połamanych mebli, które, jak ściany, lśniły od wilgoci w świetle pochodni Schwyza.

Gdy weszli, ciszę zakłócił szmer pierzchających szcurów. Opat spróbował wezwać gospodynię:

- Dakers! Gdzie jesteś, moja luba? Tu twój stary przyjaciel, Robert Eynsham.

Gdy echo ucichło, zwrócił się do Schwyza:

- Nie wie, że to ja kazałem ją zamknąć, prawda? Schwyz pokręcił głową.

- Dała się wyprowadzić w pole, Rob.

- Dobrze, w takim razie wciąż uważa mnie za sprzymierzeńca. Gdzie jest ta stara wrona? Musimy zjeść kolację. Dakers!

- Nie zostaniemy tu długo, Rob. Ten suchy syn ruszy za nami.

- Mój drogi, przestań przypisywać mu moce Ciemności, przechytrzyliśmy łajdaka. - Skrzywił się. - Pójdę na górę po swoje listy. Skoro nasza Piękna Rozamunda zachowała jeden, mogła zachować inne. Mówiłem suce, żeby je spaliła, ale czy to zrobiła? Na niewiastach nie można

polegać. - Wskazał na stos mebli. - Podpal to, gdy nadejdzie właściwa chwila. Ale najpierw jedzenie i krótka drzemka. Gdy przybędzie nasz łaskawy król, będziemy już daleko, ale za to powita go wielkie ciepłe ognisko. Dakers!

Jedyna poza nimi żywa istota zapewne przebywała w komnacie na szczycie wieży ze zmarłą.

- Idź na górę - rozkazał opat.

Schwyz odszedł na chwilę, żeby wydać rozkazy swoim ludziom.

- Co zrobisz z tą wywłoką? - zapytał po powrocie.

- Z tą wywłoką? - Opat popatrzył z góry na Adelię. - Zaczekamy do ostatniej chwili, po prostu na wszelki wypadek. Może pójść ze mną, pomoże mi szukać listów.

- Po co? Niech lepiej zostanie tutaj. - Schwyz był zazdrosny.

- Bo nie widziałem listów, gdy byliśmy tam ostatnio, ale ona znalazła jeden. Może znajdzie też inne. Zwiąż jej rękę, jeśli chcesz, ale tym razem z przodu i niezbyt mocno, bo wygląda na osłabioną.

Ręce Adelii znów zostały skrepowane, niezbyt delikatnie.

- Na górę. - Opat wskazał jej schody. - Prędko, prędko. - Do najemnika powiedział: - Przykaż ludziom, żeby pomyśleli o mojej kolacji. I, Schwyz...

- Co?

- Wystaw porządną czujkę nad rzeką.

On się boi, pomyślała nagle Adelia, przypisuje Henrykowi nadnaturalne moce. Dobry Boże, oby miał rację.

Wchodzenie po wąskich, śliskich stopniach w kształcie klina ze związanymi rękami nie było łatwe, ale Adelia radziła sobie lepiej niż opat, który stękał już z wysiłku, zanim dotarli na pierwsze piętro. Nie słychać tutaj było hałasu z dołu. Panowała martwa cisza, jak w grobowcu.

Nikłe światło sączyło się przez otwory strzelnicze. Spływało na te same połamane, porzucone sprzęty, które walały się po podestach, gdy Adelia szła tędy z Rowleyem. Nikt ich nie uprzątnął, nikt nigdy ich nie uprzątnie.

Szli w górę, coraz wyżej, obok komnat Rozamundy, ogołoconych z dywanów i ozdób przez najemników, może nawet Akwitańczyków w czasie, gdy Eleonora czuwała przy trupie. Niewiele im to dało; łupy i łupieżcy spoczęli na dnie Tamizy.

Zbliżali się do szczytu.

Adelia nie chciała tam wchodzić. Dlaczego to się nie kończy? Dlaczego ktoś tego nie powstrzyma?

Ostatni podest. Drzwi były uchylone, w zamku tkwił ozdobny klucz.

Adelia się cofnęła.

- Nie wejdę.

Opat chwycił ją za ramię, wepchnął przed sobą.

- Dakers, moja luba gospodyni. Opat Eynsham, stary przyjaciel, przyszedł złożyć wyrazy uszanowania twej pani.

Odór, silny jak podmuch wiatru, wstrząsnął nim na progu.

Komnata była w takim samym stanie, w jakim Adelia widziała ją ostatnim razem. Nie została splądrowana z braku czasu.

Rozamunda już nie siedziała przy stole do pisania. Coś leżało na łóżku z cienkimi firankami, do połowy przykryte peleryną.

Nie zastali Dakers, ale jeśli chciała powstrzymać rozkład zwłok swojej pani, to popełniła błąd, zamykając okna i zapalając gromnice.

- Boże! - Zasłaniając nos chusteczką, opat obiegnął komnatę, zdmuchując świece i otwierając okna. - Ta dziewczka cuchnie!

Wilgotne powietrze trochę odświeżyło wnętrze. Eynsham podszedł do łóżka z ciekawioną.

- Zostaw ją- poradziła Adelia.

Zdarł pelerynę ze zwłok i rzucił ją na podłogę.

- Ach!

Piękne włosy leżały wachlarzem na poduszce wokół rozkładającej się twarzy, druga poduszka podtrzymywała koronę. Dłonie, skrzyżowane na piersi, zostały litościwie skryte pod modlitewnikiem. Stopy wylewały się z maleńkich złotych ciżemek, które wyglądały spod starannie ułożonych fałdów szaty błękitnej jak wiosenne niebo. Na jedwabiu ciemniały plamy wilgoci.

- Patrzcie, patrzcie - szepnął opat. - *Sic transit Rosa Mundi*. Więc róża całego świata gnije jak każda inna... Rozamunda Cuchnąca...

- Jak śmiesz! - krzyknęła Adelia. Gdyby miała wolne ręce, uderzyłaby go. - Jak śmiesz z niej szydzić! Ty do tego doprowadziłeś i, na Boga, podobny koniec spotka ciebie, razem z twoją parszywą duszą.

- Uff. - Odsunął się jak skarcone dziecko. - Musisz przyznać, że to straszne.

- Traktuj ją z szacunkiem.

Przez chwilę opat był zaskoczony własnym brakiem taktu. Niepewnie, stojąc daleko od łóżka, nakreślił w powietrzu znak krzyża.

- *Requiescat in pace**. - Po chwili zapytał: - Co to jest to białe na jej twarzy?

* *Requiescat in pace* (łac.)- Niech spoczywa w pokoju.

- Wosk trupi - odparła Adelia. W istocie zjawisko było interesujące. Dotąd widziała coś takiego tylko u maciory w zagrodzie śmierci, nigdy na ludzkim ciele.

Na chwilę znów stała się mistrzynią sztuki śmierci, zafascynowana oglądanym fenomenem.

To dlatego, że Rozamunda była gruba. Gordinus trzymał maciore z Salerno w szczelnej skrzyni, żeby nie załęgły się muchy. „Widzisz, moje dziecko? Gdy nie ma owadów, biały tłuszcz - zwę go *corpus adipatus** - gromadzi się w bardziej pulchnych miejscach, na policzkach, piersiach, pośladkach i opóźnia proces gnilny. Choć z drugiej strony trudno rozstrzygnąć, czy tłuszcz powoduje opóźnienie, czy opóźnienie powoduje wydzielanie tłuszczu”.

Gordinus zwał wosk trupi cudem. Teraz mogła obejrzeć ten cud na zwłokach ludzkich.

Jednocześnie jednak, wnosząc z tego, co sączyło się przez suknię Rozamundy, ciepło komnaty powodowało rozkład. Nie muchy wszak były przyczyną procesu, nie było ich o tej porze roku... Do licha, gdyby miała wolne ręce, mogłaby zobaczyć, co lęgnie się pod materiałem...

- Co znowu? - zapytała z irytacją opata, który odciągał ją od zwłok.

- Gdzie trzymała listy?

- Jakie listy? - Okazja do poszerzenia wiedzy mogła się więcej nie powtórzyć.

Jeśli to nie muchy...

Obrócił ją twarzą do siebie.

- Pozwól, moja luba, że wyjaśnię ci sytuację. Spełniałem tylko swój chrześcijański obowiązek, próbując obalić króla, który kazał zamordować świętego Tomasza na stopniach jego własnej katedry. Zamierzałem doprowadzić do wojny domowej, którą wygrałaby nasza królowa. Skoro obecnie taki wynik raczej nie wchodzi w rachubę, muszę się ratować, bo jeśli Henryk znajdzie moje listy, przekaże je papieżowi. A czy Ojciec Święty pochwali mnie za to, co uczyniłem, żeby ukarać niegodziwca?

Czy powie: „Dobrze sprawiłeś się, Robercie z Eynsham, przyczyniłeś się do naszej wielkiej sprawy”? Nie powie. Będzie musiał udawać gniew, że nic niewarta dziewczka została otruta. Umyje ręce jak Piłat. Czy otrzymam nagrodę? O nie.

Rozkoszował się brzmieniem własnego głosu.

* *corpus adipatus* (łac.) - tłuste ciało.

- Znajdź dla mnie listy, pani, bo inaczej Henryk odkryje w zgliszczach swojego zamku kości nie jednej swojej ladacznicy, lecz dwóch. - Rozbawiła go ta myśl. - Razem, może w objęciach.

Nie może zobaczyć, że się boję, pomyślała.

- W tym wypadku listy też spłoną - powiedziała.

- Nie, jeśli ta suka trzymała je w metalowej skrzynce. Gdzie one są? Ty miałaś jeden. Gdzie był?

- Na stole, wzięłam go ze stołu.

- Jeśli zachowała jeden, mogła zachować inne. - Znow zaczął nawoływać gospodynię: - Dakers! Ona będzie wiedziała. Gdzie ta wiedźma z piekła rodem?

Wtedy Adelia zrozumiała, gdzie jest Dakers.

Eynsham nie miał pojęcia, że w czasie wszystkich swoich wizyt w tej komnacie był obserwowany z ustępu przez judasz. Teraz też o tym nie wiedział.

Oglądał stół, przekładając przybory do pisania. Stukł przy tym starożytną misę, w której Rozamunda trzymała słodycze. Schylił się, żeby zajrzeć pod stół. Odchrząknął z satysfakcją. Podniósł zmięty arkusz welinu.

- To wszystko, co tu było?

- Skąd mogę wiedzieć? - Był to list, który Rozamunda napisała do królowej, a wściekła Eleonora rzuciła na podłogę. Adelia dała biednemu ojcu Patonowi wzór napisany przez opata. Gdyby nawet miała przypłacić to życiem, nie zamierzała mówić temu człowiekowi, że inne listy ukryte są w podnóżku stojącym tuż przy jego bucie.

Niech robak niepewności toczy go do końca życia.

Opat podszedł do otwartego okna i podniósł pergamin do światła.

- Ladacznica miała okropny charakter pisma. Dziw, że w ogóle umiała pisać.

Niech Dakers zacznie wątpić w niego. Nic dziwnego, że gospodyni się śmiała, gdy tamtej nocy zostali zabrani do łodzi. Widziała Eynsha-ma, знаła go jako przyjaciela Rozamundy i liczyła, że również jej okaże przyjaźń.

Jeśli teraz słucha, jeśli przejdzie na drugą stronę...

Adelia podniosła głos:

- Dlaczego kazałeś Rozamundzie pisać listy do Eleonory?

Opat opuścił pergamin, rozbawiony.

- Słuchajcie tego stworzenia! Dlaczego zadaje pytanie, skoro jej umysł nie jest w stanie ogarnąć odpowiedzi? Jaki sens ma odpowiada-

nie? Czy możesz bodaj zbliżyć się do zrozumienia, czego wymaga się od nas, przedstawicieli Boga, w celu zachowania Jego świata? Co możesz wiedzieć o zagłębieniu się w najgorsze brudy? Niekiedy musimy się posługiwać ladacznicami pokroju tej na łożu, najgorszymi szumowinami ludzkiej kloaki, dla osiągnięcia uświęconego celu.

Nie przestawał mówić. Elokwentny człowiek, który czerpał satysfakcję ze swoich dokonań.

Wciąż nie tracił nadziei. To ją zaskoczyło. Świadomość, że musiał uznać swoją wielką grę za porażkę, zrezygnować z walki pod sztandarem Eleonory, pobudzała go do działania, jakby mógł uratować sytuację urokiem osobistym, zleconym tu i tam morderstwem, pozowaniem na wykształconego człowieka. W ten sposób trafiał na pokoje papieży i królów...

Urodzony oszust.

I prawiczek. Mansur się na nim poznał. Ale nie wziął pod uwagę tego, że niemoc płciowa opata uczyniła go wrogiem wszystkich ludzi. Inny duchowny mógłby błogosławić stan chroniący go przed grzechem, ale nie Eynsham. Pragnął, pożył tego, czego był pozbawiony.

Kazał światu płacić za swoją krzywdę, przebiegle mieszając się w wielką politykę, przedstawiając mężczyzn i kobiety jak pionki na szachownicy, strącając tego, poświęcając tamtego, z niezdrową ciekawością zaglądając do rajskiego ogrodu, do którego nie miał wstępu.

- Aby wywołać wojnę, moja luba - mówił. - Potrafisz to pojąć? Oczywiście, że nie, jesteś wszak gliną, z jakiej zostałaś ulepiona, i w głąb się obrócisz. Wojnę, która uwolni kraj od barbarzyńskiego, nieczyste go króla. Która pomści biednego Becketa. Która na powrót podda Anglię boskiemu prawu.

- Miały tego dokonać listy Rozamundy? - zapytała Adelia.
Podniósł głowę.

- Tak. Wprowadzona w błąd, mściwa niewiasta... a wierz mi, nikt nie jest bardziej mściwy niż nasza łaskawa Eleonora... ucieknie z każdego więzienia, zdobędzie najwyższą górę, przepłynie ocean, byleby dopaść winowajcę. I tak właśnie zrobiła.

- W takim razie dlaczego kazałeś otruć Rozamundę?
- Kto mówi, że kazałem? - zapytał ostro.
- Wynajęty przez ciebie zabójca.
- Wesoly Jacques wygadał się? Każę Schwyzowi zająć się nim.
- Ludzie pomyślą, że winna jest królowa.
- Król w to wierzy zgodnie z zamysłem - odparł z roztargnieniem. - Barbarzyńcami, moja luba, łatwo jest manipulować. - Podniósł list

i zaczął czytać. - Wybornie, wybornie. „Do rzekomej królowej Anglii... od prawdziwej królowej tego kraju, Rozamundy Pięknej”. Ileż się namęczyłem, żeby namówić tę sukę... Robercie, jesteś taki wyrafinowany...

Przeciąg poruszył peleryną Adelii. Gobelin za łóżkiem Rozamudy wybrzuszył się i odchylił. Powietrze wpadło z ubikacji, niosąc smród inny od tego, jaki rozsiewały żałosne zwłoki na łóżku. Napływ smrodu ustał, gdy gobelin opadł.

Adelia podeszła do okna. Opat wciąż trzymał list i czytał. Stała w taki sposób, żeby zobaczyć ją, gdy podniesie oczy, a nie osobę przesuwającą się wzdłuż łóżka. Nie miała noża w ręce, tym razem sama była jak śmierć.

Dakers umierała. Adelia zbyt często widziała żółtawą skórę i zapadnięte oczy, żeby nie wiedzieć, co to oznacza. Fakt, że ta kobieta w ogóle trzymała się na nogach, zakrawał na cud. W dodatku szła całkiem bezszelestnie.

Pomóż mi, prosiła Adelia bezgłośnie. Zrób coś.

Ale Dakers nie patrzyła ani na nią, ani na opata, skupiając całą energię na dotarciu do klatki schodowej.

Adelia patrzyła, jak gospodyni wymyka się przez uchylone drzwi i znika. Poczła głęboki, pełen goryczy zawód. Mogła go przynajmniej czymś uderzyć.

Opat usadowił się na krześle Rozamundy, czytając na głos urywki listu.

- „...i zadowolam króla w łóżu lepiej niż ty, tak mi powiedział...”

Niewątpliwie masz rację, dziewczko. Ssanie i lizanie, założę się! „...jęczał z rozkoszy...” Założę się, że jęczał, ty brudna suko...

Podniecają go własne słowa.

Ledwie Adelia to pomyślała, Eynsham podniósł głowę, spojrział jej w oczy. Twarz mu pociemniała.

- Na co się gapisz?

- Na nic. Patrzę na ciebie i nic nie widzę.

Schwyz zawołał ze schodów, ale jego głos utonął we wrzasku Eyn-shama:

- Ty mnie osądzasz?! Ty, brudna dziewczka, śmiesz mnie osądzać?!

Wstał, ogromny jak morska fala, przycisnął ją do piersi i zaczął gdzieś

wlec. Pomyślała, że chce wyrzucić ją przez okno, ale obrócił ją w ramionach, podniósł wysoko za kołnierz i pas. Przez sekundę widziała łóżko, a potem usłyszała stęknienie, gdy rzucił ją na to, co na nim leżało.

Gdy Adelia upadła na zwłoki, gazy z sykiem uciekły z brzucha Roza-mundy.

Opat wrzeszczał:

- Całuj ją! Całuj, całuj, całuj... Ssijcie, liźcie, suki! - Przycisnął jej twarz do twarzy Rozamundy. - Wąchaj, ssij, liź...

Dusiła się w gnijącym ciele.

- Rob! Rob!

Nacisk na głowę nieco zelżał, zdołała przekreślić brudną twarz i zaczerpnąć powietrza.

- Rob! Rob! Koń stoi w stajni.

Koniec. Niech to się skończy!

- Nie ma jeźdźca - powiedział Schwyz. - Nie mogę znaleźć jeźdźca, ale ktoś tu jest.

- Jaki koń?

- Bojowy. Dobry.

- Czyżby jego? Niemożliwe. Nie może tu być. Jezu, ratuj, czy on tu jest?

Trzaśnięcie drzwi ucięło ich głosy.

Adelia stoczyła się z łóżka. Wymacując drogę, doczołgała się do okna, wysunęła związane ręce na parapet, szukając resztek śniegu. Znalazła trochę, wepchnęła do ust. Drugie okno, jeszcze więcej śniegu w usta, szorowała nim zęby, pluła. Więcej do wytarcia twarzy, nosa, oczu, włosów.

Przechodziła od okna do okna, na całym świecie byłoby za mało śniegu, żeby mogła się oczyścić, za mało odrętwiającego lodu...

Przemoczona, drżąca, osunęła się na fotel Rozamundy. Szorując kark związanymi rękami, położyła głowę na stole. Szlochała gwałtownie, niepohamowanie, jak dziecko, płacząc nad sobą, nad Rozamundą, Eleonorą, Emmą, Allie, nad wszystkimi kobietami i tym, co je spotykało.

- Czego ryczysz? - zapytał męski głos z niezadowoleniem. - Myślisz, że to takie złe? Spróbuj posiedzieć w sraczu z Dakers do towarzystwa.

Nóż przeciął sznur na jej rękach. Chustka, którą przyłożono do jej policzka, pachniała pięknie.

Adelia ostrożnie odwróciła głowę.

- Byłeś tam przez cały czas?

- Przez cały czas - potwierdził król.

Patrzyła, jak podchodzi do łóżka i swoim płaszczem delikatnie okrywa zwłoki. Podeszedł do drzwi, nacisnął klamkę. Drzwi ani drgnęły. Pochylił się i spojrzął przez dziurkę od klucza.

- Zamknięte - stwierdził.

Władca imperium, które rozciągało się od granicy Szkocji po Pireneje, był ubrany w podniszczony skórzany strój myśliwski - nigdy nie widziała go w niczym innym; niewielu widziało. Chodził rozkołysanym krokiem człowieka, który więcej czasu spędza w siodle niż na własnych nogach. Ani wysoki, ani przystojny, nie wyróżniał się niczym poza swą niezwykłą energią. Kiedy Henryk Plantagenet przebywał w pokoju, nikt nie odrywał od niego oczu.

Od nosa do kącików ust biegły bruzdy, głębsze niż wtedy, gdy Adelia widziała go zeszłym razem. Oczy miał przygaszone, rude włosy się przerzedziły. Utracił coś, co było nie do odzyskania.

Adelia zaczęła pocierać nadgarstki.

- Gdzie twoi ludzie, panie?

- Ach, tam... - Zawrócił spod drzwi i okrążył stół, żeby wyjrzeć ostrożnie przez okno. - Są w drodze, tylko kilku, ale wybranych, niezastąpionych. Musiałem przyjrzeć się sytuacji w Oksfordzie. Zostawiłem Gotfryda, żeby zajął miasto przed ruszeniem do Godstow.

- Ale... czy Rowley cię znalazł? Czy wiesz, że królowa jest w Godstow?

- Dlatego Gotfryd tam jedzie - odparł król niecierpliwie. - Nie będzie miał kłopotów z zajęciem miasta i klasztoru. Buntownicy, pożałuj Boże! Pożrę ich żywcem. Już wywieszali białą flagę w Oksfordzie, więc...

- Moja córka jest w Godstow - przerwała mu. - Moi ludzie...

- Wiem, Rowley mi powiedział. A ja powiedziałem Godfrydowi. Zdaj się na niego.

Nie miała innej możliwości. Rozejrzał się.

- Jak się miewa mała Rowley-Powley? Ma już zęby? A smykałkę do medycyny?

- Ma się dobrze. - Zawsze umiał ją chwycić za serce. Ale warto w końcu się stąd wydostać. - Ci twoi wybrańcy... - Drugi Rowley. Dlaczego oni nigdy nie zjawiają się na czele licznych oddziałów?

- Są w drodze, prześcignąłem ich. - Wrócił do okna. - Powiedziano mi, że jeszcze nie została pochowana, rozumiesz. Moi ludzie wiozą trumnę.

Musiał pędzić jak wicher, topiąc przed sobą śniegi, żeby się pożegnać, pomścić zło wyrządzone Rozamundzie.

- Przybyłem niedługo przed tobą - powiedział. - Słyszałem, jak wchodzie po schodach, więc ukryłem się razem z Dakers. Pierwsza zasada, gdy wróg ma przewagę liczebną: trzeba poznać jego siłę.

I dowiedzieć się, że Rozamunda zdradziła go w swojej głupocie. Jak żona, jak najstarszy syn.

- Listy, panie... tak mi przykro.

- Nie wspominaj o tym. - Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie wolno wracać do tej sprawy. Odkąd zakrył zwłoki płaszczem, ani razu nie spojrzął na nie.

Wyrzwał znów ostrożnie.

- Tylko dwóch ludzi patroluje dziedziniec... do diabła, co robią pozostali?

- Przymierzają się do spalenia wieży.

- Jeśli chcą wykorzystać drewno z wartowni, czeka ich sporo roboty. Nie zapali się łatwo. - Wychylił się mocniej i wciągnął nosem powietrze. - Są w kuchni, coś pi-traszą. Ci gamonie tracą czas na napychanie kałdu-nów. - Henryk nie cierpiał nie-udolności, nawet u wroga.

- Wcale im się nie dziwię. - Adelia była głodna, konała z głodu. Król przemienił tę komnatę śmierci w całkiem znośne miejsce. Nie okazując współczucia ani wzglę-dów dla jej płci, traktując ją jak kompana, przywrócił jej siły. - Masz coś do jedze-nia?

Palnął się rękaw czoło.

- Że też nie wziąłem nic ze świątecznego stołu. Nie, nie mam. Przy najmniej tak mi się zdaje... - Opróżnił na stół zawartość wewnętrznej kieszeni kaftana, nie odrywając oczu od dziedzińca.

Sznurek, szydło, kilka wysuszonych żołądki, igła i szpagat w kobiecym przybor-niku do szycia, tabliczka do pisania i kreda, gomółka sera, wszystko wymieszane z owsem dla konia.

Adelia wzięła ser i wytarła go. Miała wrażenie, że żuje żywicę.

Teraz, gdy nieco ochłonęła, zaczęła lepiej rozumieć to, co niedawno się tutaj wydarzyło. Król, ten porywczy człowiek, który posłał rycerzy, by roztrzaskali głowę arcybiskupa Becketa o podłogę katedry, siedział cicho za gobelinem i słuchał, bez słowa, bez ruchu, opowieści o zdradzie stanu. Słuchał cierpliwie, choć był uzbrojo-ny.

- Dlaczego nie wyszedłeś, dlaczego go nie zabiłeś? - zapytała nie dlatego, że pragnęła takiego rozwiązania, ale ponieważ naprawdę była ciekawa, jak zdołał się pohamować.

- Kogo? Eynshama? Przyjaciela papieża? Spotka go śmierć, ale nie z mojej rę-ki. Już raz dostałem nauczkę.

Dał arcybiskupstwo Canterbury Becketowi, ponieważ ufał mu i go kochał - ale od tego dnia jego reformy na każdym kroku spotykały się ze sprzeciwem. Morderstwo nie-nawidzącego Żydów, tryskającego jadem, uznanego

dziś za świętego arcybiskupa nastawiło przeciwko królowi cały świat chrześcijański. Odpokutował za to, pozwolił mnichom z Canterbury, by wychłostali go publicznie. A wszystko dlatego, żeby papież nie nałożył na jego kraj inter-dyktu zakazującego udzielania ślubów, chrztów, grzebania zmarłych...

Teraz potrafił zapanować nad gniewem. Eleonorze, Młodemu Henrykowi, nawet Eynshamowi nie groziła egzekucja.

Adelia pomyślała, jakie to dziwne, że zamknięta z człowiekiem równie bezradnym jak ona na szczycie wieży, która w każdej chwili może stać się płonąącym kominem, odczuwa spokój.

W przeciwieństwie do niego. Thukł pięścią w słupek okienny.

- Gdzie oni są, na Boga? Jezu, skoro ja mogłem dotrzeć tu tak szybko, dlaczego oni się guzdrzą?

Prześcignąłeś ich, pomyślała Adelia. W swej niecierpliwości wyprzedzasz każdego, żonę, syna, Becketa, i spodziewasz się, że będą cię kochali. Oni są ludźmi naszych czasów, a ty sięgasz wzrokiem poza ustanowione przez nich granice. Widzisz, kim jestem, i wykorzystujesz mnie dla własnych celów, postrzegasz Żydów, kobiety, nawet heretyków jako istoty ludzkie i wykorzystujesz ich do własnych celów; wyobrażasz sobie sprawiedliwość, tolerancję, rzeczy nieosiągalne. Nic dziwnego, że nikt nie dotrzymuje ci kroku.

Co dziwne, jedyną osobą, jaką mogła z nim porównać, była matka Edyve. Świat wierzył, że to, co jest teraz, jest dane na zawsze, że taka jest wola Boga. Każda zmiana miała być dla Niego obrazą.

Tylko tamta sędziwa kobieta i ten kipiący energią mężczyzna mieli obrazoburczą czelność kwestionować status quo i wierzyć, że można wprowadzać zmiany dla dobra wszystkich ludzi.

- Dobrze - mruknął. - Mamy czas. Mów. Jesteś moim śledczym. Czego się dowiedziałaś?

- Nie płacisz mi za prowadzenie śledztwa. - Adelia uznała, że nie zaszkodzi o tym przypomnieć, póki ma przewagę.

- Nie? Myślałem, że płacę. Załatw to ze skarbnikiem. No, dalej, śmiało. - Jego krótkie, grube palce bębniły po parapecie. - Mów.

Zaczęła opowiadać od samego początku.

Nie interesowała go śmierć Talbota z Kidlington.

- Głupi gałgan. Przypuszczam, że to kuzyn, prawda? Nigdy nie ufaj człowiekowi, który zarządza twoimi pieniędzmi... Wolvercote? Nikczemnik, taka rodzina. Wszyscy buntownicy. Moja matka powiesiła jego ojca na moście Godstow, a ja zrobię to samo z nim. Dalej, dalej, przejdź do tego, co ważne.

Miał na myśli śmierć Rozamundy, ale dla Adelii wszystko miało znaczenie i nie zamierzała niczego opuszczać. Musiał się dowiedzieć, jaka była przenikliwa i dzielna, ile osób straciło życie.

Mówiła, od czasu do czasu skubiąc ser. Krople z topiących się sopli spadały na parapet. Król obserwował dziedziniec. Ciało kobiety, od której wszystko się zaczęło, leżało na łóżku i gniło.

Przerwał jej opowieść.

- Kto to kradnie mojego konia! Wypruję mu bebechy...

Adelia wstała, żeby zobaczyć, kto kradnie bojowego rumaka króla.

Gęstniejąca mgła skrywała wzgórze i lekko przysłaniała dziedziniec, a mężczyzna galopujący ku wejściu do labiryntu nisko chylił się w siodle, lecz go rozpoznała.

- Nie wolno mu uciec! - krzyknęła. - Zatrzymać go, na miłość boską, zatrzymać!

Ale nikt go nie zatrzymał. Paru ludzi Schwyza usłyszało tętent kopyt i biegło w stronę labiryntu, ale już było za późno.

- Kto to? - zapytał król.

- Zabójca - wyjaśniła. - Boże, on nie może uciec! Chcę go ukarać. - Za Rozamundę, za Bertę...

Musiało stać się coś, co go wystraszyło, skoro porzucił Eynshama, rezygnując z drugiej części należnej zapłaty. Pociągnęła króla za rękaw.

- Z pewnością usłyszał twoich ludzi. Są tutaj. Krzyknij do nich. Każ im go ścigać.

- Ten koń nie ma sobie równych.

Jednak ludzi Henryka nie było widać na dziedzińcu.

Adelia i król razem patrzyli, jak pościg wraca z pustymi rękami.

- Jesteś pewien, że twoi ludzie są w drodze?

- Nie zobaczymy ich, póki nie będą gotowi. Przyjdą labiryntem od tyłu.

- Jest drugie wejście?

Król uśmiechnął się znacząco.

- Naśladuj kreta, nigdy nie polegaj tylko na jednym wyjściu. Ale zostawmy to, opowiedz mi resztę.

Przygnębiła ją ucieczka Jacques'a. Pomyślała o mogile na klasztorным cmentarzu... Dobre chociaż to, że zostawił swojego zleceniodawcę bez środka transportu.

Król niecierpliwie stuknął palcami po parapecie, więc podjęła opowieść.

Znów jej przerwał.

- A dokąd to idzie Dakers?

Adelia w jednej chwili znalazła się przy nim. Kłęby mgły falowały, przepływając, ale nie zdołały skryć chudej, czarnej sylwetki gospodyni Rozamundy, gdy z trudem brnęła w stronę labiryntu.

- Co ona wlecze?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł król. - Kozioł do piłowania drewna? To coś było zbyt duże i ciężkie dla przypominającej szkielet Dakers,

która padała co parę kroków, ale podnosiła się i podejmowała znojną wędrówkę.

- Jest obłąkana, to oczywiste - powiedział król. - Zawsze taka była.

Patrzenie na tak wielki wysiłek sprawiało ból, ale nie chcieli stracić z oczu Dakers, która niczym mrówka wlokła swoje brzemię.

Zostaw, cokolwiek to jest, błagała ją Adelia. Nie widzieli cię. Idź i skonaj w miejscu, które sobie wybierzesz.

Wreszcie Dakers zniknęła im z oczu.

- A więc... - odezwał się król - zabrałaś jeden z listów Eynshama z tej komnaty do Godstow i dałaś go księdzu... Mów dalej.

- Ma wyróżniający się charakter pisma. Nigdy takiego nie widziałam, z zakrętami, naprawdę piękny, wielkie litery są klasycznie kwadratowe, lecz wypełnia je zawijasami, a minuskuły...

Henryk westchnął niecierpliwie. Adelia przeszła do rzeczy.

- W każdym razie siostra Lancelina, bibliotekarka Godstow, kiedyś napisała do opata do Eynshama z prośbą o pożyczanie *Pocieszenia* Boecjusza w celu skopiowania, on zaś odpisał, odmawiając...

Znów zobaczyła małą starą zakonnice wśród pustych pól.

- Jeśli się stąd wydostaniemy, chciałabym, żeby siostra Lancelina ją miała.

- Całą *Filozofię*! Eynsham ma Boecjusza? - Plantagenetowi rozbłyły oczy. Kochał książki i chętnie sięgał po te należące do innych ludzi.

- Chciałabym - powtórzyła Adelia wyraźnie - żeby siostra Lancelina ją miała.

- Och, dobrze. Dalej, dalej.

- I skoro o tym mówimy... - Musiała jeszcze coś zyskać, choć nie dla siebie. - Jeśli Emma Bloat owdowieje...

- Owdowieje - obiecał król. - Owdowieje z całą pewnością.

- Niech nikt ponownie nie zmusza jej do małżeństwa.

Z własnym majątkiem i ziemiami Wolvercote'a Emma mogła być łakomym kąskiem. Jako wdowa po baronie miała się stać cennym towarem na królewskim targu.

- Czy to jarmark koński? - zapytał król. - Targujesz się? Ze mną?

- Negocjuję.

- Zrzuńujesz mnie. Ale dobrze. Możemy kontynuować? Potrzebuję dowodu zdrady Eynshama, żeby pokazać papieżowi. Wątpię, czy sam charakter pisma wystarczy za dowód.

- Ojciec Paton był innego zdania. - Adelia się skrzywiła. - Biedny ojciec Paton.

- Tak czy siak... - Henryk wodził wzrokiem po stole. - Zdaje się, że łajdak zabrał swój list.

- Są inne. Nie możemy jednak dowieść, że najął zabójcę, by zabić...

- O to się nie martw. Z pewnością nam powie.

Skazałam człowieka na tortury. Nagle poczuła się zmęczona i nie chciała mówić nic więcej. Jeśli Schwyz zdoła podłożyć ogień w wartowni, to i tak nie będzie to miało sensu.

Postanowiła się streszczać.

- Potem przybył Rowley. Przykazał Waltowi, masztalerzowi, żeby się mną opiekował, gdy nastąpi atak. Walt, nie wiedząc o niczym, powiedział o wszystkim zabójcy, który z kolei powiadomił Eynshama. Opat bardzo się ciebie boi, dlatego postanowił uciec, zabierając mnie z sobą. - Zabrzmiało to jak wyliczanka. - To wszystko - oznajmiła, zamykając oczy. - Mniej więcej.

Krople coraz szybciej kapały z sopli, bębniąc jak deszcz na parapetach.

- Wezuwia Adelia Rachela Ortese Aguilar - powiedział król z najwyższym uznaniem.

Otworzyła oczy, spróbowała uśmiechnąć się do niego i znów opuściła powieki.

- Gotfryd jest dobrym chłopakiem - podjął Henryk. - Niech Bóg go błogosławi. Spłodziłem go z prostytutką, Ykenai. Dziwne imię, sama nie wie, z jakiej rasy pochodzili jej rodzice. Widuję się z nią od czasu do czasu, gdy bywam w Londynie.

Adelia się rozbudziła. Opowiadał jej coś. Mówił o Rozamundzie bez wymieniając jej imienia.

- Umieściłem ją w pasztecarni. Ykenai doskonale sobie radzi, tylko że robi się coraz grubsza. Rozmawiamy o pasztetach, wyrabianie pasztetów to nie byle sztuka.

Wielka niewiasta, wygodny sprężysty materac, jak Rozamunda. Kobiety, które mówiły o drobiazgach i nie wystawiały go na próbę. Kobiety tak różniące się od Eleonory jak kreda od sera - przy czym być może kochał i je, i ją.

Zdradziła go żona, zdradziła kochanka. Czy Rozamunda była ambitna od urodzenia, czy podstępny opat rozbudził jej ambicję, wynik był taki sam: omal nie doprowadziła do wojny. Jediną przystanią tego człowieka była londyńska pasztecziarnia, gdzie mieszkała kobieta, która urodziła mu syna.

Od okna dobiegł głos Henryka:

- Czy biskup St. Albans powiedział ci o swojej przysiędze?

- Tak.

- Przysięgł z ręką na Biblii. „Przysięgam Bogu Ojcu i wszystkim świętym w niebie, że jeśli będziesz ją strzec i zapewnisz jej bezpieczeństwo, nigdy więcej jej nie tknę”.

- Wiem.

- Ha.

Po raz pierwszy od wielu dni Adelia usłyszała śpiew ptaków, jak gdyby ich małe, zamrożone serca odtajały, wracając do życia.

Henryk wyjął kawałek sera z jej palców, zgniótł go i rozsypał okruszki na parapiecie.

Rudzik przyfrunął natychmiast i dziobnął, jego skrzydła niemal musnęły rękę, gdy odlatywał.

-Przyniosę wiosnę do Anglii - oświadczył król. - Nie pokonają mnie, na Boga, nie pokonają.

Pokonali cię, pomyślała Adelia. Twoi ludzie nie przybywają. Wszyscy cię zdradzają.

Henryk podniósł głowę.

- Słyszysz?

- Nie.

- Są tutaj. - Wyciągnął miecz z pochwy. - Chodźmy na dół i walcmy z kanałiami.

Nie ma ich tutaj. Słyszał ptaki. Oboje zostaną tu na zawsze i zgniją wraz z Rozamunda.

Zmusiła się, żeby podejść do okna.

Zaalarmowani ludzie wypadli z kuchni, biegali we wszystkie strony, zmyleni przez mgłę, wracali po obroń. Usłyszała krzyk Schwyza:

-Na drugą stronę! Nadchodzą z tyłu.

Opat Eynsham zrobił parę niezdecydowanych kroków w kierunku wejścia do labiryntu i zawrócił.

-Tak - powiedziała Adelia.

Sztylet, którym Henryk przeciął sznur na jej rękach, leżał na stole. Podniosła go z dziką radością.

Chciała z kimś walczyć. Ale nie mogła.

- Panie, jesteśmy zamknięci.

Stał na palcach, macając wokół pierścienia, który podtrzymywał zasłony łóżka Rozamundy. Wyjął klucz i pomachał nim.

- Nigdy nie wchodzi do dziury bez drugiego wyjścia.

Wyszli i zaczęli schodzić po schodach. Henryk szedł pierwszy.

Dwa piętra niżej spotkali biegnącego na górę człowieka Schwyza

z dobytym mieczem. Adelia nigdy się nie dowiedziała, czy chciał się ukryć, czy szedł po nią. Szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył króla.

- Nie tędy droga - powiedział Henryk i uderzył go w twarz. Najemnik upadł. Król przebił go mieczem, podnosząc na sztychu jak na rożnie, i pchnął w dół schodów. Spychał ciężkiego mężczyznę, który już dawno nie żył, na sam dół, do wartowni.

Na zewnątrz słychać było krzyki i szczęk mieczy. Mgła gęstniała, trudno było zobaczyć, kto z kim walczy.

Król zniknął. Adelia usłyszała jego zawołanie: *Dieu et Plantagenet!*, gdy natrafił na wroga.

Miała wrażenie, że znalazła się wśród walczących duchów. Ze sztyletem w pogotowiu zaczęła iść ostrożnie w tym kierunku, gdzie ostatnio widziała Eynshama. Jeden zabójca uciekł; oby drugi nie wymknął się sprawiedliwości. Opat nie będzie czekał. Nie był odważny, zabijał wyłącznie cudzymi rękami.

Dwie wielkie postacie pojawiły się po jej lewej stronie, ich miecze krzeszały skry, gdy walczyli. Uskoczyła im z drogi i znowu zniknęli.

Pomyślała, że jeśli zawoła go, opat przyjdzie. Zechce użyć jej jako tarczy. Miała nóż, mogła nim zmusić Eynshama do posłuszeństwa.

- Opacie! - Jej głos był wysoki i cienki. - Opacie!

Ktoś odpowiedział jej jeszcze wyższym tonem.

Rozpaczliwy krzyk płynął z labiryntu. Adelia zaczęła biec, ślizgając się w topniejącym śniegu, padała, podnosiła się i biegła dalej. Ktokolwiek to był, potrzebował pomocy, a był tak strasznie, że dźwięk rozdzierał uszy.

Ktoś ją minął, buty chlupotały w błocie.

Ściana krzaków piętrzyła się wysoko. Wodziła po niej rękami, zmierzając w stronę wejścia do labiryntu. Znalazła wejście, skręciła w nie.

Dziwne, ale tutaj widoczność była lepsza, choć panował półmrok.

Daleko dotarł, prawie do wyjścia prowadzącego na wzgórze. Krzyk ustał, przechodząc w bełkotliwe mamrotanie. Gdy Adelia tam podeszła, wszelkie odgłosy zamarły.

Ostatni paroksyzm bólu wygiął plecy opata w łuk nad pułapką. Usta miał szeroko otwarte. Wyglądał, jakby umarł ze śmiechu.

Przesunęła się, stanęła przed nim. Schwyż obmacywał strasznie pokiereszowane krocze Eynshama, gdzie wgrzyzły się stalowe zęby.

- Wszystko w porządku, Rob - mówił. - Wszystko w porządku.

- Popatrz na Adelię. - Pomóż mi.

Nie było sensu. Opat nie żył. Otwarcie potrzasku wymagało współdziałania dwóch ludzi. Tylko nienawiść gorąca jak ognie piekielne dała Dakers siłę do rozchylenia szczęk, by legły płasko na ziemi, czekając na człowieka, który kazał otruć Rozamundę.

Gospodyni usadowiła się w pobliżu, żeby móc obserwować, jak winowajca umiera. I umarła razem z nim, uśmiechnięta.

Znieśli rannych do przystani, bo Adelia nie chciała wracać do wieży. Nie było ich wielu i żaden nie odniósł poważnych obrażeń. Wystarczyło parę szwów, z czym poradziła sobie dzięki przybornikowi króla.

Wszyscy ranni byli ludźmi Plantageneta. Henryk nie wziął jeńców.

Nie zapytała, co się stało ze Schwyżem. Nie obchodziło jej to.

Jedna z barek, które przyplłynęły z Godstow, przywiozła długo oczekiwaną trumnę dla Rozamundy. Biskup St. Albans przybył na pokładzie innej łodzi. Brał udział w szturmie Gotfryda na opactwo i teraz ledwo się trzymał na nogach ze zmęczenia. Nie podszedł do Adelii, choć podziękował Bogu za jej ocalenie. Godstow zostało wyzwolone bez strat po stronie Plantageneta. Wolvercote, teraz zakuty w łańcuchy, był jedynym, który stawiał opór.

- Allie jest bezpieczna i zdrowa - powiedział Rowley. - Gyltha i Mansur też. Wiwatowali w oknie domu dla gości.

Nic więcej nie musiała wiedzieć. Tylko...

- A Warin. Znalazłeś go?

- Próbował uciec przez mur na tyłach, więc zakuliśmy go w żelaza.

- To dobrze.

Spływająca kra uderzała w pale pomostu. Każda tafla lodu wlokła za sobą chmurę mgły.

Wciąż było bardzo zimno.

- Chodź do wieży - powiedział Rowley. - Ogrzejesz się.

- Nie.

Zarzucił płaszcz na jej ramiona, ostrożnie, żeby jej nie dotknąć.

- Eleonora uciekła. Polują na nią po lasach.

Adelia pokiwała głową. Również to nie miało dla niej znaczenia. Rowley przestąpił z nogi na nogę.

- Lepiej pójde do niego. Muszę pomodlić się nad poległymi.

Odszedł, kierując się do wieży.

Na pomost wniesiono drugą trumnę, skleconą z kawałków mebli. Gospodyni Dakers miała towarzyszyć swojej pani w drodze do grobu.

Reszta zmarłych miała czekać na stercie na dziedzińcu, dopóki ziemia nie rozmięknie na tyle, żeby wykopać wspólną mogiłę.

Przyszedł Henryk, wołając do wioślarzy, że mają nie szczędzić sił; spieszył się do Godstow, a potem do Oksfordu. Wprowadził Adelię na pokład. Biskup St. Albans został, żeby dopilnować pochówku.

Gęsta mgła zasnuwała Wormhold, więc gdyby nawet Adelia chciała ostatni raz rzucić okiem na wieżę, nie dostrzegłaby jej w mleczej szarości.

Plantagenet nie wszedł do kabiny. Zajęty był wskazywaniem drogi wioślarzom, którzy musieli omijać ławice, sporządzaniem notatek na łupkowej tabliczce i przyglądaniem się wodzie.

- Niebawem zerwie się wiatr.

Adelii też nie pozwolił wejść do kabiny. Powiedział, że potrzebne jest jej świeże powietrze, i posadził ją na ławce na rufie. Jakiś czas później przysiadł się do niej.

- Lepiej się czujesz?

- Wracam do Salerno. Westchnął.

- Już o tym rozmawialiśmy.

Rozmawiali, w istocie, gdy poprzednim razem polecił jej przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa.

- Nie jestem twoją poddaną, Henryku. Jestem Sycylijką.

- Tak, ale tutaj jest Anglia i to ja decyduję, kto przyjeżdża i wyjeżdża. Milczała.

- Potrzebuję cię. Co więcej, Salerno nie spodobałoby ci się teraz, po Anglii. Tam jest za gorąco, wyschlabyś jak śliwka.

Zacisnęła usta i odwróciła głowę, żeby się nie roześmiać.

- No i co? - zapytał. - Nie mam racji?

- Wiedziałaś, że Dakers zastawi pułapkę na Eynshama? - zapytała.

- Do licha, skąd mogłem wiedzieć, co ona wlecze? Mgła była tak gęsta.

Adelia zrozumiała, że nigdy się tego nie dowie. „Umrze, ale nie z mojej ręki”, powiedział Henryk. Był taki pewny.

- Pułapki na ludzi to paskudna rzecz - powiedział. - Nigdy ich nie używam. - Zawiesił głos. - Chyba że na kłusowników, którzy na to za służą. A wtedy tylko takich, które chwytają za nogę...

Nigdy się nie dowie.

- Wracam do Salerno - powtórzyła dobitnie.

- Rowleyowi pęknie serce.

Jej pewnie też, ale i tak wyjedzie.

- Zostaniesz! - Najbliższy wiosłarz odwrócił głowę, słysząc krzyk króla. - Mam dość buntów.

Był królem. Droga do Salerno wiodła przez ziemie, po których nikt nie podróżował bez jego pozwolenia.

- To z powodu jego przysięgi, prawda? - zapytał. - Sam bym takiej nie złożył, aleja, chwała Bogu, nie jestem zobowiązany do życia w czy stości. Zobaczymy, co da się z tym zrobić...

Tamiza wezbrała wskutek odwilży i wartko niosła barkę.

Henryk spędzał czas na kreśleniu notatek na tabliczkach. Adelia siedziała i patrzyła w pustkę.

Król miał rację. Zanim dotarli do Godstow, zerwał się wiatr i rozpędził mgłę. Z daleka zobaczyli most. Jego środek był pusty, ale po obu stronach ludzie tłoczyli się wokół nieruchomych postaci.

Gdy barka mijała wioskę, zobaczyli, co się tam dzieje.

Ludzie przyszli na egzekucję. Wysoki Woh/ercote stał wśród nich ze stryczkiem na szyi, podczas gdy jakiś mężczyzna przywiązywał linę do słupka. Obok niego znacznie niższy ojciec Egbert mrucał modlitwę.

Od strony opactwa obserwowała tę scenę młoda kobieta. Była to Emma. Nie zwracała uwagi na matkę, która szarpała ją za rękę. Ani na chwilę nie odrywała oczu od mostu.

Widząc barkę, młody mężczyzna przechylił się nad balustradą.

- Witam, milordzie, i dziękuję Bogu, że jesteś bezpieczny! - zawołał radosnym głosem.

Wiosłarze zaczęli wiosłować pod prąd, żeby rzeka nie zniosła barki, umożliwiając królowi rozmowę z synem. Nad nimi Wolvercote wpatrywał się w niebo. Słońce wyrzało zza chmur. Czapla wzbiła się z sitowia i niezdarnie trzepocząc skrzydłami, poleciała w dół rzeki.

Henryk odłożył tabliczkę.

-Dobra robota, Gotfrydzie. Wszystko zabezpieczone?

RS

- Tak, milordzie. Mam też wieści od ludzi, których wysłałem za królową. Pochwycili ją i prowadzą tutaj.

Henryk pokiwał głową. Wskazując Wolvercote'a, zapytał:

- Przyznał się do swoich grzechów?

- Do wszystkich z wyjątkiem zdrady ciebie, panie.

- I tak nie rozgrzeszyłbym tej świni - powiedział Henryk do Adelii. Przerzuć go, Gotfrydzie, i niechaj Bóg okaże miłosierdzie jego duszy. - Skinał na wioślarzy, żeby płynęli dalej.

Gdy łódź mijiała most, dwaj mężczyźni chwycili Wolvercote'a i postawili go na balustradzie.

Ojciec Egbert podniósł głos:

- *Dominus noster Jesus Christus...*

Adelia odwróciła głowę. Z tej odległości mogła zobaczyć twarz Emmy. Była całkowicie pozbawiona wyrazu.

- *...deinde, ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Fili, et Spiritus Sancti. Amen**.

Usłyszeli trzask gwałtownie naprężonej liny. Gwizdy i wiwaty rozległy się po obu stronach mostu.

Emma odwróciła się i odeszła.

Tłum złożony z żołnierzy, mniszek i służby zgromadził się na łące pod klasztorem, żeby wiwatować na cześć króla Henryka.

Dla Adelii liczyło się tylko troje ludzi: wysoki Arab, starsza kobieta i dziecko, które machało rączką na powitanie.

Skłoniła głowę na znak, że ich widzi.

Allie widocznie nauczyła się nowego słowa, bo Gyltha próbowała nakłonić ją do mówienia, wskazując na Adelię.

Krzyk z drugiego brzegu wzbił się ponad hałas:

- Panie, panie! Pojmaliśmy królową.

Na rozkaz Henryka barka skrzyła w stronę grupy jeźdźców, którzy wylonili się z lasu. Mężczyzna z insygniami kapitana straży Plantagene-tów zeskoczył z konia, a jeden z żołnierzy pomógł zsiąść królowej, która siedziała za jego siodłem.

Przerzucono trap na barkę. Na pokład wszedł kapitan, człowiek o wiecznie zafasowanej twarzy.

- Jak przebyła rzekę? - zapytał Henryk.

* *Dominus noster Jesus Christus... deinde, ego te absolvo a peccatis tuis in nomine Patris, et Fili, et Spiritus Sancti. Amen* (łac.) - Pan nasz Jezus Chrystus... a także ja uwalniam cię od grzechów w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

- W dole był stary prom, panie. Myślmy, że lord Montignard ją przewiózł... Próbował opóźnić pościg, walczył jak wilk...

- Zabili go! - zawołała królowa z brzegu. Strzepnęła jak pyłek rękę żołnierza, który próbował ją zatrzymać.

Król pomógł jej wejść na pokład.

- Eleonoro.

- Henryku.

- Podoba mi się to przebranie, do twarzy ci w nim.

Była ubrana jak chłopak, jednak to przebranie nikogo by nie zwiodło. Figurę miała chłopięcą, ale ze zbyt wielką godnością nosiła krótką pelerynę, ubłocone buty i czapkę, pod którą schowała włosy.

Wiwaty z opactwa ucichły. Zapadła przepelniona oczekiwaniem cisza, jakby ludzie na drugim brzegu byli świadkami spotkania wojujących bogów olimpijskich i spodziewali się uderzenia piorunów.

Nic takiego się nie stało. Adelia, siedząc na rufie, patrzyła na tych dwoje ludzi, którzy znali się zbyt dobrze i zbyt długo, żeby czymkolwiek mogli się zaskoczyć. Spłodzili ośmioro dzieci i widzieli śmierć jednego z nich, razem władali wielkimi krajami, razem ustanawiali prawa, razem tłumili bunty, kłócili się, śmiali i kochali. Mimo tego, co się ostatnio wydarzyło, nie mogli zapomnieć o przeszłości.

Eleonora zdjęła czapkę i rzuciła ją do rzeki, jakby nawet teraz chciała wyglądać dla niego kobieco. To był błąd. Chłopięcy kostium stał się groteskowy, gdy długie, siwiejące włosy pięćdziesięcioletniej kobiety opadły na ramiona.

Król litościwie zdjął płaszcz i delikatnie otulił nim królową.

- Proszę, moja droga.

- Cóż, Henryku, gdzie tym razem? Z powrotem do Anjou i Chinon? Król pokręcił głową.

- Myślałem o Sarum.

- Och, tylko nie Sarum, Henryku, to w Anglii.

- Wiem, ukochana, ale kłopot z Chinon był taki, że uparłaś się stamtąd uciekać.

- Ale Sarum... Takie nudne.

- Jak będziesz grzeczna, wypuszczę cię na Wielkanoc i Boże Narodzenie. - Skinął na wiosłarzy, żeby chwycili za wiosła. - Ale na razie ruszamy do Oksfordu. Kilku buntowników czeka na powieszenie.

Adelia w panice poderwała głowę. Rzeka dzieliła ją od dziecka.

- Panie, najpierw wysadź mnie.

Zapomniał o niej.

- Aha, dobrze. Dobijcie do drugiego brzegu - polecił wioślarzom.

Długo to trwało, bo woda była rwąca. Król przez cały czas cmokał z irytacją. Gdy barka wreszcie podeszła do brzegu, opactwo było już daleko z tyłu. Adelia wysiadła przy pustej łące, w błoto, w które zapadła się powyżej cholewek butów.

Królowi powrócił humor. Wychylił się nad relingiem i krzyknął:

- Sama tego chciałaś! Brnij teraz z powrotem po wodzie.

- Tak, panie. Dziękuję, panie.

Barka odbiła, lśniące kropelki wody z podniesionych wiosł spadły na powierzchnię rzeki.

Nagle król pobiegł na rufę, żeby powiedzieć coś jeszcze.

- Co do przysięgi biskupa - zawołał - nie martw się! „...Jeśli będiesz ją strzegł i zapewnisz jej bezpieczeństwo...” Bardzo ładnie sformułowane.

Szybko zwiększająca się odległość pomiędzy nimi zmuszała go do krzyku.

- Adelio, jesteś moim śledczym w sprawach śmierci, czy tego chcesz, czy nie...

Chwilę później widziała tylko porządek Plantagenetów z trzema lampartami, gdyż barka skryła się za lesistym zakrętem, ale głos króla niósł się wesoło po lesie:

- Ty nigdy nie będziesz bezpieczna!

Od autorki

Piękna Rozamunda Clifford bardziej znana jest z legend niż ze źródeł historycznych, w których ludzie o niej wspominają. Mam nadzieję, że nie będzie mnie straszyc po nocach za ten fikcyjny portret.

English Register o/Godstow Nunnery, opracowany przez Andrew Clarke'a i opublikowany przez Early English Text Society, wykazuje, że w owych czasach opactwo było sprawnie zarządzane. Było również wystarczająco tolerancyjne, żeby pochować kochankę Henryka II, Rozamundę Clifford, przed ołtarzem, gdzie jej grób stał się popularnym miejscem pielgrzymek. Jednak biskup Hugo z Lincoln, choć był przyjacielem Henryka, w czasie wizyty w klasztorze w 1191 roku, dwa lata po śmierci króla, rozkazał przenieść trumnę w miejsce mniej święte.

Rodzina Henryka II wzniecała bunty przede wszystkim na kontynencie, ale ponieważ średniowieczne kroniki miewają luki, pozwoliłam sobie wzniecić jedno takie powstanie w Anglii, gdzie, jak wiemy, przynajmniej kilku niezadowolonych baronów dołączyło do Młodego Henryka i Eleonory.

Eleonora Akwitańska przeżyła Henryka i więzienie, na jakie ją skazał. Co więcej, przeżyła wszystkich swoich synów, z wyjątkiem króla Jana. Mając siedemdziesiąt lat, przebyła Pireneje, by zaaranżować małżeństwo wnuczki, a w drodze została uprowadzona. Zmarła w wieku osiemdziesięciu dwóch lat i spoczęła obok męża i Ryszarda I, ich syna, w opactwie Fontervault, gdzie podobizny małżonków wciąż można zobaczyć w pięknym kościele.

Tamiza wokół wyspy, na której zachowały się ruiny konwentu Godstow, jest żeglowna nawet dzisiaj i niewykluczone, że stanowiła w owym czasie lepszy szlak komunikacyjny niż drogi lądowe. Profesor W.G. Hoskins, ojciec archeologii krajoznawstwa, pisze: „W czasach średniowiecznych i późniejszych handel wewnętrzny odbywał się za pośrednictwem rzek na skalę znacznie większą, niż można przypuszczać”. Są również wzmianki o tym, że Tamiza zamarzała w czasie srogich zim w XII wieku.

Warto przy okazji nadmienić, że w XII stuleciu nad angielskimi rzekami żyło bardzo wiele bobrów. Zostały wyteńpione później, w XVII wieku.

Choć wydaje się to nieprawdopodobne, mak rósł na mokradłach wschodniej Anglii nie tylko w XII wieku, ale również później - sprowadzili go do Anglii Rzymianie, jak zresztą wiele innych rzeczy. Nalewka zwana przez tamtejszych mieszkańców „kordialem Godfrey'a” - mieszanka wyciągu z maku i melasy - była stosowana jeszcze w XX wieku.

Wszyscy synowie Henryka kolejno zwracali się przeciwko niemu. Król zmarł w Chinon w 1189 roku, prawdopodobnie na raka jelita, wiedząc, że jego najmłodszy, najukochańszy syn dołączył do rebelii starszego brata, Ryszarda.

Dwór Wolvercote dałam fikcyjnemu lordowi; prawdziwym jego właścicielem w owych czasach był Roger D'Irvi. Nie mam dowodów, że D'Irvi brał udział w jakimkolwiek buncie przeciwko Henrykowi II, choć jest zastanawiające, dlaczego oddał dwór królowi, który przekazał go opactwu Godstow.

To, o czym wspomniałam w rozdziale 4 o papierze, może kłócić się z powszechnym poglądem, że papier dotarł do Europy, zwłaszcza do północnej Europy, dopiero w XIII wieku. Zgoda, w XII stuleciu nieczęsto go używano - skrybowie i pisarze zakonni woleli welin - ale był, choć zapewne marnej jakości. W Internecie można znaleźć interesujący artykuł na ten temat, *Medieval Ink* Da-vida Carvallo.

Umiejętność wychodzenia z labiryntu zawdzięczam pisarzowi Geoffreyowi Ashe'owi i jego pracy *Labyrinth and Mazes*, opublikowanej przez Wessex Books.

Prawdziwego opata Eynshama należy oczyścić z niegodziwości, jaką przypisałam jego fikcyjnemu odpowiednikowi. O ile wiem, wiódł przykładne życie i szanował kobiety - choć w tym przypadku byłby rzadkim okazem wśród średniowiecznych duchownych.

Koncepcja Boga jako ojca i matki występuje w pismach mistyczki Juliany z Norwich z XIV wieku, ale była obecna w myśli chrześcijańskiej już znacznie wcześniej, więc rozmowa opatki Godstow z Adelią w rozdziale 11 tej książki nie jest całkowitym wymysłem.